

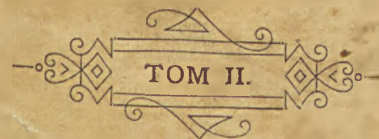
N. A. LEJKIN

Nasi za granicą

Humorystyczny opis podróży
do Paryża i z powrotem Mikołaja i Głafiry Iwanowów

tłumaczył z rosyjskiego

STANISŁAW MIŁKOWSKI



W KRAKOWIE
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1902.



14574

882-3

— Nie mogę sypiać na jednej poduszce. Głowa mi się zapada. I zresztą nie wiadomo dokąd się jedzie i co się zdarzy. Może być, że tam zupełnie poduszek nie będzie potrzebna.

— Rzuć poduszki. Daj no, ja sam je wydobęde. No, popychajże z tyłu, pehaj co masz siły. Ot tak. Tu przecie komora. Czy czasem Niemcy nie zechcą ich pruć i szukać w nich. Przyjechaliśmy z pierzynami. Mogą przytem podejrzewać, że to worki na przenycane towary. Nie uwierzą, ehoćbyś się zakleła, że to zwykle poduszki. Jak po niemiecku poduszki?

— Nie wiem.

— Dobryś! A tylko co chwaliłaś się, że znasz wszystkie pokojowe nazwy. Przecie poduszka, to wyraz pokojowy.

— Wiedziałam ale zapomniałam. I czegoż ty się gniewasz? Przecie sam nie wiesz.

— Ja, to co innego. Ja jestem specjalistą w nazwach napojowych. Oto naprzykład w bufecie — zaraz się dam poznać... *Bir trinken. Schnaps trinken... Zeidel... Flasze... Buterbrod*, a wreszcie ja się nie uczyłem na pensyi, ani w żadnej szkole. Niemieckich wyrazów nauczyłem się od niemieckich kolonistów, którzy przyjeżdżają do nas, do sklepu, za kupnem powrozów, płótna żaglowego i gwoździ. *Ejn, cwej, drej, fir, finf, rubel, cwancig kopiejek*. Co chcesz i wiele chcesz porachuję ci po niemiecku, ale innych słów nie rozumiem i nie umiem. No, postój tu przy poduszkach a ja wydobęde tłumoki. Hej! *Her* posłaniec! Numer *ejn und cwancig! Komenxy!* na nowo zaczął wołać i kiwać na posłańca.

Nareszcie posłaniec zbliżył się, wziął rzeczy i poniósł. Kupiec i jego żona dźwigali za nim poduszki, parasole, pled i pikowaną, watowaną koldrę.

— *Zollamt! jetxt ist Zollamt! Koffer haben sie, mein Herr?* ¹⁾ — pyta posłaniec kupca.

¹⁾ Urząd celny — teraz urząd celny. — Masz pan kufer?

— Djabli go wiedzą, co on tam mruczy, krzyknął kupiec. Czy rozumiesz go Głafiro Siemionowna? — rzekł, zwróciwszy się do żony.

— Zapewne prosi na herbatę. Daj mu — odpowiedziała.

— Oto naród! Nawet dwudziestu kopiejek nie zawierzy i zaraz żąda pieniędzy. Bierz! Bierz! Oto trzy *grivenniki* (30 kopiejek). Nie przyjechaliśmy tutaj, aby ludzi oszukiwać. My w Petersburgu mamy zupełną wiarę. Tam w bankach moich weksli na półtora tysiąca się płacze... a wierzą!

Posłaniec nie brał pieniędzy, tylko mówił:

— *Nacher! Nacher werden Sie zahlen!*¹⁾

— Głaska! Nie bierze. Alboż to mało? — dziwił się kupiec. — Albo może on chce niemieckich pieniędzy?

— Niezawodnie żąda niemieckiej monety.

— *Dajez gield* chcesz? *Dajez*, trzeba wymienić. Gdzie tu kantor wymiany? Trzeba wymienić. Rozumiesz? Nie nie rozumie. Głaska! powiedźże mu po niemiecku, jak was uczyli. Dlaczego się wstydzisz? Jakże po niemiecku kantor wymiany? No, jakże?

— Ach mój Boże! Co ty chcesz odemnie?

— Nic nie umiesz. A przecież jeszcze i od *madame* brałaś lekeye.

— Kantor wymiany znajdziesz pan na dworcu, tam żyd panu wymieni, ktoś wyrzekł poza kupcem po rosyjsku.

Mówił to jakiś jegomość w wojskowej podróżnej czapce. Kupiec odwrócił się i rzekł:

— *Mersi* panu. Godne podziwu, jaka to straszna męka bez języka niemieckiego... Nic a nic nie rozumieją. Bądź pan tak dobry powiedzieć tej kielbasie, że otrzyma dobry *trynkgiel* na herbatę, jak tylko wymienię rosyjską monetę na niemiecką. Otóż jeszcze raz *mersi!* Daruj pan, przepraszam pana. A jak po niemiecku kantor wymiany, żebym się mógł dopytać?

¹⁾ Potem, potem pan zapłaci.

— *Wekselbude* — ale żyd, który panu będzie mieniał pieniądze, mówi po rosyjsku.

Ankor mersi, panu. *Wekselbude*, *Wekselbude* — powtórzył kupiec. Nie zapomnij Głaska, jak się nazywa kantor wymiany, bo ja w tym ścisiku mogę zapomnieć. *Wekselbude!* *Wekselbude!*

Przy drzwiach dworca stali pruscy żandarmi a urzędnicy komory odbierali paszporty i przepuszczali po kolei podróżnych.

— Aj trzeba było wziąć ze sobą Karola Adamyca do języka niemieckiego — mówił kupiec. — On, chociaż to człowiek lubiący się zapruszyć, ale zawsze dzielnie włada językiem. Jakbym go ubrał w moje stare palto, wyglądałby po pańsku. Tylko za drogo kosztowałyby mię częstunki, szczególnie trunki, bo je licho, byle co. Doprawdy trzeba go było koniecznie zabrać, gadałby po niemiecku wyższym stylem.

— To dlaczego nie zabrałeś go? — rzekła żona.

— Alboż nie mówiłaś sama, że z nim przestając, mogę zapomnieć się. Rachowałem jedynie na twoje wykształcenie, myślałem, że jeżeli uczyłaś się u *madame* na pensyi i umiesz deklamować niemieckie wiersze, to jakżebyś nie miała znać niemieckich wyrazów, a tu pokazało się zupełnie inaczej, kiedy nie wiesz nawet, jak się nazywa po niemiecku poduszka.

— Przecież ci powiedziałam, że znam wyrazy grzeczności, a przecie poduszka nie jest wyrazem grzecznościowym.

— Kłamiesz! W tej chwili właśnie chwaliłaś się, że znasz wyrazy pokojowe, salonowe.

— Fu! Jak ty mnie nudzisz. Otóż na złość sama zapłacę.

— Więc płac! Pal cię licho!

Żona spojrzała zalzawionemi oczami. Kupiec ją popychał przodem.

— *Pass!* — rzekł żandarm, zagrządzając jej drogę.

— Głaska, co on mówi? Czego żąda? — pytał kupiec żony.

— Daj mi pokój. Nic nie wiem.

— *Pass!* — powtórzył żandarm, wyciągając rękę.

— No, patrzcie moi państwo, on widocznie grywa w winta i teraz obalamucony, drze się — *pas! pas!*

— Oddaj pan swój paszport, on żąda paszportu — ktoś znowu powiedział po rosyjsku.

— Paszport? Tak przecie mógłby powiedzieć, a gada *pas* i *pas*, któż go zrozumie: Oto paszport.

Kupiec oddał paszport i przecisnął się przez drzwi. Żonę zaś jego zatrzymali, żądając od niej także paszportu.

— Głasza, cóż stoisz? Chodźże! Chodź ze mną! Głafira Siemionowna. Dlaczego tam stoisz? — krzyczał kupiec.

— Bo mię nie puszczejają. Oto patrz, jak ręce rozpościerają. Puśćcie mię! — krzyknęła rozgniewana.

— *Pass!* — zawołał żandarm podniesionym głosem.

— Przecież ja oddałem wspólny nasz paszport! Żona przy mężu! Żona w moim paszporcie. Paszport mamy wspólny. To moja żona. Posłuchaj *Her...* Tak się nie robi... To brak wychowania... to nieprzyzwoitość! *Ejn pasport! Ejn pasport na cwej!* — rzucal się kupiec.

— Ja jego żona! Ja *Frau! Frau!* A on mąż... To mój *mary...* *ma mary...* — dogadywała kupcowa.

N koniec ją przepuścili.

— Oto naród! — wykrzyknął kupiec. — Ani jednego słowa po rosyjsku. A chwala się, że Niemcy wysoko ucywilizowani, naród kulturny! Gadają powszechnie, że gdzie nie pluniesz, wszędzie albo uniwersytet, albo akademія! Gdzież to wykształcenie, pytam się: Gdzie?

— Tfu! Bodajeście podychali.

II.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna zaspani i czerwoni jak buraki siedzieli już w pruskim wagonie. Przed nimi stał Niemiec, posłaniec i czekał na zapłatę za przyniesione do wagonu worki i poduszki. Mikołaj Iwanowicz trzymał w ręku garść pruskiej srebrnej monety, przekładał z ręki do ręki

i rozmyślał, nie wiedząc, wiele dać i jaką sztukę monety za jego usługę.

— Popatrz, jaka to moneta! — mruzczał zniechęcony. — Jedne sztuki wyglądają jak nasze *poltynniki* (pół rubla) a inne jeszcze większe, podobne do naszych rubli. Potem zdawkowa moneta... Na jednych widać liczbę 10, na innych 50, a obie sztuki jednakiej wielkości.

— Daj mu sztukę podobną do *poltynnika* — powiedziała Głafira Siemionowna.

— Także ci się trzymają niesmaczne żarty. Jakbyśmy tak dawali po *poltyni*, prędko wyczerpałaby się nasza kasa.

— Więc daj mu trzy sztuki małej monety.

— W tym to właśnie sęk, że nie można ich rozróżnić. Jedne na 10, drugi na 50, zgadnij Jezu kto cię bije. Dlaczego tu dziesięć, a tam pięćdziesiąt? Bieda z zagranicznymi pieniędzmi.

Wziął tedy trzy sztuki po 10 fenigów i wręczył posłańcowi. Ten się skrzywił i podrzucił pieniądze na dłoń.

— Albo to mało? Ja daję przecież trzy *grywenniki* — zawołał Mikołaj Iwanowicz i dołożył jeszcze jedną sztukę dziesięcio-fenigową.

Posłaniec plunął, odwrócił się i odszedł nie zdejmując czapki.

— Prawdziwa niemiecka morda! Daję 40 ich kopiejek, a on i z tego nie kontent. U nas za 40 kopiejek posłańcy kłaniają się aż do ziemi — mówił Mikołaj Iwanowicz — zwracając się do żony.

— Skądże ty wiesz, czy ich kopiejki, nie są mniejszej niż nasze wartości — rzekła i dodała: — Co tam wreszcie nad tem głowę łamać. Chwała Bogu, że już siedzimy w wagonie. Tylko czy wsiedliśmy do właściwych wagonów? Żeby czasem nie zawieźli nas gdzieindziej, zamiast do Berlina.

— Pies ich wie! Każdego com spotkał, kto tylko przechodził powtarzałem Berlin, Berlin, Berlin! Wszysey uderzali palcami w ten wagon.

Mikołaj Iwanowicz, wychyliwszy się z okna wagonu, krzyknął:

— Hej! *Her Konduktor!* Czy tutaj Berlin?

— *O ja, mein Herr, Berlin.*

— Słyszysz? Około rosyjskiej granicy i to po niemiecku. Żeby choć jedna kanalia wykrztusiła choć jedno słowo po rosyjsku, jeden tylko żyd, wekslarz.

— To będziemy rozmawiali z żydami. Widocznie, wszędzie już znajdują się żydzi.

— Powiedzże mi, moja Głaszenka, więc naprawdę, oprócz tak zwanych salonowych wyrazów, nie potrafisz prowadzić żadnej innej rozmowy?

— Znam niektóre wyrazy co do jedzenia.

— Ano, chwała Bogu, przynajmniej pod tym względem będziemy pewni. Przynajmniej nie pomrzemy z głodu. Ty wyrazy jedliwe, ja nazwy wszelkich napojów i trunków. Czy też choćby w części rozumiałaś o co Niemiec pytał się przy rewizyi?

— Pytał się jedynie o herbatę, o tytoń i papierosy. *Te, tabak, papieros...*

— I ja to także rozumiałem. A o co jeszcze?

— O nie zgoła. Pytał tylko o herbatę i o papierosy, a ja milczę i drżę cała — mówiła żona w dalszym ciągu. — Myślę sobie, jak mu przyjdzie do głowy i zechce mi obmacać ubranie.

— A gdzieś schowałaś herbatę i papierosy?

— W turniurze. Dwa funty herbaty i pięćset sztuk papierosów dla ciebie.

— Dziękuję ci serdecznie. Teraz, w ostateczności, mam herbatę i papierosy. Fedor Kiryłowicz opowiadał, wróciwszy z za granicy, że ich papierosy, to jakby były robione z liśćmi kapusty, a herbata prawdziwe ziółka. Za to piwo tutaj — delicya, głowę mroczy. Ja w tej chwili prawie wychyliłem dwa kufle — rozkosz! *Buterbrody* z kielbasą muszą być także wymienione. Kraj kielbasiany!

nagrodził za ten pomysł. Jakim prawem dręczy zwierzęta? Niechże teraz kto powie, że Niemiec nie jest pomysłowym. Niktby nie wpadł na tę myśl. U nas takie pomysły istnieją tylko w cyrkach, ale tylko w cyrkach, i uprawiają go jedynie jako zabawkę dla ludzi, a tu, patrzcie się moi państwo, psy zapędzone do roboty, jak juczne zwierzęta. Prawdę mówią, że Niemiec chytry, że to on wymyślił — małpę.

— A może to jaki kuglarz, albo akrobata, włóczący się po dworach wiejskich z tresowanymi psami?

— Nie. Jeżeliby tak było, to cóż za znaczenie miałaby ta beczka i koszyk z kapustą? To wprost z biedy. Konia niema czem nakarmić, więc chytrze podsuwają psy i korzystają z nieszczęsnych stworzeń... Słomę też wożą nimi. Jeszcze brakuje tego, żeby zaprzęgali koty.

— Poczekaj. Może zobaczysz i kotów w uprzęży.

I znowu migaly ładne wioseczki, z domkami o dachach z dachówki, z malutkimi ogródkami pomiędzy dachami, ogrodzonymi żywopłotem, rodzajem szpalerów równiuteńko strzyżonych, a w tych ogrodach kobiety w kapeluszach ze słomy, przepiętych wstążkami, kopaly grzędy.

— Patrz! Patrz! w kapeluszach i robią w ogrodach; — dziwiła się Głafira Siemionowna. — Miałoby to być niemieckie wiejskie baby?

— Zapewne, że baby. Karol Adamycz rozповідаł, że u nich wiejskie baby nawet na fortepianach grają, a w lecie przyrządzają sobie lody — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Lody? Co znowu? Przecież u nas rozpowiadają, że Niemcy i Niemki z głodu przyjeżdżają do nas, do Rosyi. Więc jakżeby miały dopuszczać się takich zbytków?

— Przypuścić można, że od lodów jeszcze bardziej burzy w brzuchu niż po innej potrawie, gdy się nią kto nakarmi... Nie, to niepodobieństwo, ażeby z głodu... Jakiż tu głód, jeżeli po wsiach, a przecież jedziemy już spory kawał czasu, nie widzieliśmy ani jednej rozwalonej chaty... Nawet słomianych strzech nigdzie niema. Mówiąc po prostu, Niemiec jedzie

do nas, dlatego, ażeby miał lżejszą robotę. Tutaj on kopie grędy w ogrodzie, a u nas, jak tylko się pokaże, zaraz ofiarują mu miejsce rządcy majątku... Tutaj pospolity bandurzysta, jakiś muzyk, co po restauracjach grywa po całych nocach za kilkanaście kopiejek, u nas jest stroicielem fortepianów i zaraz mu po półtora rubla płacą za nastrojenie. Znowu wiadać Niemki w kapeluszach z grabiami w ręku. Tym razem stały one dokoła poźółkłego dębu. Jedna Niemka zgrabiała na kupę poźółkłe liście dębu, a druga zmiatała z ziemi spadłe liście, widocznie jakby jaki zapas.

— I do czegoż może służyć taki liść żółty, uwiedły? Ale patrz, jak one go starannie zbierają — dziwiła się Głafra Siemionowna.

— Niemiec chytry... Skądże ty możesz wiedzieć, może ten liść właśnie potrzebny do jakiego jadła — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Może to dla tych psów, co prowadzą wózki, przygotowują pokarm, pożywienie z liści.

— Alboż pies będzie jadł liść dębowy?

— Z głodu, bardzo być może, jeżeli przytem zmięszają z owsianą kaszą i dobrze ugotują.

— Nie, najprędzej jest to dodatek do przyrządzania kiszonych ogórków. Do takich ogórków, chcąc je zakiszyć, dodaje się koper i liść dębowy.

— Bardzo dobrze, ale nie poźółkły.

— A może u nich właśnie taki zwyczaj.

— Otóż, nie potrzebujesz głowy łamać nad domysłami, ale raczej dobrze się zastanów i zapytaj tej damy, co naprzeciwno ciebie siedzi i robi pończochę — rzekł Mikołaj Iwanowicz, dając ruchem głowy znak, jakby wskazywał pasażerkę, gorliwie zajęta robieniem wełnianej pończochy. Ale także pewnie nie wiesz jak się nazywa po niemiecku poźółkły liść?

— Przecież mówiłam ci najwyraźniej, że nas uczono tylko salonowych wyrazów.

— To dopiero pensjonat! A tymczasem za naukę zdierali po pięć rubli na miesiąc.

— Nawet po dziesięć rubli.

Dziwili się też niepomału i Niemce-pasażerke, robiącej pończochę, która jak tylko weszła do wagonu i wyjęła zaczęta pończochę, tak w ciągu dwóch godzin, ani na chwilę roboty nie przerwała.

— Alboż ona w domu niema na to czasu, żeby robić pończochę? — powiedziała żona.

— Owszem, czasu jej nie brak, ale to już niemieckie nawyknięcie, każda musi palcami ruszać. Niemka nietylko w wagonie, ale nawet kiedy leżeć będzie w grobie, nie przestanie robić pończochy.

Tymczasem pociąg pędził.

Małżonkowie najedli się bułek z serem i kawiozem. Pragnienie jednak mieli tak wielkie, że im w gardle zasychało, a nie było co napić się. W czasie minutowych przestanków na stacyach, nie wychodzili wcale z wagonu, żeby się udać do bufetu, w obawie, że pociąg ich odjedzie.

— Licho nadało tę niemiecką jazdę, z minutowymi przestankami. Zmiłujcie się! Nawet do bufetu zejść nie można — mówił z gniewem Mikołaj Iwanowicz. — Pociąg zatrzymuje się, wypuszczają pięćdziesięciu pasażerów, a pięćdziesięciu nowych przyjmują i znowu pędzi jak strzała. Niema ani dzwonek ostrzegających, ani, nie. Jeden dzwonek i marsz dalej. Mówią, że to skutek cywilizacyi. Jaka tu do djabła cywilizacya. Co ma cywilizacya do dzwonek na kolei? Jaka cywilizacya, gdy nawet w czasie przestanku nie wolno człowiekowi wypić kufła piwa?

— Zapewne tutaj, taki zaprowadzony porządek, Niemcy szczerze rozpijali się po drodze, więc zakazali, i teraz Niemcy, m przekonana, biorą ze sobą w drogę piwo. Bo to naród oszczędny, ekonomiczny — prawila Głafra Siemionowna.

— Przecież wcale nie widać, żeby pili w wagonach. To palą cygara i czytają gazety. Tyle czasu jedziemy, przedliśmy olbrzymi szmat drogi, a nigdzie nie spostrzegam kłki. *Buterbrody* jedli, ale co do piwa, nikt nic nie pije.

N. A. Lejkin. Nasi za granicą.



U nas w tym względzie daleko lepiej. U nas skoro przyjedziesz na stację, to stoisz, stoisz i końca temu niema. Możesz i napić się i najeść do syta, nawet wypić za wiele, upić się, mówiąc prawdę. Pierwszy dzwonek — nie ruszasz się wcale, lecz idziesz za kupnem wiaziemskich pierników; — lub też co innego, na przykład targujesz się o pantofle — potem drugi dzwonek, trzeci, a pociąg jak stał tak stoi. A dopiero później, później konduktor śwista na gwizdawce, na znak, żeby maszynista gotował się do odjazdu. Nie, u nas daleko lepiej.

Nowy przystanek.

Stacya taka a taka, krzyczy konduktor, dodając: *Zwei Minuten!*

— Znowu *cwej minut*, a niech ich czort weźmie. Kiedyż nareszcie wypuszczą duszę na pokutę i dadzą tyle czasu, żeby można odświeżyć piwem gardło — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— Daj konduktorowi napiwek i poproś go, żeby nam przyniósł piwo do wagonu — poradziła małżonka. — Za szkło zapłacimy.

— Poproś... Latwo powiedzieć, poproś... Jakże będziesz prosiła nie znając języka. Ja głównie spodziewałem się i rachowałem na ciebie, jak na uczoną kobietę, a ty tymczasem niemieckiego języka ani w ząb.

— Salony wyrazy znam doskonale, a to przecie wyrazy napojowe, trunkowe. To właśnie do ciebie należy, to twój wydział. Sam przechwalałeś się ze znasz doskonale wyrażenia trunkowe, więc poproś konduktora, żeby nam przyniósł piwo.

— Ha! zobaczymy.

Mikołaj Iwanowicz wydobywszy z kieszeni srebrną monetę, pokazał ją konduktorowi i krzyknął:

— Hej. *Her! Her Konduktor! Komenzy*. Oto niemiecka marka. *Dajez poltina. Bir trunken* można? *Bringenzy bir*. Boję się wysiąść z wagonu, żeby nie odjechał. *Dwa bir Cwej bir!* Dla mnie i dla *madam?* *Cwej bir*, a resztę *u menzy* na herbatę.

Wszystko to było ilustrowane odpowiednim ruchem mimiką. Konduktor zrozumiał i zjawilo się piwo. Kelner rzyniósł go z bufetu. Mąż i żona, wypili z wielkim smakiem po kufiu.

Pociąg ruszył.

IV.

Wypity kufel piwa jeszcze bardziej podrażnił, wywołał jeszcze większe pragnienie.

— Boże! Żeby można napić się gdzie herbaty — rzekła Głafira Siemionowna do męża. — Czy ten pociąg będzie tak szybko pędził bez większego przestanku aż do Berlina? Gdzie my zjemy śniadanie lub obiad. Żeby tak przynajmniej chlipnąć trochę zupy i przekąsić bewsztykiem. Przecież niepodobna całą drogę karmić się serem i kawiozem. Nawet chleba mam bardzo mało. Pozostały się tylko trzy niewielkie bochenki. Co to życie, nie pijąc, nie jedząc!

— Aha, teraz to narzekasz! — zaczął zgryźliwie mąż. — Alczego koniecznie domagałaś się, żeby jechać za granicę. Nie działybyś lepiej na Litowce.

— Ja prosiłam cię o to, żeby zobaczyć wieżę Eifla, prosiłam o wycieczkę na francuską wystawę.

— Ba i tam niema słodszeżo życia. Poczekaj, może właśnie na Eiflowskiej wieży, będziesz jeszcze więcej narzekać.

— Mikołaj Iwanowicz, poprośże konduktora jeszcze o piwo.

— Poczekaj, aż dojedziemy do stacyi.

Ale na stacyach, jakby na złość, pociąg zatrzymywał się tylko minutę...

— *Bir! Bir! Zwej Bir*, konduktor. *Her konduktor...* Oto *dajez poltina*. Bierz za wszystko... Możesz pan i sam *trinken*. *Trinkenzy!* — krzyczał Mikołaj Iwanowicz, wyciągając do konduktora rękę z marką, ale konduktor wzruszał tylko ramionami, rozstawał ręce i mówił:

— *Nur eine Minute, mein Herr!*

Nadkonduktor gwiznął, lokomotywa odpowiedziała także świstawką i pociąg pędził znowu.

— Pomknęła cywilizacya! — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Ach żebyście wszyscy poprzepadali. Nie, nie, porządek u nas stokroć lepszy.

— Nie wolno i koniec.

— Otóż to właśnie, że nie wolno. Przyrzekam konduktorowi na herbatę *pollinu*, a nawet pieniędzy nie bierze.

Pociąg pędził z niewypowiedzianą szybkością. Przed oknami wagonu migaly domki, pola, zasiane oziminą, wyrównane, skoszone łąki, kominy fabryk, albo sady i ogrody. Wszędzie ziemia doskonale uprawna i budynki porządne.

— Gdzie są pustki, nieużytki? Gdzie błota? — dziwił się Mikołaj Iwanowicz.

Pociąg, jak wielki smok zięjący dymem, ogniem i iskrami, rozpędzał stada ptactwa z pól. Ptactwo zrywało się i pędziło dalej... w tył. Głafira Siemionowna pierwsza to spostrzegła i pokazała mężowi.

— I ptaki tu nadzwyczaj osobliwe. Patrz uciekają ale tyłem. Nie lecą naprzód, ale w tył.

Mikołaj Iwanowicz spojrział i sam niezmiernie zdziwił się, ale wnet się opamiętał.

-- Nie kłopotz mi próżno głowy. Alboż ja tego nie rozumiem. No, patrz, pociąg ich wyprzedza i w tem cała tajemnica.

— Ale nie, nie. Patrz tylko, pędzą ogonami do tyłu... Lecą tyłem, tyłem! To już takie niemieckie ptaki. Ja pamiętam, że nas uczyli na pensyi o takich ptakach — twierdziła z uporem żona.

Do wagonu wszedł konduktor dla zrewidowania biletów.

— *Bir trinken...* Gdzie można *Bir trinken* i zjeść cokolwiek? — pytał go Mikołaj Iwanowicz.

— *Essen, Essen* — wyjaśniła Głafira Siemionowna i zaczerwieniła się ze wstydu, że przemówiła po niemiecku.

Bir trinken, Te trinken, Kafe trinken i essen — mówiła w dalszym ciągu.

Konduktor zrozumiał, czego od niego żądają, odpowiedziawszy:

— *Königsberg... Königsberg werden Sie zwölf Minuten stehen*¹⁾...

— Zrozumieliśmy. Zrozumieliśmy. *Zergut*. W Königsbergu 12 minut. Otóż to ja rozumiem. To jak należy powiedziane. To po ludzku! — mówił uradowany Mikołaj Iwanowicz.

— A kiedy? O której godzinie? *Wie fil ur?* — spytała Głafira Siemionowna i jeszcze bardziej zaczerwieniła się.

— *Um sieben* — odpowiedział konduktor.

— *Mersi, danke*. No, chwała Bogu. O godzinie siódmej. To znaczy za dwie godziny. Dwie godziny miną szczęśliwie, przepędzimy je jakoś.

Maż spojrział na żonę i wyrzekł z dobrocią:

— No, widzisz. Mówisz po niemiecku, umiesz, a nie chcesz rozmawiać.

— Salonowe i zwykle wyrazy ja doskonale znam, ale mi wstyd mówić.

— Wstyd, to nie dym, w oczy nie gryzie. Mów śmiało i basta.

Zmierzało się.

Małżonkowie z niecierpliwością wyglądali Königsbergu. Przy każdym przystanku zrywali się z siedzenia, pytając:

— Königsberg? Königsberg?

— *Nein. Nein. Königsberg wird noch weiter*²⁾.

— Do licha! Jeszcze więc nie Königsberg. A pić i jeść tak się chce, głodnym jak pies — rzucał się z gniewem Mikołaj Iwanowicz.

Pociąg zaczął iść coraz wolniej. Ukazał się olbrzymi dworzec, jasno oświetlony.

¹⁾ W Königsberg pociąg stoi dwanaście minut.

²⁾ Nie. Nie. Königsberg jeszcze dalej.

— Königsberg! — zawołał konduktor.

— Chwała tobie Boże. Nareszcie!

Pasażerzy wysypali się z wagonów, jak orzechy z worka. Wskoczył też Mikołaj Iwanowicz z Głafirą Siemionowną. Na stacyi stały trzy pociągi. Cisnęły się i rozpychały tłumy ludzi. Jedni wsiadali do wagonów, drudzy wysiadali. Szum, hałas, krzyki, gwizdania, dzwonienie, stukanie młotkami po kołach.

— Prawdziwe piekło! — mimowoli wyrwało się z ust Mikołajowi Iwanowiczowi. — Tu można oszaleć i zbląkać się. Czekaj-no Głazza, nam dobrze trzeba zauważać, z którego pociągu wysiadamy, ażeby nie zmylić się i nie wsiąść do obcego. Czy widzisz? Nasz pociąg stoi w środku, a na bocznych szynach inne pociągi. Teraz chodźmy co żywo do bufetu.

— Nie, gołąbku, ja pójdę naprzód do garderoby. Muszę koniecznie zrobić porządek koło siebie. Tyle czasu wcale nie wysiadaliśmy z wogonu, a w tutejszych wagonach, sam wiesz, niema garderoby — odpowiedziała żona. — Bez garderoby mnie nawet jedzenie nie smakowałoby.

— Co ci tam po garderobie, kiedy trzeba się nam spieszyć, jeść i pić jak najprędzej. Pociąg stoi tylko 12 minut! Może właśnie ich minuty, krótsze od naszych. Kto wie nawet czy trwają połowę tego czasu co nasze. Chodźmy jak najprędzej.

— Nie, nie mogę, nie mogę. Zapewniam cię, że nie mogę... Nawet będę cię prosiła, abyś mię tam zaprowadził i zczekał na mnie, bo w przeciwnym razie pogubimy się.

— Ej, to babskie plemię! — stękał Mikołaj Iwanowicz i poszedł z żoną, dla odszukania kobiecej garderoby.

Znaleźli ją. Żona szybko w niej ukryła się. Mąż pozostał przy drzwiach. Minęło pięć minut, nareszcie żona pokazała się we drzwiach. Trzyma ją za palto jakaś kobieta w białym czepcu i coś tam marmocze po niemiecku.

— Mikołaj Iwanowicz, dajże, na miłość Boską, kilka sztuk niemieckiej monety, albo porachuj się z tą niecznośną babą. Tutaj, jak uważam, niema nic za darmo. Wszystko za pieniądze. Daję jej rosyjski *dwugriwennik*, nie chce brać.

— Garderoba na stacyi za pieniądze, a to osobliwe! Otóż to macie porządki niemieckie — krzyczy Mikołaj Iwanowicz, ale mimo to wciska w rękę kobiety pieniądze. — Prędzej Głazza, prędzej, bo inaczej nawet nie przekąsić nie będziemy mogli.

Biegna i potracąca idących posłańców. Otóż i bufet nareszcie. Rozstawione stoliki. Na stolikach, na talerzach zupa.

— *Tabldot*, po trzy marki od osoby — czyta Głafirą Siemionowna, chociaż to był napis niemiecki.

— Cały obiad dostanie tutaj za trzy marki. Siadaj — mówi do męża Głafirą Siemionowna.

Ten co żywo rozsuwa stolik jeden od drugiego i chce usiąść, ale lokaj odpycha go od stołu i coś mruczy po niemiecku. Mikołaj Iwanowicz wytrzeszcza na niego oczy.

— *Wi? Was?* My chcemy jeść... *Essen... Mittagessen...* — mówi Głafirą Siemionowna.

Lokaj wypowiada wyraz »telegram«. Podchodzi dwóch mężczyzn, wymieniają swoje nazwiska i siadają za stołem, do którego właśnie chciał usiąść Mikołaj Iwanowicz.

— Cóż to znowu takiego? — narzeka Mikołaj Iwanowicz. — Czekaliśmy, czekaliśmy na jedzenie, przyjechaliśmy na stację i jeść nie dają, nawet nie pozwalają usiąść. Jednym wolno siedzieć przy stoliku a drugi odpychają. I przecież także darmo nie jadę i płacę za kolej.

Lokaj na nowo coś mruczy o telegramie. Przy stoliku nareszcie znajduje się jakiś Rosyanin. Widząc, że dwoje jego rodaków nie mogą zrozumieć, co od nich żąda lokaj, stara się im to wyjaśnić.

— Tutaj *tabldot* na zamówienie, na obstalunek. Trzeba było pierwej zamówić sobie obiad telegraficznie — mówi Rosyanin. — Czy pan przysłałeś zamówienie telegramem, podczas jazdy?

— Jak to telegramem? Obiad telegramem? Otóż masz porządki. Głazza, czy słyszysz? — mówi Mikołaj Iwanowicz do żony. — Bardzo jestem panu obowiązany, za objaśnienie —

mówi po rosyjsku. — Ale my chcemy jeść i pić. Czy tutaj bez telegramu nie można nic zjeść ani wypić?

— Możesz pan kazać sobie dać zjeść z karty. Z karty dostanie pan wszystko, czego tylko zechce.

— Hej! Służący! Człowieku! *Essen*. Cośkolwiek *essen*, ale prędko i *bir trinken* — woła głosem bolejącym Mikołaj Iwanowicz. — *Zweij* poręce.

Zjawia się lokaj, prowadzi go i żonę do drugiego stołika, stawia im krzesła i podaje jadłospis.

— Co ja tam mam rozpatrywać się w karcie mój bracie. Dawaj dwa kotlety i dwa bewsztyki.

— *Zwei Koteleten? O ja?* — odpowiedział lokaj i pobiegł po wskazane mu potrawy, ale w tej chwili wchodzi portyer kolei żelaznej i wypowiada głośno coś po niemiecku, między temi zaś wyrazami słyhać wyraźnie *Berlin!*

Pasażerowie zrywają się z krzesel i zaczynają co żywo płacić rachunki.

— Co to na Boga? Czy już pociąg odjeżdża? Więc nie jedząc i nie pijąc trzeba znów jechać? Berlin? — pyta portyera.

— Berlin — odpowiada tenże.

— Głasza. Chodźmy! Chodźmy, bo się spóźnimy.

Maż i żona zrywają się, gdy w tej chwili zjawia się lokaj z dwoma kotletami.

— Niema czasu! Niema czasu! — krzyczy Mikołaj Iwanowicz. Dawaj prędko te dwa kotlety. Zabierzemy je z sobą. Kładź je do chustki od nosa. O tak. Głasza! Zabieraj chleb ze stołu. Zjemy w wagonie! Człowieku! *Mensz!* Bierz pieniądze. Oto dwie *polliny*. Mało? To jeszcze trzecia! Głasza. Prędko, prędko, bo się spóźnimy. No, to djabelski porządek!

Maż i żona wybiegają z bufetu.

— Mikołaj Iwanowicz! Mikołaj Iwanowicz! Mnie spodnica opada — woła żona.

— A co mi tam, tu niema mowy o spodnicach. Prędzej! Prędzej!

Nareszcie dopadli do wagonu i wsiedli.

V.

— Głasza! gdzież nasze pakunki, gdzie nasze worki podróżne? — krzyczy Mikołaj Iwanowicz, znalazłszy się nareszcie w *Coupe*.

— Boże łaskawy! Pewnie ukradli! Skradli — zawołała Głafira Siemionowna, zalamując ręce. — Albo ukradli, albo wsiedliśmy nie do swego wagonu. Najniezawodniej tak się stało. Tamten był obity szarą materią, a ten ma obicie czerwone. Wsiadaj! Wsiadaj!

Mikołaj Iwanowicz rzucił się ku drzwiom, ale *coupe* było zamknięte zewnątrz, otworzył tedy szybko okno i zaczął krzyżeć:

— Hej! *Her! Her! Her* konduktor. Otwórz pan... My wsiedliśmy nie do swojego wagonu.

Ale pociąg już pędził i coraz wzmagala się szybkość, nikt też zgola na jego krzyk nie zwrócił uwagi.

— Cóż teraz będzie? Jakże się obędziemy bez poduszek i bez sakwojażów? W sakwojażu są bulki, ser i kawior. Ani odpocząć, ani jeść nie będziemy mogli. Te dwa kotlety, co zabraliśmy z bufetu za mało dla nas dwojga. Ale jakie to wreszcie kotlety. To wcale niepodobne do kotletów. Można ich dwa pomieścić na dłoni — narzekała Głafira Siemionowna.

— Nie krzyż, nie krzyż... Na następującej stacyi przesiądziemy się do swojego wagonu — zaczął ją pocieszać Mikołaj Iwanowicz. — Odnajdziemy wszystko i przesiądziemy się.

— Jakim sposobem można się będzie przesiąść? Jakim sposobem odzyskać dawny nasz wagon, jeżeli pociąg nie zatrzymuje się dłużej na stacyi jak dwie minuty. Wsiądziesz i wnet pociąg rusza. Tem więcej, że teraz już nie dzień, tylko wieczór. Gdzie go szukać?

Jakiś Niemiec w wojłokowej czapce, siedzący z nimi razem w tem samym *coupe*, widząc ich zaniepokojenie, zapytał po niemiecku, ale oni go wcale nie zrozumieli, wytrzeszczając oczy. Niemiec powtórzył pytanie i dodał wyraz »Hamburg«.

— Czekaj... My widać nie wsiedliśmy do dawnego pociągu, ale do zupełnie innego. Niemiec coś tam gada o Hamburgu — rzekła przerażona Głafira Siemionowna — zwracając się do męża.

— Co znowu? Co ci się zdaje? Zapytaj go wreszcie, dokąd my jedziemy. Bo przecież choć na takie pytanie zdobyć się potrafisz. Jakkolwiek bądź, z pensyi musiałś przecie coś wynieść, jakąś naukę, jakieś choćby oswojenie się z niemieckim językiem.

Przerażenie pobudziło energię Głafiry Siemionowny. Pomyślała chwilę, złożyła jakkolwiek w myśli cały frazes i zapytała nieznanego Niemca:

— *In Berlin wir faren? Berlin ten wagon?*

— *Nein Madame, wir fahren nach Hamburg*¹⁾.

— Jak to? do Hamburga? A Berlin?

Niemiec dał znak zaprzeczający głową i znowu coś zamruczał po niemiecku.

— Więc stanowczo wsiedliśmy do innego pociągu — zawołała Głafira Siemionowna, gotowa rozplakać się jak dziecko.

Mikołaj Iwanowicz podrapał się w głowę ze złością.

— Tak to bywa. Nieszczęście, kto nie posiada obcego języka! — wypowiedział te wyrazy z wyraźnem przerażeniem.

— Do Hamburga jedziemy! Do Hamburga! POCO, w jakim celu? — zawołała Głafira Siemionowna.

— Więc zapytaj Niemca, niech ci odpowie stanowczo, czy tak jest, lub nie. Może być, że to pociąg hamburgski a po drodze do Hamburga jest Berlin.

— Jak go zapytać, ja sama nie wiem. Pytaj go sam.

— Czegoż więc uczyłaś się na pensyi?

— A ty czego uczyłeś się u swoich kolonistów i Czuhoićów?

— Ja uczyłem się w sklepie, sprzedając płótno żaglowe, żelazo i powrozy. Za mnie, za moją naukę, nikt *madamom*

¹⁾ Nie pani, my jedziemy do Hamburga.

nie napychał nadaremnie pieniędzmi kieszeni. Rachunki znam doskonale po niemiecku, także i wyrazy dotyczące trunków.

— Ty znasz takie wyrazy, a ja tylko salonowe. Co do wyrazów kolejowych nie uczyli nas wcale.

Małżonkowie już zaczęli się sprzeczać, wymachując na wszystkie strony rękami, lecz nakoniec Mikołaj Iwanowicz plunął ze złością, odepchnął od siebie żonę, przysiadł się do Niemca i pokazał mu bilety na jazdę koleją żelazną.

— *Nein. Das ist nicht das. Die Fahrkarten sind nach Berlin, aber wir fahren nach Hamburg*¹⁾.

— Ale Berlin będzie po drodze, czy nie będzie? Oto właśnie pana pytam — zawołał podrażniony Mikołaj Iwanowicz. — Może teraz pojedziemy naprzód do Berlina a potem dopiero do Hamburga, czy też pierwszej do Hamburga a *nachher* do Berlina. *Nicht ferszteen?*

— *O ja, ich verstehe... Berlin ist dort und Hamburg ist dort. Von Dirschau sind zwei Zweigen*²⁾.

Niemiec ukazał ruchem, dwie przeciwne strony.

— Padam do nóg! To nawet nie w tę samą stronę jedziemy! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, odskakując od Niemca i zrozumiałwszy, że po drodze nie będzie Berlina, napadł na żonę: A to wszystko te owe jakieś twoje poprawki i porządki w garderobie. Wszystko przez ciebie skotłowało się, przewróciło do góry nogami. Ja muszę zrobić około siebie porządek! Mnie koniecznie wypada udać się do garderoby! I daliśmy sobie ducha. Teraz rób co chcesz. Jedziemy do Hamburga zamiast do Berlina. Po jakiego ezorta włóczyć się będziemy po Hamburgu, kiedy właśnie wypada nam droga na Berlin do Paryża. Niemiec pokazuje, że Hamburg tam, a Berlin w przeciwnej zupełnie stronie.

¹⁾ Nie, to nie to. Karty jazdy są do Berlina a my jedziemy do Hamburga.

²⁾ O tak, ja rozumiem. Berlin jest tam, a Hamburg tam. Z Dirschau rozchodzą się dwa trakty.

— Co też ty wygadujesz? — rzekła Głafira Siemionowna. — Sześć czy siedm godzin siedziałam, nie ruszając się na ławce w wagonie, więc musiałam koniecznie, miałam potrzebę bezwarunkową udać się do damskiej garderoby — tłumaczyła się żona.

— Jeżeli nie możesz tak długo wytrzymać, to niech ci się nie zachciewa podróży za granicę. Niemki jednak mogą wytrzymać. Dlaczego one wytrzymają? Czy to ich natura inna niż twoja?

— Najniezawodniej inna. One przywykły do tutejszych porządków, a ja nie jestem wcale przyzwyczajona.

— Wyjechałaś za granicę, więc powinnaś nareszcie nawyknać. Nam gwałtem należało pójść do bufetu, żeby co zjeść a ona znowu pcha się do damskiej garderoby. Przez ciebie straciliśmy na darmo i czas i pieniądze. Czy to może człowiek nasycić się, zjadłszy po takim miniaturowym kotlecie, gdy od rana nie miał nic w ustach. Być może, że do samego Hamburga nie będzie co włożyć w gębę, prócz tego nędznego kotleciny. A gdzie to tam jeszcze ten Hamburg? Czort go wie, gdzie on znajduje się. Może gdzieś, na krańcu świata.

Głafira Siemionowna siedziała milcząca, trzymając w rękę kotlety, zawinięte w chustecce od nosa i płakała.

— Pocóż mamy jechać do Hamburga — rzekła, zalewając się łzami — wysiadziemy na pierwszej stacyi.

— A djabeł was wie, czy do Hamburga będzie jeszcze jaka stacya, i czy nas wypuszczą z wagonu. Wszak sama dobrze widzisz, jaki tu panuje porządek. Może pojedziemy wprost do Hamburga i nie wolno będzie wysiąść. Zapłaciłeś pieniądze naprzód, to jedź. Albo ja wiem!

— Poprosimy, żeby nas wypuścili. Powiemy, że przez nieostrożność i nieuwagę wsiedliśmy nie do swojego wagonu.

— Poprosimy, powiemy... A ktoż będzie mówił, jeżeli ty mało co umiesz po niemiecku a ja ani w ząb? Wreszcie kogo tu prosić, konduktora ani oko, nigdzie nie widać. U nas na kolejach żelaznych, konduktorzy wciąż się włóczą po wa-

gonach, prawie co dziesięć minut sprawdzają bilety, wycinają maszynkami, budzą cię, jeżeli spisz, oniemal za nogi ciągną z ławki, to pod takim, to pod innym jakim pozorem, tu zaś przeszło już pół godziny jedziemy do Hamburga i żadna konduktorska bestya nie pokazała się wcale. Do Hamburga! Na jakiego djabła potrzebny nam ten Hamburg — wrzeszczał rozgoryczony Mikołaj Iwanowicz, ale zobaczywszy szlochającą już żonę, zniżył głos, dodając: Nie rycz!... Obeźrzyj oczy chustką i nie płacz.

— Jakże ja mogę otrzeć oczy chustką, kiedy w chusteczce owinięte są kotlety. Cała chustka przesiąknięta sosem. Przecież sam w Königsbergu na stacyi w moją chustkę obwinałeś oba kotlety, zabrawszy je z dwóch talerzy — odpowiedziała żona.

— Wyjmij z sakwojaża czystą chustkę. Nie dobrze, jak oczy są zalane łzami. Oto Niemiec już się tobie przypatruje.

— Przecież sakwojaże pozostały w tamtym wagonie.

— Tfu! Zupełnie mi się pomieszało w głowie. Skaranie Boskie czy co? Więc weź moją chustkę i otrzyj oczy.

— Lepiej będzie rogiem mojej chustki otrzeć, bo róg jest czysty.

Głafira Siemionowna podniosła do oczów chustkę wraz z kotletami i rogiem chustki otarła oczy. Mikołaj Iwanowicz zobaczywszy kotlety, rzekł:

— Daj je, zjemy po kotlecie. Śmiertelnie chce mi się jeść.

— Zjemy — wyszeptala Głafira Siemionowna, rozwijając chustkę. — Mamy i ziemniaki utarte. Tylko brak chleba. Chleba zapomniałem zabrać.

Małżonkowie zabrali się do jedzenia. Wszedł konduktor dla skontrolowania biletów, lecz zobaczywszy, że nasi podróżni nie posiadają należytych kart jazdy, zaczął mówić coś po niemiecku a potem nieco podniesionym głosem powtórzył:

— *Weg! Weg! Sie müssen bald umsteigen und die Strafe zahlen!* ¹⁾

¹⁾ Precz! Precz! Musicie państwo wnet wysiąść i zapłacić karę.

— Mówi o *sxtrofie*, o karze. *Sxtrof* trzeba zapłacić — rzekł po cichu do żony Mikołaj Iwanowicz, a obracając się do konduktora, zapytał:

— *Da geen* zawsze można. Z wagonu można *geen*? Czy nas wypuszczą na stacyi?

— *Kan man* na stacyi *weggehen*? — powtarzała Głafira Siemionowna.

— *O ja, ja... Bald wird die Station und Sie müssen fort*¹⁾.

— Co on mówi? — rzekł zaciekawiony bardzo Mikołaj Iwanowicz.

— Mówi, że zaraz będzie stacya i że nas wysadzą.

— Chwała Bogu!

Pociąg zaczął coraz zwolniać bieg i nareszcie stanął. Małżonkowie nie wysiedli ale raczej wyskoczyli z wagonu, jakby uciekali z więzienia. Konduktor przedstawił ich naczelnikowi stacyi, zagwizdał, skoczył na deskę wagonu i pociąg pomknął dalej.

VI.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna stali przed naczelnikiem a podawszy swoje bilety, wyczekiwali nad sobą sądu.

— Oto, *Her* naczelnik stacyi, jechaliśmy do Berlina i zablądziliśmy djabel wie jakim sposobem — mówił Mikołaj Iwanowicz, starając się być jak najgrzeczniejszym a nawet uchylił nieco czapki — do obcego wagonu.

Naczelnik stacyi, wysoki, chudy, suchy jak tyka Niemiec, w czerwonej furazerce i z cygarem w ustach, oddał mu ukłon po wojskowemu i nie wyjmując z ust cygara, bardzo głęboko zamyślił się i zaczął rozpatrywać w książce mu podanej, bilety wydane na podróż do Paryża, wprost, bez zatrzymania się.

¹⁾ Tak, tak, Wkrótce będzie stacya i musicie państwo wysiąść.

— *Bite, zagenzy, was machen? was machen?* — wyrzekła Głafira Siemionowna.

— Aha, nareszcie przemówiłaś po niemiecku. Zmusiła potrzeba do zjedzenia kołacza — rzekł Mikołaj Iwanowicz, z jakimś ukrytym a zjadliwym uśmiechem.

— Przemówiłam po niemiecku, ponieważ tu są potrzebne jedynie salonowe wyrazy. Salonowe wyrazy ja uniem wybornie. *Was machen? Was machen?* — powtarzała nieustannie.

Nareszcie naczelnik zrozumiał pytanie, podniósł w górę głowę z wielką powagą i przemówił po niemiecku. Mówił bardzo przekonująco, z należytymi przestankami, pouczająco, często wymieniając nazwy, Königsberga, Berlina, Dirschau, nadto wyraz *Schnellzug*, objaśniając dla lepszego zrozumienia odpowiednim ruchem rąk i głowy. Głafira Siemionowna, marszcząc się i krztusząc z powodu dymu z cygara, którym buchał jej prosto w twarz wszechpotężny przedstawiciel władzy kolejowej, słuchała z bacznością, starając się nie opuścić ani jednego wyrazu.

— Czyś rozumiała? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Ma się rozumieć, że wiem co on mówi. Wszystkie wyrazy bardzo zwyczajne, pospolite. Kara, kupić bilety i jechać z powrotem do tego przekłętogo Königsberga.

— A kiedyż pociąg odchodzi do Königsberga? Spytaj go po niemiecku. Wszak potrafisz?

— *Wi fil Ur* pociąg *in Königsberg*?

— *Nach zwei Stunden, Madame.*

— Co on mówi?

— Nie rozumiem. *Wi fil Ur? Ur? Ur?* — powtórzyła trzy razy pokazując zegarek.

— *Um zehn Uhr, nach zwei Stunden.*

Naczelnik stacyi wydobył swój zegarek i pokazał palcem na godzinę dziesiątą.

— Można jechać za dwie godziny? Doskonale. Bierz *Musiu* karę i wydaj nareszcie dusze nasze na pokutę — wykrzyknął weselo Mikołaj Iwanowicz; włożył rękę do kieszeni,

wydobył stamtąd kilka sztuk złotej monety i srebrnych marek i położywszy je na dłoni, wyciągnął rękę do naczelnika. Bierz... Bierz... Wyrachuj sobie sam, co się należy i daj nam bilety do Königsberga. Wiele należy się niemieckich *pollin*, tyle weź.

— *Nemenzy, nemenzy straf und fiur bilet, fiur zwej bilet* — potwierdziła żona. — *Wir wissen nicht wasz Geld. Nemenzy...*

Naczelnik stacyi ułożywszy twarz do uśmiechu i wylczywszy kilka marek, dodał:

— *Hier ist Wartezimmer mit Speisesaal, wo sie können essen und trinken¹⁾.*

— *Trinkien*, jeszcze z większą radością wypowiedział Mikołaj Iwanowicz i wziął naczelnika stacyi pod rękę. *Mosie! Pójdziemy razem trinkien. Bir trinkien, Schnaps trinkien. Komenzy trinkien! Bir trinkien.* Chociaż pan Niemiec, to jednakże wypijemy razem. Wypijemy z radości. Ja już dawno czekałem na *trinkien* i nie mogłem się doczekać. Chodźmy! Chodźmy! Niema się co opierać. *Komenzy* — wołał kupiec, ciągnąc naczelnika do bufetu.

Po upływie pięciu minut, naczelnik stacyi i oboje małżonkowie siedzieli przy stole.

— *Sznaps! Bir!* Prędko — komenderował Mikołaj Iwanowicz.

— *Bisxteks! Kotlety!* — wołała Głafira Siemionowna. — *Te, Kufe... Buterbrody...* tylko jak największe! *Fil Buterbrod.*

Na stole szykowano rozmaite potrawy i trunki. Zjawił się *Kimel*, piwo, pojawiły się *buterbrody* z serem i wędliną, kawa ze śmietanką. Naczelnik siedział wyprostowany, jakby kij polknał, niezmiennie poważnego, prawie surowego wyrazu na twarzy i wypiwszy kielich *Kimlu*, popijał piwo.

¹⁾ Tu jest poczekalnia z salą jadalną, gdzie możecie państwo jeść i pić.

— Wódka u was *Her*, za słodka, *kimel* szczególnie — mówił Mikołaj Iwanowicz, trącając się kieliszkiem z naczelnikiem stacyi. — Takiej wódki wypić czarzę, to aż nadto dosyć, więcej niepodobna, bo zacznie nudzić. Czy u was niema prawdziwej rosyjskiej gorzalki. *Rusisch* wódka. *Nein? Nein? rusisch* wódka?

Niemiec mruknął coś po niemiecku i znowu popił piwem.

— Czort go wie, co on tam mruczy. Głasza, czyś co zrozumiała?

— Ani odrobiny. To są wyrazy niezwykle, nadzwyczajne. Takich wyrazów weale nas nie uczono.

— Pluń na to! Będziemy pili i rozmawiali, nie rozumiejąc jeden drugiego. Zawsze to jednak towarzystwo, zawsze to jakiś żywy człowiek, z którym można się trącić. Pij, panie Niemiec! Co tak siedzisz nad kuflem? Pij! *Trinkenzy*. My jeszcze wypijemy. Pij! Pij!

Niemiec za jednym haustem wychylił cały kufel.

— *Ankor! Człowieku! Ankor... Mensz!* Jeszcze *cwej. Bir* — krzyczał Mikołaj Iwanowicz.

Niemiec uśmiechnął się i wypił jednym tehem.

— *Lubię cię, lubię za to!* — zawołał Mikołaj Iwanowicz i zaczął ścisnąć Niemca. Jeszcze *Bir trinkien. Cwej Bir trinkien.*

Niemiec nie odmawiał, ścisnął za rękę Mikołaja Iwanowicza i poczęstował go cygarem, dobywszy z papierośnicy. Mikołaj Iwanowicz wziął, mówiąc, że potem będzie palił a pierwszej trzeba *essen* i *trinkien*, i rzeczywiście zabrał się do jedzenia. Niemiec patrzył na niego i mówił coś bardzo poważnie i bardzo długo.

— *Poczekaj, ja zapytam się go, jak to będzie z naszemi poduszkami i naszemi sakwożażami, które pozostały w poprzednim pociągu. Przecież nie mogą przepaść* — rzekła Głafira Siemionowna.

— *A możesz?*

— *Spróbuję. Wyrazy tutaj nie są wyszukane.*

— Spróbój, spróbój!

— *Zagenxy bite, wo ist* nasze sakwojaże i poduszki? My sakwojaże i poduszki *ferloren*. To jest nie *ferloren*, *nicht ferloren*, a nasze bagaże, nasz sakwojaż pozostał w wagonie dawnego pociągu. Bagaż w *cug* pozostał — rzekła do Niemca. *Nicht ferszteen?*

Dziwna rzecz Niemiec zrozumiał.

— *O ja, ich verstehe, Madame*. Pani mówisz o bagażach, które pojechały z Königsberga do Berlina. Bagaż wasz otrzymacie państwo w Berlinie — rzekł po niemiecku. Tylko trzeba telegrafować. *Nein, nein, das wird nicht verloren werden* ¹⁾.

Zrozumiała Niemca i Głafira Siemionowna, usłyszawszy wyrazy: *wird nicht verloren werden, telegrafiren*.

— Bagaże nasze nie przepadną, jeżeli będziemy natychmiast telegrafowali — powiedziała do męża. — Wydadzą nam je w Berlinie.

— To niech on zatelegrafuje a my wypijemy z nim za to butelkę madery. *Her. Telegrafirenxy. Bite telegrafirenxy. Oto geld i telegrafirenxy* a ja powiem *dankie* i napijemy się, będziemy *trinkien* madera.

— *O ja, mit Vergnügen* — rzekł Niemiec, wziął pieńdzę i wstawszy z krzesła udał się do telegrafu.

Po upływie pięciu minut powrócił i przyniósł kwit.

— *Hier, jetzt seien Sie nicht bange* — rzekł i poklepał Mikołaja Iwanowicza po plecach.

— Oto za to *dankie*, tak *dankie*. Człowieku! *Mensx. Eine Flasze Madera* — krzyknął i zwróciwszy się zadowolony do Niemca, rzekł:

— *Trinkien Madera?*

— *O ja... Kellner, bringen Sie:*

— Kelner! Kelner! A ja zapomniałem jak po niemiecku posługacz nazywa się. Kelner! Madera!

¹⁾ Nie, nie, nie zginie.

Przyniesiono maderę i zaczęła się pijatyka. Twarze: naczelnika stacyi i Mikołaja Iwanowicza pokraśniały. Obaj już byli dobrze cięci, obaj gadali głośno, jeden po niemiecku, drugi po rosyjsku, i oba nierozumieli się wzajemnie.

Przed nadejściem pociągu, idącego do Königsberga, wyszli na peron i przyjacielsko poklepalili się po plecach. Mikołaj Iwanowicz rwał się do uścisków i całusów, ale naczelnik stacyi cofał się w tył. Kiedy pociąg zatrzymał się, naczelnik stacyi pożegnał się z Mikołajem Iwanowiczem i tym razem dali sobie obaj buzi z dubeltówki, naczelnik usadowił małżonków w wagonie, wołając:

— *Glückliche Reise!*

Pociąg ruszył.

VII.

Pociąg pędził do Königsberga, dokąd naczelnik stacyi, niewiadomo z jakiego powodu wysłał z powrotem małżonków, bo i na tej stacyi także, na której pili wino, piwo i maderę, mogli byli doczekać się pociągu berlińskiego, który nie ominąłby stacyi. Wyraźnie zachodziło tu jakieś nieporozumienie, i tak naczelnik, jak i oboje małżonkowie nie pojęli się weale. Także i na stacyi niepotrzeba im było wysiadać z tego pociągu, do którego wsiedli przez pomyłkę, lecz jechać dalej, bo w każdym razie trafiliby na przychodzący pociąg do Berlina, gdyż kolej żelazna nieco dalej dzieliła się na dwie gałęzie. Lecz ostatecznie wszystko to powstało z tej przyczyny, że, jak dobrze wyrażał się Mikołaj Iwanowicz, oboje małżonkowie byli bez języka; sami nikogo nie rozumieli i nikt ich też zgoła zrozumieć nie mógł.

Mikołaj Iwanowicz siedząc z żoną w wagonie, mówił:

— Königsberg, Königsberg, narobił on nam strachu. Będę w grobie leżał, a jeszcze nie zapomnę tego przekłętęgo miasta. Można śmiało twierdzić, że to żydowskie miasto.

— Dlaczego tak myślisz? — zapytała żona.

— Właśnie, z końcowego jego zakończenia — Berga. Wszyscy żydzi Bergi: Rozenbergi, Tugenbergi, Ejzenbergi, Ehrenbergi, Tanenbergi. Podziwiać doprawdy należy, że ja do-
tąd wcale a wcale nie słyszałem o takim za granicą mieście. Nowe jakieś miasto, czy co?

— O nie, myśmy się na pensyi uczyły o nim w geografii.

— Dlaczegoż wcześniej nie opowiedziałś mi o tem mieście. Jaby się miał na ostrożności.

— Cóż ja ci o nim mogę powiedzieć?

— To, że w nim taki zwyczaj, że zamawia się obiad za pośrednictwem telegraficznej depezy. Najniezawodniej, o takim zwyczaju w geografii znajduje się odpowiednia wzmianka. Jeżeli tego tam niema, to do czegoż służy geografia? Geografii uczą na to, aby się należycie umieć pokierować w podróży.

— W naszej geografii nie było najmniejszej wzmianki ani o obiedzie, ani o zamawianiu obiadu za pośrednictwem depezy telegraficznej. Doskonale o tem pamiętam.

Mikołaj Iwanowicz zrobił bardzo pocieszoną minę i zaczął mruzczyć:

— Doskonała pensya, niema co mówić. Z języka niemieckiego uczą tylko salonowych wyrazów, a z geografii żadna z panienek niema najmniejszego wyobrażenia o obiadach za granicą, zamawianych za pośrednictwem depezy telegraficznych. Co było najgłówniejsze w ukształceniu kobiety, o tem ani słówka.

— Co ty tam tak mruczysz? Przecież już najadłeś się i napiłeś z Niemcem do syta, na stacyi kolei.

— Zapewne, że dzięki Bogu trafiło się na dzielnego towarzysza i spędziło wesoło kilka godzin, a ten pan naczelnik stacyi, człowiek bardzo uprzejmy i do pożyicia. Chociaż Niemiec, umie jednak dotrzymać towarzystwa i nie gardzi szklaneczką piwa lub kieliszkiem wina. Nasiedzieliśmy się, nagadali serdecznie i wypili, czego nie żalować — mówił Mikołaj Iwanowicz, oczy mu się zaczęły kleić i skłonny był do drzemki. Madera zrobiła swoje.

— Kola! Bój się Boga nie śpij — trąciła żona męża. — Nie jest to bardzo bezpieczne, bo możemy przespać i znowu miniemy Königsberg. Jak tylko krzykną Königsberg, natychmiast trzeba wyskoczyć z wagonu, bo znowu powiezie nas gdzie dalej.

— Przecież ja nie śpię, nie śpię. Raz tylko kiwnąłem głową. Namaderzyłem się cokolwiek i drzemka mię zbiera.

— Königsberg! — zawołał nareszcie konduktor, zajrzawszy do *coupé* i odebrał bilety do Königsberga.

Pociąg zatrzymał się jedną minutę. Znowu małżonkowie ujrzeni dworzec oświetlony, salę jadalną, po której snuli się to w tę, to w ową stronę kelnerzy, roznoszący kufle z piwem. Pierwszym krokiem było dowiedzieć się kiedy odchodzi pociąg do Berlina. Dla pewności małżonkowie zwracali się do każdego stróża kolejowego, do każdego kelnera i pytali, pokazując swoje bilety:

— *Berlin. Wi fil Ur Berlin?*

Pokazało się, że pociąg do Berlina nadejdzie za dwie godziny. Wszyscy mówili jednym głosem, jedno i to samo. Niezbyt chętnym do odpowiedzi lub spieszącym w inną stronę, Mikołaj Iwanowicz wsuwał w rękę *grivennika*, to jest po dziecię feniów i usta im się otwierały. Niektórzy jednak, nie radzili jechać tym pociągiem, ponieważ nie idzie on wprost do Berlina i trzeba będzie przesiadywać się z wagonu do wagonu, lecz innym, późniejszym, który odczeka dopiero po upływie pięciu godzin, ale małżonkowie, rzecz bardzo prosta, ani słowa z tego nie rozumieli.

— *Das ist Bummelzug und bis Berlin müssen sie zweimal umsteigen* — tłumaczył Mikołajowi Iwanowiczowi jakiś stróż kolei, który od niego otrzymał na szklanekę piwa. — *Rummelzug. Haben Sie verstanden?*

— *Danke. Danke.* Trzeba czekać *cwej Ur?* To poczekamy *cwej Ur*. Glupstwo. W tym czasie można napić się piwa, i ze zbytku radości Mikołaj Iwanowicz uściskał stróża za rękę. Jak ja Glaszo, nauczyłem się już mówić po niemie-

cku — rzekł do żony. Teraz możemy napić się piwa. Spodziewam się, że przynajmniej piwo, można pić bez telegramu. Piwo nie jadło.

Małżonkowie zasiedli przy stoliku.

— *Kelner. Cwej Bir!* — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

Podano piwo.

— Bez telegramu — rzekł do żony. — Czyby nie spróbować kilka *Buterbrodów*. Może także uda się nam dostać je bez telegramu.

— Tylko tabldoty podają za pośrednictwem telegramu, a obiady z karty, także jak piwo bez telegramu, odpowiedziała żona. Wszak ten Rosyanin, co to siedział wówczas przy stoliku, doskonale ci to wytłumaczył.

— W takim razie zamówię sobie bigos smarzony na patelni! A jak po niemiecku bigos?

— Nie wiem weale.

— Czekażże, to ja sam go zapytam. *Kelner! Habenxy bigos?* — rzekł Mikołaj Iwanowicz do kelnera.

Ten wytrzeszczył oczy.

— Bigos — powtórzył Mikołaj Iwanowicz. — To razem zebrane rozmaite rzeczy. Kapusta, wędlna, jabłka, dziczyzna. *Nicht ferszteen?* Nie nie rozumie. Głasza, a jakże gotowany prosiak z chrzanem? Zamówię sobie choćby prosiaka.

Żona zamyśliła się.

— Czekaż... Wiem... Świnia... *Szwein*. A zaś prosię...

— Czy *habenxy* dziecko od świni? — zapytał Mikołaj Iwanowicz kelnera.

— *Schweinsbraten?* O tak... — odpowiedział kelner.

— Ale nie o brata idzie, tylko o dziecko od *Szwein*.

— Dziecko po niemiecku *Kind* — wtrąciła żona. — Czekaż ja go zapytam. *Szweinkind habenxy?* — rzuciła pytanie.

— Czekaż... Czekaż... tylko *Szweinkind* gotowany jest zimny.

— *Kalt* — dodała żona.

— Tak ze śmietaną i chrzanem, *habenxy?*

— *Nein, nein, mein Herr* — odpowiedział kelner, zaledwie powstrzymujący się od śmiechu.

— A co widzisz, najwidoczniej nawet z karty nie można nic zamawiać bez telegramu. Mówi *nein* — rzekł Mikołaj Iwanowicz, mrugając na żonę. Otó są tutejsze porządki.

— Przecież my kotlety, wtenczas kiedy byliśmy tutaj pierwszym razem, zamawialiśmy bez telegramu i zabraliśmy do chustki od nosa.

— To już zapewne z powodu zamięszania i ścisku kelner nie zrozumiał a może nie dosłyszał o co chodzi, wreszcie może nawet myślał, że to także za pośrednictwem telegramu zamówione. Myśmy wtenczas poprostu szturmem zdobyli kotlety. Kotlety zabraliśmy, rzuciliśmy na stół pieniądze i uciekli. Teraz widocznie tego więcej robić nie wolno. Czy nie wolno? kelner.

— Widzisz, mówi, że nie wolno.

— *Nein, mein Herr?*

— To daj mu w rękę na herbatę, to może wtenczas będzie wolno — doradziła małżonka. — Wsuń mu w rękę. Za *dwugręcennik* wszystko uczyni.

— Naprawdę mówisz? Spróbuję? *Kelner nemenxy weß* to na *te* i *bringenxy Schweinkind*. Bierz, bierz... Co znowu? Nikt przecie nie widzi? Niech im się zdaje, że to za pośrednictwem telegrafu... przyzem Mikołaj Iwanowicz, weiskał kelnerowi dwie sztuki dziesięciofenigowe.

Kelner nie wziął.

— *Nein, mein Herr. Ich habe schon gesagt, dass wir nicht haben*¹⁾.

— Nie bierze, więc widać ma to surowo wzbronione.

— Więc poprosz choć o *Buterbrody* z serem. Może *Buterbrody* wolno — rzekła żona. — I mnie się jeść zachciwa.

— A *Buterbrody* wolno bez telegramu? — znowu zapytał Mikołaj Iwanowicz, zwróciwszy się do kelnera.

¹⁾ Nie, mój panie. Już powiedziałem, że nie mamy.

— *Buterbrod mit Keze i mit Fleisz* — dodała żona.

— *O ja, Madame.*

Kelner pobiegł i wkrótce wrócił z *Buterbrodami*.

— Chwała Bogu! — zawołał Mikołaj Iwanowicz i zaczął zajadać. — Gdyby tak u nas, komu, dajmy na to nawet na rynku, powiedzieć, że w Niemietczyźnie znajduje się takie miasto, w którym podróżnym po przyjeździe tylko na zamówienie telegrafem wydają obiady, toby wcale nie uwierzył — mówił Mikołaj Iwanowicz, rozkładając rękami i poruszając głową z wielkiem zdziwieniem.

VIII.

Pociąg, którego oczekiwali Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, idący do Berlina, powinien przybyć do Königsberga o pierwszej godzinie po północy. Zaledwie wskazówka na zegarze w bufecie ukazała pół do pierwszej, małżonkowie zaczęli się spieszyć i gotowali się do wyjścia na platformę.

— Prędej, Głazza, żebyśmy się nie spóźnili. Djabeł ich wie, jakie tutaj porządki. Być może, że pociąg nadejdzie wcześniej. Stojąc zaś na platformie, pod żadnym warunkiem nie spóźnimy się — mówił Mikołaj Iwanowicz, nakłaniając żonę do wyjścia. — Jak tylko podejdziesz pociąg, zaraz wskoczmy do wagonu. No, prędej!

— Pójdziemy, pójdziemy — odpowiedziała, powstając z krzesła. — Ale jeszcze coś ci powiem, zabierz ze sobą kilka *Buterbrodów* na zapas do wagonu, dają je tutaj chętnie bez telegramu, a może też na innych stacyach i *Buterbrodów* bez telegramu nie dostanie, tak, że jutro nie będziemy mieli ani śniadania ani podobiadku.

— Co prawda, to prawda.

Zabrano tedy olbrzymi pakiet z *Buterbrodami* i małżonkowie wyszli na platformę. Na platformie jeszcze nikogo nie zastali. Chodziła tylko tam i napowrót służba kolejowa, paląc fajki i cygara.

— Trzeba ich zapytać, żeby się znowu nie pomylić — rzekła Głafira Siemionowna i zwracając się do stróża, zapytała:

— *In Berlin. Wi fil Ur?*

— *Noch eine halbe Stunde* — odpowiedział.

— Co on mówi? — pyta Mikołaj Iwanowicz.

— Ktoż go tam wie, coś, czego nie rozumiem.

— Więc mu powtórz.

— *In Berlin? Ein Ur?*

— *Ja, ja, Madame, um eins.*

— O pierwszej, zapewne.

Takim samym sposobem zapytany był drugi stróż, trzeci, czwarty i piąty. Odpowiedzi były jedne i te same. Każdemu ze stróżów Mikołaj Iwanowicz wsuwał po sztuce dziesięciofenigowej, mówiąc:

— *Nemenzy i trinkenzy!*

Stróże dziękowali wyrazami: *Danke* i z podziwieniem wpatrywali się w tak szczodrych Rosyan.

— Teraz to już napewno tak jest. Wszyscy jednym głosem mówią, ó pierwszej — rzekł Mikołaj Iwanowicz ciężko wzdychając.

Punkt o godzinie pierwszej zbliżył się pociąg i pasażerowie wysiedli. Małżonkowie co żywo podsunęli się do wagonów i wsiedli do pierwszego z brzegu *coupé*. Siedziało tam już dwóch Niemców — jeden chudy, drugi tłusty.

— *Her! Bite!* — zwrócił się do nich Mikołaj Iwanowicz. — *Was ist das? Berlin?*

— *O ja. Man kann auch nach Berlin fahren¹⁾* — odpowiedział tłusty.

— Berlin. Chwała Bogu.

Zajrzał do wagonu konduktor i zapytał o bilety. Popatrzywszy na bilety małżonków, rzekł:

— *In Dirschau, müssen sie umsteigen²⁾.*

¹⁾ O tak! Można także jechać do Berlina.

²⁾ W Dirschau, państwo się przesiadają.

— Glasza, co on mówi?

— Pies go wie, co — odpowiedziała żona i zadala pytanie konduktorowi:

— *Berlin?*

— *Ja, ja. Aber in Dirschau werden sie umsteigen¹⁾* — powtórzył konduktor. — Ten pociąg z Dirschau pojedzie do Gdańska a w Dirschau przesiądą się państwo do innego pociągu, który właśnie pojedzie do Berlina — dodał także po niemiecku, ale małżonkowie nie tego wszystkiego nie rozumieli, oprócz jednego wyrazu: *Berlin*.

— Nie pomyliliśmy się, Berlin — poruszył głową Mikołaj Iwanowicz z potwierdzeniem.

Odezwała się świstawka oraz odzew na peronie i pociąg pomknął dalej.

— Ciekawa jedna rzecz, o której godzinie przybędziemy do Berlina? — mówiła Głafira Siemionowna.

— Więc się przemóż nareszcie i spytaj o to tego tłustego Niemca. Ma twarz bardzo poważną i sympatyczną.

Głafira Siemionowna namyśliła się, potem coś cicho szepnęła i zapytała:

— *Berlin wi fil Ur?*

— *Ganz genau, Madame, kann ich nicht sagen. Am Morgen werden sie in Berlin sein²⁾.*

— Co on, Glasza, mówi?

Głafira Siemionowna zrozumiałwszy tylko wyraz *Morgen*; przetłumaczywszy go na rosyjskie *jutro*, odpowiedziała:

— Mówi, że jutro lecz nie wymienił wcale godziny. Że jutro tam przyjedziemy, to my sami wiemy.

— Więc powtórz pytanie, albo czekaj ja go zapytam. *Berlin wi fil Ur?*

Niemiec poruszył rękami.

¹⁾ Tak, tak. Lecz w Dirschau państwo się przesiądą.

²⁾ Zupełnie ściśle, nie mogę pani oznaczyć czasu. Rano będziecie państwo w Berlinie.

— *Um wie viel Uhr, das weiss ich nicht, aber ich weiss nur, das am Morgen Früh¹⁾...*

— Tfu! Znowu to samo powtarza, jutro.

Na następnej stacyi toż samo pytanie. Mikołaj Iwanowicz zaatakował pod tym względem konduktora, który odpowiedział po niemiecku:

— Ja jeżdżę do Gdańska. To zupełnie inna linia. Co do Berlina nie wiem, i znowu wypowiedział wyraz *Morgen*, to jest rano, ale małżonkowie na nowo wytłumaczyli sobie jako jutro.

— Znowu jutro. Ale kiedy: czy wieczorem, czy w nocy? Otóż to naród. Konduktor prowadzi pociąg, a nie wie o której godzinie przyjedzie na miejsce. Glasza, zapytaj go, czy to w nocy, czy we dnie, niech przynajmniej stanowczo oznaczy.

— Jakże się mam zapytać, kiedy sama nie wiem.

— Alboż nie wiesz jak po niemiecku, dzień i noc? Wszak to wyrazy salonowe.

— *Noc, Nacht* — dzień, *Tug*.

— Więc ulóż sobie frazes odpowiedni. Albo ja sam... *Konduktor, Berlin, Nacht* albo *Tug*.

— *Am Morgen früh, mein Herr¹⁾.*

— Bodajeś przepadł Niemce ze swoim *Morgen*. A to dusza pogana!

Mikołaj Iwanowicz rozgniewał się i zaczął wymyślać.

— Kola! upamiętaj się.

— Co tam Kola, Kola! Niech się wyloszę, to mi będzie lżej na sercu.

I znowu pociąg pomknął, zatrzymując się na stacjach jedną lub dwie minuty. Do wagonu zaglądali konduktorzy, wycinali i odrywali kawalki z biletów i całe bilety z książeczek bezpośredniej komunikacyi i za każdym razem przestrzegali, że w Dirschau trzeba się przesiadać do innego pociągu:

¹⁾ O której godzinie, nie wiem, ale to tylko wiem, że wczesnym rankiem.

²⁾ Wczesnym rankiem, panie.

in Dirschau müssen sie umsteigen! Małżonkowie zapamiętali wyrazy: *Dirschau i umstein*, ale żadną miarą nie mogli zrozumieć, co one znaczą.

— Djabeł ich wie, co oni mówią *Dyrschau* to *umsztegen* — powtarzał Mikołaj Iwanowicz i rozkładał rękami a nawet pluł ze złości.

— Nie gniewaj się, nie gniewaj. Wszak wszyscy jednym głosem mówią: że jedziemy w berlińskim wagonie do Berlina i w rzeczy samej niema się o co gniewać. Niech sobie co chcą mówią, nas to wcale nie obchodzi. Żeby tylko szczęśliwie dojechać — mówiła z pewnem zaniepokojeniem Głafira Siemionowna.

Mąż nareszcie uspokoił się i zaczął drzemać.

IX.

Za kilka minut pociąg stanął. Zabrzęczały żelazne młotki, zaniepokoiłi się konduktorzy, roztwierając drzwiczki *coupe*. Słychać było nawoływania:

— *Dirschau! Dirschau, drei Minuten!*

Głafira Siemionowna spokojnie siedziała przy otwartych drzwiczkach *coupe* i patrzyła na peron, po którym przesuwali się i biegali tragarze z rzeczami, toczyły się wózki, napelnione kuferkami i skrzyniami, wyczekiwała niecierpliwie publiczność, rozkładając rękami, wywijając parasolkami, przesuując skrzynie lub z pospiechem ubierając się w pledy.

Mikołaj Iwanowicz spał, chrapiąc z całą przyjemnością człowieka bez troski. Nagle do ich *coupe* podbiegł konduktor, rewidujący przed kilku minutami bilety jazdy i krzyknął, zwracając się do Głafiry Siemionowny.

— *Madame, was sitzen sie denn? Sie reisen nach Berlin, also hier müssen sie umsteigen. Das ist schon Dirschau!*¹⁾

¹⁾ Pani, dlaczego pani siedzi. Jedziecie do Berlina i musicie się przesiąść.

Głafira Siemionowna wcale tego nie rozumiała i nie ruszając się wcale, patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

— *Dirschau! Müssen sie umsteigen!* — powtórzył konduktor i zrobił taki ruch, jakby chciał wyprowadzić ją siłą z wagonu.

— *Schneller! Schneller! Umsonst werden sie nach Danzig fahren*¹⁾.

— Kola. Zbudźże się nareszcie! Posłuchaj co konduktor mówi — rzekła Głafira Siemionowna wielce zakłopotana, trzęsąc za rękę męża.

Nareszcie zbudził się i przeciągnął. Konduktor krzyczał:

— *Schneller! Schneller!* — i pokazywał gestem, że trzeba wysiadać.

— Kola, na Boga, rozbudź się, rozemuchaj! Konduktor krzyczy: *schnell, schnell*, żebyśmy coprędzej wysiadali z wagonu. Czy się co popsulo?

— Skądże ja o tem mogę wiedzieć — rzekł, spokojnie ziewając Mikołaj Iwanowicz. — Spytaj się. Przecież ty daleko lepiej umiesz po niemiecku, niż ja.

— *Wir in Berlin* — zapytała konduktora Głafira Siemionowna.

— *Ja. Ja. Nach Berlin. Also hier müssen sie umsteigen und weiter fahren. Gott im Himmel! Was thun sie denn? Es bleibt nur eine halbe Minute. Weg vom Wagon*²⁾.

Znowu ruch, zapowiadający, że muszą wyjść z wagonu. Mikołaja Iwanowicza nawet konduktor pochylił za rękę i wyciągnął w wagonu.

— Czort wie, gdzie on mię prowadzi? — rzekł tenże opierając się. — Czyśmy przyjechali już na miejsce? *Her Konduktor, Berlin?*

¹⁾ Dirschau! Musicie państwo przesiąść się! Prędzej! Prędzej! Nadaremnie pojedziecie do Gdańska.

²⁾ Tak. Tak. Do Berlina. Więc tutaj musicie państwo przesiąść się i jechać dalej. Na Boga, co państwo czynią? Jeszcze tylko pół minuty. Wysiadać z wagonu!

— *Ja... Ja... Berlin... Schneller! Schneller!*

— Glasza, wyobraź sobie, jesteście w Berlinie! Tak, to co innego — zawołał Mikołaj Iwanowicz, wydobywszy się już z wagonu na platformę za pomocą konduktora.

— Co znowu?

— *Schneller! Schneller Madame. Um Gottes willen schneller!*

— Wysiadaj co żywo! Otóż nowa niespodzianka. Myśleliśmy, że dopiero jutro przyjedziemy do Berlina, a przyjechaliśmy w nocy.

Głafira Siemionowna wyskoszyła z wagonu ale jeszcze nie dowierzała i pytała konduktora:

— *Berlin? Berlin?*

— Tak... tak... Stał państwo odjeżdżacie. Wskażę wam właściwy pociąg — odpowiedział tenże po niemiecku.

Mikołaj Iwanowicz wetknął mu w rękę dwa niemieckie *grywenniki* i rzekł:

— *Danke, bardzo danke.* Dziękuję panu za laskawe uprzedzenie nas.

Konduktor zatrzasnął drzwi *coupé*. Rozległa się świstawka i pociąg ruszył.

— Otóż to istotna niespodzianka. Przyjechaliśmy do Berlina — mruzczał Mikołaj Iwanowicz, stojąc na platformie. Niemcy nam przecież ciągle kładli w uszy: *Morgen*, t. j. jutro.

— Przecież to jutro już jest właściwie. Mówili nam o tem wczoraj. Jeżeli będziemy stosować się do godzin, więc musimy przyznać, że to już jutro — odpowiedziała żona. — Pójdziemy teraz, trzeba nająć pokój w hotelu. Wszak postanowiliśmy zabawić całą dobę w Berlinie, żeby zwiedzić miasto.

Skierowali się do wyjścia. Przez okna widać było bufet i snujących się tam nieustannie kelnerów.

— Dworzec nie bardzo świetny — mówił Mikołaj Iwanowicz, wychodząc z platformy. — Myślałem, że już w takim Berlinie, będzie arcyświetny, wspaniały dworzec kolejowy. Czy może co zjesz i wypijesz na stacyi?

— Co tam myśleć teraz o jedzeniu i pić. Żeby o to jak najprędzej dostać się do łóżka. Chodźmy prędzej do hotelu. Oto stoi szwajcar hotelowy, ma napis na blasze, na czapce: *Hotel de Berlin!* Pojedźmy tam. Najniezawodniej ma karetę. On sam sprowadzi i zabierze nasze rzeczy. Daj mu kwit.

— Trzeba jeszcze dowiedzieć się co się stało z naszymi sakwożażami i poduszkami, które zostawiliśmy w poprzednim pociągu. Zapewne oddawna otrzymano nasz telegram.

— Jutro załatwimy tę sprawę, jutro. Co teraz można dowiedzieć się! Nawet co do rzeczy naszych, pozostawmy to do jutra. Teraz niema co tem kłopotać się. Jutro, jak zbudzimy się, pošlemy z kwitem. Szwajcar załatwi się i z bagażami i z poduszkami. Marya Iwanowna opowiadała, że w Berlinie, w hotelach są tacy lokaje, którzy mówią po rosyjsku. Otóż takiemu wszystko objaśnimy, jak należy.

Mikołaj Iwanowicz zbliżył się do szwajcara hotelowego, z napisem na czapce i krzyknął:

— *Hotel de Berlin!* Numer! Są numerą?

Ten spojrzal na niego wielce zdziwiony i zapytał:

— *Was für ein Nummer fragen sie, mein Herr?*¹⁾

— Potrzebujemy pokoju, *cimmer* — wyjaśniła Głafira Siemionowna.

Szwajcar zadrzał.

— *Ein Logement wünschen sie? O ja Madame, bitte... Haben sie Koffer? Bagage?*²⁾

— Rzeczy jutro. Prędko prowadź nas do hotelu. *Wir wollen schlafen.*

— *Bagage kann man bald kriegen. Geben sie mir nur Quittung*³⁾.

— *Nein.* Rzeczy *Morgen.*

¹⁾ O jaki numer pan się pyta?

²⁾ Życzy pani sobie mieszkania? Pokoju? O tak pani, proszę... Ma pani kufer? Rzeczy?

³⁾ Rzeczy można zaraz wy dostać. Niech mi pani da kwit.

— *Also bitte Madame*¹⁾.

Szwajcar poprosił, aby udali się z nim.

— Czy karetą tutaj? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, ale szwajcar nie zrozumiał i patrzył na niego pytającym wzrokiem. Glasza, jak karetą po niemiecku? Zapytaj go — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwróciwszy się do żony.

— *Wagen, habensy Wagen* — zapytała szwajcara.

— *O nein, Madame. Hier ist unweit. Nur zwanzig Schritte*²⁾.

— Glasza, co on mówi?

— Mówi, że niema karety, a co on tam resztę belkocze, tego ja wcale nie rozumiem.

Szwajcar poprowadził małżonków dalej i weszli w ulicę, bardzo licho oświetloną. To zadziwiło niezmiernie Mikołaja Iwanowicza.

— Wszak przyjechaliśmy już do Berlina? Czy też znowu zaszła jakaś pomyłka? Czort go wie, może konduktor tak sobie z żartów skłamał przed nami. Przecież mi opowiadano, że Berlin cały zalany gazem. Oprócz tego posiada oświetlenie elektryczne. A tutaj, patrz no, jaka to ciemnica.

— *Berlin?* — zapytała szwajcara Głafira Siemionowna.

— *O ja, Madame, Hotel de Berlin* — odpowiedział szwajcar w tem mniemaniu, że pytają go, z jakiego jest hotelu.

— I ten mówi, że to Berlin. Dziwne! Ulica prawie zupełnie pogrążona w ciemności. Tylko gdzieś tam pełga na pół jasna latarnia. I ludzi jakoś wcale nie widać. Ani klasy roboczej, ani furmanów i fiaków — mówił wielce zdumiony Mikołaj Iwanowicz.

Hotel znajdował się rzeczywiście niedaleko. Szwajcar zatrzymał się przy zamkniętej bramie, nad którą wisiała latarnia i zadzwonił. Drzwi otworzyły się na rozcież. Ukazał się nie bardzo tego prezentujący się człowiek zaspany, w czarnym

¹⁾ A więc proszę...

²⁾ O nie, pani. To niedaleko. Tylko dwadzieścia kroków.

kitlu i poprowadził Mikołaja Iwanowicza i Głafirę Siemionowną na drugie piętro, żeby im pokazać pokój.

— *Drei Mark* — rzekł.

— Trzy marki. To znaczy, trzy niemieckie *poltiny* — zakonkludował Mikołaj Iwanowicz, rozglądając się po dość schludnym pokoiku o dwóch łózkach, i odpowiedział niezbyt prezentacyjnemu jegomości.

— No dobrze, tutaj.

Może najwyżej w pół godziny małżonkowie już zasnęli snem błogosławionych i naiwnych ludzi w numerze hotelu »de Berlin«, znajdującym się na pierwszorzędnej ulicy małego miasteczka Dirschau. Zасыpiając, rzekł do żony Mikołaj Iwanowicz:

— Tak jestem kontent, że niepodobna mi wyrazić, że nareszcie dostaliśmy się do Berlina.

— I ja równie — odpowiedziała żona.

X.

Głafira Siemionowna zbudziwszy się pierwsza, otworzyła oczy, nakryła się dość misterną i wielce skromną pierzynką, zastępującą w Niemczech zwykłą koldrę i zapytała:

— Mikołaj Iwanycz, czy śpisz?

W odpowiedzi rozległo się silne chrapanie i łóżko zakrzypiało. Mikołaj Iwanowicz obrócił się na drugi bok.

— Kola! wstawaj! Już najwyższy czas do wstania. Patrz, jakeśmy przespali, godzina jedenasta. Kiedyż będziemy zwiedzali miasto. Trzeba przecie unyć się, ubrać, napić się herbaty, posłać po nasze rzeczy, i odzyskać poduszki i sakwojaże. Przecież tutaj, w Berlinie, postanowiliśmy tylko jeden dzień zabawić.

Mikołaj Iwanowicz coś tam pomruczał, ale wcale nie miał chęci wstać, żona znowu zaczęła go budzić.

— Wstawaj! Przespisz pół dnia, więc cóż nam pozostanie czasu do zwiedzenia miasta.

— Nie zwiedzimy dziś, to zwiedzimy je jutro. Dlaczego taki pośpiech. Nie kapie nam na głowę, nie mrozi mróz, ani pali słońce — mruczał.

— Nie! Nie! Rób jak ci się podoba, ale ja ci oświadczam, że w niemieckim mieście nie zabawię dłużej nad jeden dzień. Pojedziemy wcześniej do Paryża. Co to za kraj, zmiluj się. Niepodobna w nim zjeść ani śniadania, ani obiadu, nie zawiadomiwszy wprzód telegramem. Żyw się człowieku tylko ich *Buterbrodami*. Nie mam chęci tkać w siebie same suche rzeczy, sam chleb i ser, i opijać piwkiem.

Głafira Siemionowna prędko zerwała się z łóżka i zaczęła się ubierać. Mikołaj Iwanowicz wyciągnął rękę do nożnego stolika, wydobyl z papierosnicy papierosa, zapalił go, ale wciąż jeszcze leżał w łóżku, przeciągając się i ziewając.

— Proszę cię koniecznie, aby przynajmniej dziś można się było urządzić inaczej, żeby można było zjeść obiad jak ludzie jedzą, składający się z zupy i z potraw gorących, z bewsztyku lub kotletów — mówiła Głafira Siemionowna. — Tutaj taki zwyczaj, że objadują ludzie za pośrednictwem telegramu, więc wyślij do jakiej restauracji depezę z zamówieniem obiadu, i niech się udławia naszymi pieniędzmi.

— W hotelu, jak się domyślam, można jeść obiad bez telegramu. Telegramy przeznaczone tylko dla stacji kolejowych — odpowiedział mąż.

— Zawsze jednak wyślij depezę. Wydatek niezbyt wielki, a przynajmniej zjemy obiad przyzwoity. Depezę ja ci sama napiszę. Wiem jak: »Hotel Berlin. Dine in für Ur«, a na końcu podpis nazwiska. Nawet nie *dine* — poprawiła Głafira Siemionowna. — *Dine*, po francusku, a po niemiecku *Mittag*. »*Mittag in für Ur*«, otóż wszystko.

— Lepiej jednak zapytać o to kelnera. Jestem pewny, że dla Berlina nie potrzeba wcale telegramu — twierdził uporczywie Mikołaj Iwanowicz.

— Pytaj się, jeżeli już tak chcesz koniecznie. Powiedzą ci zaś tak, a potem pokaże się, że nie, i siedź o głodzie. Nie-

szczęście prawdziwe, podróżować za granicą bez języka. Gdybyśmy mówili po niemiecku, to zupełnie byłoby inaczej...

— Staraj się zatem przypomnieć sobie to wszystko, czego cię uczono na pensyi...

— Ba! gdyby to można, ale jak się co zapomni, to się już więcej nie pamięta. Mniejsza z tem, ale główna rzecz, że trzeba pomyśleć o wydostaniu sakwojażów i poduszek. Cóż ty znowu tak leżysz. Wstawaj! Patrz, już po jedenastej.

Głafira Siemionowna wymówiła to podniesionym głosem i zerwała z męża koldrę. Mąż mimowoli musiał się ubierać.

W ciągu niespełna minuty małżonkowie umyli się, ubrali i zadzwonili na kelnera. Przyszedł, uklonił się i czekał w postawie pełnej szacunku.

— Samowar — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwróciwszy się do niego. — *Te* nie trzeba. *Te* mamy. Cukier także jest.

Kelner patrzył na niego wielkimi oczami i wreszcie zniecierpliwiony zapytał:

— *Thee wünschen sie, mein Herr* ¹⁾.

— Nie *Te*, lecz tylko sam samowar bez cukru i bez *Te*. Głaska, jak samowar po niemiecku?

— Czekaj... Niech raczej przyniesie herbatę. Może też przyniesie i samowar.

— Dlaczego ma przynosić herbatę, kiedy ją mamy?

— Nie nie szkodzi. Niepodobna z nim się porozumieć. Jak to pewnie uważasz, on wcale nie rozumie, co my do niego mówimy. *Bringenzy Te*, na dwie osoby. *Te fir ewig*.

— *Wünschen sie auch Brod und Butter, Madame?* ²⁾ — zapytał kelner.

Głafira Siemionowna zrozumiała i odpowiedziała:

— *Ja, ja. Brod i Butter. Bringenzy Citron, bringenzy Keze...* Brod dużo, bardzo dużo. Mikołaj Iwanowicz, mnie się chce jeść straszliwie.

¹⁾ Herbaty pan sobie życzy?

²⁾ Czy mam przynieść chleb i masło? proszę pani.

Kelner, ukloniwszy się, już miał odchodzić.

— Czekaj... *Wartenzy* — przywołała go znowu Głafira Siemionowna. *Fleisz* można *bringen*? Ja mięso zamawiam, Mikołaj Iwanowicz. Może przyniesie. *Fleisz bringenzy, kalt Fleisz*.

— *Kaltfleisch, Madame?*

— *Kalt. Kalt.* Tylko bardzo dużo. *Fil*.

Przyniesiono herbatę, ale bez samowara. Wrzątek a właściwie mówiąc tylko ciepłą wodę w niewielkim dzbanuszk.

— A samowar? *Ferszteenzy*: samowar — zapytała Głafira Siemionowna. — Samowar *mit* węgle... z węglami, z ogniem... *mit Feier* — starała się bądź co bądź wyjaśnić a nawet naśladowała wybuch ognia, mówiąc: *puf! puf! puf!* tym sposobem przedstawiając parowanie samowara.

Kelner uśmiechnął się:

— *Sie wünschen Theemaschine?*¹⁾

— Tak, tak... *Ja, ja... Temaszynie* — podchwyciła wesoło Głafira Siemionowna. — Otóż patrz, zapomniałam tego wyrazu; a przecież doskonale wiedziałam, jak się samowar nazywa po niemiecku. *Temaszynie*.

— *Theemaschine haben wir nicht, Madame. Das wird selten gefragt bei uns*²⁾.

— *Nein?*

— *Nein* — stanowczo odpowiedział kelner.

— Wyobraź sobie, oni nie mają samowara. Oto Berlin! W porządnej restauracyi nawet niema samowara, gdy tymczasem u nas znajdzie się w najlichszym szynku. Skądże tu wiaść wrzątku? Czy nie macie gotującej się wody? *Heis Waser?*

— *Hier* — rzekł kelner pokazując dzbanuszek.

— Tutaj? Cóż to za kipiątek? To poprostu trochę ciepłej wody, nic więcej. Nawet już nie paruje. Nam potrzeba

¹⁾ Życzysz sobie pani maszynkę do herbaty?

²⁾ Maszynki do herbaty nie mamy, ponieważ się o nią rzadko u nas pytają.

wrzącej wody, *ferszteenzy*, wrzącej, *heis Waser*. Wreszcie jest jej bardzo mało. Nie wystarczy nawet na dwie szklanki, a my chcemy *fil*, dużo, będziemy pili po pięć, po sześć szklanek. *Ferszteenzy finf — finf, zechs* szklanki.

— Daj pokój Glasza. Niech ich tam *mać morduje*. Napijemy się tyle, ile będzie. Tutaj w Niemieczechyźnie wszystko na odwrót, nie śpią wcale na pierzynach, ale się nakrywają pierzynami, gorącą wodę podają w herbatnikach, a właściwie w dzbankach — rzekł, przerywając Mikołaj Iwanowicz.

— I obiadują na zamówienie telegramem — dodała Głafira Siemionowna. — *Geenzy* — rzekła do kelnera, machając ręką, ale wnet przypomniawszy sobie coś, przywołała go na nowo. Albo nie, czekaj. Potrzeba sprowadzić ze stacyi nasze bagaże, nasze pakunki. Bagaże *bekomen*. Oto kwit. *Hier kwitane* — rzekła, podając kelnerowi. — *Man kan?*

— *O ja, Madame* — odpowiedział kelner, biorąc kwit.

— Więc *bringenzy*. Tu jeszcze kwit od telegramu. *Wir haben...* — zaczęła Głafira Siemionowna, ale wnet zatrzymała się i zwróciwszy do męża, rzekła: — Otóż ja teraz nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że nasze sakwojaże i poduszki przez omyłkę pozostawiliśmy w wagonie. Pomagaj mi, jeżeli możesz. *Hier telegram. Wir haben* w wagonie nasze sakwojaże i poduszki *ferloren*. To jest nie *ferloren* a *gelassen* w *Königsberg*, a sakwojaże i poduszki *faren in Berlin*.

Kelner stał i wytrzeszczał oczy, bo nic nie rozumiał.

— Sakwojaże i poduszki. *Ferszteen?* — starał się wyjaśnić mu Mikołaj Iwanowicz, a nawet wziął z łóżka poduszkę, pokazując ją jako przykład kelnerowi.

— *Kissen?* — zapytał kelner.

— To... to... *Kissen!* W wagonie *gelassen. Wir haben gelassen* i *telegrafiren*.

Kelner zabrał pokwitowanie na złożone bagaże i kwit z wysłanego telegramu i wyszedł.

— Zalóżę się, że nic a nic nie zrozumiał — krzyknął za nim Mikołaj Iwanowicz.

— Jakże nie miał zrozumieć. Najniezawodniej zrozumiał, tembardziej, że mu pokazałeś poduszkę. Ja przytem objaśniłam go bardzo szczegółowo. Teraz dopiero przypomniałam sobie mnóstwo wyrazów po niemiecku, i mówię dziś lepiej, niż wczoraj. Nawet w drodze bardzo wiele nauczyłam się. Tylko ty nie możesz się zgola nic nauczyć.

Zajęła się, wypowiedziawszy to, herbatą, piła i prawie pożerała *Butterbrody* z serem i ciecierzyną. Dało się słyszeć pukanie do drzwi i kelner wszedł z powrotem. W rękę trzymał kwity i uśmiechał się.

— Myśmy w kantorze przeczytali te kwity — rzekł. — Z kwitów pokazuje się, że państwo możecie otrzymać swoje rzeczy i pakunki dopiero w Berlinie, nie tutaj — mówił po niemiecku.

Małżonkowie patrzyli to na siebie, to na niego nadzwyczajnie zdumieni i nie mogli pojąć co on mówi.

— Kola, czy rozumiałaś co on mówił? — zapytała męża Głafira Siemionowna. — Ja stanowezo ani słowa nie rozumiałam.

— A ja jakżebym rozumiał, kiedy daleko mniej znam wyrazów niemieckich, niż ty; ty przecie uczyłaś się w takim sławnym pensjonacie, a ja uczyłem się w czachońskim sklepie.

— Głupiec! — krzyknęła oburzona małżonka i zwracając się do kelnera, rzekła:

— *Bringenzy, bringenzy* bagaże. My zapłacimy.

— *Das kann man nicht, Madame. Das werden sie in Berlin kriegen* ¹⁾.

— No, tak, *in Berlin*. Przecież my jesteśmy w Berlinie. *Hier Berlin?*

— *Hier ist Dirschau, Madame. Stadt Dirschau* ²⁾.

Głafira Siemionowna zaczęła dobrze się nad tem zastanawiać, namyślać i wreszcie wybuchnęła:

¹⁾ Nie można. Państwo otrzymają je w Berlinie.

²⁾ Tutaj jest Dirschau. Miasto Dirschau.

— Jak to Dirschau? Jakie miasto Dirschau? — krzyknęła. — To Berlin!

— *Nein, Madame.*

Kelner zdjął ze ściany kartę hotelową, oddał ją Głafirze Siemionownej i ukazał napis na tejże, gdzie było wydrukowane dużemi literami: *Hotel de Berlin in Dirschau!* Głafira Siemionowna umiała czytać po niemiecku, a przeczytawszy napis, krzyknęła:

— Mikołaj Iwanycz! Czy ty wiesz, jak nas oszukali. Czy myślisz żeśmy przyjechali do Berlina? To nie jest wcale Berlin, ale jakaś miłościna niemiecka Dirschau.

— Co tobie znowu przyszło do głowy — ryknął Mikołaj Iwanowicz, chwytając kartę i odrzucając ją na bok. Stał jak skamieniały i usta otworzył, nie mogąc dokończyć zaczętego frazesu.

XI.

— Co to jest na Boga! To wszystko może w głowie zawrócić. Niepodobieństwo, aby dać się tak za nos wodzić pierwszemu lepszemu konduktorowi lub pierwszemu lepszemu stróżowi. To przechodzi ludzkie pojęcie! Traktują nas wszyscy jak Indyanów, jak dzikie zwierzęta! — krzyczała Głafira Siemionowna, biegając po pokoju i klaszcząc w ręce w pasy. — Tyle już dni jedziemy do tego Berlina, kolujemy, mijamy się, powracamy, skąd przyjechaliśmy, a żadną miarą dojechać nie możemy. Drugi raz już przyjechaliśmy nie do tego miasta, do któregośmy jechali. Drugi raz musieliśmy wracać i tu zapewne ta sama, powtórzy się historia. Zamiast do Berlina, wpadamy w jakąś dziurę niemiecką, jakiś zakątek, którego nawet nie stać na oświetlenie ulic gazem. Do jakiegoś Dirschau? Co to za Dirschau? Gdzie ono leży, w jakim państwie?

Wyrzuciwszy z piersi wszystkie te wyrazy zatrzymała się przed mężem, pytając:

— Jakie to miasto Dirschau? Gdzie ono leży?

Mąż siedział z pochmurzoną twarzą, krząkał i drapał się po głowie.

— Mikołaj Iwanowicz, ja pytam się ciebie? Siedzisz jak sowa i nic nie mówisz. Co to za miasto, to Dirschau? W jakiej znajduje się okolicy? Może my znowu jechaliśmy nie tym traktem co potrzeba, lecz inną zupełnie koleją?

— Alboż ja mogę wiedzieć, *matuszka*? — odpowiedział mąż zupełnie zgnębiony.

— Przecież pobierałeś nauki w szkole handlowej.

— Uczęszczałem do niej tylko przez półtora roku, ale i tak moja cała nauka ograniczała się do tego, że na chórze śpiewałem dyszkantem, a w klasie grywaliśmy w pióra stalowe z kolegami. Ale ty, ty, coś cztery lata przemarnowała daremnie na pensyi, uczyłaś się u nauczycielek i *madame* cię uczyła, a przyznaj sama, nie gniewaj się, że nie a nie nie umiesz.

— Nasza nauka była damska, uczyłyśmy się tańczyć, robić koszyczki, nawlekane perelkami, i powinszowań na dzień Bożego Narodzenia, w dzień imienin ojca i mamy pisałyśmy różne życzenia, więc jakże mogę wiedzieć o jakimś tam Dirschau. Starajże się przeto jakim sposobem dowiedzieć, jak możemy nareszcie stąd dostać się do Berlina! Z pewnością przyjechaliśmy gdzieś do zapadłego jakiegoś pustkowia, do jakiejś na drugim końcu świata leżącej miejscowości, i daj Boże, żebyśmy byli w stanie cało i zdrowo stąd wydobyć się. Jestem przekonana, że to jakaś dzika pustka, kiedy tu nawet w takim hotelu nie mają samowara, a może go nawet w życiu nigdy nie widzieli.

— Jakże się mam dowiedzieć? Od kogo? Zacznę się pytać i na nowo obalamucą mi głowę. Kiedym jechał za granicę, głównie rachowałem na ciebie. Tyś skrzeczała jak sroka, że umiesz wszystko, że mówisz po francusku i po niemiecku, bo was tam, tych języków uczyli.

— I rzeczywiście uczyłam się, ale cóż na to poradzę, kiedy zupełnie wszystko zapomniałam. Zrób co żywo rachunek, załatw się z właścicielem hotelu i pójdziemy natychmiast

na kolej, żeby odjechać raz przecie do Berlina. Nie mamy najmniejszej potrzeby dłużej tutaj siedzieć. — Po chwili dodała:

— Ja za żadne skarby w świecie nie pojedę do Berlina. Żeby wszyscy pozdychali w tej Niemieczechynie. Niech się ona zapadnie raz na zawsze. Prosto jedźmy do Paryża. Tam dopiero rozpytamy się, którądy do niego droga — mówiła Głafira Siemionowna.

— A nasze rzeczy? A nasze tłumoki? A sakwojaże z poduszkami. Przecież zawieziono je do Berlina, więc musimy je odebrać. Tam wszystka bielizna nasza, nie mam nawet chustki do utarcia nosa.

— A niech tam wszystko djabli biorą. Oto przyjemność! — wołał Mikołaj Iwanowicz, chwytając się za głowę. — Boże! Boże, kiedyż nasze skończą się męczarnie, w tej zachłannej Niemieczechynie? Jestem pewny, że na francuskiej ziemi, daleko lepiej, bo tam ludzie, jak ludzie żyją. Pomimo to trzeba jechać do Berlina — rzekł i dodał: — Oto powiem ci krótko i węzłowato. Jak tylko staniemy w Berlinie i odbierzemy swoje rzeczy, natychmiast przesiądziemy się do pociągu idącego do Paryża. Zgadzasz się?

— Dlaczegożbym nie miała się zgodzić. Jedziemy ciągle po Niemieczechynie i nigdzie prawie nie zatrzymujemy się, nigdzie nie mamy należytego odpoczynku i wytchnienia, nigdzie ani zjeść porządnie, ani się napić, już ta podróż obmierzła mi więcej, niż gorzka rzodkiew. Prędzej do Paryża, do Paryża! Po francusku daleko lepiej potrafię mówić, niż po niemiecku.

— A może tylko ta umiejętność ogranicza się do wyrazów: *Permete mua sortir*? Co? Takie frazesy i ja również potrafię składać.

Mikołaj Iwanowicz zadzwonił na kelnera.

— Wiele się wam należy *geldu*? *Wi fil*? — zapytał, pokazując ręką na pokój i na przyrządy do herbaty. Odjeżdżamy do Berlina. Prędko, rachunek!

Kelner pobiegł po rachunek i przyniósł go.

Mikołaj Iwanowicz położył na stole złote sztuki. Wydano mu resztę.

— Wiele policzyli? — pyta Głafira Siemionowna.

— Kto ich tam wie. Albo się z nimi dogadasz. Wzięli tyle, ile im się podobało. Oto rachunek, możesz go wziąć ze sobą. W wolnym czasie, jak się nam sprzykrzy siedzieć w wagonie, rozpatrzmy go, jeżeli się nam to uda. Prędko Głafira Siemionowna. Prędko! Kładź palto i idziemy.

Małżonkowie ubrali się i wyszli z numeru.

Kelner stał, czekając na napiwek.

— Daj mu dwa lub trzy *griwenniki*. On czeka widocznie na lapówkę, żeby mu co ofiarować na herbatę — powiedziała Głafira Siemionowna.

— Za co? Czy za to, że zamiast do Berlina, podstępem nas podszedł i zaprowadził do jakiegoś parszywego Dirschau. Oto dla niego zamiast herbaty.

Mikołaj Iwanowicz ze złością pokazał kelnerowi kulak.

— *Mein Herr! Was machen Sie?* ¹⁾ — zawołał kelner, cofając się w tył ze strachu.

— Nie, *mein Her*. Nie balamuć ludzi. Myśmy wyraźnie pytali się czy to Berlin, czy nie Berlin.

— Przecież to nie jego, tylko szwajcara — szepnęła Głafira Siemionowna.

— Jedna szajka. Podróźni rzadko tu do nich przyjeżdżają, więc kogo się da, to się go obdziera. Kto z brzegu, to drzyj lyka, póki się dadzą.

Głafira Siemionowna użaliła się nad przestraszonym kelnerem, obejrzała się i wsunęła mu w rękę dwa *griwenniki*.

Wyszli do przedsienia.

Szwajcar zaczął się nisko klaniać, domagając się także napiwka.

— Ja ciebie, ty lotrze... — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Dziękuj Bogu, żem ci karku nie nakrećił.

¹⁾ Mój panie. Co pan robisz?

— Dajże pokój. Co znowu. Trzeba go raczej zapytać, gdzie jest dworzec kolei żelaznej, i którędy jeżdżą prosto do Berlina — rzekła Głafira Siemionowna, chwytając męża za rękę. Potem wsunęła szwajcarowi trzy *griwenniki*, pytając:

— *Wo ist Eizenban in Berlin?*

— To tutaj zaraz, *madame*. Niedaleko stąd. Droga do Berlina ta sama, po której państwo jechali — odpowiedział szwajcar po niemiecku, ukazując na wysoką budowę, widzialną w końcu pustej ulicy.

— On ukazuje tę samą stację! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Kłamie! kłamie! Głasza, nie słuchaj go. Bo znowu nas zabalamuci, oszuka.

— Więc się też zaraz na stacyi spytamy. Spytamy się i sprawdzimy sami. Język dowiedzie nawet do Kijowa.

— Nas on jednak jakoś nie bardzo dobrze prowadzi. Więc chodźmy.

Szli tedy ulicą, w kierunku wskazanym przez szwajcara.

— Ach, żeby przynajmniej tu gdzie spotkać wędrownego Tatara i kupić u niego chustkę do nosa, nie mam czem nosa utrzcć — mówiła Głafira Siemionowna.

— Możesz utrzcć papierem — odpowiedział mąż.

Po drodze jednak natrafili na sklep bławatny, w oknie którego leżały tuziny chustek. Korzystając ze sposobności, Głafira Siemionowna kupiła sześć chustek. Zarazem zapytała subiekta sklepowego, gdzie znajduje się kolej żelazna, prowadząca wprost do Berlina. Subiekt, bardzo grzeczny człowiek, wyprowadził małżonków ze sklepu na ulicę i wskazał im ten sam budynek, o którym mówił im szwajcar.

— Widzisz, pokazuje się, że szwajcar nie kłamał — rzekła do męża Głafira Siemionowna.

Na stacyi na nowo zaczęli się rozpytywać to tego, to owego, wyjaśniając zapytania odpowiedzią mimiką. I doszli w końcu do tego, że jakimś szczególnym sposobem dowiedzieli się, że pociąg, idący do Berlina, przybędzie dopiero za półtóry godziny.

— Albo to prawda — rzekł, niedowierzając Mikołaj Iwanowicz — gdzie się ruszysz, to człowieka oszukują. Już to widać taka choroba, czy nawyknięcie u Niemców. Zapytaj jeszcze, Głasza, ty od siebie.

Zaczęła rozpytywać się powtórnie. Odpowiedź wypadła jedna i ta sama.

— Ale czyś tylko dobrze rozumiała? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, już wcale niedowierzający Niemcom.

— Jakże nie miałam zrozumieć. Trzech ludzi, wydobywszy zegarki, pokazali mi palcami godzinę, w której najniezawodniej nadejdzie pociąg do Berlina. Przecież nareszcie znam się na liczbach.

— Ale czy tylko on do Berlina idzie? Żebyśmy znowu nie zajechali gdzie do nowego jakiego Dirschau.

— Zapytamy się o to w wagonie.

Przesiedziawszy na peronie owe nieszczęsne półtóry godziny i ciągle prawie rozpytując się każdego spotkanego przechodnia, małżonkowie nareszcie znaleźli się w wagonie. Usadowił ich tam jakiś tkliwego serca kolejowy dozorca, widząc ich zmięszanie i bieganie od wagonu do wagonu.

— Więc *in Berlin*? — zapytał po raz chyba dwudziesty lub trzydziesty Mikołaj Iwanowicz, wtykając w rękę dozorcę dwa *grivenniki*. — *Wir Berlin*?

— *Berlin, Berlin. Direkt nach Berlin*¹⁾ — odpowiedział dozorca kolejowy.

Pociąg pomknął jak strzala.

— Dojedziemy do Berlina, nie potrzebując wcale nigdzie wysiadać, i skoro nareszcie będę najpewniejszy, że to Berlin prawdziwy, zakupię świecę do Pana Jezusa i Matki Boskiej, za całego rubla — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Ach daj to Boże, żeby raz skończyła się ta nasza cierniowa przeprawa — odpowiedziała Głafira Siemionowna, przeżegnawszy się ukradkiem.

¹⁾ Berlin. Berlin. Wprost do Berlina.

XII.

Drogę z Dirschau do Berlina małżonkowie przebyli bez najmniejszego wypadku. Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna nie posiadali się z radości. Jechali oni w wagonie Towarzystwa bezpośredniej komunikacji, i nigdzie nie przesiadywali się. Pociąg pędził jak strzala, zatrzymując się na stacjach, tak, jak poprzednio, tylko najwyżej minutę, ale głód wcale im nie dokuczał. Miejscowi stacyjni z restauracyi kelnerzy roznosili po platformie tace z *buterbrodami* i z kufkami piwa i wsuwali je przez okna do wagonów, jak tylko kto z podróżnych zażądał.

Głafira Siemionowna, odznaczająca się zawsze wybornym apetytem, rzuciła się z żarliwością na *buterbrody* i ciągle w czasie drogi, miała usta nimi wypchane. Mikołaj Iwanowicz pił piwo, gdzie się tylko nadarzyła sposobność; jednym tchem wychylając olbrzymie kufle, a czasami i dwa; znakomity miał humor i raz nawet zaczął rozmowę z jakimś Niemcem o rosyjskiej armii, mianowicie o żołnierzach. Rozmowa rozpoczęła się od tego, że Mikołaj Iwanowicz ruchem głowy ukazał oddział pruskich żołnierzy, stojących na jakiejś stacyi i dodał:

— Głasza, patrz, jacy to niemieccy żołnierze, mali, chudzi, zupełnie podobni do liliputów. Nasz kozak takich pięciu ubilby jedną ręką.

Siedzący naprzeciw Mikołaja Iwanowicza jakiś posepny Niemiec, bardzo starannie i z wielkim smakiem palący cygaro, usłyszawszy w rosyjskiej mowie wyraz *soldat* i *kozak* wnet się domyślił o czem mówią małżonkowie, i rzekł po niemiecku:

— U was, w Rosyi, dużo *soldatów* (żołnierzy) i *kozaków*?

Mikołaj Iwanowicz, zrozumiawszy z przemowy Niemca, tylko wyrazi: *Rusland, viel Soldaten i Kozaken* — zawołał:

— U nas? W Rosyi? *Fil... Fil...* Tak *fil*, że niepodobna ich zliczyć. I *soldat fil* i *kozak fil*. I nasz *kozak*, to nie taki, jak wasz *soldat*. U was *soldaty* cienkie, male, można ich przewrócić, uderzywszy słomką, a nasz kozak. Oho! —

rzekł, powstał z kanapki i podniósł rękę do góry, co miało oznaczać wzrost i postawę. Kulak u niego, to jak młot, najmniejszy waży trzy pudy, to jest sto dwadzieścia funtów, albo sześćdziesiąt kilo.

Mikołaj Iwanowicz zgiął rękę w kulak i podsunął go aż pod noc Niemcowi. Niemiec zrozumiał to w tym sensie, że na wypadek wojny Rosyanie zgniętą kulakiem Niemców, to też tylko wzruszył ramionami i zamruczał:

— To jeszcze Bóg wie, poczem zamilkl i rozmowa się urwała. Mikołaj Iwanowicz zaś rozgorączkowany rozmową, nie przestawał z wielkim zapalem opowiadać o sile *kozaka*.

— Wasz *soldat* nie jest zdolny wypić tyle *sznaps*, co nasz *kozak*. Wy Niemcy *Bir trinkien* możecie *fil*, ale żeby *sznaps* tyle *trinkien* to nie wasza głowa i gardło. Co dla rosyjskiego człowieka zdrowie, to dla Niemca — śmierć. Nasz *kozak* taki naprzykład kufel, jakim Niemcy *Bir trinkien* może wypić wódki i ani się nawet nie zachłyśnie — i nasz rosyjski *Mensz* stoi prosto na nogach jakby to tylko był malutki kieliszeczek, a *dejez Mensz* z pewnością zwaliliby się pod ławkę. U nas *szezi* (kapuśniak) i kaszę jedzą, a u was zupę, *exort* wie z czego, i kielbasę; nasz *soldat* napchawszy chleba czarnego do żołądka zdrów i taki silny, żeby dwóch albo i trzech *dejez soldatów* jedną ręką obalił, a wasz *dejez soldat* tylko białym chlebkiem i bulką się żywi. Dlatego to nasz rosyjski *soldat* ma siłę. *Fersxteen?*

Niemiec milczał i uśmiechał się.

Mikołaj Iwanowicz mówił w dalszym ciągu:

— Z waszego jadła siły się nie nabierze. Myśmy oto w waszym Königsbergu zamierzali pożywić się, *essen*, i nam podali kotlety, mniejsze niż dziób kury, a u nas *komenxy* do cetauracji Tiestowa w Moskwie, to ci podadzą taki kotlet na szerokość dwóch dłoni. Wasze kotlety są *klajn*, a nasze *gros*.

Na zakończenie Mikołaj Iwanowicz zaczął opowiadać Niemcowi, o umiejętności i zręczności jazdy kozackiej i nawet zaczął pokazywać niektóre zwroty i sposoby używania piki.

— A u was, u *dejez soldat*, nie podobnego niema — zakończył, ocierając czoło złane potem.

— Co ty mu prawisz, to wszystko nadaremnie — rzekła Głafira Siemionowna — bo przecież Niemiec ani słowa nie rozumie. Tak jak ty o niemieckim, tak on o rosyjskim języku niema najmniejszego nawet wyobrażenia.

— Przecież mówię niemieckimi wyrazami, więc powinien zrozumieć. Nie bój się, pojął on dobrze wszystko — rzekł Mikołaj Iwanowicz, domyślnie mrugając okiem. — Zrozumiał i umilkł, bo czuje, że ja mówię prawdę...

Wieczorem przyjechali do Berlina.

Pociąg przebiegając nad ulicami i minawszy wielkie domy z olbrzymimi sztyldami, wjechał nareszcie na peron dworca oświetlonego elektrycznością i zatrzymał się.

— Otóż to rozumiem, to jest właściwie Berlin — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Tutaj, nie pytając się wcale, można domyśleć się, że to Berlin. Patrz tylko, jakie to tłumy ludzi, jaki okropny ścis, jaka ciżba, jakby w Niżniem ¹⁾ na dorocznym jarmarku, pod głównym bazarem — wołał Mikołaj Iwanowicz, rozkładając rękami i ciągnąc żonę do okna wagonu. No, wychodź co prędzej z wagonu, bo nas jeszcze dalej powiozą.

Wysiedli.

— Gdzie można odebrać bagaże? Bagaże — zawołał Mikołaj Iwanowicz, podając kwit jakiemuś stróżowi kolejowemu.

— *Weiter, mein Herr!* — odpowiedział tenże opryskliwie i ukazał ręką, wyciągając ją przed siebie.

— Bagaże! — przystąpił znówu Mikołaj Iwanowicz do drugiego stróża i otrzymał tę samą odpowiedź.

Musiał się coraz posuwać, coraz kogo innego pytać i dotarł aż do samego wyjścia z dworca.

Tu stali szwajcarzy z rozmaitych hotelów, z blachami miedzianymi na czapkach i przywoływali do siebie podróżnych,

¹⁾ Niżnyj Nowgorod, albo Niżegorod.

wypowiadając głośno nazwy hotelów. Jeden z takich szwajcarów, posłyszawszy, że Mikołaj Iwanowicz z Głafirą Siemionowną rozmawiają po rosyjsku, zaraz zwrócił się do nich i rzekł lamany językiem rosyjskim:

— W nasz hotel, rozmawiać po rosyjsku. W nasz hotel pierwszej rangi, pokój od dwa marka do dwadzieścia marka.

— Głasza! słyszysz? Pagle po rosyjsku — z radością zawołał Mikołaj Iwanowicz i o mało nie rzucił się szwajcarowi na szyję. — Gołąbku! Potrzebujemy wydostać nasze rzeczy i pakuuki. Po niemiecku my ani w ząb, i już dość nacierpieliśmy się z tej przyczyny podczas podróży, jako Job męczennik. Trzy niemieckie *poltynniki* dostaniesz na herbatę, wydestań tylko nam nasze bagaże.

— Można, można, *wasze prewaschuditelstwo*¹⁾. Proszę jedynie o kwity i niech jaśnie państwo siadają do karety — odpowiedział szwajcar.

— Oto kwity. Ale, oprócz tego, musisz także wypytać się i odebrać inne rzeczy, mianowicie sakwojaże i poduszki. Myśmy w drodze stracili zupełnie głowy i wysiadając z wagonu zapomnieliśmy zabrać sakwojaże i trzy poduszki.

Mikołaj Iwanowicz szczegółowo opowiedział szwajcarowi wypadek z sakwojażami i poduszkami.

— Wszystko to załatwię. Niech jaśnie państwo naprzód siadać w nasza kareta — prosił szwajcar.

— Nam nie potrzeba karety, my w Berlinie nie pozostaniemy; przepędzimy ten czas na dworcu kolei i pojedziemy do Paryża. Nie potrzebujemy równie najmować pokoju w waszym hotelu — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— W takim razie ja nie mogę przyjmować państwa *komision*. Ja służę hotelowi.

Szwajcar zupełnie z inną miną i obojętnie zwrócił kwity.

— No dobrze, dobrze, zajmij się tem, ale zaraz. Wydestań bagaże i rzeczy. Pojedziemy do waszego hotelu — zawołał

¹⁾ Jaśnie wielmożny panie.

Mikołaj Iwanowicz. — *Czort* z wami, Głasza. Zatrzymamy się u nich w hotelu i przenocujemy jedną noc. Tembardziej, że już późno. Gdzie jechać po nocy? Ja nawet jestem niezmiernie kontent, że nasunął się nam człowiek, który rozumie po rosyjsku — mówił Mikołaj Iwanowicz, zachęcając żonę, a do szwajcara powiedział:

— Prowadź nas bracie do twojej karety!

Blisko kwadrans małżonkowie jechali do hotelu ulicami jasno oświetlonemi.

— Odmawiając mu — rzekł Mikołaj Iwanowicz — narazilibyśmy się na to, żebyśmy nie wydostali ani naszych sakwojaży, ani poduszek, i Bóg wie czy sami dalibyśmy sobie radę. Bez języka prawdziwa męka, więc jedno z dwojga złego wybierając, trzeba się było zgodzić na jego uprzejme zaproszenie.

XIII.

— Już jak chcesz — mówiła Głafira Siemionowna — ale ja tutaj, w tym Berlinie, więcej niż jedną noc nie zabawię, nie zostanę tutaj dłużej pod żadnym pozorem. Musimy jutro koniecznie jechać do Paryża. Pojedziemy pierwszym zaraz pociągiem. Niemiecka ziemia stanowczo nam nie służy. Zmiluj się, co to za kraj, w którym gdziekolwiek się tylko obrócisz, to niezawodnie nie trafisz tam, gdzie chcesz.

— Dobrze, dobrze, moja Głasza, pojedziemy jutro, kiedy ci tak pilno — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Piwo tutaj bardzo dobre. Dla samego piwa wartoby tutaj dłużej zabiwać. Piwa dzisiaj napijemy się do syta i jutro pojedziemy.

— Ja nawet teraz jeszcze wątpię, czy przyjechaliśmy do właściwego miejsca, czy to naprawdę Berlin.

— Jak to?

— Czy to Berlin, czy znowu może jakie inne niemieckie miasto.

— Otóż masz! Jakżebyśmy inaczej mogli wydostać nasze bagaże, gdyby to nie był Berlin? Jakim więc sposobem

odzyskalibyśmy zapomniane w wagonie sakwojaże i poduszki? Przecież wiesz bardzo dobrze i sama czytałaś kwity, że zostały przesłane do Berlina.

— Wszystko może się zdarzyć.

— Jednakże widziałaś, przez jakie to bogate, piękne ulice przejeżdżaliśmy. Wszystkie oświetlone gazem, zalane światłem elektrycznym.

— Mimo to wszystko ja chcę, żebyś jeszcze raz spytał się szwajcara, czy to rzeczywiście Berlin.

Mikołaj Iwanowicz podniósł w górę okno od karety i wychyliwszy się do połowy ciała, rzekł do szwajcara, siedzącego na koźle razem z woźnicą:

— Posłuchajno! Jak się nazywasz? My wątpimy ciągle, czy to miasto jest rzeczywiście Berlinem.

— Ależ Berlin! Berlin! Teraz właśnie przejeżdżamy przez najznakomitszą, sławną na cały świat ulicę: *Unter den Linden*, pod lipami — odpowiedział szwajcar.

— Coż tu tak nadzwyczajnego, że ona pod lipami. U nas, bracie w Petersburgu, tych samych lip na bulwarach bez liku, a przecież ulicy tej nie nazywamy najznakomitszą. Waszego Bismarka rzeczywiście uznajemy jako znakomitość, to też gdziekolwiek zajrzesz do dziennika lub gazety, wszędzie natrafisz na jego portret. Gdzie on tutaj u was obral sobie mieszkanie, pokaż mi z łaski swojej. Z przyjemnością popatrzylbym na niego, żywego.

— *Fürst* Bismark niema teraz w Berlinie.

— Takiego najważniejszego człowieka niema. A gdzież tu u was najlepsze piwo?

Piwo wszędzie dobre. Niema lepszego piwa, niż berlińskie. Oto proszę pana znakomity *Branderburger - Thor!* — rzekł szwajcar.

— Po naszymu: Tryumfalna brama. To, braciszku i u nas się znajduje. Tym nawet nam oczów nie zamydlisz. Wy uważacie je za najznakomitsze, a my wcale nie chwalimy się naszymi tryumfalnymi bramami, one u nas na krańcu Peters-

burga i przez nie tylko woły pędzą do rzezalni. Prędko dojedziemy do hotelu?

— Natychmiast, jaśnie wielmożny panie.

Kareta zatrzymała się przy jasno oświetlonym wjeździe do hotelu. Szwajcar zeskoczył z kozła i zaczął dopomagać do wysiadania tak Mikołajowi Iwanowiczowi, jak i Głafirze Siemionownej i wprowadził ich do przedsienia. Drugi zaś szwajcar znajdujący się tutaj zadzwonił w wielki dzwon. Gdzieś tam w głębi odpowiedział na to dźwięk małego dzwoneczka, o tonie nadzwyczaj delikatnym. Ze schodów zbiegł kelner we fraku.

— *Sie wünschen ein Zimmer, mein Herr?* ¹⁾

— Tak, tak, tylko nie obdzierajcie, chcę wiedzieć rzetelną i nieprzesadzoną, ludzką cenę — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— *Der Herr spricht nicht deutsch* — szepnął szwajcar kelnerowi, a zwracając się do Mikołaja Iwanowicza, rzekł:

— Za pięć marek otrzymają jaśnie państwo wysmienity pokój z dwoma łózkami.

— Więc to niby za pięć *pollinnikow*? Czy tak? Wasza niemiecka marka, to tyle co nasz rosyjski *pollinnik*?

— Cokolwiek więcej. Racz pani pozwolić. Proszę jaśnie pana.

Małżonkowie weszli do jakiegoś małego pokoiku. Szwajcar zatrzasnął oszklone drzwi. Rozległ się dźwięk elektrycznego dzwonka, potem dało się słyszeć gwizdnięcie i pokój zaczął podnosić się do góry w zupełnej ciemności.

— Aj! Aj! — krzyknęła wylękła Głafira Siemionowna. — Co to jest? Mikołaj Iwanycz. Gołabku! Co to takiego? Chwyła się męża i zaczęła trząść się jak w febrze.

— To, *Madame*, winda — odpowiedział głos szwajcara.

— Nie potrzeba. Nie potrzeba. Otworzyć. Puśćcie nas! Ja się okropnie boję. Ciemno. Ja się strasznie lękam. Bóg wie, co się z nami stanie. Puszczajcie!

¹⁾ Pan życzy sobie pokój?

— Niepodobna *Madame*. Teraz maszyny zatrzymać nie można. Teraz bardzo łatwo mogłoby zdarzyć się nieszczęście — śmierć!

— Mikołaj Iwanycz! Cóż ty milczysz, jak posag?

Mikołaj Iwanowicz sam także drżał z przestachu. Odychał ciężko i wreszcie zdołał wykrztusić wyrazy:

— Bądź cierpliwą Głasza... Ufaj Bogu... Przecież dostaniemy się gdzieś nareszcie.

W ciągu minuty maszyna zatrzymała się, szwajcar otworzył drzwi i rzekł:

— Proszę, *Madame*.

— Tfu! Zebyście pozdychali z waszą przeklętą maszyną — zaczął krzyżeć z gniewem Mikołaj Iwanowicz, wychodząc na platformę, a następnie poprowadził żonę na schody. Bardzo się wylęknął?

— Okropnie! I ręce i nogi drżą podemną. Myślałam, że nas Bóg wie gdzie rzuca. Miejsce obce, nieznanne, dokoła wszyscy Niemcy. Myślę sobie w duchu, chwycą za gardło i uduszą.

— *Madame*, to hotel pierwszej klasy, pierwszej rangi — wtrącił szwajcar, jakby obrażony.

— Plunąć na waszą pierwszą klasą, na pierwszą rangę. Powinniście się naprzód spytać, czy ludzie życzą sobie kołysać się w waszej przeklętej kolebce. Wy tylko umiecie za wasze sztuki wydierać darmo pieniądze od podróżnych. Nie płac im Mikołaj Iwanowicz za tę klątkę djabelską, nie im się nie należy...

— *Madame*, my za windę nie nie bierzemy.

— Nie nie bierzecie, to tym sposobem powinniście jeszcze nam płacić za przestach i bojaźń. Cóżby się stało, gdybym dostała rozdrażnienia nerwów, albo zemdlala?

— *Pardon Madame*. Nie mieliśmy zamiaru...

— Nam, braciszku, nie nie przyjdzie z waszego pardonu — zawołał Mikołaj Iwanowicz — z tego szuby nie uszyjesz... — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Uspokój się Głasza, uspokój.

— Czy przynajmniej jeszcze jestem cała? Czy mi nie brak, czy mam brylantową broszkę, zaczęła się obmacywać Głafira Siemionowna.

— Ależ pani... Oprócz mnie i męża pani, nikogo na maszynie nie było — mówił szwajcar, mocno zakłopotany; poprowadził małżonków kurytarzem i otworzył numer.

— Oto... z okien będą państwo mieli prześliczny widok na plac paryski.

— Ceny jednak straszliwe — narzekał Mikołaj Iwanowicz, zaglądając do numeru. Wejdźmy tam Głasza!

Głafira Siemionowna długo wahała się.

— Może znowu nagle pokój zciemnieje i zacznie się podnosić w górę? — zapytała. — Ja, Mikołaju Iwanowiczu, nie mogę znosić nic podobnego. Zaraz dostaję rozdrażnienia nerwów i zobaczysz, że i z tobą będzie także nie bardzo zdrowo.

— Ale nie obawiaj się. To już pokój zwykły.

— Kto tam ich wie. W ich niemieckiej ziemi wszystko na opak. Czy ten pokój bez maszyny? Czy nigdy nie podniesie się, ani opadnie? — pytała szwajcara.

— O nie, pani. To zupełnie zwyczajny, najzwyczajniejszy pokój.

Głafira Siemionowna z wielką bojaźnią weszła do pokoju.

— O Boże — szepnęła sama do siebie — żeby tę noc jakkolwiek przepędzić i jak najprędzej uciekać stąd.

— Dobrze, zostaniemy tutaj — powiedział Mikołaj Iwanowicz, siadając na krześle. — Każ przynieść nasze rzeczy. A jak się nazywasz? — dodał, obracając się do szwajcara.

— Franciszek.

— A zatem, *Her Franc*, więc już pozostaniesz przy nas, ponieważ umiesz mówić po rosyjsku. Trzy *polliny* obiecałem dać, a jeżeli przez wieczór zostaniesz z nami i jutro usadowisz nas we właściwym wagonie, żebyśmy znowu nie zmylili drogi do Paryża, to ofiaruję za to sześć *pollin*. Zgoda?

— Z największą przyjemnością, jaśnie wielmożny panie. Czy nie każesz pan przynieść co z bufetu?

— Przedewszystkiem herbaty.

— Nawet możemy dać i rosyjski samowar.

Szwajcar zadzwonił, wywołał kelnera i powiedział coś do niego po niemiecku.

— Głasza! Słyszysz! Podadzą nam nawet rosyjski samowar — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Żona siedziała nachmurzona. — Coż ty znowu, dziecko jesteś, czy co? Czego się lękaś? Wszak ten pokój nie jest ruchowy. Nigdzie nas z niego nie wyrzucą.

— Mój kochany, Niemcom nie można wierzyć i nie można za nie ręczyć. Jeżeli tutaj zmuszają człowieka do jedzenia obiadu za pośrednictwem telegrafu, to co można o nich myśleć.

— A tak... Czy możemy dzisiaj zjeść gorącą kolację — zapytał szwajcara.

— Tak jest. U nas doskonała kuchnia.

— I nie potrzeba posyłać telegramu? — zapytała Głafira Siemionowna.

Szwajcar spojrział na nią mocno zdumiony.

— Na co telegramu? Żadnego telegramu.

XIV.

Kiedy szwajcar oddalił się, kelner przyniósł herbatę i ten rosyjski samowar, którym się tak chwalił szwajcar. Głafira Siemionowna, chociaż jeszcze drżała ze strachu, na widok upragnionego samowara wesóło się roześmiała.

— Patrz... Patrz... I oni to nazywają rosyjskim samowarem? Ani rury, ani mieszka — mówiła, zwracając się do męża. — Jakieś wielkie melchierowe jajko z kranem, a pod spodem spirytusowa lampka, oto wszystko.

— Mniejsza o to. Czy nie widzisz, że tutaj ludzie bez pojęcia o rosyjskim życiu — odpowiedział z pogardą Mikołaj Iwanowicz. — Niemcy, choćbyś im kolki ciesała na głowie, to nie nie poradzisz, nie zmieniają swych wiekowych uprzedzeń. No, ja będę się teraz mył, a ty tymczasem nalewaj herbatę.

Napijemy się herbaty i przekąsimy z lekka bulkami, a na noc zjemy przyzwoitą i obfitą kolację.

— *Geenzy Kelner*... nie więcej nie potrzeba, *nichts* — rzekła Głafira Siemionowna.

Napiwszy się herbaty, Mikołaj Iwanowicz znowu zadzwonił na szwajcara.

— No, *Her Franc*, trzeba nam będzie obejrzeć Berlin. Prowadź nas — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Nie... Nie... Nie pójdę nigdzie ani na krok... — krzyknęła Głafira Siemionowna. — Jeszcze znowu wpadniemy w jaką maszynę, na podobieństwo tej przeklętej windy — wyłęknię się i gotowam się rozchorować.

— Ależ, moja kochana, to dzieciństwo. *Her Franc* zaraz nas uprzedzi, jeżeliby miało się wydarzyć coś takiego.

— Tak jest, *Madame*. Bądźcie państwo spokojni. Więcej nic takiego nie wydarzy się — odpowiedział szwajcar.

— Pójdziemy, Głasza — prosił mąż.

— Wreszcie zgoda. Tylko ja nie chcę puszczać się z powrotem tą przeklętą maszyną, nie mam zamiaru zjeżdżać na dół.

— Gdzież *Her Franc* nabył tego rosyjskiego wykształcenia, gdzie się uczył, w jakiej akademii nauk? — pytał Mikołaj Iwanowicz szwajcara.

— Ja, *mosje*, zarządzałem w Warszawie jednym wielkim hotelem i tam nauczyłem się po rosyjsku.

— Ale jesteś Niemiec?

— Jestem więcej Polakiem niż Niemcem.

— Czy czasem nie Żyd?

— Cóż znowu, jaśnie wielmożny panie. Jestem Polakiem, chociaż rodzilem się w Königsbergu.

— W Königsbergu? Korzyści z niego nie będzie żadnej — zawołała Głafira Siemionowna. Będę umierać a nie zapomnę nigdy o tem przeklętym mieście. W tem mieście wzbронili nam obiadu, żądając koniecznie jakiegoś telegramu, w tem mieście myśmy zabłądzili, i dostaliśmy się do jakiegoś

berlińskiego zajazdu, do jakiegoś hamburskiego pociągu, i pojechaliśmy tam, gdzie nam zupełnie nie wypadło.

— Przecież hamburski pociąg ten sam co i berliński, oba w jedną stronę jadą. Od Königsberga oba pociągi dochodzą do Dirschau.

— Dirschau? O tem Dirschau lepiej pan nie wspominać. To żadne miasto, to jakiś prowincjonalny, zapadły partykularz — zawołał z kolei Mikołaj Iwanowicz. — Tam same rozbójniki. Oni to właśnie wprowadzili nas w błąd, twierdząc, że przyjechaliśmy do Berlina, że to jest Berlin i przetrzymawszy nas w tym oblężeniu przez całą noc, zdarli nielitościwie, bez miłosierdzia.

Szwajcar wzruszył ramionami.

— Godne podziwu, że się coś podobnego wydarzyło; mówią państwo niestworzone rzeczy o tym Königsbergu. Od Königsberga do Dirschau jeden pociąg i do Hamburga i do Berlina. Państwu wypadło tylko wysiąść w Dirschau i przesiąść się do innego pociągu.

— Tak? Nam właśnie powiedziano, że trzeba koniecznie wracać do Königsberga i my rzeczywiście, nie dojeżdżając do Dirschau, wysiedliśmy z wagonu na jakiejś stacyi i następnie z powrotem pojechaliśmy do Königsberga, żeby stamtąd dopiero, to jest z Königsberga wsiąść do pociągu, odchodzącego do Berlina.

— Ależ to żart. Ktoś sobie pozwolił z państwem dość nieprzyzwoitego żartu.

— Jakto żart? Przecie nam to wyraźnie zapowiedział konduktor i prawie gwałtem zmusił do opuszczenia wagonu. To samo usłyszeliśmy z ust naczelnika stacyi, a nawet żądał, abyśmy zapłacili karę.

— Państwa obalamucono najprostszym sposobem, albo też może państwo nie zrozumieliście, co do was mówiono. Pociąg od Königsberga, jak do Berlina, tak i do Hamburga jeden, tylko w Dirschau on się rozdziela — mówił szwajcar.

— Ale gdzie tam! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— Niema się o co sprzeczać, Kola — wtrąciła żona. — Niezawodnie albo wprowadzili nas w błąd, a może chcieli sobie z nas zrobić zabawkę, zażartować, jak z dziećmi, wreszcie może i my nie zrozumieliśmy dobrze, ponieważ mówiono po niemiecku. Gadają, gadają, a kto ich tam wie, co, dosyć że gadają. Ja po niemiecku znam tylko wyrazy salonowe, a ty tylko chmielne, to jest trunkowe, to bardzo łatwo kota przewrócić do góry ogonem, i wmówić w kogo, że jest dzień, gdy właśnie jest noc tak ciemna, że choć oko wykol.

— Zapewniam pana, że państwo nie potrzebowaliście zgola wracać do Königsberga, żeby stamtąd dopiero pojechać do Berlina. Droga do Dirschau jedna i ta sama. Wiem o tem bardzo dokładnie, bom służył na tej drodze, twierdził z uporem szwajcar.

Mikołaj Iwanowicz z gniewem drapał się po głowie i zrzędził:

— Bez języka... bez języka... bieda kto nie umie obcego języka. Zresztą, cóż tam dziś u was w Berlinie szczególnego do widzenia? — zapytał niespodzianie szwajcara.

— Do teatru już jest zapóźno — nie zdążymy na początek przedstawienia, ale możnaby odwiedzić nasze aquarium.

— Tak, więc i u was jak w Petersburgu, jest także aquarium? Glasza, słyszysz! U nich w Berlinie jest również aquarium.

— Nasze akwarium berlińskie, należy do osobliwości. Pierwsze w Europie.

— Brawo! A kto tam u was gra?

Szwajcar popatrzył na Mikołaja Iwanowicza wytrzeszczonymi oczami, jakby zdumiony niesłychanie, mówiąc:

— Ryby... Ryby... i amfibien!

— Czyż to być może... Ryby?

— O panie, tam mnóstwo ryb. Są ryby morskie, są ryby aż z Oceanu.

— I grają?

— Tak... tak... grają.

— Głasza, słyszysz? W ich akwariumie grają ryby. Trzeba koniecznie tam pójść i posłuchać.

— Dajże mi pokój, nie ciekawam — odpowiedziała żona.

— Wedle jego opowiadania, to coś osobliwego, nie zdarzy się nam drugi raz w życiu usłyszeć coś podobnego. Ktoż tam jest dyrektorem? — dopytywał się Mikołaj Iwanowicz.

— To jest... jak pan myśli... bo ja tego trochę nie rozumiem — rzekł z podziwieniem szwajcar.

— Pytam się, kto jest tam dyrektorem? Bo przecież sam pan powiedziałeś...

— Wcale nie. Nic nie mówiłem o tem.

— Przepraszam bardzo, wymieniałeś pan nazwisko, jakiego Ani... Antibi...

— Mówiłem, że są ryby i amfibien — rzekł szwajcar.

— Posłuchajmy tego, bracie, *Her Franc*, tego Amfibiena. Prowadź nas. Głasza, ubieraj się. Czy to daleko?

— Prawie na równej linii, *unter den Linden* — odpowiedział szwajcar.

— Coż to takiego, ja po niemiecku nie rozumiem.

— Nasz bulwar pod lipami. Ja już to panu dawniej objaśniałem i pokazywałem.

— Aha, przypominam sobie. No Głasza, spiesz się, bo to już późno. Tymczasem, *Her Franc*, obstaluj bracie dla nas w hotelu kolację na godzinę dwunastą, bo się boję, żebyśmy nie poszli spać głodni.

— Dlaczego tutaj? — podszeptał Mikołajowi Iwanowiczowi szwajcar, ośmielony jego tonem poufałym. — Znajdziemy przecież coś lepszego w innej restauracji, w restauracji wesołej, uczęszczanej.

— Doskonale! Wyśmienicie! Lubię to! Głasza!

— Jestem gotowa.

Z alkowy wyszła Głafira Siemionowna w waterpruwie¹⁾ i kapeluszu, małżonkowie wyszli z numeru, za nimi szwajcar.

¹⁾ Po angielsku, znaczy płaszcz nieprzemakalny.

XV.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, w towarzystwie szwajcara, zeszli ze schodów i udali się na ulicę, przylegającą do bulwaru *Unter den Linden* i wkrótce zwrócili się ku tej stronie. Była godzina dziesiąta wieczorem, zamykano już niektóre sklepy, zagasiwszy gaz w oknach, ale ruch na ulicy nie uztawał. Huczały koła ekwipażów, omnibusów, rozlegały się trzaskania biczami, ciągnęły się szeregi wozów, naładowane ciężarami prawie do wysokości trzeciego piętra, zaprężone dwoma, trzema i czterema końmi, w lawkę i w koń przed koń. Lekkie powozy pędziły ostrożnie bokiem, ustępując z drogi tym dziwotworom.

— Oto nasza najznakomitsza ulica — chlubił się z dumą szwajcar. — Nasz Newskij Prospekt.

— Jeżeli ma naśladować Newski Prospekt, dlaczego puszczają i pozwalają jeździć po niej wozom z ciężarem i tym sposobem tamować komunikację? Patrz tylko, jakie to olbrzymie fury, prawie tak wysokie, jak domy.

— Gdzież się podzięją? Przecież to ulica. Jedzie każdy w swoją stronę.

— Niech krążą po bocznych ulicach i tamtędy objeżdżają. Tutaj spacer dla wyższej sfery publiczności, a tymczasem raptem natyka się na kogoś wóz. I jeszcze jaki, z ciężarem. Nie, u nas w Petersburgu nie wolno wlec się po pryncypalnych ulicach wozom ciężarowym. Jedź dokola! Nie tęgie, brat *Franc*, u was porządki, chociaż to Berlin.

— A jeżeli im pilno, jeżeli jadą w ważnym interesie, z zamówionym ciężarem? — zapytał szwajcar.

— Czy tam ważny interes, czy ciężar a raczej przewiezienie ciężaru zamówione, nikogo to zgoła nie obchodzi. Deszcz na niego nie pada i nie spieszy się na przedstawienie do teatru.

— Ale tym sposobem cena transportu towarów znacznie podskoczyłaby.

— Jak to?

— A tak. Woźnica jadąc prostą drogą, nie traci na próżno czasu, więc też może się ugodzić za przewóz po cenach przystępnych, gdy przeciwnie, nakładając drogi, nie jest w stanie dostarczyć towaru w oznaczonej godzinie. Tu u nas ekonomia, ekonomia.

— To już wiadomo, Niemcy z tego słyną.

— Dlaczego jednak takie wielkie u was wozy, które muszą być zaprzężone co najmniej w dwa, trzy lub cztery konie. U nas wozy są wszystkie jednokonne.

— Wielkie wozy, to także ekonomia — rzekł szwajcar. — Do każdego małego, jednokonnego wozu, musi być furman a do wielkiego wozu w dwa, lub trzy konie także wystarczy tylko jeden foryś. Na wielki wóz można naładować tyle towaru, co na trzy wozy jednokonne, tym sposobem zaoszczędzamy dwóch ludzi, to jest dwóch forysiów. Ci ostatni tymczasem mogą się zająć czem innym.

— Oj! Oj! Znakomite wyrachowanie. Czy słyszysz Glasza?

— Doskonale. Pozwól no, niech się przypatrzę tym kapelusom — mówiła Głafira Siemionowna — bo ją to więcej zaciekawiało niż rozprawa ekonomiczna.

Jakoż zatrzymała się przed modnym magazynem.

— Oto nasze znakomite akwarium — rzekł szwajcar, ukazując przedsiemek jakiegoś gmachu, oświetlony elektrycznym światłem. — Raczcie państwo wejść na górę.

— Jakto na górę? Alboż u was akwarium, to nie ogród — wyrzekł Mikołaj Iwanowicz wielce zdumiony. — U nas mieści się w ogrodzie.

— Niepodobna. Tu są ryby, dla których klimat nasz nieodpowiedni, żyją bowiem w cieplej strefie, więc potrzebują ciepła. Niech pan zdejmie palto i odda służącemu. Bo tu jest bardzo ciepło.

— Zdejmę. Zdejmę! No dźwigaj się na górę Glasza. Ja myślałem, *Franc*, że u was w akwariunie, ten... jakże... ten co do nas przyjeżdżał... Straus... — dodał wreszcie przypo-

mniawszy sobie nazwisko Mikołaj Iwanowicz. — Ja myślałem, że u was w akwarium Straus — powtórzył.

— Straus w ogrodzie zoologicznym... Tam i straus, tam i żyrafa, tam i hippopotam, tam i wasz biały niedźwiedź, *Eisber*, po naszymu, niedźwiedź z pod bieguna lodowatego.

Małżonkowie wzięli bilety i weszli do akwarium w towarzystwie szwajcara. Na prawo i na lewo oszklone rezerwoary z pływającymi w wodzie rybami. Mikołaj Iwanowicz spojrział pobieżnie i rzekł do szwajcara:

— Co się mamy przyglądać zwykłym rydom. U nas tego dobrego napatrzeć się można w każdej restauracyi, jak pływają w cebrzyku. Oto lepiej zaprowadź nas do ryb uczonych, które wykonują muzyczne utwory.

Szwajcar spojrział na niego z boku i poprowadził dalej. Zobaczyli terrarium z szyldekretami.

— Oto nasze szyldekrety — rzekł.

— Żółwie! — zawołała Głafira Siemionowna, zaglądając do środka. — Fe! to obrzydliwe. Prowadź nas czem prędzej na estradę.

Szwajcar znowu spojrział ukradkiem. Nie mógł zupełnie zrozumieć, w jakim celu podróżni przyszli do akwarium, kiedy nie chcą na nic patrzeć.

Natychmiast pokażę państwu znakomitego orangutana i gorylla — rzekł szwajcar.

— To znaczy, małpy? — spytała Głafira Siemionowna. — Nie, nie potrzeba nam wcale małp. Ich widok nie sprawia żadnej przyjemności. Nic osobliwego! Pan prowadź nas co prędzej do tego... Jak to pan go nazwał? A! Amfibien!... Prowadź tam, gdzie jest ten Amfibien, gdzie on gra. Tutaj nawet niema wcale publiczności.

— *Madame* życzy sobie widzieć amfibien — rzekł szwajcar z ironicznym uśmiechem. — Bardzo wiele dam nie lubi przypatrywać się amfibien. *Madame*, odważna dama. Oto zaczynają się amfibien... — mówił szwajcar, ukazując basen. — Tutaj krokodyl...

Głafira Siemionowna, odskoczyła ze strachem, ujrawszy z wody wystającą głowę krokodyla.

— Tfu! Tfu! — zaczęła płuć. — Jak pan nie wstydzi się, pokazywać nam takie obrzydliwości. My pana prosimy, żebyś pan nas zaprowadził do waszego Amfibiena, a pan jak na złość...

— Przecież pani patrzy na amfibieny... — zaczął mówić szwajcar.

— Dalej! Dalej *Franc*. Co to znaczy właściwie? Przecież mówimy do ciebie po rosyjsku, że nie chcemy oglądać tego paskudztwa — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

Szwajcar nie wiedział co na to odpowiedzieć.

— *Madame* prosi amfibien...

— No tak, prowadźcie więc do niego. Tymczasem pokazujecie nam jakieś jaszczurki i żaby.

Zwrócili się z powrotem.

— Oto jest! — rzekł szwajcar.

Za szkłem z pod kamienia wysunęła się wielka żmija, owinęła się około drzewa, podnosząc głowę i roztwierając paszczkę. Zobaczywszy ją Głafira Siemionowna, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się ku mężowi.

— Kola! Gołabeczku! Wyprowadź mnie stąd jak najprędzej. Nie mogę... Nie mogę... Wiesz, że żmij nie cierpię, lękam się... Nogi i ręce mi się trzęsą... Mogę omdleć.

Rzeczywiście drżała całym ciałem. W oczach jej ukazały się łzy.

— *Her Franc!* Czy wreszcie skończy się to kiedy? To obrzydliwość! — zakrzyczał Mikołaj Iwanowicz na szwajcara. — Mówimy ci po rosyjsku, że nie chcemy patrzeć na te paskudztwa. Tysiąc razy już ciebie prosiliśmy, żebyś nas zaprowadził na muzykę, a ty, djabli wiedzą dlaczego, tu nas wprowadziłeś.

— Na jaką muzykę? — zapytał szwajcar zdziwiony. — Tutaj niema żadnej muzyki.

— Jak to niema? Wszak to akwarium?

— Tak jest, akwarium, ale muzyki w niem niema.

— Jakże to akwarium może istnieć bez muzyki? Chcesz nas poprostu obalamucić. Wszędzie w akwarium bywa muzyka. Czy my tego nie rozumiemy? U nas w Petersburgu także jest akwarium z muzyką.

— A u nas w Berlinie, niema muzyki.

— Przecież poprzednio mówiłeś, że tutaj muzyka, że tu także uczone ryby grają, że tutaj jakiś tam wasz Niemiec Amfibien dyryguje orkiestrą.

— Nigdy tego do jaśnie wielmożnego pana nie mówiłem.

— Głaska, słyszysz! On jeszcze śmie mi w oczy zadawać kłamstwo.

— Mówiłeś pan, mówiłeś. Myśmy pana właśnie pytali się niedawno o Straussa, a pan odpowiedziałeś, że Strauss dyryguje w zoologicznym ogrodzie a tutaj Amfibien — zaczęła mu Głafira Siemionowna mówić do oczów.

— *Madame*, państwo mię źle zrozumieli. Ja nigdy nie mówiłem o muzyce. Amfibien, to zwierzęta: krokodyl, żmija; straus także zwierzę — ptak.

— Co ty mi tam głowę zawracasz Strausem. Straus, dyrektor orkiestry, kapelmeister, muzykant, kompozytor. Ja sama jego walce grywam na fortepianie.

— Tak, to prawda... Ale ten Straus - nie w Berlinie tylko w Wiedniu. Ja zaś państwu mówiłem o ptaku, o strusiu!

— Nowe balamuctwo. Niemieccyzna wszędzie jedna i ta sama — szepnął Mikołaj Iwanowicz. — Nawet rozmawiając po rosyjsku, nie możemy zrozumieć jeden drugiego. Więc niema w tutejszem akwarium muzyki? — zapytał szwajcara.

— Nie. Tutaj zwierzęta. Amfibien także zwierzęta.

— Niema żadnej muzyki?

— Żadnej.

— Więc muszę cię zapytać, w jakim celu nas tu wprowadziłeś? W jakim celu z twojej przyczyny zapłaciłem trzy *poltynniki* za bilety w kasie, a przytem jeszcze trzeba było zapłacić za zachowanie ubrania. Prowadź nas napowrót.

Szwajcar wrzucił ramionami i zwrócił się do drzwi. Za nim postępował Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna.

— Ty wiesz przecie, że nie mogę patrzeć na żmiję. Kiedy widzę żmiję, tak się wnet we mnie, w środku, coś trzęsie, że czuję się osłabioną, zupełnie chorą — mówiła do męża Głafira Siemionowna.

XVI.

— Gdzież teraz? — zapytał Mikołaj Iwanowicz Głafirę Siemionownę, wyszedłszy z akwarium na ulicę.

Towarzyszący im szwajcar hotelowy, chciał coś powiedzieć, ale Głafira Siemionowna nadzwyczajnie rozdrażniona, krzyknęła:

— Nigdzie. Stanowczo nigdzie. Dla mnie aż nadto już tych przyjemności. Prosto do domu, do hotelu, a jutro pierwszym pociągiem do Paryża. Nie mam chęci bliższego zapoznania się z Berlinem. Bo znowu zamiast muzyki, wpadniemy na jaką żmiję. Dość tego. Aż nadto tego dobrego. Uczęsto-wałeś nas, jak należy, waszem akwarium. No, cóż stoisz? Prowadź nas napowrót do hotelu — rzekła, zwracając się do szwajcara hotelowego.

— Ja chciałem zaproponować *Madame*...

— Nie chcę, nie potrzebuję żadnych propozycji... Prosto do hotelu.

— Głaska! Może przynajmniej wstąpimy gdzie do *Bier-hale*, żeby się piwa...

— W hotelu także możesz się napić piwa.

Poczem Głafira Siemionowna poszła naprzód.

— Nie tędy, *Madame*... Nie w tę stronę... Do hotelu na prawo — rzekł szwajcar.

Odwróciła się i zmieniła kierunek. Za nią szedł Mikołaj Iwanowicz i szwajcar.

— Ach, jakie ja panu chciałem pokazać wesołe miejsce — szepnął szwajcar Mikołajowi Iwanowiczowi.

— Głaska, *Franc* mówi, że chciał nam pokazać jakiś wesoły kącik, gdzie piją i grają. Tam zjedlibyśmy kolację i wypilibyśmy piwa.

— Także ze żmiją? Nie, dziękuję za to najpokorniej — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Niema tam żadnej żmii. Tam śpiewają i grają. Tam szansonetki i sztuki opery... Tam tańce... Tam wyborna kuchnia i można dostać wyśmienitą kolację, dogadywał nieustannie szwajcar.

— Żeby się najęść żmii? Niedawno ukazałeś nam żywą żmiję, a teraz zapraszasz na smażoną? Dziękuję.

— Niech jaśnie wielmożny pan namówi panią — rzekł cicho szwajcar. — Miejsce niezmiernie uczęszczane i wesołe. Znajdują się i śliczne kobiety. Jaśnie pan przekona się, że mówię prawdę.

— Nie, to napróżno, jak wzięła na kiel, to nic nie może namowa, można ją utłuc w stępie, a nie zgodzi się — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Prowadź do domu i zamów kolację.

W ciągu niespełna kwadransa znaleźli się w numerze hotelu. Głafira Siemionowna, z wielką radością zrzuciła z siebie waterpruf, zdjęła kapelusz i siadła w kącie zachmurzona. Mikołaj Iwanowicz spojrzawszy na nią poruszył głową. Szwajcar podał mu kartę potraw i stanął na boku. Mikołaj Iwanowicz obrócił jadłospis, z jednej strony na drugą, a następnie rzekł:

— Ja, braciszku, jak mam w ręku kartę po niemiecku napisaną, to popatrzę tylko na nią i na tem się kończy, bo nie rozumiem ani słowa. Głaska, co ty chcesz jeść? — zapytał żony.

— Nic. Głowa mię boli.

— Niepodobna przecież, moja droga, nie nie jeść. Jutro rano pojedziemy do Paryża, więc trzeba co zjeść przed odejściem pociągu. O której godzinie, *Franc*, odchodzi pociąg do Paryża?

— O godzinie ósmej rano. Państwo pojedą na Kōln i tam będą się przesiadać do innego pociągu. Do Kōln przychodzi pociąg wieczorem, i tylko tam można coś zjeść, ale do samego Kōln pociąg nie zatrzymuje się dłużej na stacyach, jak dwie lub trzy minuty.

— Otóż widzisz Glasza, trzeba koniecznie, żebyś coś zjadła wieczorem — namawiał żonę Mikołaj Iwanowicz. — Powiedz, co sobie życzysz, a *Franc* zamówi.

— Dziękuję. Nie myślę jeść żmii z jego obstalunku.

— Ach, *Madame, Madame!* Że też pani nie może zapomnieć o tej tam żmii — zaczął usprawiedliwiać się szwajcar. — Nie miałem zamiaru wyrządzić pani takiej przykrości. Doprawdy, nawet myśl ta nie postąpiła mi w głowie ani na chwilę. Że zaś znalazła się tam żmija, rzecz bardzo naturalna, przecież to akwarium. Akwarium nie może być bez krokodyla i bez żmii, bez ryb i amfibien.

— Kłamiesz, bo może być. U nas w Petersburgu znajduje się akwarium bez krokodyla i bez żmii. Nawet tam ryb niema. Pływa karaś z obgryzionym ogonem, parę styczek i oto wszystko.

— To w każdym razie, nie jest to prawdziwe akwarium.

— Kłamiesz. Jedno z najlepszych. Przecież wasz Niemiec tam dyrygował orkiestrą.

— Cóż zjesz co? Dostyc już tego gniewu i uporów — rzekł stanowczo Mikołaj Iwanowicz.

— Nakarmią nas jakim paskudztwem niemieckiem. Oto, gdyby był kapuśniak.

— Czy macie *szezi*? *Franc*.

— Nie, tu kapuśniaku wcale nie znamy. *Szezi*, to jest po naszymu kapuśniak, tylko istnieje w jednej Rosyi.

— Więc może znajdzie się, a raczej może potrafią przyrządzić pierog z syrem i z jajami, podlany sosem, przynajmniej będą widziała co jem.

— Pierog, *Madame*, to rosyjska potrawa. Tu w Berlinie takich potraw nie jadamy.

— Więc poprostu niema tu nic do jedzenia. Tego nie jadacie, tamtego znowu nie wolno, więc coś wreszcie można u was dostać?

— Jeżeli chcesz, to może kielbaski z kwaszoną kapustą? Kielbaski parowe jadłbym ze smakiem. A muszą one być wyśmienite, bo Berlin to przybytek kielbas, to potrawa niemiecka.

— Ale czy ty wiesz, czem one są nadsziewane? Może psiem mięsem.

— Zapropomowałbym państwu majonez z ryby — rzekł szwajcar.

— Nie, nie, nie. Nie rybnego. Zamiast ryby podsuniecie żmiję.

— Znowu żmiję. Nie, *Madame*, tutaj żmii nie jadają — powiedział szwajcar oburzony.

— To dacie węgorza, co na jedno wychodzi.

— Ona nawet *sterleti* ¹⁾ nie jada, bo jej się zdaje, że to także żmija — rzekł Mikołaj Iwanowicz i zapytał wreszcie szwajcara, czy nie możnaby przyrządzić *sielanki* ²⁾.

— I sielanki nie będą jadła, bo co oni tam włożą; namiesząją rozmaitych brzydactw i strują jeszcze człowieka. Kto ich tam wie, czy nie kładą do tego myszy? W takiej ubitej masie, trudno rozpoznać.

— To, może prosiaka, podlanego śmietaną z chrzanem. Jak myślisz, *Franc*.

— Sielanka i prosiak podobnie przyrządzony, są to rosyjskie narodowe potrawy — odpowiedział szwajcar.

— A niechże was... — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Przecież prosiak, to świnia, a wy, Niemcy, wychowani jesteście na świninie i kielbasach, więc dali wam nawet przydomek — *niemiecka kielbasa*.

— Wiem o tem wszystkiem doskonale, mimo to jednak tu nie jadają prosiaków. Właściwie jedzą, ale bardzo mało.

¹⁾ Ryba rosyjska z rzeki Wolgi.

²⁾ Rodzaj bigosu, smarzonego na patelni.

— Dlaczego?

— Z ekonomii. Prosiak może wyrość na wielkiego wieprza. To też wielkie świnie jedzą.

— Głasza! Słyszysz! Znowu ekonomia! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Ależ *Franc*, bój się Boga, dlaczego wy umieracie? Niemcy nie powinni umierać także skutkiem obrachowania ekonomicznego, bo przecież pogrzeb bardzo wiele kosztuje.

Szwajcar uśmiechnął się.

— To może nareszcie dostanie kawał wędliny z grochem? — zapytała Głafira Siemionowna.

— To można, *Madame*. Wędlina z grochem i z ziemniakami i z rosyjską kwaszoną kapustą, *Sauerkohl* — odpowiedział szwajcar.

— A więc dobrze, wędlina z grochem i bulion. Można bulion?

— Można, *Madame*.

— Dodaj jeszcze do tego dwie porceye cielęcych kotletów, przytem bewsztyka, także dwie porceye — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zacierając ręce.

— Spodziewam się, że można? — zapytał szwajcar, jakby niedowierzał.

— Można, można, ale baranie kotlety nie cielęce, bo cielęcych niema w spisie potraw — rzekł szwajcar.

— Czy także z powodu ekonomii — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Tak jest — odpowiedział szwajcar z uśmiechem.

— Ach *cxorty, cxorty*, cheiwi jesteście, jak żydzi. Niech więc będą baranie kotlety. Moznaby dołożyć do tego kurczątek parę?

— Można, *monsie*?

— Więc parę kurcząt, ale piwa, piwa jak najwięcej. Czyby nie można nalać go w wielki jaki dzbanek?

— Można, można — mówił szwajcar, poruszając głową. — Czy już wszystko?

— Czegoż jeszcze więcej. I tego dosyć. Albo nie. Zamów mi jeszcze, bracie, parę kielbasek niemieckich. Chociaż one u was może nadziewane są psiem mięsem, ale zawsze mam chęć spróbować... Żona nie będzie jadła, ale ja zjem. Niepodobna bawiąc na Niemieczyźnie nie spróbować niemieckich kielbasek. Tylko to nieszczęście, że niema u was prostej rosyjskiej wódki.

— Jest *Kimmel* — odpowiedział szwajcar.

— Słodycz niemiecka. Co to za wódka! No, ale każ wreszcie podać, niema innej rady.

Zamówiono tedy kolacyę. W ciągu godziny przyniesiono ją do numeru. Mikołaj Iwanowicz był głodny i zaczął jeść z takim apetytem, że mu aż za uszami trzeszczało, następnie dorwał się do piwa. Jadła również z wielkim apetytem i Głafira Siemionowna.

Po upływie dwóch godzin, Mikołaj Iwanowicz zupełnie pijany, leżał w łóżku i mruzczał:

— Chwała Bogu, jutro jazda do Paryża. Staęła już mi kością w gardle ta Niemieczyzna.

XVII.

Rano, nazajutrz, Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna zbudzili się bardzo wczesnie, prawie z brzaskiem dnia. Wnet przyniesiono kawę, równocześnie lokaj podał rachunek, poczem szwajcar oświadczył:

— Jeżeli, jaśnie wielmożny pan życzy sobie pierwszym pociągiem jechać, to trzeba się spieszyć, pociąg odchodzi o godzinie ósmej bez siedmiu minut.

— Prędzej, prędzej Głasza — zawołał Mikołaj Iwanowicz, mocno zakłopotany, tem więcej, że trzeba było zapłacić rachunek hotelowy. Aj! Aj! toście wystawili siarczysty rachunek — wykrzyknął, ujrzawszy u spodu: »ogółem 38 marek«.

— Wszak to, *monsie*, tylko trzydzieści ośm marek, a nie trzydzieści ośm rubli — zrobił uwagę szwajcar.

— Także zachciałeś, żeby za jedną noc zapłacić trzydzieści ośm rubli. Nie było ani pijaństwa, ani żadnej awantury, wytłuczenia szyb, lub potłuczenia kufli, nie piliśmy wina, lecz przestaliśmy na prostem, niemieckiem piwie, zjedliśmy trochę waszych nędznie przyrządzonych potraw, więc za coś do takie wielkie sumy płacić. Przy tem bewsztyk był, pójde o zakład, z końskiego mięsa. Można niem było gwoździe wbijać w ścianę.

— Co pan mówi... U nas kuchnia wytworna, zapasy żywności wybornego gatunku.

— Choćby były najwytworniejsze, to zawsze 33 marek za samo jedzenie straszliwie drogo. Wszak za numer tylko pięć marek porachowaliście.

— Nie, *monsie*, za jedzenie daleko mniej. W tej sumie 38 marek jest pięć marek za pokój i dwie marki za serwis.

— Tu u was i za serwis się płaci? — krzyknął Mikołaj Iwanowicz nie posiadając się ze złości.

— Wszędzie biorą zapłatę za serwis.

— Głasza! Uważasz? Za serwis na którym jedliśmy, także policzyli sobie dwie marki. Oto Niemcy!

— Przepraszam, pana, to znaczy za usługę — wyjaśnił szwajcar i wnet dodał: Cztery marki dla mnie, za obsłużenie państwa przy zwiedzaniu wieczorem akwariuum, więc tym sposobem już mamy jedenaście marek, markę za świecę, markę za dodatkowe łóżko dla małżonki pana.

— Jak to dodatkowe... Alboż moja żona dodatkowa... Głasza! słyszysz! Ciebie uważają za dodatkową — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— Niechże pan pozwoli, zaraz tę rzecz wyjaśnię. Numer w hotelu zawsze uważa się za pokój z jednym łóżkiem, więc jeżeli daje się drugie łóżko, podróżny musi dopłacać markę. Nadto za omnibus ze stacyi i na stacyę cztery marki, więc mamy już siednaście marek, z tego wynika, że za kolację porachowano tylko dwadzieścia jeden marek — wyrachował szwajcar hotelowy.

— Fiu! Fiu! — zaczął pogwizdywać Mikołaj Iwanowicz. — Trzydzieści ośm *pollin* za jedną noc. Bardzo mądrze i sprytnie. Tym sposobem tysiąc rubli, jakie przeznaczyliśmy na podróż do Paryża na wystawę i na powrót do domu, nie wystarczy.

— Kończ, kończ te rachunki. Co tu dużo mówić i na co przydadzą się te targi — rzekła Głafira Siemionowna. — Oni jednego feniga nie ustąpią. Sam mnie do tego nakłaniał, żeby tu zostać, a teraz się targuje i spiera.

— Wszak można targować się o swoje pieniądze. Ach wy zdzierusy, grabiciele! A przecież wciąż slychać, że Niemcy chępią się, iż u nich życie bardzo tanie. Doprawdy, chwalba ta, że się kierujecie ekonomią, odnosi się jedynie do was samych, nie zaś do podróżnych. Obcego obedrzeć ze skóry, w tem ekonomiczna sztuka. No, no, bierz pieniądze i prowadź na kolej.

Mikołaj Iwanowicz licząc pieniądze, brzękał nimi z całą złością.

— Sześć marek, obiecał mi pan jeszcze dać na herbatę, jaśnie wielmożny panie, więc racz pan je zapłacić.

— Za co? Przecież sam przed chwilą mówiłeś, że także w rachunku pomieszczono dla ciebie cztery marki.

— Cztery marki zamieścił nasz hotel, ale pan osobno obiecał, za umieszczenie państwa we właściwym pociągu, żebyście państwo znowu nie dostali się do obcego wagonu.

Mikołaj Iwanowicz ciężko westchnął.

— Dobrze, masz — rzekł. — Tylko na miłość boską pomieść nas do takiego pociągu, żebyśmy się nie potrzebowali przesiadać i już jechali wprost do Paryża.

— Takiego pociągu niema, *monsie*. W Kōln musicie się państwo koniecznie przesiąść do pociągu francuskiego. W Kōln przyjdzie państwu niezawodnie czekać dwie godziny na pociąg przychodzący z Francyi.

— Czyli mówiąc po prostu, znowu jedna i ta sama historia. Znowu się zablakamy — rzekł Mikołaj Iwanowicz ude-

rzając się ręką w czoło. Czy słyszysz Glasza. W jakimś tam *Kičnie* będziemy musieli się przesiąść.

— To nie, bo to przecież francuskie wagony. Mogę się dobrze rozmówić po francusku, francuskich wyrazów daleko więcej uniem niż niemieckich. Przy tem, mam w sakwojażu słownik francuski — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

O godzinie w pół do ósmej małżonkowie zeszli po schodach, udając się do dworca kolei przy ulicy Friedrichsstrasse. Prowadził ich szwajcar.

— Czy tylko dobrze nas prowadzisz, *Franc*? — pytał z wielkiem niedowierzaniem Mikołaj Iwanowicz. — Zdaje się, że to ta sama droga, po której szliśmy, przybywszy do Berlina. Uważaj, żebyśmy nie zblądzili. Przecież mamy jechać, wiesz dobrze, do Paryża. Rozumiesz? Do Paryża.

— Ta sama droga i niech się państwo nie lękają — odpowiedział szwajcar. — Tutaj w Berlinie, dokądkolwiek się jedzie, zawsze jedną i tą samą drogą i zawsze z jednego i tego samego dworca.

Mikołaj Iwanowicz trącił lekko w bok Głafirę Siemionownę: szepcząc:

— Czy słyszysz Glasza, co on mówi? Mnie się zdaje, że kłamie.

— Cóżby w tem miał za interes?

— Ot poprostu z żartu, głowy nam zawraca. Patrz tylko, ten sam dworzec, ta sama buda, w której zmieniają zagraniczne pieniądze, te same figury z personalu kolejowego, co wczoraj. No, to będzie ładnie, jak znowu ni stąd, ni z owąd zawieją nas do Königsberga. *Her Franc*, ty z nami nie żartuj. Mnie, starego wróbla, nie złapiesz na plewy. Ten sam dworzec, do którego przyjechaliśmy z Königsberga — rzekł Mikołaj Iwanowicz podniesionym głosem.

— Tak, tak panie; tylko w Berlinie można z jednego i tego samego dworca jechać w każdą stronę, w którą się podoba. Tutaj drogi dokoła Berlina. Tutaj przychodzą z rozmaitych stron pociągi i rozchodzą się w rozmaite strony.

O godzinie siódmej minut 53 wsiądziecie państwo do pociągu idącego do Köln.

— Czy tylko tak rzeczywiście? — znowu zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Ach mój Boże, dlaczegożbym miał kłamać? — odpowiedział zniecierpliwiony szwajcar, wzruszając ramionami.

— Bo mówisz takie jakieś dziwne rzeczy. Przysięgnij się.

— Ach, jaki z pana niedowiarek. Niech mi pan zaufa, przecież codziennie gości odprowadzam na kolej.

— Nie, koniecznie przysięgnij.

— No, jak Boga Kocham, tak prawda. Państwo niepotrzebnie się niepokoją. Czy pan ma drobne francuskie pieniądze na wydatki? W nocy przejadą państwo przez francuską granicę i zaraz państwu będą potrzebne francuskie pieniądze. Tutaj, w kantorze u żyda mogą państwo zmienić, przyczem szwajcar ukazał im kantor wymiany, utrzymywany przez żyda.

— Trzeba zmienić. Czy zmieni mi banknot rosyjski na sto rubli?

— Choćby na tysiąc. Niech pan pozwoli, bo w Köln, ponieważ pan nie umie po niemiecku, żydzi mogą pana oszukać, mnie zaś nie oszukają. Ja dla państwa nietylko zmienię, ale nadto zażadam piśmiennego rachunku.

Mikołaj Iwanowicz dał banknot. Szwajcar zbliżył się do kantoru, wszedł tam i powrócił z francuską monetą w złocie i w srebrze, i z rachunkiem. Mikołaj Iwanowicz przejrzał rachunek, rzekł:

— Po trzydziści dziewięć kopiejek francuskich kupiłeś pan *czetwiertaki*. Dzielnie. Oto prawdziwa grabież. Oporządzą nam należycie kieszenie za granicą, oj oporządzą przyzwójcie! — wołał zakłopotany Mikołaj Iwanowicz, a potem dodał: niech tam, byle tylko szczęśliwie dojechać do Paryża i nie błąkać się napróżno.

Uspokoił się nieco, ale jednak jak tylko otrzymał pokwitowanie na oddane bagaże z napisem »Paryż«, pokazał je żonie i rzekł:

— No, chwała Bogu, rzeczy zabrali do Paryża, więc być może i nam powiedzie się dostać do tego miasta. Wtenczas dopiero spadłby mi ciężar z piersi, co mnie przygina do ziemi, jak olbrzymia góra — westchnął Mikołaj Iwanowicz, chodząc po peronie i mimowoli trącał podróżnych, oczekujących na przybycie pociągu.

Tymczasem pociągi nadchodziły i z prawej i z lewej strony, zatrzymywały się minutę, jednych pasażerów wypuszczały z wagonów, drugich przyjmowały i pędziły dalej.

— Dokądże to tyle pociągów u was odchodzi — zapytał szwajcara Mikołaj Iwanowicz.

— Do wszystkich miast niemieckich i za granicę. Do czterestu pociągów dziennie przybywa do dworca i odjeżdża.

— Czterysta! to chyba już nie prawda.

— Niech pan gdziekolwiek przeczyta plan jazdy koleja.

— Głasza, czy słyszysz? Czterysta pociągów... To wygląda na jakieś piekło prawdziwe. Tutaj taki naczelnik stacyi, może śmiało okuleć, nogi stracić!

— Tutaj bardzo dużo jest naczelników stacyi i służbę pełnią po kolei, dyżurują.

— Macie oto Niemców! Dziwimy się, że wynaleźli małpę. Taka żelazna droga, po której codziennie pędzi około czterysta pociągów, stokroć trudniejsza do wymyślenia jak sama małpa. Czy prędko jednak nadejdzie nasz pociąg? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Punkt o godzinie 7. i 53 minut. Niech pan popatrzy na zegarek. Jeszcze trzeba czekać trzy minuty.

Wpadł pędem na dworzec pociąg.

— Czy ten? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, chcąc biedz do pociągu.

— O nie, ten idzie w inną stronę. Przecież pan widzi dobrze, że na zegarku pańskim dopiero pięćdziesiąt jedna minuta. Pociąg państwa przybędzie za dwie minuty.

Rozległ się świst lokomotywy i pociąg sapiąc wtoczył się szybko na dworzec.

— To właśnie pociąg państwa — rzekł szwajcar. — Niechże państwo co prędzej wsiadają. Szczęśliwej podróży życzę państwu.

Za minutę małżonkowie uszczęśliwieni pędzili do upragnionego Paryża.

XVIII.

— Nie, dla nas Rosyan niema życia między Niemcami — mówił Mikołaj Iwanowicz do żony, kiedy już znaleźli się w wagonie. — Żebyś tu nawet rok mieszkał, nie przywykniesz do ich obyczajów i zwyczajów. Czy zauważałaś, że przy odjeździe pociągu, nie było słycać ani jednego dzwonka. Zaledwie zdołaliśmy się usadowić w wagonie, konduktor dał znak gwizdawką i pociąg popędził jak szalony. Teraz to ci mogę śmiało zaręczyć, że gdyby nam nie towarzyszył *Franc*, najniezawodniej zbłąkalibyśmy się i dostali znowu do obcego pociągu. Przed dwoma minutami, wjechał jakiś pociąg na peron, ja też co prędzej chciałem pobiedz do wagonu, szczęściem *Franc* mię zatrzymał, gdyby nie on, no, znowu byłaby poprzednia historia, jak w tym nieszczęśliwym Königsbergu, bo właśnie pociąg ten szedł do Wiednia. I proszę cię, komu to może przyjść do głowy, że po tych samych szynach o godzinie 8. minut 51, można jechać do Wiednia, a za dwie minuty w innym znowu pociągu, pędzić do *Kieln*. Szybkość niesłychana, nie do uwierzenia. Jakby naprzykład odprowadzała cię rodzina, lub innych kilka osób, a chcielibyśmy się z nimi pożegnać, to przy takiej nadzwyczajnej szybkości przejeżdżających pociągów, niepodobnaby było zdążyć uściskać któregośkolwiek, czy znajomego, czy krewnego.

— Głupstwo! Na to przecież są sposoby — odezwała się nileżąca nieustannie Głafira Siemionowna — trzeba wcześniej się żegnać. Możesz się ich nacałować i naściskać wiele zechcesz, czekając na przybycie właściwego pociągu.

— O, nie w ten sposób, jak ty mówisz — zaprzeczył Mikołaj Iwanowicz. — Z przeprowadzającym nas, do pociągu krewnym, lub przyjaciele, najprzyjemniej jest wsiąść na chwilę do wagonu, w którym się jedzie, wycalować się, jak należy, potem znowu wysiąść, wbiec do bufetu, wypić prędko kieliszek, jeden i drugi, napowrót wsiąść do wagonu i znowu ucalaować się serdecznie. Dlaczego u nas to wszystko można zrobić, a u nich tak się spieszą, tak pędzą, że patrząc na to możnaby pomyśleć, że wszyscy pasażerowie albo złodzieje, albo rozbójnicy, i pragną copędzej umknąć, żeby ich nie przyaresztowano. Wiesz co, mnie się zdaje, że Niemcy z powodu tej ich osławionej ekonomii, unikają jak najskrupulatniej sposobności zjedzenia zbytecznego kawałka mięsa i wypicia zbytecznego kieliszka wina, lub kufła piwa...

— Najniezawodniej — potwierdziła Głafira Siemionowna.

— Przyznać im też należy, że piwo u nich doskonale — mówił w dalszym ciągu Mikołaj Iwanowicz — ależ to tylko jedno piwo, co coś warte.

Mikołaj Iwanowicz nieustawał w ganieniu wszystkiego, co niemieckie, gdy tymczasem Głafira Iwanowna dobywszy z sakwojaża rosyjsko-francuski słownik, wyszukiwała różne francuskie wyrazy, które, wedle jej wyobrażenia, mogą się przydać przy wjeździe na terytorium francuskie.

Do Kolonii podróż odbyła się bez wypadku. Przybyli na dworzec o godzinie dziewiątej wieczorem. Z Kolonii do Paryża pociąg odczodził o północy. Pozostawało zatem dość wolnego czasu, dlatego też tak Mikołaj Iwanowicz jak i Głafira Siemionowna udali się do bufetu. Jadalnia była przepelniona podróżnymi. Ci czekali na pociąg do Paryża, tamci do Berlina, inni do Moguncyi, a inni jeszcze do Monachium. Niemiecki język rywalizował z francuskim językiem, Anglik cedził przez zęby swoje wyrazy i raptem znowu dała się słyszeć rosyjska mowa. Mikołaj Iwanowicz wzdrygnął się i obrócił; obróciła się także i Głafira Siemionowna. Przy stole, przy butelce reńskiego wina siedział, oparłszy się o tył krzesła, jakiś

nieznajomy z tłustą, szeroką twarzą, z żydowską bródką, i gładził się po wystającym brzuchu, tłustą, jakby napuchłą ręką. Na wskazującym palcu miał pierścień z wielkim brylantem. Na brzuch spadał mu gruby, ciężki, złoty łańcuch od zegarka. Ubrany w obszerny kaftan a raczej kurtę, strojną wedle przyjętej mody u kupców, i kapelusz miękki, przygnieciony na środku. Naprzeciw tłusciucha, siedział siwawy już wąsacz w *pensne* na nosie, z cygarem w ustach, w dobrze już podszarzanym paltocie i w równie miękkim kapeluszu z wielkimi skrzydłami. Tłusciuch i wąsał rozmawiali po rosyjsku.

— Rosyanie... — szepnął żonie na ucho Mikołaj Iwanowicz. — Przesiadzimy się do ich stołu. Można się z nimi zapoznać i przeprowadzić przyjemną pogawędkę.

Małżonkowie przesiedli się.

— Kelner! *Cwej Bierschts* i *cwej Bir!* — zawołał Mikołaj Iwanowicz i zwróciwszy się do tłusciucha, zapytał go, zdejmując kapelusz: — zdaje się, że pan równie Rosyanin. Czy jedzie pan także na wystawę do Paryża?

— Przeciwnie, wracam z wystawy, niech ją tam kule biją, tę wystawę — odpowiedział tłusciuch, niezmieniając dotychczasowej postawy. Teraz jedziemy do swojej ziemi.

— Rzecz dziwna, że pan w ten sposób wyrażasz się o wystawie. Wszyscy wracający stamtąd nie mogli się jej dość nachwalić. Mówią, że to coś tak osobliwego i pięknego, że kompletnie zachwyca i oniemiał upaja swą wspaniałością.

— Grabież... Grabież na publicznej drodze... a życie tam psie. Rzeczywiście, wszędzie ślady cywilizacyi, lecz obok tej cywilizacyi niesłychana grabież. Ciągłe trzeba było płacić, płacić, pieniądze topniały, jak lód, o mało człowiek ze złości nie usechł.

— Taka drożyzna, czy podobna? — rzekł mocno zdumiony Mikołaj Iwanowicz.

— Nie taka znowu, żeby niepodobna było nastarczyć pieniędzy, ale zawsze straszliwa — odpowiedział wąsał, dotąd milezący, wyjmując z ust cygaro. — Bardzo wreszcie rzecz

naturalna, że w Paryżu, w czasie wystawy, wszystko musiało być droższe...

— Pan jesteś hrabia, więc nie masz głosu — rzekł tłuscioch niespodzianie. — Marnowałeś swoje i cudze pieniądze, więc dlatego nie możesz tej drożyzny odezuwać, ja zaś przeciwnie i za ciebie i za siebie musiałem płacić, to też mieszek coraz bardziej robił bokami... Naprzykład, u nas, w Moskwie, ich francuski *San-Julien* choćbyśmy go zamawiali nawet w najbardziej zdzierającej gości restauracyi, kosztuje butelka półtora rubla, gdy tymczasem w Paryżu, za butelkę tego samego wina żądano odemnie szesnaście *czetwiertaków*, a ponieważ *czetwiertak* znaczy czterdzieści kopiejek, więc zapłaciłem za butelkę sześć rubli. Że zaś z hrabią, tłumaczem, poprostu z głupoty i chęci pochwalenia się, wypiliśmy pięć butelek, więc zapłaciliśmy trzydzieści rubli.

— Czy tylko za sam *San-Julien*? Piotr Nikiticz.

— Co ty mi tam głowę zawracasz. *San-Julien* jest *San-Julien* i basta. Grabieżcy! Zdzierey! Rozbójniki! To samo spotykało nas przy obstalunku rosolu lub prostej rosyjskiej polewki z ryb. Tłumaczu, jaka to była restauracya?

— *Breban* — odpowiedział wąsal.

— Otoż ten *baraban* doskonale nam obębnił kieszenie. Doprawdy wstyd powiedzieć, wiele zapłaciliśmy za nędzną polewkę.

— Boś ty, Piotrze Nikiticz, gwałtem domagał się żywych *Sterletów*, a oni przywożą *sterletów* z Dunaju, z Austrii.

— Cóż mię to może obchodzić. *Sterlet* była mniejsza niż nos komara.

— Potem żądałeś *mięsa lososia*.

— Milez! Nie broń i nie uniewinniaj rabusiów. Rabusie! Rabusie! Ja doprawdy nie rozumiem dlaczego Rosyianie tak chętnie tam jadą — mówił w dalszym ciągu tłuscioch. — Mam w Moskwie liczną rodzinę, mieszkam w czternastu pokojach, wraz z moją babą i dziećmi; z sześciu ludźmi do usługi, ledwie okiem mrugniesz, ze wszystkich stron pędzą

aby ci posłużyć, spełnić wydany rozkaz; na każde żądanie stoi *rysak*¹⁾ zaprzężony do *prolotki*²⁾ na resorach, a kuczer siedzi na koźle. I mnie zachećło się gwałtem jechać do Paryża, żeby za dwadzieścia franków dziennie mieszkać w dwóch nędznych klitkach, wdzierać się po sześćdziesięciu trzech stopniach schodów, gdzieś aż do nieba i trząść się w ladajakich, odartych, dorożkach. U mnie w Moskwie każdy subiekt lepiej żyje, nawet dwa razy tak dobrze, jak ja żyłem w Paryżu. Zbudzisz się rano, zadzwonisz, żeby przyszedł lokaj, czy tam zwykły służący, to czekać musisz dopóty, dopóki się takiemu panu spodoba złożyć tobie wizytę. Samowarów weale niema, kwasu także, ani łaźni, a o *boćwinie*³⁾ weale nie słyszeli. Psie życie, i coż dalej powiesz? Napiję się tej obrzydliwej kawy i biegnę na wystawę. Błąkam się, błąkam, o mało sobie nóg nie połamię, muszę zjeść potem obiad w restauracyi, nie w domu. Siedzę w ich traktyerni i myślę sobie: Boże, żeby przynajmniej nie nakarmili człowieka żabami. Skoro zjesz, to cię sen tak mroczy, że chciałoby się na miejscu gdzieś położyć i zdrzemnąć, jak to jest zwyczajem każdego prawosławnego człowieka, a tymczasem znowu musisz biedz, biedz gdzieś do jakiegoś teatru.

— To po cóż chodzić do teatru?

— Przecież ty sam namawiałeś, żeby iść, bo jakże to może być, żeby bawić w Paryżu a nie odwiedzić teatru.

— To nie powinienes był zgodzić się na to i pojechać do domu.

— Ba! Zanim z wystawy dojedziesz do domu, a potem przejdiesz aż sześćdziesiąt trzy stopnie do swego mieszkania, to wnet poczujesz, że cię senność zupełnie opuściła, że nigdy nie chciało ci się spać. A w teatrze? Siedzisz i patrzysz, a co widzisz, spróbuj zrozumieć. Jedynie tylko jak jaka aktorka

¹⁾ Koń młody z tabunu.

²⁾ Powozik leciutki, albo tylko deszczułka długa na 4 kołach.

³⁾ Rodzaj potrawy z buraków i rosyjskiego kwasu, wyrabianego z chleba razowego. (*Przypisek tłumacza*).

w górę nogę podniesie, wtenczas dopiero zrozumiesz, że to żywy człowiek!

— Kłamiesz, kłamiesz — powstrzymał wąsal rozpowiadającego tłusciocha. — Ja ci sam przecież doskonale objaśniałem i tłumaczyłem co grają w teatrze.

— Psie życie! Psie życie! — powtórzył tłuscioch i pokazawszy wąsalowi próżną butelkę, rzekł: — Widzisz, wino wyschło. Każ przynieść nową, bo nie mogę siedzieć przy butelce próżnej.

XIX.

Mikołaj Iwanowicz przysunął się bliżej do tłusciocha i jego towarzysza, wąsala, i wypowiedziawszy grzeczny frazes »bardzo mi przyjemnie spotkać się za granicą z rodakami« — przedstawił siebie i swoją żonę.

— Radca handlowy i kawaler Bezdonnów — wypowiedział z kolei tłusty człowiek i ukazując palcem wąsala dodał:

— A to pan tłumacz i nasz osobisty adjutant.

— Hrabia Dymitry Kaliński — wymienił swą godność zaprezentowany przez pana radcę wąsal. Podjąłem się tę bryłę mięsa zawieźć do Paryża na wystawę i ucywilizować, ale nie poddał się mojemu cywilizacyjnemu celowi.

— Dlatego, że nie jadalem smażonych żab? Może chciałbyś, żebym lykał i marynowane? — odpowiedział tłusty radca.

— Potępiasz wystawę.

— Nie potępiam, ale twierdzę, że nie warto było pędzić siedm wiorst, żeby zjeść kisiel¹⁾, jak mówi rosyjskie przysłowie. Tylko to jest eiekawe, co równie zwróciło uwagę całego świata, wieża Eifloska. Tam zjedliśmy coś nie coś i wypili, resztę zaś wszystko widzieliśmy w Moskwie i na naszej wszechrosyjskiej wystawie. Głównie podziwiałem rozmiary placu, na

¹⁾ Rosyjska potrawa, przyrządzana także na Litwie.

(Przypisek tłumacza).

którym urządzona wystawa. Chodzisz, chodzisz z oddziału do oddziału, oglądasz, a to rzeczy zwykle, nie warto na nie pluwać. Cała wystawa, oprócz wybornych skór i wyśmienitych jedwabów, nie wiele warta. Jedno i to samo, tak u Iwana, jak i u Szczepana, jak u Sidora.

— Dziwny doprawdy z ciebie człowiek — rzekł wąsal, zwracając się do opowiadającego. — Wszystko mu się niepodobna. W Paryżu chleb wyśmienity, a on tymczasem tęsknił do kołaczy.

— Nie dziwny ale samobytny. Ja, bracie, jestem sławianofilem.

— Racz pan powiedzieć, kochany ziomku, gdzie nam wypadaloby obrać sobie mieszkanie w Paryżu? — zapytał Mikołaj Iwanowicz tłusciocha. — Byłoby dobrze znaleźć takie miejsce, żeby wyszedłszy z domu, można było sięść do najemnego powozu i powiedzieć forysiówi, jedź tam a tam. Panowie gdzie mieszkali?

— Nie wiem, miłościwy panie, nie wiem. Żadnych ulic nie znam. Sprawy te załatwiał mój adjutant.

— Niech państwo tam zamieszkają, gdzie będzie mieszkanie do najęcia — wtrącił wąsacz. — Jeżeli traficie na hotel z niezajętymi numerami, bierzcie je zaraz. Myśmy przeszło dziesięć ulic przejechali, zanim zdołaliśmy znaleźć pomieszczenie. Wszędzie jedna odpowiedź: zajęte, zajęte, zajęte!

— Głasza, czy słyszysz? Oto ładny interes, piękna nadzieja — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do żony. — Przyjdzie szukać pokoju po całym mieście. Szczególniej trudno znaleźć mieszkanie tym, którzy nie są mocni w obcym języku, a na nas oboje przypada zaledwie kilka francuskich wyrazów, jak: *bonjour, mersi, buar*.

— Mylisz się mój kochany. Ja znam mnóstwo wyrazów francuskich i mogę w tym języku prowadzić rozmowę — zaprzeczyła dość stanowczo Głafira Siemionowna.

— Dobrzeby było, gdybyś rzeczywiście potrafiła mówić po francusku, ale wspomnij moje słowo, że jak przyjedziemy

do Paryża, to język przylgnie ci do podniebienia. Zechejcie też nas panowie objaśnić, czy nas zawiezie pociąg prosto do Paryża, bez przesiadania się — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do otyłego radcy? — Strasznie boję się tych przesiadań z wagonu do wagonu, z pociągu do pociągu. Dwa razy z tego powodu pomyliliśmy się i wsiedli do innego pociągu.

— Nie a nie, stanowczo nie a nie nie wiem. Zapytaj się pan hrabiego, on mię wiózł do Paryża.

— Bez przesiadania, bez przesiadania. Połóżcie się Państwo w sypialnym przedziale i spijcie bez obawy aż do samego Paryża. W sypialnym wagonie nawet was nie zaatakują granicznicy francuzcy celnicy.

— Oto doskonale, oto wyśmienicie! Głasza, musimy zakupić bilety do sypialnego wagonu.

— Przepraszam, czy państwo nie wysłaliście telegramu?

— Jak to?

— Czy państwo nie telegrafowaliście w drodze, że chcecie mieć miejsce swobodne w sypialnym wagonie? Jeżeliście tego nie uczynili, to nie dostaniecie żadnego miejsca.

— Głasza, czy słyszysz? Nawet wagony sypialne zajmują się tu za pośrednictwem telegrafu. Niemieczechyna! W Königsbergu nie dali nam obiadu, wołając »proszę o telegram«, a teraz w sypialnym wagonie, także dla braku telegramu, nie otrzymamy miejsca.

— Taki już porządek. Miejsca w sypialnych wagonach przygotowują wcześniej, stosownie do nadesłanego telegramu.

— Za pozwoleniem pana — pyta Mikołaj Iwanowicz — ale przecież w zwykłych wagonach pozwolą spać bez telegramu?

— Rzecz bardzo naturalna.

— Chwała Bogu, a ja już sądziłem...

Odezwał się dzwonek.

Wszedł dozorca kolejowy i zawołał coś po niemiecku; wymieniając nazwę: *Berlin!* Wąsacz zakłopotał się.

— Kończ, kończ Piotrze Nikiticz ten kieliszek, bo trzeba będzie siadać do wagonu — rzekł wąsacz do tłuszciocha.

Ten jednym tchem wypił, nadał się i powstając, rzekł:

— Tylko pamiętaj, że bądź co bądź ja w Berlinie nie zabawię ani jednej godziny. Przesiadam się do drugiego pociągu i pędzę do białokamiennej Moskwy!

— Mylisz się najfatalniej. Tak nie można. Muszę cię przecież pokazać berlińskim Niemcom, a wreszcie jakie ty będziesz miał wyobrażenie o Europie, jeżeliś nie widział Bismarka i nie pił berlińskiego piwa.

— Wypijemy na stacyi.

— To zupełnie co innego. W Berlinie zabawimy dwa dni, odwiedzimy najznakomitsze *Birhale*, zawiozę cię do zoologicznego ogrodu i przedstawię berlińczykom. Berlińczycy takiego zwierzęcia jak ty z pewnością jeszcze nie widzieli.

— Mówię ci stanowczo, nie zatrzymam się w Berlinie.

— Zostaniesz, jeżeli ja zostanę. Gdzież ty pojedziesz sam jeden? Przepadniesz, zginiesz bezemnie. No, no, nie upieraj się. Włazłeś między wrony, to tak krakaj jak i one. Wybrałeś się w drogę, to nie krzycz »nie mogę«. Wyjechałeś za granicę, więc musisz zwiedzić Berlin. No idziemy! Moje uszanowanie państwu — rzekł wąsacz, kłaniając się Mikołajowi Iwanowiczowi i jego małżonce Głafirze Siemionownej, zawołał tragarza, kazał mu zabrać ręczny bagaż, leżący obok stołu i skierował się na platformę.

Krzakając i wzdychając ciężko pociągnął za nim tłusty człowiek, także ukloniwszy się poprzednio Mikołajowi Iwanowiczowi i jego żonie, Głafirze Siemionownej, przyczem rzekł:

— Pamiętajcie moi państwo o moich uwagach co do grabieży i psiego życia, jak przyedziecie do Paryża. Przepraszam za gadatliwość.

Zaraz po odejściu berlińskiego pociągu zawiadomiono o przybyciu pociągu idącego do Paryża. Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna wielce się zakłopotali.

— Co? Co? Pociąg do Paryża? — krzyknęła Głafira Siemionowna i pobiegła ku pociągowi, wsunawszy przedtem szwajcarowi dworca dwa *grywenniki*:

— *Komen Sie mit, Madame... Ich werde zeigen* ¹⁾ —
rzekł tenże i poprowadził małżonków.

Za pół godziny już małżonkowie pędzili ku Paryżowi.

XX.

Noc cicha. Spokojny nastrój ducha w skutek zupełnej pewności, że on i żona jadą prosto do Paryża bez przesiadania się, a równie i obfita kolacya z dodatkiem piwa i wina reńskiego, z którego korzystał Mikołaj Iwanowicz w Kolonii, sprawiły, że zasnął prawdziwie bohaterskim snem w wagonie. Chrapanie jego było tak silne i głośnie, że nawet zagłuszało turkot kół pociągu, a Głafirę Siemionownę uspasabiała bardzo smutnie. Wcale nie spała. Czegoś lękała się, ale czego, nie mogła sobie zdać sprawy. Pomieściwszy się wraz z mężem w zupełnie oddzielnem *coupé*, nagle przypomniała sobie, że gdzieś czytała, w jakimś podobno romansie, jak pasażerowie pomieszczeni w oddzielnym przedziale byli ograbieni podczas drogi przez jakichś łotrów, a następnie wyrzuceni z wagonu. W romansie tym, wprawdzie była mowa o dwóch kobietach, jadących w *coupé*, jednakże... Ale nie, przecież znajduje się w towarzystwie męża, więc mężczyzny, ale cóż znaczy ten mężczyzna, jeżeli spi jak zabity? Jaką może jej dać obronę? Rozbójnicy wedrą się do *coupé*, jeden rzuci się na śpiącego męża, drugi schwyci ją za gardło i rzecz skończona. Jeżeli będzie krzyczała, kto ją usłyszy? *Coupé* samo w sobie, nie mające żadnej komunikacyi z innem *coupé*; wchód do niego zewnątrz, po desce przymocowanej do wagonu...

— Mikołaj Iwanycz... — poruszyła ręką męża, potem silnie wstrząsnęła za ramię.

Ten chrapał przeraźliwie, coś zamruczał, ale oczów nie otworzył.

¹⁾ Niech pani pozwoli, ja państwu wskażę miejsce.

— Mikołaj Iwanycz, przebudź się... Ja się boję... jeszcze raz wstrząsnęła go za ramię.

Mikołaj Iwanowicz machnął ręką i zawołał:

— Daj mi pokój, nie przeszkadzaj!

— Ale ja cię proszę, przebudź się. Ja się boję, strach mię okropny zdejmuję.

Mikołaj Iwanowicz otworzył oczy i patrzył na żonę osowiałym wzrokiem.

— Czyśmy gdzie przyjechali? — zapytał.

— Nie, wciąż jedziemy, ale zechciej zrozumieć, że tu straszno, że się boję... Ty tak chrapisz okropnie a ja jedna nie śpię i może się co wydarzyć.

— Cóż się może wydarzyć?

— Boję się, żeby na nas nie napadli rozbójnicy i nie ograbili.

Przyczem opowiedziała mu o wypadku w oddzielnem *coupé* na drodze kolei żelaznej, o którym czytała w romansie, dodając:

— Dlaczego koniecznie zajęliśmy odosobnione *coupé*?

Mikołaj Iwanowicz także się zamyślił.

— Niedawno jeszcze pisali w gazetach, że po drogach usypiają rozbójnicy podróżnych chloroformem, a ty spiszesz jak zabity — mówiła Głafira Siemionowna.

— Ależ ja tylko tak, na jedno oko zasnąłem... — tłumaczył się Mikołaj Iwanowicz.

— Co ty mówisz? Tak chrapałeś, że zagłuszałeś turkot kół wogonu. Zmiluj się, nie spij!

— Nie będę!... nie będę!... Ja sam teraz pojmuję, że trzeba się mieć na ostrożności.

— Koniecznie. Drzwi zewnątrz... Wpadną... ciebie za gardło chwycą i mnie także, i cóż? Tacy rabusie wiedzą doskonale, że kto jedzie do Paryża, ma przy sobie znaczną sumę.

— Nie strasz daremnie, nie wzbudzaj daremnie trwogi niepotrzebnej — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, błędąc na twarz. Dlaczego mi to mówisz... Byłem taki spokojny...

— Dlatego, żebyś był ostrożny.

— Jeżeli się wedrą rozbójnicy, to czy człowiek ostrożny lub nie, nie nie pomoże, zawsze ograbią. Czy nie przesiadziemy się do *coupé*, w którym więcej znajduje się pasażerów? — zapytał równie mocno wylekły Mikołaj Iwanowicz.

— Jakże się przesiąść, skoro pociąg pędzi jak strzała, a nasze *coupé* niema żadnej komunikacji z innym *coupé*.

— I to prawda. W takim razie... może lepiej wyjąć pieniądze z kieszeni i ukryć je w cholewie buta?

— Czy myślisz, że rozbójnicy nie potrafią ich również i tam znaleźć?

— Prawda! Prawda! Więc cóż robić?

— Przedewszystkiem nie spij.

— Nie będę, nie będę spał.

— Następnie... wszak masz rewolwer schowany w sakwojażu. Poco on tam włożony. Wyjmij go i połóż obok siebie na kanapce... zawsze będzie bezpieczniej.

— Ależ duszeczko rewolwer nie nabity.

— Więc go nabij. Wozisz z sobą rewolwer widocznie bez celu, kiedy go nie używasz.

— Prawda, ale cóż na to poradzę, kiedy zapomniałem wziąć z domu ładunków.

Głafira Siemionowna plasnęła rękami zdumiona.

— Otóż to mądry człowiek! Czy kto widział takiego niedołęgę — zawołała.

— Cóż ja na to poradzę, zapomniałem i basta. Ale nie obawiaj się, kupię ładunki w Paryżu — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Jeszcze lepiej. Nam grozi niebezpieczeństwo w drodze do Paryża, a on mię pociesza, że kupi patrony w Paryżu.

— Czekaj, wyjmę z sakwojaża mój składany nóż i otworzę go. Zawsze to oręż.

— To wyjmijże i rewolwer i połóż go na kanapce. Jakkolwiek nie nabity, to jednakże może odstraszyć zbójcę. Przedtem, kiedy pociąg pędził całą siłą pary a ty spałeś jak zabity,

wszedł do nas do *coupé* konduktor, sprawdzający bilety, wydał mi się nadzwyczajnie podejrzanym. Ma tak ruchliwy wzrok, oczy mu biegają. Chociaż jest konduktorem, może być przytem złym człowiekiem i także chwycić za gardło. Kto wie wreszcie, czy to konduktor? Wyjmij więc dla bezpieczeństwa rewolwer i nóż składany.

Mikołaj Iwanowicz otworzył zaraz sakwojaż, wydobyl rewolwer i nóż składany, położywszy jeden i drugi na kanapce obok siebie.

— Glasza, nie trać odwagi. Bóg miłosierny. A może nie się podobnego nie stanie — mówił Mikołaj Iwanowicz, żeby tym sposobem uspokoić żonę.

— Daj to Boże, ale ja muszę ci powiedzieć, że kiedy ty spałeś a my zatrzymaliśmy się minutę na jakiejś stacyi, to do okna naszego *coupé* zbliżył się już jakiś olbrzymiego wzrostu mężczyzna, brunet, w kapeluszu z szerokiemi skrzydłami i bardzo, bardzo podejrzliwie patrzył się na mnie. Nawet stanął na desce, po której chodzą konduktorzy i spojrzal w okno.

— Czy podobna?

— Tak było, mówię ci seryo. Twarz prawdziwego rozbójnika; kapelusz z olbrzymio szerokiemi skrzydłami, na plecach zarzucony jakiś surdut. Jednem słowem, kropla w kroplę tak ubrany, jak chodzą rozbójnicy w tutejszych zagranicznych krajach.

Mikołaj Iwanowicz, drapał się po głowie nadzwyczaj zamyślony.

— Później jednak nie widziałeś tego rozbójnika? — pytał Głafirę Siemionownę.

— Gdzież go miałam widzieć, kiedy od tego czasu pociąg nigdzie jeszcze nie zatrzymywał się. Pociąg od godziny leci jak ptak.

— Nabierz odwagi Glasza, nie obawiaj się. Teraz jak kto spojrzy w okno, zaraz zobaczy, że jesteśmy uzbrojeni i przygotowani na każdy wypadek. Jak rozbójnik ujrzy rewolwer, będzie się musiał namyślić, czy mu się oplaci napaść?

— Ale zmiluj się, nie spij już — prosiła Głafira Siemionowna.

— Gdzież tam myśleć teraz o spaniu — odpowiedział niezbyt bohatersko usposobiony Mikołaj Iwanowicz.

Przy drzwiach zewnętrznych *coupé*, ktoś się nagle poruszył, coś dźwiękło i błysnęło światelko. Mikołaj Iwanowicz zadrżał. Głafira Siemionowna pobladła i wyszeptala:

— Boże ratuj! Zmiluj się Panie! Weź do ręki rewolwer — rzekła do męża. — Bierz prędkiej!

W tej chwili opadło okno *coupé* i pokazała się głowa konduktora:

— *Bitte Fahrkarten, mein Herr* ¹⁾ — przemówił.

Mikołaj Iwanowicz trzymając w ręku rewolwer, i jakby bawiąc się nim, podał konduktorowi bilety, i nie spuszczał z niego oka. Konduktor spojrzal z ukosa na rewolwer, mrużąc:

— *Jetzt können sie bis Verhiers ruhig schlafen* ²⁾.

— Widzisz, widzisz, jaka to twarz podejrzana — zrobiła uwagę Głafira Siemionowna.

— Rzeczywiście podejrzana — potwierdził wylekły Mikołaj Iwanowicz.

XXI.

Niepokój małżonków, przypuszczenie, że mogą być zrabowani przez rozbójników w *coupé*, zwiększał się ciągle i narazie doszedł do kulminacyjnego punktu, gdy podczas zatrzymania się pociągu na jakiejś stacyi, drzwi *coupé* otworzyły się i w nich ukazała się olbrzymia postać jakiegoś mężczyzny z krótką fajeczką, w wielkim kapeluszu z zatkniętym piórem cietrzewia, w węgiercie i z przypasanym do boku myśliwskim kordelasem i z fuzją w futerale. Głafira Siemionowna przeżliwie krzyknęła i instynktowo rzuciła się w drugi koniec

¹⁾ Proszę pana o bilety.

²⁾ Teraz mogą państwo spać spokojnie aż do Verhiers.

coupé. Odskoczył równie ode drzwi i Mikołaj Iwanowicz, zapomniawszy ze strachu o leżącym na kanapce rewolwerze. Był tak blady, jak płótno, starał się otworzyć drzwi z drugiej strony wagonu, żeby wyskoczyć z *coupé*, ale drzwi były zamknięte zewnątrz.

— *Konduktor! Herr Konduktor* — zawołał nieswoim głosem, ale był to głos wołającego na puszczy, nieznajomy mężczyzna wszedł do *coupé*, zatrzasnął drzwi za sobą i pociąg popędził dalej.

Głafira Siemionowna trzęsła się, jak liść osiny, jakby nagle pochwyciła ją febra, a w oczach miała lzy. Przyciskała się do męża i szeptała:

— Rozbójnik... Ten sam rozbójnik, który już raz zaglądał do naszego *coupé* przez okno, na jednej stacyi. Co tu począć? W razie wypadku, wybiję szybę w oknie i będę krzyczała ile mi sił starczy.

Mniemany rozbójnik dostrzegł, że swą osobą wzbudził przestrah w obu małżonkach i wyjąwszy z ust fajkę, zaczął przeproszać i nadzwyczaj łagodnie a grzecznie, przemówił po niemiecku:

— *Bitte, entschuldigen Sie Madame, dass ich Ihnen gestört habe. Bei uns im Coupé ist es fürchterlich besetzt* ¹⁾.

Małżonkowie nie rozumiawszy, zachowali milczenie.

— Państwo zapewne spali i przelękli się — mówił po niemiecku ów rozbójnik, poczem dodał: — Ja wszedłem tak nagle. Przepraszam najmocniej, niech mi państwo wybaczą i uspokoją się.

Odpowiedzi nie było. Małżonkowie pozostali bez ruchu. Rozbójnik nie siadł wcale, ale mówił po niemiecku:

— Racście państwo zająć swoje miejsca.

— Glasza, co on mówi? On żąda pieniędzy — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — Jeżeli tak, to wytłukę szybę i wyskoczę.

¹⁾ Racz panie przebaczyć, że państwa zaniepokoiłem. W naszym *coupé* jest straszliwie ścisk.

— Nie... nie wiem... On się kłania — odpowiedziała wielce zmięszana.

— Pan jesteś Rosyanin, czy Polak? Państwo nie mówicie po niemiecku — odezwał się znowu. — Ach jaka szkoda, że państwo nie mówicie po niemiecku.

Rozbójnik zaczął ich namawiać ażeby usiedli.

W tej chwili Mikołaj Iwanowicz zauważył wiszące u pasa mniemanego rozbójnika dwie zabite kaczki, i wreszcie nieco oprzytomniawszy, rzekł do żony:

— Zdaje się, że to nie rozbójnik, lecz myśliwy. Czy widzisz, ma przy sobie dwie kaczki zabite.

Głafira Siemionowna spojrzała i również nabrała odwagi, jakoż odpowiedziała:

— Alboż rozbójnik nie może strzelać do kaczek?

— To prawda, ale uważasz... ma twarz dobroduszną, a nawet dość jowialnie-naiwną.

— Tobie wydaje się on dobrodusznym i głupim, a mnie on przeraża. Bądź tak laskaw, gotuj się do obrony i nie spuszczał go z oka. Gdzież twój rewolwer? — zawołała.

— Ach prawda — rzekł Mikołaj Iwanowicz, jakby poehwycony na gorącym uczynku. — Leży przecież obok niego blisko okna.

— Bohater z ciebie, niema co mówić. W chwili niebezpieczeństwa zapomniałeś o broni.

— Cóż ja mogę zdziałać tym rewolwerem wobec jego strzelby — szeptał zawstydzony Mikołaj Iwanowicz.

— Przecież strzelbę ma w futerale.

— W futerale, to prawda, ale nabitą, a ty przecież wiesz, że do rewolweru zapomniałem wziąć patronów.

— Mimo to weź go do ręki... Nikt przecie nie wie czy on nabity lub nie. No, weź — zawołała Głafira Siemionowna.

— Boję się podejść tak blisko — rzekł Mikołaj Iwanowicz, nie kryjąc się zgoła, że stracił wszelką odwagę. Patrz, jaki nóż ma ten przekłety człowiek.

— I ty masz także nóż. Gdzie go podziałeś?

— W tym przestrachu upuściłem go i leży pod ławką.

— Aj Mikołaj Iwanowicz! Czy można polegać na tobie w razie niebezpieczeństwa? Jesteś większy tchórz niż kobieta.

— Moja duszeńko, ja przecież wcale nie służyłem w wojsku — tłumaczył się Mikołaj Iwanowicz.

— Podnieś nóż.

— Gdzie go tam szukać. Ja duszeńko boję się nawet nachylić. Ja się nachylę, a on tymczasem rzuci się na mnie. Nie, nie, niech lepiej tam leży. Sama wszakże mówiłaś przed chwilą, że bym go nie spuszczał z oka. Mnie się jednak zdaje, że stanowczo nie jest to żaden rozbójnik. Patrz, wyjął z torby gruszkę i zajada z apetytem.

— Wszak i rozbójnicy mogą jeść gruszki. To nie jest żaden dowód. W każdym razie miej się na baczności.

— Niezawodnie, niezawodnie. Ja Głasza, siądę. Wszak to wszystko jedno, czy siedzieć, czy stać...

I Mikołaj Iwanowicz niespuszczając oka z mniemanego rozbójnika, z pewną ostrożnością powoli osunął się na ławkę około okna, tam gdzie stał. Toż samo patrząc z ukosa na jedzącego podróżnego uczyniła i Głafira Siemionowna. Rozbójnik spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Czy już państwo uspokoiłście się? — zapytał po niemiecku. — Bardzo mi przykro, że państwa tak mojem niespodzianem wejściem przestraszyłem.

— Powoli cię zaczepia — szepnął żonie Mikołaj Iwanowicz, niepojawszy, ma się rozumieć, co powiedział rozbójnik i zapytał jej po chwili:

— Czy rozumiesz, co on mruczy?

— Wcale nie.

Małżonkowie nie spuszczaali oczów z rozbójnika i on też równie wpatrywał się w nich z ciekawością. Siedzieli wszyscy na przeciwnych stronach.

W chwilę później rozbójnik dobył z torby dwie gruszki, położył je na dłoni i wyciągając rękę, podał małżonkom z łagodnym uśmiechem, mówiąc:

— *Bitte!*

Głafira Siemionowna cofnęła się i jeszcze silniej przycisnęła się do męża, nie biorąc gruszki. Mikołaj Iwanowicz wprawdzie wyciągnął rękę, ale go powstrzymała żona.

— Nie bierz... Nie bierz... Gruszki może zatrute i dlatego nimi częstuje, żeby nas uspić.

— I to prawda — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, cofając rękę. — A ja chciałem je wziąć niebacznie, żeby go nie drażnić.

Rozbójnik jednak upierał się przy swoim. Siedział z wyciągniętą ręką i powtarzał:

— *Bitte, bitte... Ohne Ceremonie!*¹⁾

— Ja Glasza wezmę, ale jeść jej nie będę — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Wziął gruszkę i poruszył głową na podziękowanie, mówiąc:

— *Danke!*

Rozbójnik milczał czas niejaki i na nowo przemówił po niemiecku:

— Na następnej stacyi uwolnię państwa od mojej osoby, bo już będę w domu.

Małżonkowie, weale nie nie zrozumieli. On ciągle ukazywał im palcem kaczki i mówił po niemiecku:

— Oto co wiozę dla żony. Mój to tryumf myśliwski. *In Russland giebt es solche Enten?*²⁾ — zapytał, wyjaśniając gestykulowaniem znaczenie pytania, ale jednak pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Pociąg zaczął zwalniać bieg. Rozbójnik zamyślił się, chwycił strzelbę, plaszcz nieprzemakalny i gotował się do wyjścia. Głafira wzięła to za groźbę i krzyknęła.

— Kola! Kola! Bierz rewolwer do ręki!

Mikołaj Iwanowicz przeciągnął się i chwycił rewolwer, leżący pod przykryciem chustki od nosa, na przeciwnym końcu

¹⁾ Proszę, proszę... bez ceremonii.

²⁾ Czy w Rosyi są także takie kaczki.

kanapki. Mniemany rozbójnik uśmiechnął się i przemówił po niemiecku:

— A! Państwo także jeździecie z bronią. To bardzo dobrze podróżując nocami...

Pociąg stanął.

Rozbójnik uklonił się małżonkom, jeszcze raz przeprosił za spowodowany przestach i oddalił się z *coupé*.

— Nareszcie, chwala Bogu — zawołał Mikołaj Iwanowicz, kiedy pozostali sami. — Wyszedł przecie. Ach jak on nas przestraszył, tyś była taka blada, jak ściana.

— A ty nie? Tyś jeszcze gorzej wyglądał — zawołała Głafira Siemionowna. — Ty nawet wypuściłeś z ręki broń, nie miałeś odwagi wziąć rewolweru.

— A niech go tam! Chwała Bogu, że sobie poszedł. To jakiś myśliwy, bardzo podobny do rozbójnika.

— No, no, nie ciesz się jeszcze tak bardzo. Może to właśnie rozbójnik. Nie trzeba tryumfować, że sobie poszedł. Bardzo łatwo być może, że przyszedł podpatrzeć, czy się nie uda co zrabować, a na następnej stacyi wejdzie tu powtórnie, z innymi rozbójnikami — zrobiła uwagę Głafira Siemionowna.

— Co ty znowu wygadujesz! Możesz dostać pypeć na języku, jak gdacząca kura — wyrzekł przerażony Mikołaj Iwanowicz i przeżegnał się.

Pociąg tymczasem pędził całą siłą pary.

XXII.

Pomimo nadzwyczajnego przestachu, jakiemu uległ Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, sen zrobił swoje i zasnęli oboje na jakiś czas, chociaż dali sobie słowo, żeby ciągle czuwać. Pierwsza obudziła się Głafira Siemionowna i mocno się wylekła, że dała się pokonać znużeniu. Zbudziła się zaś, gdy pociąg przystanął. Stukali młotkami próbując koła, przeklinali głośno robotnicy i mówili do siebie po francusku, jak się przekonała z radością Głafira Siemionowna.

Otworzyła okno i zaczęła przysłuchiwać się, tak jest, tak jest, mówią po francusku. Niemieckiego żargonu już wcale nie słyhać, znikł, przepadł bez wieści; przepadły tłuste, lśniące twarze opasłych Niemców, a czapki niemieckie, zastąpiły francuskie kepi, pojawiły się francuskie, spiczaste bródki, a na zabudowaniu stacyi widać wyraźnie francuskie napisy. Pierwszym napisem, jaki wpadł w oczy Głafiry Siemionowny, był szyld: *Buvette!*

— Mikołaj Iwanowicz — krzyknęła z radością — język francuski. Przyjechaliśmy nareszcie do Francyi, jesteśmy na francuskiej ziemi.

Mikołaj Iwanowicz spał, oparłszy się o ścianę i trzymając w rękę rewolwer, który leżał mu na kolanach. Żona musiała wstrząsnąć go za ramię, ażeby się nareszcie zbudził. Mikołaj Iwanowicz otworzył oczy, szybko stanął na nogach i wypuściwszy z rąk rewolwer, który spadł na podłogę, zapytał z wielkiem przerażeniem:

— Znowu rozbójnik? Gdzie on?

— Jaki rozbójnik? Przyjechaliśmy do Francyi. Francuski język... Może nawet jest to już Paryż.

— Nie może być! Trzeba zatem zapytać. Pytaj! Pochwal się nareszcie umiejętnością francuskiego języka.

Głafira Siemionowna wychyliła się z okna i krzyknęła na przechodzącego Francuza ze spiczastą bródką:

— *Monsie! Kel station? Pari! Es Pari?*

— *O, non madame, Paris est encore loin. A Paris nous serons le matin* ¹⁾ — odpowiedział zapytany.

— Co on mówi? — pyta Mikołaj Iwanowicz.

— Nie, nie. To nie Paryż. Do Paryża przyjedziemy rano.

— Jednakże — jak uważam — zrozumiałaś.

— Jeszczeby też! Po francusku mówię na zawołanie. U nas na pensyi była rodowita Francuska, zaczęła się prze-

¹⁾ — O nie pani, Paryż jest jeszcze daleko. W Paryżu będziemy rano.

chwalać Głafira Siemionowna. Oto tutaj napisane: *Pur le dam* — tam znowu: *pur le mesye*. Dalej zaś: *bufette*. Tu można się napić, jeżeli sobie kto życzy.

— Otóż Glasza, ja wypilbym z przyjemnością. Zapytaj jak długo zatrzymuje się pociąg.

— Nie. Nie. Z kimże mię tu zostawisz? Ja się obawiam; może właśnie wpaść rozbójnik.

— O znowu rozbójnik. Zdaje się, że on już pozostał na niemieckiej ziemi. Jakimże to sposobem przepuścili nas przez granicę. Wreszcie możesz razem ze mną wysiąść z wagonu.

— *Kondukter!* — znowu krzyknęła Głafira Siemionowna. *Combie minut isi?*

— *Seulement dix minuts a present, madame. Ils vous reste deux minuts!* ¹⁾.

— *Me nu wulon boar!*

— Tak, boar... Boar we róż, a to tak jak bir — dodał Mikołaj Iwanowicz i także pochwalil się przed żoną. — Wszystkie chmielne wyrazy ja doskonale znam.

Konduktor odpowiedział:

— *Vous voulez prendre du vin rouge? Donnez moi de l'argent, monsieur. Je vous rapportrai tout de suite* ²⁾.

— Co on mówi Glasza?

— Sam chce przynieść nam wina. *Combie pour butel!*

— *Deux francs. Depechez vous, madame, depechez vous* ³⁾.

— Jak to, także potrzebna depesza — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — I tutaj także za pośrednictwem telegraficznej depeszy?

— Bynajmniej, wcale nie. Daj mu prędzej pieniądze. Daj dwa francuskie srebrne *czetwertaki*. Prędzej! Prędzej!

— Oto są. I Mikołaj Iwanowicz podając konduktorowi pieniądze, dodał: *Tu trua czetwertak*, niech to będzie *trua*

¹⁾ Tylko dziesięć minut obecnie. Pozostaje dwie minuty.

²⁾ Pan życzy sobie czerwonego wina. Proszę o pieniądze, ja panu przyniosę natychmiast.

³⁾ Dwa franki. Spiesz się pani, spiesz się!

franc. Ja myślałem, że i tutaj, jak w Niemieczech, wszystko idzie za pośrednictwem telegrafu, kiedy konduktor wymienił wyraz *depesze* — mówił Mikołaj Iwanowicz do żony, po odaleniu się konduktora.

— Bynajmniej. On nie wspominał wcale o depeszy, lecz powiedział: *depesze wu*, co znaczy po francusku, spiesz się. Tutaj ziemia francuska, tu takiej głupoty niema.

— Otóż właśnie, byłoby to dziwne. Myślę sobie, tam tylko obiady dostaje się za pośrednictwem telegramu, a tu nawet wypić nic nie można bez depeszy telegraficznej. Jaka to sumienność u Francuzów. Tylko wspomnieliśmy, że chcemy pić, a ten zaraz grzecznie woła, ja państwu sam przyniosę.

— Jestem niezmiernie kontent, że nakoniec dostaliśmy się do ziemi francuskiej.

— Francuzi, naród nadzwyczaj ugrzeczny, uprzejmy. Niepodobna porównywać ich z Niemcami — wyrzekła sentencyonalnie Głafira Siemionowna.

Pociąg jednak nie stał nawet dwóch minut i ruszył, mijając hufet jasno oświetlony.

— Głasza! A wino? Gdzież jest *wę róż*. Oszukał pan konduktor. Oto masz uczciwość francuską — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi od *coupé*, wszedł konduktor, niosący butelkę wina, na szyjce zaś zawieszony był kieliszek.

— *Voyons, monsieur... Servez vous...* — rzekł, podając butelkę mocno uradowanemu Mikołajowi Iwanowiczowi.

— Otóż za to, *musie*, serdecznie dziękuję, za to *merci, gran merci, merci* — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz, odbierając butelkę.

— *Monsieur est un Russe?* — zapytał konduktor, dodając: — *Oh! nous aimons la Russie et les Russes. Vivent les Russes!*¹⁾

¹⁾ Pan jesteś Rosyjanin. O my kochamy Rosyję i Rosyan. Niech żyją Rosyjanie!

Zalatywał od mówiącego zapach wina. Widocznie, on sam w tej chwili pił wino i wcześniej zapewne także sobie nie żałował. Mikołaj Iwanowicz zauważywszy to, rzekł do żony:

— Chłopak ten doskonale, widać, podehmielił sobie.

— Nie to nie szkodzi. Francuzi nawet pijani są jednakowo sympatyczni. To zupełnie inny naród — odpowiedziała żona.

— *Vos billets, monsieur* — wyrzekł wreszcie konduktor.

— Żąda biletów — rzekła Głafira Siemionowna.

— Zrozumiałem, zrozumiałem. Nie potrzebujesz mi tłumaczyć. Pokazuje się, że ja po francusku wszystko rozumiem i mogę bardzo gładko mówić. Naprzykład: *mosie, bile, woala. A biuwe mosie nie chcesz? Ne wule biuwe wę róż* — zapytał uprzejmie konduktora Mikołaj Iwanowicz.

— *Oh, avec plaisir, monsieur. Prenez seulement a present rous-mème et moi apres!*¹⁾ — odpowiedział konduktor.

— Doskonale. *Biuwe!*...

Mikołaj Iwanowicz nalał kieliszek i wyciągnął do konduktora rękę, ale ten uklonił się i rzekł:

— *A present vous - mème, monsieur, et moi, je prendrai apres vous!*²⁾

— Głasza, co on tam mówi? — zapytał ze zdziwieniem Mikołaj Iwanowicz.

— Chce, żebyś ty pierwszej się napił.

— Ja... *Że...* Doskonale. *Tre bię*. No... za zdrowie Francyi.

Mikołaj Iwanowicz jednym tchem wypił kieliszek i rzekł:

— My kochamy waszą Francyę, bardzo kochamy.

Głasza przetłumaczyła przemowę męża.

— *Nu Riis, nu zemą la Frans.*

— *Oh, madame! Et nous, nous adorons la Russie!*³⁾

¹⁾ O z wielką przyjemnością. Niech pan naprzód sam wypije a ja potem.

²⁾ Teraz pan, a ja wypiję później, po panu.

³⁾ O pani, my ubóstwiamy Rosyję.

Konduktor wziął podany mu kieliszek z czerwonym winem, podniósł do góry i zawołał:

— *Vive la Russie!* — i wypił jednym tchem do dna.

— Przyjacielu! *Ami! Frans i Riis, ami* — rzekł Mikołaj Iwanowicz, wyciągając rękę do konduktora.

Konduktor ją uściśnął.

— *Ankor* — rzekł Mikołaj Iwanowicz, ukazując na kieliszek.

— *Après, monsieur... Prenez a present vous-meme. Dans une demi-heure je vous apporterai encore une bouteille, et nous prendrons encore. J'aime les Russes*¹⁾.

— Co on mówi Głasza?

— Przyniesie jeszcze jedną butelkę i wtenczas znowu się z tobą napije.

— Dusza-człowiek! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, uderzając konduktora po plecach. — No, *bię, bię*. Przyniesę, wypijemy.

— *Au revoir monsieur... Au revoir, madame*²⁾ — rzekł konduktor, kłaniając się, otworzył drzwi i zniknął w ciemności nocy.

Pod tak szczęśliwemi okolicznościami wjeżdżali Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna do Francji.

XXIII.

Z francuskim konduktorem Mikołaj Iwanowicz wypił dwie butelki czerwonego wina. Przy drugiej butelce konduktor przyniósł białego chleba z serem i podał go z uprzejmością i gracyą salonowego kawalera, Głafirze zaś wręczył z ukłonem i szastaniem się gruszkę. Pojawienie się takiego człowieka, zbyt ostro i widocznie odróżniającego się od gburowatych Niemców, znakomicie usposobiło małżonków, mianowicie roz-

¹⁾ Później panie, niech pan teraz sam pije. Za pół godziny przyniesę jeszcze jedną butelkę i wypijemy. Kocham Rosyan.

²⁾ Do widzenia, panie... Do widzenia, pani...

pogodziło ich umysł, przygnębiony rozmaitymi wypadkami na niemieckiej ziemi, a skoro z brzaskiem dnia w Ben-Vervie rzeczy ich tylko zlekka zostały zrewidowane przez urzędnika cłowego, który zajrzał jedynie do *coupé* przez okno, małżonkowie zaczęły drzemać, zapomniawszy zupełnie o rozbójnikach, których w początku tak się obawiali. Wreszcie zaczęło świtać, a blask dzienny, jak wiadomo, paraliżuje wszelkie obawy. Podjeżdżając do miasta Namours, już spali snem głębokim. Konduktor chociaż zaglądał do *coupé*, celem kontroli biletów, nie budził ich wcale.

Skoro małżonkowie zbudzili się, już jaśniało słońce. Blask jego był rażącym, jaskrawym, pomimo to małżonkowie z radością siedząc przy oknie patrzyli na migające domki w przejeździe, na krzewy i galki, zdające się równocześnie pędzić z pociągiem, ale w przeciwną stronę, na dęby z pożółkłym liściem, rosnące tu i owdzie nad brzegiem jakiejś malej rzeczki.

Głafira Siemionowna siedziała przy oknie i rozkoszowała się tym widokiem. Wkrótce male domki zaczęły znikać a nastąpiły na ich miejsce jakieś większe budowle. Pojawily się na domach szyldy, mignęła jakaś willa, czyli osada, otoczona sztachetami, pomalowanemi żółtą farbą, wysunęły się wysokie kominy fabryk, z których buchał dym, i nagle Głafira Siemionowna krzyknęła:

— Patrz! Patrz. Widać wieżę Ejfloską. Ja zaraz ją poznałam, bo widziałam ją ilustrowaną w jakiejś gazecie. Mikołaj Iwanowicz! Mikołaj Iwanowicz, ciesz się, podjeżdżamy już do Paryża.

— Co? Co? — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, zbliżając się szybko do okna.

— Patrz, tam! Widzisz! — mówiła rozpromieniona radością Głafira Siemionowna.

— Tak jest, tak, to wieża Eifla. To ta wieża! Kończy się nareszcie nasza uciążliwa podróż. »Widzę kraj rodzimy!« — zaśpiewał nagle zachwycony Mikołaj Iwanowicz.

Już tu i owdzie widzieli ulice. Domy coraz bardziej mnożyły się i coraz wzrastały pod względem wielkości budowy. Ruch na ulicach coraz zwiększał się. Pociąg zwałniał bieg, zgrzytały hamulce. Jeszcze kilka minut upłynęło i wagony zatrzymały się na platformie, na której zgromadzili się tragarze w bluzach, w kepi i w blachach na piersiach.

— Przybyliśmy, przybyliśmy do Paryża — z radością zawołała Głafira Siemionowna, skoro tylko konduktor otworzył drzwi *coupé*.

Do drzwi podbiegł tragarz w niebieskiej bluzie, ofiarując swoje usługi.

— *Uj! Uj! Prene no sakwojaż* — powiedziała Głafira Siemionowna. — *E szersze kosze pur partir a otel*. Mikołaj Iwanowicz. Bierz poduszki. Czego stoisz, jak posag?

— *Une voiture, madame?* — zapytał tragarz.

— Tak. Tak. *Wuatiur*. I *ankor* nasz багаż — dodała podając mu pokwitowanie na rzezy:

— *Oui, oui, madame*.

Rzezy zostały odebrane i tragarz poniósł je na plecach do podjazdu dworca. Małżonkowie postępowali za nim uradowani. Oto i ulica z uwijającą się na wszystkie strony publicznością. Mikołaj Iwanowicz wzbudzał ogólny podziw ogromem poduszek, które niósł na rękach. Jakiś ulicznik sprzedający bilety wejścia na peron, wykrzyknął:

— *Voyons! Ce sont les Russes!*

Francuski milicyant w niebieskiej pelerynce, w kepi, z zakręconymi w górę wąsami i z bródką kończącą, poruszył ręką ku stojącym rzędami fiakrom. Z szeregu wysunęła się mała karetka, z forysiem siedzącym na koźle, rumianym na twarzy, gładko ogolonym, tłustym, w białym, lakierowanym cylindrze i zbliżyła się do małżonków. Bagaze ułożono na wierzchu karety, tragarz otrzymał całą bryłę, jak się wyrażał Mikołaj Iwanowicz, francuskich piąтакów, to jest dziesięciocentowej monety i małżonkowie wsiedli do karety, zasloniwszy się poduszkami. Forys obejrzał się i zapytał dokąd ma jechać.

— Do hotelu jakiegobądź. *Dan otel* — powiedziała Głafira Siemionowna.

— *Quel hôtel, madame?*

— Ach mój Boże, ja nie wiem, *kel. Ze ne se pa*. Mikołaj Iwanowicz, *kel?*

— A ja skąd wiem.

— Wszystko równo, gdziekolwiek, do któregokolwiek hotelu. *Se egal kel. An otel* — potrzebujemy *szambr, szambr i de li*.

— *Je comprends, madame. Me quel quartier desirez vous?*

— Głasza, co on mówi?

— Stanowczo nie nie rozumiem. *En szambr dan otel. Nu wojażer, nu de Rusi*.

Stojący obok milicyant miejski, powiedział coś forysowi. Ten pokręcił głową i pojechał lekkim truchtem, wymachując batem, ale nie uderzał nim konia, lecz maleców, uliczników, podbiegających do karety i ofiarujących jakieś ogłoszenia drukowane i kwiaty ułożone w bukiety, a przewiązane jaskrawą wstążeczką. W niespełna czterech minutach karetka zatrzymała się przed podsieniem jakiegoś wielkiego budynku.

— *Voyons!* — krzyknął.

Na krzyk wybiegł lokaj w myce papierowej na głowie, w czarnej kurcie i w ogromnym fartuszk, sięgającym aż do ziemi.

— *Une chambre pour les voyageurs!* — rzekł forys.

Ten poruszył głową z przeczeniem, odpowiadając, że wszystkie pokoje zajęte.

— *En szambr avek de li* — zawołała Głafira Siemionowna.

— *Point, madame* — odpowiedział lokaj, rozkładając ręce.

Forys pojechał dalej. W drugim hotelu ta sama odpowiedź i w trzecim, a w czwartym nawet nie chcieli odpowiadać. Portier, który raczył wyjrzeć, spostrzegłszy karetę i le-

żące na niej rzeczy, machnął tylko ręką. Małżonkowie jechali już blisko pół godziny.

— Nigdzie niema pokoju. Co tu robić? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Trzeba szukać. Niepodobna przecie mieszkać w karecie.

Foryś zwrócił się znowu ku karecie, spojrział i coś zamruczał.

— *Allé! Allé!* — poruszyła ręką Głafira Siemionowna, na znak żeby jechał dalej. *En szambr. Nu ne puwá san szambr...* Trzeba *szersze korze otel*.

W piątym hotelu powtórzyło się znowu to samo. Portyer wyjrzał i w milezeniu machnął ręką.

— Prawdziwe nieszczęście! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Głasza! Co tu robić, chyba wysiąść i krzyżeć na ulicy: Gwałtu! Pokój! Oto masz Paryż. Spróbuję ja jednak i dam napiwek, a jestem pewny, że pokój wnet się znajdzie. *Musie! Musie!* — krzyknął Mikołaj Iwanowicz na portiera, którego postać można było widzieć przez szklane drzwi i pokazał mu pół franka! Portier drzwi otworzył.

— To na herbatę — rzekł. — *Prene* — powiedział Mikołaj Iwanowicz, wyciągając rękę z pieniędzmi do portyera.

— *Se pur butar* — dodała Głafira Siemionowna. — *Prene i done nu en szambr.*

— *Nous n'avons point, madame* — odpowiedział, ale pieniądze jednak wziął i zatrzymał.

— *Że kompran. Że kompran.* Gdzież jest pokój? *U szersze?*

Portyer zaczął coś rozmawiać z forysiem i pokazywać mu ręką. Znowu pojechali dalej.

— Napiwek, to budzik poruszający serce i głowę — zawołał ni stąd, ni z owąd Mikołaj Iwanowicz. — On rozwiązuje języki, jak tajemnicza różyczka działa na nieme figury portyerów, on otwiera hotele, domy a nawet pałace! I zapamiętaj sobie dobrze te moje wyrazy, a zaręczam ci, że wnet dostaniemy pokój — dodał, zwracając się do żony.

Foryś zrobił kilka zwrotów, przejeżdżając z ulicy w ulicę i nakoniec wjechał w jakiś ciemny zaułek, z dość niechlujnymi sklepikami w olbrzymich, sześciopiętrowych kamienicach, których dachy sięgały prawie do obłoków, i zatrzymał się przed niezbyt okazałym zajazdem. Zszedł z kozła, skierował się do bramy i wyszedł stamtąd z bardzo chudą staruszką w białym czepku.

— *En szambr uwek de li* — rzekła Głafira Siemionowna, zwracając się do staruszki.

— *Ah, oui, madame. Ayez la bonté de voir seulement* *) — odpowiedziała staruszka, otwierając drzwi karety.

— Jest pokój! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Cóż, nie powiedziałem.

Małżonkowie wysiedli i weszli do domu.

XXIV.

W podsieniu domu wisiały na ścianie afisze cyrkowe, teatralne i dziennika *Petit Journal*, wielkie naklejone arkusze. Dawał się czuć zapach czegoś smarzonego. Na lewo była widzialna mała izdebka. Tam za kantorkiem stał jakiś staruszek w dobrze podszarzanym surducie, siwawy, w okularach srebrnych i w pantoflach wyszytych kamelorem. Staruszka w białym czepku zaproponowała małżonkom, żeby weszli po schodach tak wąskich, jak zwykła drabina.

— *Kel etaż?* — zapytała Głafira Siemionowna.

— *Troisieme, madame* — odpowiedziała staruszka, i poszła śmiało przodem.

— Na trzecim piętrze? — zapytał żony Mikołaj Iwanowicz nie rozumiawszy odpowiedzi.

— Na trzecim. Przecież to nie tak wysoko.

— *Raz etaż, dwa etaż, trzy etaż, cztery etaż* — rachował Mikołaj Iwanowicz. — *Za pozwoleniem, madame*, to na

Ah, tak, pani. Racz tylko obejrzeć.

czwartem piętrze, nie na trzeciem. Dlaczego pani mówiła, że na trzeciem. Gdzie ona nas prowadzi?

— *Wu xawe di, truażiem* — zaczęła mówić Głafira Siemionowna, zaledwie oddychając ze zmęczenia. Wszak to...

— *Oui, oui, madame, le troisieme... Encore un peu plus haut*¹⁾.

— Jeszcze wyżej, a niech cię... ona nas widocznie na strych prowadzi. Bo tu już piąte piętro... Głasza...

— *Siank, madame, siank...* — starała się wytłumaczyć staruszce, ledwie oddychająca Głafira Siemionowna.

— *Mais, non madame, c'est le troisieme*²⁾ — uporeczywie twierdziła staruszka i wprowadziła ich do kurytarza.

— Fu! Do diabła! — odsapnął, zlany potem Mikołaj Iwanowicz. — Cóż to, czy rachować nie umiemy? Piąte piętro. Tak, to jest piąte piętro. Głasza powiedz jej to.

— Napróżno będę do niej mówiła. Zapewnia, że to trzecie piętro, więc trzeba mileżeć.

Staruszka otworzyła drzwi na rozcież z kurytarza do pokoju i rzekła:

— *Voila, monsieur!*

Mikołaj Iwanowicz zajrzał i wykrzyknął:

— Ale też to prawdziwa klatka. Tutaj trudno pomieścić jednej nawet osoby. A przytem jedno tylko łóżko. Nam potrzeba dwóch łóżek.

— *De li, de* — wyjaśniła staruszce Głafira Siemionowna.

— *Oui, madame... Je vous mettrai...*

— Mówi, że wstawi drugie łóżko.

Małżonkowie długo rozglądali się po pokoju. Stare, odwiecznego fasonu łóżko machoniowe, jakaś dobrze starta sofa, orasz trzy krzesła, okrągły stolik i szafa oszklona, stanowiło całe umeblowanie pokoju. Dwa wielkie okna, były zagrodzone prawie do połowy żelaznymi sztachetkami, a można było doj-

¹⁾ Tak, tak pani, trzecie. Jeszcze nieco wyżej.

²⁾ Ależ, pani, to trzecie piętro.

rzeć w domu na przeciwnej stronie ulicy także same okna, z tem samem zabezpieczeniem, w oknach tych wisiała dziecinna kolderka, zapewne dla wysuszenia, stała też jakaś kobieta z rozczochranymi włosami i uderzała o sztachetki jakąś częścią kobiecego ubrania, żeby je otrzepać z kurzu.

— Oto Paryż, Paryż! — zawolał znowu Mikołaj Iwanowicz, nie zwracając uwagi na stojącą obok niego staruszkę i słuchającą ze zdziwieniem wykrzyku Mikołaja Iwanowicza w obeym dla niej języku. Szkoda było jechać do Paryża. Miła rzecz mieszkać w takim chlewie.

— A jednakże musimy nająć i ten chlewek, bo przecież trzeba gdzieś mieszkać — odezwiała się półgłosem Głafira Siemionowna. — Niepodobna także jeździć po mieście do północy. I tak już błakamy się przeszło dwie godziny; Bóg wie, wiele już zwiedziliśmy hoteli. Obróciła się do staruszki i zapytała o cenę.

— *E le pri? Kombię?*

— *Dix francs, madame* — odpowiedziała staruszka ze spokojem i powagą.

— Co takiego? Dziesięć franków? — krzyknął Mikołaj Iwanowicz zirytowany. — Ależ to prawdziwy rozbój. Dziesięć *czetwiertaków* po czterdzieści kopiejek, to cztery ruble. Rozbój! Rozbój!

Chociaż mówił po rosyjsku, jednakże staruszka go zrozumiała, bo wzruszywszy ramionami, odpowiedziała:

— *C'est l'exposition, monsieur.*

— Mówi, że to z powodu wystawy tak drogo — przetłumaczyła mężowi Głafira Siemionowna.

— Zawsze jednak to rozbój. Takie komórki, do tego na strychu, gdzieś pod dachem, w Petersburgu wynajmują się po pół rubla na dobę, a już bardzo drogo zapłaci się, dając 75 kopiejek. Tu zaś cztery ruble! Ja dam cztery ruble, nawet dam pięć, ale niech mi pokażą jaki porządniejszy pokój.

— *Se szer, madame* — rzekła Głafira Siemionowna, próbując czy staruszka nie zmniejszy ceny, ale jednak na nie

nie zdało się, bo staruszka roztworzyła ręce, wspominając ponownie coś o wystawie.

— Czy niema porządniejszego pokoju? Zapytaj Glasza — mówił Mikołaj Iwanowicz.

— *Wu zawe bon szambr? Nu wulę bon szambr.*

— *A present, non madame* — odpowiedziała staruszka.

— Co robić zatem? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, spoglądając na żonę.

— Wziąć i basta. Niepodobna dłużej błąkać się po Paryżu — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Ależ ten pokój wygląda jak baszta na magistracie!

— Potem wyszukamy sobie inny pokój, a teraz musimy korzystać z tego, kiedy się nam zdarza — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Poganie! Zdziercy! Rosyanów przyjmują wykrzykiem: hura! a ze skóry drą, ze skóry.

— Dlatego to właśnie tak radośnie nas przyjmują, bo mogą drzeć wiele się tylko da.

— *Eh bien, madame?* — zapytała Głafiry Siemionownej staruszka.

— Bierzmy ten pokój. Niema rady... *Nu prenon*, nasze rzeczy...

Głafira Siemionowna zaczęła zdejmować z siebie waterpruw, staruszka zadzwoniła, chcąc posłać służącego po rzeczy nowych swoich lokatorów. Mikołaj Iwanowicz zeszedł na dół, aby się załatwić z forysiem karety. Idąc, rachował stopnie schodów. Pokazało się, że było ich osmdziesiąt trzy.

— Osmdziesiąt trzy stopnie, dziesięć zawrotów na schodach, pięć przystanków i oni to nazywają trzeciem piątem. Niech ich djabli! *Kombię* — rzekł nareszcie zbliżywszy się do forysia, i wyjmując garść srebra z kieszeni.

— *Huit francs, monsieur* — odpowiedział forys.

— Jakto *uit fran*, to jest osm franków. Ależ mój kochany, musiałeś się chyba najeść szaleju i w głowie ci się pomięszalo. Osm *czetwiertaków* po czterdzieści rosyjskich kopie-

jek, więc wypada trzy ruble i dwadzieścia kopiejek — krzyknął, chwyciwszy się za głowę Mikołaj Iwanowicz. — *Mosie* — rzekł, zwracając się do staruszka, stojącego w czasie ich przyjazdu za kantorem, a teraz towarzyszącego Mikołajowi Iwanowiczowi — on chce osm franków. Przecież u was musi być taksa... Niepodobna, żeby tyle należało się podług taksy...

Staruszek coś pomówił z forysiem, potem zwracając się do Mikołaja Iwanowicza, rzekł po francusku i następnie coś nakreślił mu na swej dłoni, ale Mikołaj Iwanowicz nie mógł wcale zrozumieć, wreszcie dobywszy dwie sztuki pięciofrankowe i podając je forysiowi, rzekł po rosyjsku:

— Trzech rubli nie dam, choćbyś nawet pękl. Oto dwa ruble i odjeżdżaj z Bogiem. *Alle!*... *Precz!*... *Alle!* — machnął ręką, odpędzając forysia.

Foryś, który żądał tylko osm franków a otrzymał natomiast dziesięć, nie mógł wyjść ze zdziwienia, widząc, że nie żądają od niego reszty i jeszcze sami go odpędzają. Nareszcie uśmiechnął się, prędko zdjął kapelusz i rzekł:

— *Merci, Monsieur!*

Co żywo siadł na koziel, zaciął konie i popędził galopem, nucąc wesolo.

Staruszek również zadziwił się niezmiernie szczodrością pasażera, wzruszył ramionami i szepnął:

— Rosyanie! Znam ja tych Rosyan! Lubią wpadać w gniew, ale to naród bardzo hojny.

Mikołaj Iwanowicz uważając pięciofrankowe sztuki monety za srebrne ruble i w prostocie ducha rozumiejąc, że coś utargował z owej, tak wysokiej dla niego, zapłaty, nadzwyczaj uszczęśliwiony powoli postępował za służbą, niosącą bagaże i mówił sam do siebie:

— Dwa ruble... Nawet dwa ruble za drogo za taką jazdę. Mówiąc seryo, to kręciliśmy się tylko na tem samym miejscu i wcale nie przejeżdżaliśmy przez ulice.

Zastal Głafirę Siemionownę zamawiającą kawę. Przed nią stał jakiś młody człowiek w oberwanym surducie, w wojloko-

wych pantoflach i w kolpaku, zrobionym z papieru, z glupkowatą twarzą, ale także i z małą hiszpanką, i mówił:

— *Madame vent café au lait... Oui... Oui.*

— Zamawiam kawę ze śmietanką — rzekła do męża Głafira Siemionowna. — Bo trzeba się czegoś napić...

— Tak, tak. Kawa... Bardzo dobrze — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Ale bracie, przynieś i masła i bułek. Głasza, wytłumacz mu to.

— *Pian i ber* — rzekła Głafira Siemionowna. — Ale bardzo dużo... *Boku!*

— *Pian, ber* — powtórzył Mikołaj Iwanowicz, co niby miało znaczyć: chleba i masła.

— Tak, tak, chleba i masła — powtórzyła po rosyjsku Głafira Siemionowna.

— *Oui. Oui monsieur! Un déjeuner!*

— Tak jest, dla mnie i dla żony — ponowił Mikołaj Iwanowicz — sądząc, że służący pyta się czy ma przynieść i jego żonie.

Służący odszedł.

XXV.

Zanim Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna zdolali umyć się, już służący pospieszył z kawą. Wniósł na wielkiej tacy maszynkę z kawą, garnuszek z mlekiem, maselniczkę i bulki. Nadzwyczaj zadziwiły Mikołaja Iwanowicza olbrzymie filiżanki, większe jeszcze niż zwykle do rosolu używane czarki, obok tego leżały, tak zwane, łyżki deserowe. Mikołaj Iwanowicz zobaczywszy filiżanki i łyżki, krzyknął:

— Gwałtu! Cóż to za olbrzymie czarki! Szkoda, że nie przyniosłeś w miejsce nich zwykłego wiadra lub cebrzyków. Któż to w takich miskach kawę pije? Praczki, jedyne amatorki kawy, a mimo to jestem pewny, że żadna z nich nie mogłaby wypić takiej czary kawy.

Służący stał, kłaniał się i uśmiechał się glupkowato.

— Głasza, przetłumacz mu to co ja mówię — mówił Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do żony.

— Jakże ja mu to przetłumaczę — odpowiedziała Głafira Siemionowna mocno zaambarasowana. — Mówisz takie wyrazy jakich ja nie znam po francusku.

— *Le tas tre gran* — rzekła Głafira Siemionowna, pokazując filiżanki służącemu. — *Perkad gran.*

— *Oh, madame, c'est toujours comme ça. Vous avez demandé café au lait¹⁾.*

— Mówi, że takie filiżanki używane są do kawy — przetłumaczyła Głafira Siemionowna. — Widocznie taki tu u nich zwyczaj, bo Francya, to kraina kawy.

— Powiedz mu o praczkach.

— Nie wiem jak praczka po francusku.

— Jak to nie wiesz? Przecie wszystkie salonowe wyrazy to twoja specjalność, a praczka jest wyrazem pokojowym, salonowym.

— Zapomniałam.

— A jakże tedy będzie się prać bielizna, skoro nam będzie jej potrzeba? Jak zamówisz praczkę do prania — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— W takim wypadku zajrzę do słownika, bo rzeczywiście trzeba będzie oddać bieliznę do prania.

— Zobaczymy.

— Nalewajże sobie kawy i pij — mówi Głafira Siemionowna. — Dlaczego siedzisz taki pochmuźny i medytujesz nad tą filiżanką.

— W jaki sposób wypić tyle kawy? Trzeba ją chyba jeść łyżką, jak barszcz lub rosół. Wiesz, co ja myślę? Że to naumyślnie przyniesiono wielkie filiżanki, żeby wziąć pieniądze za trzy, lub za cztery porce. Wspomnisz moje słowo, że porachują nam za cztery porce. Grabież, prawdziwy rabunek!

¹⁾ O, pani, to jest codziennie to samo. Pani życzyła sobie białej kawy.

— Mniejsza z tem, co będzie, to będzie, a tymczasem pij bo ci kawa ostygnie. Myśmy już powinni przyzwyczaić się, że przyjechaliśmy po to za granicę, ażeby nas grabiono i rabowano.

Służący wciąż stał i uśmiechał się głupkowato.

— *Voulez vous encore quelque chose monsieur?* — zapytał, gotując się do wyjścia.

Mikołaj Iwanowicz zrozumiał wyraz *encore* i krzyknął:

— Jakto? *Ankor! Ankor!* Co jeszcze? Przyniosłeś wiadra kawy a jeszcze się pytasz, czy nie podać więcej. Cheesz nam przydzwigać czterdziesto-wiadrową beczkę chyba? Idź, idź z Bogiem. Oto się rozlakomil! *Ankor!* Prawdę powiedział kupiec w Kolonii na stacyi kolei żelaznej, że tu siedm skór z człowieka zdzierają — mówił podrażniony Mikołaj Iwanowicz.

Sługa jednak wciąż stał, głupkowato uśmiechając się i nakoniec odezwał się:

— *J'aime la langue russe... Oh! que j'aime, quand on parle russe!*¹⁾.

— Głasza! Co on tam mruczy? Co mu potrzeba?

— Mówi, że z przyjemnością przysłuchuje się, kiedy kto mówi po rosyjsku — przetłumaczyła Głafira Siemionowna, wreszcie dała znak służącemu, że może już odejść... *Alle...*

Ten przestępując z nogi na nogę, stał na miejscu nie myśląc o odejściu.

— *Votre nom, monsieur, votre carte* — rzekł. — *Il faut noter chez nous en bas*²⁾...

— Co on mówi? Czego jeszcze chce, Głasza? — pyta Mikołaj Iwanowicz.

— Pyta się o nasze nazwiska.

— A! Paszportu chce zapewne. Zaraz, zaraz... — rzekł Mikołaj Iwanowicz nieco zaniepokojony.

— *O! non monsieur... Le passeport ce n'es pas necessaire. Seulement votre nom, votre carte*¹⁾.

— Mówi, że paszportu nie potrzeba. Prosi tylko o kartę.

— Jakto nie potrzeba. Dziwactwo!... Niech już bierze razem za wszystko. Przecież należy zameldować się w cyrkule. Nie przyjechaliśmy na jeden dzień. Oto paszport... — rzekł Mikołaj Iwanowicz, kładąc na stole książeczkę z paszportem.

Służący ją odsunął ręką i upierał się przy swoim, że nie potrzeba paszportu, lecz tylko karteczki.

— *Seulement une carte... une carte de visite*²⁾... — wyjaśnił sługa.

— Daj mu swój bilet wizytowy. Bo mówi, że paszportu wcale nie potrzebuje. Widać tutaj, inne obowiązują przepisy policyjne.

— Ależ niepodobieństwo, żeby tu były odmienne przepisy. Tego nigdzie niema, nigdzie się nie praktykuje, aby podróżny nie meldował się w policyi. Przecież oni nas nie znają, a przytem może pomyśla, że nie posiadamy paszportu i przyjechaliśmy ukradkiem, precisnęliśmy się przez granicę chylkiem. Oto, bracie paszport — mówił Mikołaj Iwanowicz, wyciągając rękę, weź tę książeczkę.

— *Pas passeport. Seulement la carte* — rzekł służący z uporem.

— Dlaczego zatrzymujesz go. Daj mu swój bilet wizytowy. To tylko nieszczęście, że nie kazales wydrukować biletów wizytowych w języku francuskim.

Mikołaj Iwanowicz wzruszył ramionami i dał swój bilet wizytowy.

Służący wyszedł.

— Głasza, wiesz czego ja się domyślam? — rzekł Mikołaj Iwanowicz po oddaleniu się służącego. — Gdzież kto

¹⁾ O nie panie. Paszport niepotrzebny, tylko pańskie nazwisko i karta wizytowa.

²⁾ Tylko pański bilet wizytowy.

¹⁾ Lubię język rosyjski. Bardzo lubię, kiedy mówią po rosyjsku.

²⁾ Pańskie nazwisko, pańska karta wizytowa. Potrzeba to u nas zanotować, na dole.

słyszał, żeby w hotelu nie żądano paszportu dla zameldowania podróznego.

— Więc jest w tym jakiś figiel.

— Ale jaki? Czy nie chcą oni przywłaszczyć sobie naszych rzeczy? My wyjdziemy z numeru, pozostawiając pakunki, a kiedy powrócimy, powiedzą nam: przecież państwo nie jesteście zameldowani w naszym hotelu, nawet wcale nie wynajmowaliście tu mieszkania i żadnych waszych pakunków u nas niema.

— Co tobie przychodzi do głowy — zawołała Głafira Siemionowna.

— Dlaczegoż nie wzięli naszego paszportu, tylko bilet wizytowy? Przedewszystkiem paszportu żądają w hotelu. Niech sobie co chcą myślą, a ja zejść na dół i oddam go właścicielce. Paszport zanotowany w księdze, daje spokój i bezpieczeństwo. Można w takim razie wnieść skargę do policji na wszelkie oszustwa...

Tymczasem Głafira Siemionowna już napiła się kawy i zmieniła toaletę.

— Głaska — rzekł Mikołaj Iwanowicz — wypada ci ubrać się w to co masz najlepszego. Tutaj Paryż, tu pierwsza moda, tu najwykwintniejsze elegantki, stąd właśnie przychodzi moda do nas, więc nie trzeba zapominać o sobie i nie dać się zakasować nikomu. Nie wielka byłaby poeiecha, gdyby cię wzięto za jaką kucharkę. Paszportu naszego nie wzięli, więc nie wiedzą, że jesteśmy kupcy. Podług mnie nawet kucharki tutaj ubierają się wedle najświeższej mody.

— Przecież my teraz pojedziemy na wystawę — rzekła Głafira Siemionowna — co innego, gdybyśmy udawali się na przedstawienie w teatrze.

— Na wystawie wszyscy nadzwyczajnie wystrojeni. To przecież wystawa, więc i stroje wykwinne. Powtarzam ci, ubierz się w nową suknię jedwabną, weź aksamitne palto, kapelusz, jakbyś szła z wizytą, brylantową broszkę i brylantowe bransolety.

— Dlaczego?

— Ubierz się tak, jak mówię, bo powtarzam ci, że cię mogą uważać za kucharkę. W mieście słynącym z mody, w mieście, które nadaje ton wszystkim krajom, niepodobna pokazywać się w zwykłych, codziennych galgankach. Wszystko włóż na siebie co masz najlepszego, a przedewszystkiem brylanty. Nawet bezpieczniej przywdziać brylanty, niż zostawiać w nieznanym hotelu. Pamiętaj to sobie, że nie wzięli od nas paszportu, więc to samo już powinno cię ostrzedz, aby brylantów nie zostawiać w numerze. Wszak masz brylantów blisko na cztery tysiące.

— Czy tylko dlatego...

— Bierz! Bierz. Ja ci radzę.

W ciągu kwadransa już Głafira Siemionowna uzupełniła toaletę wedle życzenia męża.

— Otóż teraz, bardzo dobrze. Teraz nikt nie powie, żeś kucharka — mówił uradowany Mikołaj Iwanowicz. — I ja też włożę na palec pierścień brylantowy. Cóż, jesteś gotowa?

— Zupełnie. Czy pojedziemy na wystawę?

— Tak jest, wprost na wystawę. Jak wystawa po francusku? Jak mówić do forysia, kiedy go przywołamy? — zapytał Mikołaj Iwanowicz?

— *Aleksposision!*

— *Aleksposision! Aleksposision!* Więc jedźmy...

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, zeszli po schodach. Na dole Mikołaj Iwanowicz, gwałtownie domagał się od gospodarza i od gospodyni, aby wzięli od niego paszport i zameldowali ich w policji, ale odmówiono stanowczo.

Właścicielka odpowiedziała:

— *Ce n'est pas necessaire, monsieur!*

— Mów mi co chcesz — zawołał Mikołaj Iwanowicz — a ja twierdzą, że w tem wszystkim jest jakaś łapka, kiedy oni nie przyjmują paszportu. Trzeba się mieć na baczności, o nieszczęście nie trudno w takim wielkiem mieście.

XXVI.

— Tutaj i fiaków niema! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, rozglądając się na wszystkie strony po wyjściu z hotelu — wpadliśmy w jakąś norę, najeliśmy pokój w jakiejś zapadłej, samotnej dzielnicy Paryża. Jakże teraz dostaniemy się na wystawę?

— Język i do Kijowa doprowadzi — odpowiedziała zuchowato Głafira Siemionowna.

— Ty tylko po francusku umiesz wyrazy salonowe, czy też i inne, niesalonowe wyrazy?

— Po francusku znam i inne wyrazy — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A słowa używane na ulicy? Co? Bo my przecież obecnie znachodzimy się na ulicy, więc słowa takie koniecznie potrzebne.

— Dlaczegożbym ich nie znała? Wszak uczyła nas po francusku rodowita Francuska.

Mikołaj Iwanowicz przystanął, mówiąc:

— Posłuchaj mię, Głaska, być może, że idziemy nie tą stroną, jak potrzeba, żeby się dostać na wystawę. Wyszliśmy z hotelu na praw, a może właśnie potrzeba było iść na lewo.

— Przecież my idziemy, żeby zamówić dorożkę — odcięła się Głafira Siemionowna.

— Zawsze jednak lepiej się zapytać. Oto nad sklepem wisi czerwona, żelazna rękawiczka a przy drzwiach niezawodnie będzie można spotkać właściciela, nawet, jak uważam, stoi tam jakiś mężczyzna, palący fajkę, jego więc zapytaj.

Naprzeciwno, w uliczce wąskiej, we drzwiach dość niepokąznego sklepu rękawiczniczego, stał jakiś jegomość z bokobrodami i wąsami, tylko w kamizelce, w pantoflach i w niebieskiej z kutasem czapeczce na głowie.

Małżonkowie przeszli uliczkę i zbliżyli się do sklepu.

— *Pardon, monsieur* — rzekła Głafira Siemionowna. — *Aleksposision a droa u a gosz!*

Francuz bardzo grzeczny, szczegółowo zaczął opisywać drogę, prowadzącą na wystawę, dołączając do tego odpowiednie ruchy ręką. Pokazało się, że małżonkowie szli w przeciwnym kierunku, i trzeba było wrócić się napowrót. Wyszli na zbieg dwóch uliczek i znowu przystanąli.

— Zdaje mi się — mówił rękawicznik — aby zwrócić się na prawo — szepnęła jakby sama do siebie Głafira Siemionowna.

— Bóg go tam wie. Ja wcale nie nie rozumiałem z jego opowiadania. Skrzeczał jak sroka — odpowiedział mąż. — Zapytaj ponownie.

Na rogu ulicy znajdował się sklepik, a raczej skład z naczyniami gospodarskimi. W oknach ustawiono szklanki i kieliszki. Na krześle obok sklepu siedziała staruszka w czerwonym czepku, z bawelną w rękę i robiła pończochę. Zaczęły się tedy pytania. Staruszka pokazała ręką na lewo, dodając:

— *C'est bien loin d'ici, madame. Il faut prendre l'omnibus* ¹⁾.

Skierowali się tedy na lewo, przeszli przez ulicę i znaleźli się wkrótce na krzyżujących się drogach. Ta ulica była już bardzo ludna, snuło się tu mnóstwo osób, przejeżdżały ekwipaże, wozy z ciężarami, zaprzężone w parę koni, toczyły się wielkie omnibusy, zapelnione publicznością, forysie trzaszkały z biczów.

— *Rue Lafayette!* — przeczytała Głafira Siemionowna na tablicy. Zaraz też opowiedziała mężowi.

— Ulica ta nazywa się: *Rue Lafayette*. Pamiętam, że czytałam w jednym romansie o tej ulicy. Ulica ta jest mi dobrze znajoma. W każdym jednak razie, trzeba najać powóz. Oto właśnie jedzie dorożka, powozi nim kuczer w białym kapeluszu i w kaftanie jasnej barwy.

— Dorożkarz! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Cóż ty wolisz po rosyjsku, trzeba po francusku.

¹⁾ To bardzo stąd daleko. Trzeba wsiąść do omnibusu.

— Tfu! do pioruna. Zupełnie zapomniałem, że tutaj nie rozumieją rosyjskiego języka. Jak foryś, czy tam dorożkarz po francusku?

— *Kosze*.

— Czy tylko się nie mylisz? Zdaje się, że to wyraz nieprzywoity. O ile wiem, po francusku *kosze*, znaczy prosiak.

— Prosiak — *koszon*, a foryś — *kosze*.

— Otóż to język ciekawy. *Kosze* — foryś, *koszon* — prosiak, czy nie można pomylić się i wziąć jedno za drugie?

— Wołaj! Wołaj! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Hej *kosze*? *Monsie kosze*!

— Ba! Nim zdecydowałeś się na jego przywołanie, już został zamówiony przez kogo innego. Jakiś mężczyzna właśnie wsiada do powozu. Tak nie można, trzeba się zawsze spieszyć, bo to przecież wystawa. Jedzie, jedzie znowu jakaś dorożka. Wołaj!

— *Kosze!* — krzyknął znowu Mikołaj Iwanowicz, a Głafira Siemionowna przyzywała go ruchem parasolki, ale dorożkarz nie odpowiedział, machnął tylko ręką. Nie jedzie, więc widać przez kogoś zamówiony.

Znowu jakiś zaulek. Ulice się krzyżują.

— *Riu Lafit* — przeczytała Głafira Siemionowna, dodając: — *Riu Lafit*, także mi dobrze znana z romansu. *Riu Lafit* doskonale pamiętam. Ba, przecież na *Riu Lafit*, Angelika przychodziła na spotkanie z Gastonem, i tu też Gaston ranil Zeroma sztyletem — mówiła Głafira Siemionowna, przypominając sobie czytany romans.

— Jaka Anżelika? Jaki Gaston? — zapytał zdumiony Mikołaj Iwanowicz.

— Ty tego nie wiesz. Tak było w romansie... Ja doskonale pamiętam. Tak, tak... Prócz tego węglarz, Żak Widał, zrobił na niego zasadzkę na schodach. Znowu jedzie dorożka. Wołaj!

— *Kosze! Kosze!*

Dorożkarz nawet nie obejrzał się, spiesząc dalej.

— Co do licha! Nie chcą nas słuchać czy co? Niepodobna przecież iść pieszo tak daleko... — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Pieszko iść ani podobieństwo. Francuska nam przecież objaśniła, że wystawa jest bardzo daleko — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Patrz, tam na rogu, zatrzymała się dorożka. *Kosze!* zawołała sama.

— *Aleksposision!*

Dorożkarz nie podjeżdżając, wskazał batem na powóz, jakby tym sposobem zapraszając.

— Nie siadaj, nie siadaj, bez ugody — zawołał Mikołaj Iwanowicz, nauczony już smutnem doświadczeniem. — Trzeba koniecznie potargować się. Bo znowu czort wie, czy nie zechce zedrzeć skóry. *Kosze, kombię aleksposision?*

Foryś uśmiechnął się, wydobyl z kieszeni kamizelki jakiś papier zadrukowany i podał go Mikołajowi Iwanowiczowi, poczem rzekł:

— *Prenez place sculemant!*

— Coż ty mi dajesz jakiś papier. Ja ciebie się pytam: *Kombię aleksposision?*

— *Vous verrez là, monsieur, c'est écrit!*

— Głasza! Co on mówi?

— On mówi, że na tym arkuszu papieru wydrukowano, wiele się płaci za przejazd na wystawę. Siadajże, przeczytamy też jaka tam taksa oznaczona.

— Nie mam zamiaru siadać, dopóki nie nastąpi zgoda. Dlaczego ten foryś, który nas wiozł z dworca kolei do hotelu, nie podawał nam weale drukowanej taksy? *Aleksposision en frank. Czetwertak.*

— *Oh! non monsieur* — odpowiedział foryś i odwrócił się.

— Ależ siadaj, bo inaczej pozostaniemy bez powozu — protestowała Głafira Siemionowna i wskoczyła do powozu.

1) Niech pan przeczyta, tam to napisane.

— Glasza. Niepodobna, powiadam ci, niepodobna tak siadać, nie umówiwszy się. Foryś obrócił się do małżonków i rzekł:

— *Un franc et cinquante centimes et encore pour boire*¹⁾...

— *Alle! Alle!* — zawołała Głafira Siemionowna. — Franka i 50 centimów żąda za jazdę, a oprócz tego i napiwku — objaśniła mężowi Głafira Siemionowna.

— *Quelle porte, madame?*²⁾ — zapytał foryś, nie ruszając z miejsca.

— Otoż teraz stanowczo nie a nie nie rozumiem. *Alle! Alle! Aleksposision! Pur boar, uj. Alle!*...

Foryś uśmiechnął się, z lekka uderzył batem konie i pojechał.

XXVII.

Po upływie pięciu minut foryś obrócił się do siedzących w ekwipażu i rzekł:

— *Vous êtes étrangers, monsieur? N'est ce pas?*³⁾.

— Glasza, co on mówi? — zapytał żony Mikołaj Iwanowicz.

— Któż go tam wie? Nie rozumiem.

— Przecież to wyrazy uliczne, a tyś się chwaliła, że uliczne słowa rozumiesz doskonale.

— Słów ulicznych wielkie mnóstwo. Zresztą być może, że nie są to wcale uliczne słowa.

— *Etes-vous Russe, monsieur, Anglais, Espagnol?*⁴⁾.

— *Riuss! Riuss!* — odpowiedziała Głafira Siemionowna i przetłumaczyła mężowi, że foryś się pyta, czy my jesteśmy Rosyanie, czy Anglicy.

¹⁾ Jeden frank i 50 santimów, nadto napiwek.

²⁾ Która brama, pani.

³⁾ Pan jesteś cudzoziemiec? Wszak tak?

⁴⁾ Czy pan jesteś Rosyanin, Anglik, Hiszpan?

— *Riuss, brat, Riuss* — dodał Mikołaj Iwanowicz. — Ale popędzaj lepiej konie, jedziemy jakby ze smolą. Poganiaj! Dostaniesz na *te*, czy tam jak u was na *kafe*. My *riuss* lubimy tylko potargować się, a skoro nas poznają, to nie szczędzimy pieniędzy.

— Powiedz mi, dlaczego mu to wszystko mówisz? Przecież on wcale nie rozumie po rosyjsku — rzekła Głafira Siemionowna.

— To mu przetłumacz.

— *Alle... Alle... wit. Nu donq pur boar. Bien donq.*

— *Oh! à présent je sais... je connais les Russes. Si vous êtes les Russes, vous donnez bien pour boire* — odpowiedział foryś. — *Alors il faut vous montrer quelque chose de remarquable. Voilà... c'est l'Opera*¹⁾ — mówił ukazując olbrzymi gmach teatru.

— A! opera. Mikołaj Iwanycz, to opera. Uważasz jaki grzeczny ten foryś, chociaż jedzie, rozpowiada. Więc to owa sławna opera. To nie daleko zapewne jest i *Kafe Risz*, w której hrabia Klennon zaznajomil się z Klementyną. Ona była tancerką w teatrze opery.

— Jaki hrabia? Jaka Klementyna? co ty tam bajesz — rzekł zdziwiony Mikołaj Iwanowicz.

— Ty tego nie wiesz. Ja opowiadam z romansu... Ta Klementyna wreszcie zupełnie zrujnowała hrabiego, tak że pozostał mu jedynie złoty medalik jego matki i ten medalion...

— Ależ to same dziwactwa...

— Ja mówię tak sama do siebie... Jaka to przyjemność widzieć miejsca, znane z książek.

Foryś widocznie już nie jechał prosto na wystawę, ale krążył po ulicach i opowiadał nieustannie:

— *Notre Dame... Palais de Justice..*

¹⁾ Teraz wiem, znałem Rosyan. Jeżeli państwo jesteście Rosyanie, to ofiarujecie dobry napiwek. Trzeba wam zatem pokazać coś, co jest godne widzenia.

— Znam i Notre Dame — podehwyła Głafira Siemionowna. — O Notre Dame czytałam bardzo dużo. Patrz, Mikołaju Iwanowiczu.

— Cóż tu takiego do widzenia? Lepiej byłoby, żebyśmy prędzej dojechali do wystawy — odpowiedział.

Foryś wjechał na bulwary.

— Włoski bulwar — rzekł po francusku.

— Ach nareszcie ten Włoski Bulwar — krzyknęła Głafira Siemionowna. — Ten bulwar spotyka się prawie w każdym romansie francuskim. Patrz Kola, wiele tu ludzi, jakie tłumy. Wszyscy siedzą przy stolikach na ulicy, piją, jedzą i czytają gazety. Jak na to pozwala policya? Na ulicy piją. Nawet i forysie czytają gazety. Czytają, siedząc na kozłach ekwipaży. Pokazuje się, że ludzie ukształceni. Mikołaj Iwanowicz, jak tobie się zdaje?

— Samo przez się rozumie się, że nie można ich porównywać z naszymi prostakami i głupcami z Riazania. Tylko Głasza, uważasz, nie nazywaj mię teraz Mikołajem Iwanowiczem, ale wprost: *Musie Nikola...* Paryż... na to nie nie poradzisz! Przyjechaliśmy do takiego znakomitego francuskiego miasta, więc trzeba i nam zfrancuzić się. Kiedy wlałeś między wilki, wyj jak wilki. Wszystko na francuski sposób. Ja nawet mam zamiar na francuski manier zjeść żabę w jakiejś pierwszorzędnej restauracyi.

— Pfe! Pfe! Wtenczas ja z tobą nie zasiądę nawet do stołu — zawolala Głafira Siemionowna.

— Jak francuzić się, to już zupełnie. Jak żaba po francusku?

— Nie powiem za żadne w świecie skarby.

— Bo nie wiesz, więc i powiedzieć nie możesz.

— Wiem, nawet doskonale wiem, ale nie powiem.

— Wszystko jedno, ja sam popatrzę w słowniku. Czy myślisz, że ta żaba tak bardzo przypadnie mi do smaku? Lecz naumyślnie... Choćbym miał nawet do niej obrzydzenie, to się przymuszę i chociaż zjem jedną nóżkę, żeby pokazać,

żeby przekonać Francuzów, że i ja jadłem żaby jak prawdziwy Paryżanin.

— Proszę cię przestańmy o tem mówić. Patrz lepiej jakie śliczne bulwary. Ja sobie inaczej wyobrażałam. Bulwar *de Kapiucin...* Otóż na tym bulwarze Giliom Beziute, przebrany za tragarza, z przyprawioną brodą, ukrywał się, z komisarzem policyjnym pił absent, a on go wcale nie mógł poznać.

— To wszystko z romansów? Przestań tych głupstw, proszę cię.

— Ach Mikołaju Iwanycz...

— Nikola — przerwał żonie Mikołaj Iwanowicz.

— No, Nikola... Ach Nikola, to bardzo przyjemnie.

Dziwię się tylko, jak Gilion mógł ukrywać się, kiedy tu tyle publiki. Oto niedawno mówił nam foryś o Notre Dame de Loret. Tutaj mieszkała na strychu Fanszetta.

— Tfu! Znowu bredzisz.

Obwiózłszy małżonków po różnych ulicach, foryś zawiózł ich na nadbrzeże Sekwany. Głafira Siemionowna ujrzawszy zdala wieżę Eifla, zawolala:

— Wystawa!

Na stopnie powozu zaczęli wdzierać się ulicznicy, przedstawiając do kupienia bilety na wystawę.

— Tam kupimy! Na miejscu kupimy. U was mogą być fałszywe bilety — wołał Mikołaj Iwanowicz, odpędzając, wdzierających się na stopnie powozu chłopców.

Foryś podwiózł małżonków na plac wystawy, od strony Trokadero.

XXVIII.

W Trokadero, przy wejściu na wystawę było pełno ludzi, którzy cisnęli się jeden przez drugiego, a prócz tego podjeżdżały powozy i omnibusy. Wszystko to biegło szybko do wejścia, starając się wszelkiemi silami dostać do szeregu, stojącego przy kasie. W kasie jednak nie sprzedawano biletów

ale tylko je odbierano, kupić zaś należało u handlarzy, u chłopców i starszych ludzi, którzy wciąż atakowali publiczność, wsuwając w rękę bilety. Rzecz była tego rodzaju, że po wypuszczeniu odpowiedniej liczby akcyi, do których przyłączono po 25 bezpłatnych biletów, Paryż poprostu był zalany takimi biletami, wskutek czego cena ich pierwotna, jeden frank, spadła niezadługo na 30 santimów a nawet i niżej. Jeden sprzedawał bilet po 40 santimów, drugi po 30, inny po 25, a każdy z nich starał się ubiedz innych, aby samemu zarobić.

— Nie potrzeba, nie potrzeba — wołał Mikołaj Iwanowicz, odpędzając ręką natrętów, bo właśnie załatwiał rachunek z forysiem. — Wiele mu dać Głasza? Umówiliśmy się 1 frank 50 santimów, to jest półtora czetwiertaka.

— Daj mu trzy czetwiertaki, to człowiek bardzo grzeczny, obwoził nas po rozmaitych ulicach.

Mikołaj Iwanowicz dał mu trzy franki, foryś okazał wielkie zadowolenie, zdjął kapelusz i rzekł:

— *Oh merci, monsieur... A présent je vois, que vous êtes les vrais Russes*¹⁾.

— Patrz-no, jaki to wielki szereg przy wejściu — krzyknęła Głafira Siemionowna. — Stawaj coprędeż Nikola, stawaj coprędeż do szeregu. Strach co tu publiki. A wielu to przekupniów sprzedających bilety. I rzecz godna podziwu, że dzieje się to w oczach policyi. Tylu miejskich milicyantów a jednak ich nie rozpedzają. Oto tam właśnie stoi także milicyant.

Małżonkowie weszli w szereg, mijając stojącego policyanta, który co chwila prawie wykrzykiwał:

— *Gardez vos poches, mesdames; gardez vos poches, messieurs*²⁾.

— Głasza, co on wykrzykuje — zapytał zdziwiony Mikołaj Iwanowicz.

¹⁾ O dziękuję panu, obecnie wiem, że jesteś pan istotnym Rosyaninem.

²⁾ Strzeżcie swych kieszeni, panowie i panie!

— Któż go tam wie.

— Otóż to masz... Przecież to słowa uliczne — chępiłaś się, że znasz wszystkie uliczne wyrazy...

W ciągu piętnastu minut powiodło się małżonkom dostać do kasy.

— *Vos billets, monsieur* — zapytał kontrolor.

— *Il fo aszte. Nu nawu pa le bile* — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — *Kombię arżan?*

— My nie sprzedajemy biletów. Państwo powinniście kupić bilety na ulicy. Niech się państwo wróć — rzekł kontrolor, przepuścił małżonków za sztachety do wehadowej izby a potem ich przeprowadził do wychodnej.

— Głasza, co to znaczy? — zawołał Mikołaj Iwanowicz, znalazłszy się znowu na ulicy.

— Nie puszczają bez biletów.

— Przecież mogłaś kupić w kasie.

— Kasa nie sprzedaje.

— Jakto? Dlaczego to obostrzenie? Czy nasze pieniądze gorsze niż innych?

— Nie wiem. Nie wiem. *Ekute! Nu wulon siur texposition!*

— *Nu wulon aszte bile. Bile! Bile!* Gdzie kupić. *U aszte* — pyta przechodzących. Zaczęła nawet przywoływać parasolkę. Zbliżył się do niej policyant i rzekł po francusku.

— Kup pani bilety u tego chłopca i panią zaraz wpuszczą. Bez biletu wejść nie wolno.

Przywołał chłopca z biletami i rzekł:

— *Deux billets pour monsieur et madame.*

— No wyobraźcież sobie państwo — zawołał Mikołaj Iwanowicz, uderzając ręką w rękę, sami milicyanci zachęcają przekupniów. U nas takich przekupniów policyant chwytą za kark a tutaj ich rekomendują i polecają publiczności.

Kupili tedy u chłopca dwa bilety za sześćdziesiąt santimów i powtórnie weisnęli się do szeregu; ale musieli czekać cały kwadrans.

— No, porządki — mówił Mikołaj Iwanowicz, kręcąc głową, kiedy nareszcie odebrano od nich bilety i wpuszczono za sztachety.

Razem z innymi małżonkowie weszli po schodach kamiennych do budynku muzeum antropologicznego, minęli kurytarz i wreszcie znaleźli się w pawilonie, od strony parku. Budowla ta mieściła się na wzniesieniu i z niej rozścielał się widok wspaniały na całą płaszczyznę, na której urządzono wystawę, po obu brzegach Sekwany. Tuż przed nimi jaśniał cudownie piękny taras, ozdobiony setkami i tysiącami kłębów kwiatowych, gicydonami rozmaitej barwy; dalej widać było masę kiosków nadzwyczaj artystycznej formy i kształtów; tryskały wodotryski, wznosiły się rozmaite pawilony, a pośród tego wszystkiego, jak olbrzym, widniała wieża Eifla.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna zatrzymali się mimowoli, rozkoszując się wspaniałym widokiem.

— Przepięknie piękne rzeczy! — zawołała Głafira Siemionowna, po chwili głębokiego mileżenia.

— Długo jechaliśmy, przebyliśmy rozmaite przykrości, nacierpieliśmy się głodu, obdzierano nas prawie wszędzie, aż nareszcie dostaliśmy się do upragnionego celu. Cóż? Trzeba się rozglądać, rozpatrzyć co zdołamy obejrzeć. Pójdziemy do wieży Eifla.

— Pójdziemy, a ja, Mikołaj Iwanowicz, ja na wieżę boję się wchodzić.

— Dziecko jesteś! Po cóż przyjechaliśmy do Paryża? Po to właśnie, aby pochwalić się, że byliśmy na wieży Eifla.

— Niedorzeczność! Przyjechaliśmy do Paryża dla obejrzenia wystawy — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Być na wystawie i nie zwiedzić wieży Eifel, tak samo wygląda, jak być w Rzymie a nie widzieć Papieża. Zmiluj się, tam na wieży, piszą otwarte listy do znajomych i wysyłają je wprost z wieży. Iwan Danilycz przysłał nam z wieży list, powinniśmy mu wywzajemnić się. Także i innym znajomym. Obiecałem i muszę dotrzymać.

— List możesz napisać i na dole we wieży.

— To zupełnie co innego. Na wieży inny stempel. Na wieży taki stempel, że na nim wyobrażona wieża na liście otwartym, a jeżeli kto napisze list na dole wieży, nie wchodząc na nią, to niema na nim żadnego znaku.

— Po cóż ten stempel?

— Po to, żeby wiedzieli, że wchodziliśmy na wieżę. Inaczej nikt nie uwierzy. Nie, nie, na wieżę musisz wejść koniecznie i tam napiszemy oboje do naszych znajomych.

— Kiedy wszyscy mówią, że się już chwieje.

— To i cóż? Chwieje się, ale nie upada. Jeżeli wreszcie opanuje cię wielka trwoga, mnie się trzymaj.

— Na jedno wychodzi, jeżeli mamy zlecieć, to oboje utracimy życie.

— Tyle czasu stoi a dotąd nie obaliła się, a teraz miałaby koniecznie runąć. Co ty wygadujesz.

— Strzeżonego pan Bóg strzeże.

— Nie, doprawdy, Głasza, tyś niezmiernie dziwna kobieta. Więc nabierz nieco odwagi i pójdziemy. Z wieży koniecznie trzeba wysłać listy do znajomych. Niech wiedzą kto my! Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna na wieży, pośród mgły i wicherów. Jeżeli nie wysłamy listów, nikt nam nie uwierzy. Gołabeczko moja, Głasza, nie upieraj się — prosił żonę Mikołaj Iwanowicz.

— No dobrze... Tylko nie dziś... Nie mogę tak nagle... Pozwól, żebym nieco oswoiła się z tą wystawą i nieco rozglądnęła się dokoła. Przecież będziemy tu i jutro i pojutrze, wówczas nareszcie może zdecyduję się i pójdę tam na tę wysoczyznę — mówiąc to, zaczęła z wolna schodzić z pawilonu do parku.

— Dziękuję ci serdecznie za tę obietnicę. Pójdiesz ze mną na wieżę, a ja ci kupię piękną suknię jedwabną. Ofiaruję na to sześćset francuskich *czetwiertaków*, nawet siedmset. Kup sobie taką suknię, aby wszyscy gęby otworzyli ze zdziwienia, żeby wszystkie nasze damy w Petersburgu podrapały sobie

uszy do krwi z zazdrości. Tylko gołabeczko moja nie cofnij się, nie cofnij — mruzczał Mikołaj Iwanowicz, idąc za żoną.

XXIX.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna krążyli po parku wystawy, rozkoszowali się widokiem wodotrysków, zatrzymywali się przy kioskach i wchodzili do nich, w ogóle niczem nieinteresując się, popatrzyli na manekiny, przedstawiające typy narodów, nareszcie Głafira Siemionowna wyrzekła:

— Otóż tedy Paryż i nic więcej. Mówią, że paryskie mody, że dzieła i wytwory znakomite, wspaniałe, a my tymczasem chodzimy i nic osobliwego nie zobaczyliśmy. Także i dzieł sztuki tutaj nie wiele. Damy w bardzo skromnych i pospolitych strojach, w zwykłych kapeluszach i waterpruwach. U nas pierwsza lepsza pokojówka, daleko strojnziej ubiera się na spacer, a przecież tutaj wystawa, więc rzecz prosta strój musi być salonowy. Na prawdę, jestem ubrana bogaciej niż wszystkie damy. Otóż masz ten tak przechwalony Paryż.

— Prawda duszeńko, prawda. I ja to samo zauważyłem, lecz czy my nie dostali się do jakiej dzielnicy niższego stopnia, do której mają przystęp ludzie najskromniej ubrani — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Może tam — mówił, ukazując na rzekę Sekwanę — zbierają się najwięksi eleganci i najmłodniejsze damy.

— Przejeżdżaliśmy także i przez ulice Paryża, czy widzieliśmy, jaką osobliwie modną damę? Wszystko skromne, proste, pospolite, jak się wszędzie widzi po miastach. Suknie jak najskromniejsze, tanie kapelusze Dumala, cośkolwiek zboczony z zagięciem ku tyłowi, z kwiatami, z ptakami, stanowczo nie szczególnego. Nawet nie widać powozów z bogatą uprzężą. Gdzież te modne figury? Wstyd pomyśleć.

— Wieczorem może pójdziemy do teatru, to tam z pewnością coś osobliwego zobaczysz. Wreszcie jestem najmocniej przekonany, że w tej części wystawy za rzeką, publiczność

daleko strojnieszka. Wreszcie tak mi się zdaje, że weszliśmy na wystawę nie ze strony arystokratycznej.

— Teraz co do piękności Francuzek — mówiła w dalszym ciągu Głafira Siemionowna. — U nas w Petersburgu wszyscy krzyczą z zachwytem: Ach Francuska! Ach szyk! Ach uroczą postać. Francuski pikantne, Francuski cudo piękności! Gdzież ta piękność, te urocze wdzięki! Gdzie pikantność? Już dwie godziny bląkam się po wystawie a ja jeszcze nie spotkałam żadnej uroczej sylfidy. Nawet średnio ładnych nie widać. Zwyczajnie, młode i przyjemne damy i panienki. Oto jaka tłusta, jak tolabas wlecze się baba. Nawet nie stara jeszcze kobieta, a wygląda jak stępa do pęcaku.

— Może to właśnie Niemka — zrobił uwagę Mikołaj Iwanowicz.

— Po kiegoż licha Niemka zabłąkała się do Paryża.

— A dlaczego my tu przybyli?

— Doprawdy, ty lubisz tylko spierać się. Stanowczo powtarzam niema ładnych ani powabnych Francuzek. Pokaż mi choć jedną ładną i miłą?

— Tedy może prawdziwie ładne i szykowne Francuski, już oddawna napatrzyły się do syta wystawie i jest dla nich już wstrętna. Wszak wystawa rozpoczęła się jeszcze na wiosnę, a teraz już jesień. Jestem pewny, że na tamtej stronie rzeki spotkalibyśmy i ładne, i miłe, i strojne i modne Francuski — rzekł Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Ale głośno, to już piąta godzina, i mnie się chce jeść. Trzeba się rozejrzeć, gdzieby można czemś pożywić się. Czytaliśmy w gazetach, że na wystawie mnóstwo restauracyi, a dotąd jednak jeszcze nie widzieliśmy żadnej. Być może, że mieszczą się na tamtej stronie rzeki. Pójdziemy tam. Oto już most. Przy tej sposobności, obejdzimy wieżę dokoła. Trzeba ją koniecznie choć zewnątrz obejrzeć. Obejrzymy wieżę i znajdziemy restaurację.

Głafira Siemionowna spojrzawszy znacząco na męża, odpowiedziała:

— Nie pójdę z tobą do restauracyi.

— A to dlaczego? Jakże można chodzić tak na głodnego. Już mi nawet kruczy w brzuchu z głodu.

— Niech sobie kruczy, a ja nie pójdę.

— Dlaczego, jeszcze raz pytam. Wszak i ty przecież musisz być głodną?

— Jak się trochę przegłodzę, skoro powrócimy do domu każe przynieść bułek i wędliny i najem się, a do restauracyi z tobą nie pójdę.

— Lecz powiedz, na Boga, dla jakiej przyczyny?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Przypomnij sobie, co mi kiedyś powiedziałeś o restauracyi, jaką to potrawę miałeś kazać sobie przyrządzić. Z tego właśnie powodu nie myślę ci towarzyszyć.

— Aha, to z powodu smażonej żaby? Ja dziś jej wcale jeść nie będę. Dopiero przed samym odjazdem z Paryża pokonam wstręt i zjem smażoną nóżkę żabia, ale wówczas pójdę sam, bez ciebie do restauracyi.

— Kłamiesz. Kłamiesz! Jak cokolwiek miarę przebrzesz w trunku, zaraz o nią poprosisz. Znam ja ciebie doskonale. Po pijanemu zjadłbyś najobrzydliwsze paskudztwo. Widziałam, jak pewnego razu, będąc pijanym, w Petersburgu u Tatarów w restauracyi założyłeś się z przyjaciółmi o dość drobną kwotę i miętusowi żywemu odgryzłeś głowę.

— To też wówczas wszyscy dziwili się. Pentiukow napil się wódki z octem, oliwą i z gorzycą, a ja zażądałem żywego miętusa. Nie, Głasza, ja tylko żartowałem, wcale nie myślę dzisiaj jeść żaby. Ja może kiedy, ale już bez ciebie...

— Przysięgnij się, że nie będziesz dziś żądał żaby, to pójdę z tobą do restauracyi.

— Jak Boga kocham, tak dziś nie będę żądał żaby.

— Z pewnością?

— Z pewnością.

— No pamiętaj, bo przysiągłeś się. Tedy chodźmy.

Małżonkowie udali się ku mostowi, ażeby przejść na drugą stronę rzeki Sekwany.

W niespełna kwadrans znaleźli się naprzeciw wieży Eifel i podniósłszy głowy do góry, patrzyli jak się przesuwają windy wznoszące się aż do szczytu wieży. Jedne dochodziły do pierwszego piętra, inne do drugiego i trzeciego, a w każdej tłumy publiczności; jak przytem na każdym piętrze około balustrady spacerują ludzie, przedstawiający się na tej wysoczyźnie jak muchy albo jak mrówki.

— Czy i my musimy wznosić się na tych maszynach — rzekła Głafira Siemionowna głosem tak lęklwym, jakby w niej zamierało serce, i nie mogąc ustać na nogach, mimowoli osunęła się na jedno z ogrodowych krzeseł, ustawionych kilkoma rzędami u podnóża wieży.

— Cóż w tem tak straszego? Siądziesz jak do karety, maszyna gwiźnie i marsz! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, przyczem równie usiadł w krześle obok żony.

— Och strasznie pomyśleć na takiej wysoczyźnie... — westchnęła Głafira Siemionowna.

— Ale za to napiszemy na wieży listy do znajomych i pochwalimy się przed nimi, żeśmy wznosili się na wieżę, aż pod niebiosą.

— Nikola! Wieża chwieje się. Ja nawet teraz to najwyraźniej spostrzegam.

— Ale nie, nie.

— Mówię ci seryo, że się chwieje. Patrz! Patrz! Spójrzij na prawo!

Małżonkowie zaczęli się spierać, gdy nagle pojawiła się jakaś w podeszłym wieku kobieta, w wyszarzanej welnianej sukni, w rodzaju czapeczki z aksamitu na głowie i z torebką przewieszoną przez plecy. Podążyła im dwa bilety koloru żółtego i zaczęła coś mówić po francusku.

— *Pour les chaises, monsieur, vingt centimes, pour le repos* ¹⁾.

Mikołaj Iwanowicz wytrzeszczył tylko oczy.

¹⁾ Za krzesła, panie, dwadzieścia centimów za spoczynek.

— Co pani chce? *madame*. Co takiego? Czego się pani nas czepia? — mówił wielce zdumiony.

Kobieta powtórzyła ten sam frazes.

— Co potrzeba? My rozmawiamy sami z sobą. *Se ma fam* i basta — dodał, wskazując na Głafirę Siemionownę, i wreszcie zwracając się do nieznamym kobiety, krzyknął: — *Alle*, bo inaczej zawołam milicyanta.

— *Mais, monsieur, vous devez payer pour les chaises* ¹⁾ — powtórzyła kobieta, podając bilety.

— Bilety? Co za bilety? Nam nie potrzeba wcale biletów. Głasza! Odpowiedzże jej po francusku i niech sobie idzie. *Alle!*

— *Monsieur doit payer pour les chaises, pour le re-*
nos ²⁾ — coraz gwałtowniej domagała się kobieta, wskazując na krzesła.

— Ona mówi, że powinniśmy zapłacić za krzesła — wyjaśniła Głafira Siemionowna.

— Za jakie krzesła?

— Za te, na których siedzimy.

— Pierwszy raz słyszę. Cóż to za nadużycie. Gdzie to widziano, żeby w ogrodzie płacono za krzesła. Wszak to wystawa, nie teatr, nie przedstawienie. Powiedz jej, żeby poszła do djabła. Jak djabeł po francusku? Ja sam jej powiem.

— *Vingt centimes, madame... Seulement vingt centimes. Ici il faut payer partout pour les chaises* ³⁾.

— Żąda dwadzieścia santimów, mówi, że tutaj wszędzie płaci się za krzesła — przetłumaczyła Głafira Siemionowna, i dodała: — zapłać jej, czy warto też sprzeczać się o taką drobnostkę.

— Niech ich licho weźmie — zawołał Mikołaj Iwanowicz, zerwawszy się z krzesła, poczem sięgnął do kieszeni. —

¹⁾ Ależ panie, pan obowiązany zapłacić za krzesła.

²⁾ Pan musisz zapłacić za krzesła, za wypoczynek.

³⁾ Dwadzieścia santimów. Tylko dwadzieścia santimów. Tu wszędzie trzeba płacić za użycie krzesła.

Jakie to nieszczęście, że nie umiem po francusku ani jednego takiego wyrazu, żebym ją mógł zwymyślać — mruknął i dał kobiecie pieniądze.

XXX.

— Za wypoczynek na krześle w ogrodzie płacić, to nie do uwierzenia. Tego jeszcze brakowało — mówił zirytowany Mikołaj Iwanowicz po odejściu kobiety. Nie dziwiłbym się, gdyby było jakie przedstawienie. Siadł człowiek dla wypoczynku i zaraz zapłać za to.

— Patrzyliśmy na wieżę Eifel, więc zastąpi to żądane przez ciebie przedstawienie — rzekła Głafira Siemionowna.

— Wszak za patrzenie na wieżę Eifel, już przy wejściu wzięli pieniądze. Jeżeli wyjdziemy na wieżę, także trzeba będzie zapłacić. Za każde piętro zażądają osobno zapłaty.

— Bardzo naturalnie — wtrąciła Głafira Siemionowna. — Tam patrzyliśmy stojąc, a tu patrzymy siedząc.

— Tam bierą za windę, za to cię wieżą na piętro. Zawsze to sprawa nie łatwa, ludzie się trudzą i maszyna też po części zużywa się, a krzesło stoi na miejscu. Czyśmy go przysiedli, zniszczyli? Wstań! Nie chcę dłużej siedzieć — rzekł Mikołaj Iwanowicz, podnosząc się z krzesła. Teraz wzięli za to, że siedzący patrzyliśmy na wieżę, a potem nagle, gdy się zechcemy wpatrywać w ten wielki balon, czy też kulę wydętą, co się tam w górze kolysze, zawieszona na sznurze, zażądają pieniędzy, tłumacząc się, że nie stojący ale siedzący przypatrujesz się tej kuli.

— Czego ty się gniewasz? Widocznie tutaj taki porządek.

— Porządek! Ależ to bezecne nadużycie. Gotowi jeszcze brać za to, że zagładasz do kiosku, że do niego wchodzisz. Jakże nie zaglądnąć? Od tego wystawa.

Przecież wzięli i za kiosk. Chodziłam do garderoby, czy myślisz że za darmo. Wzięli dwadzieścia pięć santimów.

— Co ty mówisz?

— Tak jest! Podług taksy. Pokojówka pokazała mi takse.

— Godne potępienia. U nas, jeżeli gdzieś dla dam zaprowadzona garderoba, idzie się tam bezpłatnie, chyba że posługaczce dasz na herbatę co łaska.

— I tutaj dalaś na herbatę, *pur boar*, a swoją drogą dwadzieścia santimów wedle taksy.

— Tfu! do licha! Spodziewać się należy, że nawet za wejście do restauracyi płacić będzie potrzeba. Za wejście oddzielnie, za jedzenie oddzielnie. Jednakże trzeba odszukać jaką restauracyę. Okropnie chce mi się jeść.

— Przecież oto tutaj restauracya — rzekła Głafira Siemionowna i wskazała wielki szyld, na którym widniał napis *Restaurant Duval*. Strzałka wyjaśniała, w jakim kierunku iść należy.

Małżonkowie poszli w tę stronę. Przy wejściu stał tłum ludzi. Publika zrobiła szereg w kształcie ogona.

— Coż tu ludzi! Czy tylko to restauracya, zapytał niedowierzająco Mikołaj Iwanowicz.

— Przecież widzisz napis — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Handel! Jak handel to handel! Nawet do jedzenia trzeba ustawiać się w szereg. Pokazać któremu z naszych petersburskich restauratorów taki handel, to podrapałby sobie głowę do krwi. No, stańmy do szeregu, żeby się nareszcie tam dostać. To musi być jakaś bardzo znakomita restauracya.

— Tylko zmiluj się, Mikołaju Iwanowiczu, nie jedz smarzonej żaby.

— Przecież się zaprzysiągłem, więc czegoż jeszcze żądasz.

Stopniowo zaczęli zbliżać się do wejścia, nakoniec dostali się do wnętrza restauracyi. Olbrzymia sala w restauracyi Duvala zapełniona była publicznością. Wpuszczano do środka tylko tyle osób, ile wychodziło z restauracyi. Siedzący w sali Francuz, zaraz wyciągnął rękę, podając małżonkom dwie kartki.

— Jak to i za wejście się płaci? I tutaj bilety? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. Cóż, nie mówiłem ci?

— Więc bierz... bierz... Do cudzego monasteru nie wchodzi się ze swoim brewiarzem.

— *Kombię?* — zapytał Mikołaj Iwanowicz, wydobywszy z kieszeni garść drobnej monety.

Francuz z hiszpanką uśmiechnął się i odpowiedział:

— *Vous payerez après monsieur, après... Prenez seulement deux cartes¹⁾*.

— Później zapłacisz. Bierz co dają — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Oto miasto! To porządki! Za wejście do restauracyi biorą zapłatę. U nas, podczas zimy, w restauracyi »Arkadya« gra muzyka, śpiewacy śpiewają, a za wejście nie płaci się.

W sali wszystkie stoliki były zajęte, tak, że trzeba było odszukiwać miejsce, gdzieby można było usiąść. Brzęczały widelce, łyżki i noże, goście dzwonili nimi w talerze. Skutkiem powszechnej rozmowy, zdawało się, że się pszczoły wyroiły. Małżonkowie z pewnością byliby bardzo długo szukali wolnego stolika, gdyby nie wezwał ich lokaj, w kurtce i białym fartuchu, w świeżych, sięgających aż do gładko ogolonego podbródka, kołnierzykach i z ołówkiem zatkniętym za ucho.

— *Vous cherchez une place, monsieur?... Voilà la table... Allez avec moi²⁾*... — rzekł zwracając się do Mikołaja Iwanowicza i prowadząc go do małego stolika z wierzchem marmurowym, przyczem wskazał mu krzesła.

Mikołaj Iwanowicz wahał się czy usiąść, czy nie.

— Czy za krzesła płaci się także? — zapytał lokaja. — Głaska, zapytaj.

— Ale siadaj... siadaj... Przecież stojący nie jada się obiadu — odpowiedziała Głafira Siemionowna zniecierpliwiona.

— Zażożę się z tobą, że i tutaj każą zapłacić za krzesła — rzekł Mikołaj Iwanowicz i usiadł, a potem uderzając ręką po stoliku, zapytał: *Kombię?*

¹⁾ Zapłaci pan potem, potem. Bierz pan tylko dwie kartki.

²⁾ Szuka pan miejsca? Oto stół... Chodź pan ze mną...

Lokaj, ma się rozumieć, nie zrozumiał pytania, odebrał od małżonków kartki, wręczone im przy wejściu, położył je na stole, coś zanotował ołówkiem, podał jadłospis i stanął w postawie pełnej uszanowania.

— Głasza! My wprost zamówimy obiad — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony i zwracając się do służącego, powiedział: *Dine... De dine...*

— *Nous navons pas de diners, monsieur. Seulement à la carte... Il faut choisir... Prenez la carte!*¹⁾

— Niema tutaj obiadów. Trzeba zamawiać z karty, powiedział — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Jak to? W restauracyi, w której każą sobie płacić za wejście, niema obiadów? Otóż nowa sztuka!

— To daleko lepiej, Mikołaj Iwanowicz — wtrąciła Głafira Siemionowna — bo Bóg wie czem by nas nakarmili. Zmیلuj się, przy podaniu obiadu gotowi dołączyć i żabę. Zjesz, a potem...

— Jakież to dziwactwo! Żabę odrazu poznasz. Czy już nie potrafisz odróżnić żaby?

— Podadzą pokrajaną, więc jak ją rozpoznasz? Daj kartę, wybierzemy najzwyczajniejsze potrawy.

No, *bię*... I tak, przedewszystkiem wódki i zakąskę. *Oderwi. Oderwi riuss* i zakąska. Jak zakąska po francusku?

— Zakąska? Nie wiem. Nie uczyliśmy się o zakąskach.

— *Nou n'avons pas d'eau de vie russe, monsieur* — odpowiedział służący. — *Si vous voulez cognac!*²⁾

— Niema tutaj wódki — przetłumaczyła Głafira Siemionowna. — Jakaż w Paryżu może być rosyjska wódka. Radzi napić się koniaku.

— Co tam koniak! Ktoż to pije koniak przed obiadem. Koniak po obiedzie... Głupcy! Za wejście trzeba płacić a nie

¹⁾ My nie mamy obiadów, panie. Tylko należy wybierać z karty. Racz pan wziąć kartę.

²⁾ Niema rosyjskiej wódki. Może pan chce koniaku...

mogą zapisać, to jest sprowadzić wódki z Rosyi. My przecież sprowadzamy ich wina. Koniak, *non*... — wstrząsnął głową z przeczeniem Mikołaj Iwanowicz. — Głasza, przetłumacz mu to, co ja powiedziałem o wódce...

— Nie warto, Mikołaj Iwanowicz. Co ty tak długo marudzisz. Dawaj kartę, wybierzemy prędzej jaką potrawę.

Przysunęła do siebie jadłospis i zaczęła przeglądać. Lokaj zniecierpliwiony długiem czekaniem, odezwał się:

— *Dites-donc, monsieur, seulement, quel vin désirez vous; ordinaire, vin de pays?*¹⁾

— O co on pyta się? — rzekł Mikołaj Iwanowicz, patrząc na żonę.

— Pyta się jakie chcesz wino.

— Aha! *Wę ruż*... Widzisz jak ja teraz mówię po francusku.

— *Quel vin rouge, monsieur? Un franc, deux francs, trois francs?*²⁾

— Zrozumiałem... Zrozumiałem... Nie, bracie, *troja frank* mało... to trzy *czetwiertaki*... dacie kwas... Daj za rubla, za cztery *czetwiertaki*... *Katr frank*, także i *wen blan en butel*, także na *katr frank*.

Lokaj pobiegł dla spełnienia polecenia.

— Wybrałam — mówiła Głafira Siemionowna — bulion, lososia i bifsztek. To już można widzieć, co padają.

— Czekaj! Czekaj! Hej tom! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— Nie tom, lecz garson. Tutaj człowiek nazywa się garsonem.

— Prawda, zapomniałem. Garson!

Ale lokaj znikł.

¹⁾ Powiedz pan, jakie pan życzy sobie wino? Zwykle, krajowe?

²⁾ Jakiego wina czerwonego? za franka, dwa franki, trzy franki?

XXXI.

— Ciekawy jestem, wiele też z nas zedną za wejście — mówił Mikołaj Iwanowicz do żony, siedząc przy stole w restauracyi Diuwala, rozpatrując doręczone mu karty rachunkowe (*addition*), które on poczytał za bilety wejścia.

— O już lokaj coś tu zanotował — odpowiedziała Głafira Siemionowna, wskazując palcem na kartę. — Napisał kreskę, nawet dwie kreski. Naprzeciw cyfry 10 także kreska, i naprzeciw cyfry 15 równie kreska.

— Czyliżby wzięli po rublu?

— Wszak u nich rachuje się na franki. Na każdym biliecie dwie kreski, więc zapewne dwa franki. Nie rozumiem jednak co oznaczają te drukowane liczby.

— Niema nic napisanego przy liczbach drukowanych? Co?

— Dziwny porządek — pokiwał głową Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Nawet dwa franki za wejście za drogo. Tyle płacąc wypadłoby za nas dwoje cztery franki, że zaś frank tyle znaczy co *czetwiertak*, więc za każdy francuski *czetwiertak* zapłacilibyśmy po dwa *dwugrywennyki*, czyli jednym słowem rubel i sześć *grywien*, i to na herbatę dla posługującego. Oj! Oj! Prawie dwa ruble nie pijąc i nie jedząc. Poderwiesz się, pokręcisz dobrze głową, gdy ci przyjdzie zapłacić taką sumę trzy razy dziennie, to jest przy śniadaniu, przy obiedzie i przy kolacyi.

— Bo też weszliśmy do nadzwyczaj drogiej restauracyi.

— Jakże może być droga, kiedy tu wszyscy jedzą na stolikach nie nakrytych obrusem.

— Widocznie taki zwyczaj.

Służący przyniósł dwie szklanki i dwie butelki, postawił na stole i znowu oddalił się.

— *Garson, garson!*... — zatrzymał go Mikołaj Iwanowicz, i zwracając się do żony, rzekł: — Dziwna rzecz, że ty nie wiesz jak po francusku, zakąska. Przed obiadem wypadaloby zjeść coś słonego. Czy nie wiesz jak śledź po francusku?

— Nie uczyli nas o śledziach.

— A *Pieluga?* (ryba).

— I o tem nie wiem, bo nas nie uczyli. Wiem, że ser po francusku — *fromasx*.

— *Fromasx! Fromasx garson* — podchwycił Mikołaj Iwanowicz.

— *Quel fromage, monsieur?*

— Przecież wiadomo, że szwajcarski. Głasza, jak po francusku ser szwajcarski.

— Ach mój Boże! Czy już nie obejdiesz się bez zakąski? Szwajcarski, zapewne *szwejcar*.

— *Fromasx, szwejcar*.

— *Je ne connais pas, monsieur, un fromage pareil* ¹⁾ — odpowiedział.

Fromasx szwejcar, niema? Dziwne! Więc jakibądź... Prosto *fromaż*... *fromaż*... Czekaj... Czekaj... A śledzia, Głasza... Wytłumacz mu, że to solona ryba.

— *Puason salé. Wu komprene. En ptit puason sale* ²⁾.

— *Une sardine? Ah, oui, madame* ³⁾.

— Ale nie sardynka. Wreszcie sardynkę można osobno, ale śledzia... — starał się koniecznie wyjaśnić Mikołaj Iwanowicz... — Do licha, nie rozumie. No, *wuj* sardynkę, *wuj* i *ankor*...

— *Ankor puason sale. En otr puason sale*.

— *Oui, madame, vous recevez* — odpowiedział służący i znikł, w ciągu minuty jednak pojawił się z dwoma wazami zupy i głębokimi talerzami — *Voilà votre bouillon, madame. Servez-vous, je vous prie* ⁴⁾.

— Cóż ty zupę naprzód podajesz? — krzyknął z gniewu Mikołaj Iwanowicz. Pierwej potrzebna zakąska. *Sardin, fromasx, śledź*.

¹⁾ Nie znam podobnego sera, panie.

²⁾ Ryba solona. Rozumie pan. Mała rybka solona.

³⁾ Sardynki. Dobrze.

⁴⁾ Dostanie pani. Oto builon, proszę, racz pani jeść.

— *C'est après, monsieur... Après le bouillon*¹⁾.

— Jaktó *apre?* Zaraz trzeba. Ktoż jada słone rzeczy po zupie. Glasza powiedzże mu, co ma przynieść.

— *A presan... A presan* — wyrzekła Głafira Siemionowna.

Służący pobiegł, wzruszając ramionami.

— Dobra restauracya, drą za wejście a trzymają takich służących, którzy nawet nie wiedzą, co po czem następować powinno — mruzczał Mikołaj Iwanowicz, nie znając francuskiego zwyczaju, że po zupie następują dopiero słone zakąski.

Po upływie minuty służący pojawił się z małemi talerzykami, na których leżały dwie sardynki, ser *bricé*, i gatunek cienkich, długich rybek (*moules*). Głafira Siemionowna skoro je tylko zobaczyła, zaraz się zmarszczyła, mówiąc.

— Pfe! paskudztwo i zasłoniła się serwetką.

Mikołaj Iwanowicz spojrział i podobnie zawołał:

— Co to? Jakieś ślimaki? Precz! Precz! Odnieś to napowrót. Odnieś — dodał, machając rękami. — Ja prosiłem o śledzia, a on mi przynosi ślimaki. My ostryg nie jadamy a cóż dopiero ślimaków. *Alle garson. Le riuss* takich potraw *non manže...* Z Bogiem! Z Bogiem! Nawet zabierz ser; ja takiego sera nie jadam.

— Niech zabierze i sardynki. Wcale nie mam chęci do sardynek, które leżały razem ze ślimakami... — dodała Głafira Siemionowna. — *Alle... Il ne fo pa! Bulion! Done bulion!* I tobie także, Mikołaj Iwanowicz, czegoś się zacheiewa. Zjadłbyś bez zakąski — napadła na męża Głafira Siemionowna, siedząc ciągle z przysłonią twarzą od strony leżących ostryg.

Służący nie wiedział co ma czynić.

— *Mais, madame, c'est ce que vous-avez demande*²⁾ — mruknął służący.

¹⁾ To później panie. Po bulionie.

²⁾ Lecz pani tego żądałaś przecie?

— *Prene, prene* precz. *Nous ne manžon se szos.*

— *Oh! comme il est difficile?*¹⁾ — westchnął służący i wziął napowrót zakąskę.

Małżonkowie zaczęli jeść bulion.

— Woda, nie bulion — rzekła Głafira Siemionowna. Zjadłszy kilka łyżek, odsunęła talerz. — I to ten chwalyony Paryż. Paryska, czy tam francuska chwalyona kuchnia.

— W restauracyi, w której płaci się nawet za wejście sześć grzywien, (60 kopiejek) — dodał Mikołaj Iwanowicz — takich paskudztw być nie powinno. No przynieś teraz *puason*. Prędzej *puason*. Tylko nie takie *puason*, jakie przedtem przyniosłeś.

— Lososia, lososia! *puason somon* — powtórzyła Głafira Siemionowna.

Podano gotowanego lososia z sosem, ale bez garnituru. Porceye były tak małe, że małżonkowie wykrzyknęli zdziwieni.

— To mają być porceye? *De...* Dla dwóch osób. *Pur de...* — zapytali razem służącego.

— *Oui, monsieur.*

— To zaledwie raz można włożyć w usta. Gdzież garnitur? Gdzie ziemniaki?

— *Wuj! Wuj! U e pom de ter* — mruzczała Głafira Siemionowna.

— *Mais vous-avez desiré seulement le saumon, madame*²⁾.

— Kartofle przecież muszą być, to się samo przez się rozumie.

— *Je vous apporterai tout de suite, madame*³⁾ — rzekł służący restauracyjny.

— Kiedy ty tam przyniesiesz. Patrz — rzekła Głafira Siemionowna — to twoja porceya.

Mikołaj Iwanowicz włożył na łyżkę swoją porceyę i odrazu polknął.

¹⁾ Jakże trudno państwu dogodzić.

²⁾ Pani żądałaś tylko lososia. ³⁾ Przyniosę je natychmiast.

— *Ankor poisson*. Cztery porceje tej *poisson*. Cztery porceje — mówił przeżuwać lososinę.

— *I pom de ter* — dodała Głafira Siemionowna.

— *Quelles pommes désirez-vous, madame?* ¹⁾ — zapytał służący.

— *Kel pom. Zwyczajne pom. Gotowane pom.*

Służący uśmiechnął się i za pięć minut przyniósł jeszcze cztery porceje lososiny i oddzielnie kopyaty talerz drobno krajanych, jak patyczki, kartofli smarzonych.

— Otoż głupi. Smarzony kartofel podaje do gotowanej ryby — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— Jedz, jedz już. Żeby się tylko nasycić, to mniejsza — rzekła Głafira Siemionowna. To tylko dziwne jacy tu nierozgarnięci ludzie w Paryżu.

Porcja bifsztyku była jeszcze mniejsza. Ale małżonkowie milczeli.

— Na śmiech, doprawdy, na śmiech... — mruknął Mikołaj Iwanowicz, kładąc w usta ogromny kawał befsztyku; zaczął go żuć powoli i popijał wino.

— Ja jestem głodna, Mikołaj Iwanowicz — skarżyła się Głafira Siemionowna.

— Ja również. Tyle tylko, żem zasycił robaka. Od rana nic nie jedliśmy, a teraz już godzina siódma. Za parę godzin trzeba będzie powtórzyć obiad. Dokończmy wino i pójdziemy na odszukanie innej restauracji. Obstalujemy indyka, a może lepiej niech nam dadzą gęś pieczoną. *Garson. Kombię?* — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do służącego i sięgnął ręką do kieszeni, żeby zapłacić za obiad.

Służący podsunął mu te karteczki, które doręczono im przy wejściu i wskazał kasę.

Małżonkowie powstali i skierowali się do wyjścia.

¹⁾ Jakie kartofle życzy sobie pani?

XXXII.

— Szesnaście francuskich *czetwiertaków* zapłaciłem — mówił Mikołaj Iwanowicz, skoro wyszli z restauracji Duwala. — Nadzwyczaj tanio. Sama tylko porachuj, że wypiliśmy wina za ośm *czetwiertaków*. Butelkę czerwonego za cztery *czetwiertaki* i butelkę białego za też samą cenę. Wypada zatem za jedzenie ośm *czetwiertaków*. Zjedliśmy zaś dziesięć porcy, sześć samej lososiny. Prawda, że porceje takie, że je od razu można włożyć w usta, ale zawsze porceje... Widocznie za wejście do restauracji nie nam nie porachowali. Dlaczego jednak wsunęli nam w rękę te dwa bilety? Wcale nie droga restauracja, mówiąc między nami nawet bardzo tania.

— Dajże pokój. Co ci przyjdzie z tego obrachunku. Wszystko jedno, ale w każdym razie do tej restauracji nigdy więcej nie pójdę — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Zmiluj się częstowali nas jakimiś ślimakami w muszlach. My żądamy ryby, bo przecież wyraźnie mu wypowiedziałam *poisson sale*, a ten daje nam ślimaki. Trzeba dobrze pamiętać tę restaurację, aby nie wejść do niej po raz drugi przez pomyłkę — dodała, oglądnięta się i nagle spostrzegła szyld wielki, oświetlony gazem, na którym napisano:

Teatr Egipski i Arabski.

— Mikołaj Iwanowicz, patrz, teatr arabski, arabski i egipski... Kupimy bilety i wejdziemy. Niezawodnie będzie coś wesołego.

— Ale przecież ani ty, ani ja nie rozumiemy po egipsku, tem więcej po arabsku — odpowiedział mąż.

— W tym razie niepodobna umieć mówić obu językami. Bo tu się patrzy, nie mówi. Jak się odbywają przedstawienia we francuskim języku, wiemy z Petersburga, przecież tego lata było przedstawienie w »Arkadii«. Tu zaś przedstawienie arabskie i egipskie.

— Dobrze, chodźmy.

— Musimy pójść koniecznie, kupimy bilety na tanie miejsca i jak się nam niepodoba, wyjdziemy. Nawet daleko lepiej będzie, jeżeli się długo nie zabawimy. Trzeba nam wrócić wcześniej do domu. Jestem niezmiernie znużona i radabym jak najprędzej położyć się do łóżka. W hotelu najniezawodniej jest restauracja.

— Patrz, patrz... co to tam takiego?

Małżonkowie zaszli za tył domu i ich oczom przedstawił się wspaniały widok wodotrysków, oświetlonych różnobarwnym światłem. Strumienie i snopy wody przeświecały wszystkimi kolorami tęczy i rozsypywały się brylantowymi iskrami. Wieża Eifla także była oświetlona matowemi lampionami na wszystkich piętrach, a z olbrzymiej latarni na baszcie płonęła olbrzymia smuga światła Drumonda.

— To bardzo ładne — mimowoli zawołała Głafira Siemionowna.

— Rzeczywiście świetne, wspaniałe — potwierdził Mikołaj Iwanowicz. — Patrz, jak puszczają prądy elektryczne z góry.

— To wcale nie elektryczność. Alboż elektryczność taka bywa. U nas na Newskim prospekcje jest elektryczność. A to... Jakże tam... To magnetyzm. Zapewne magnetyzm zwierzęcy.

— Dajże pokój. Magnetyzm zwierzęcy zupełnie co innego. Zwierzęcy magnetyzmem uspiąją. Ja sama czytałam o tem. On wychodzi z człowieka... z jego brzucha. Są właściwie tacy ludzie, którzy z siebie magnetyzm zwierzęcy wydzielają a nazywają się *media*.

— Ależ zmiluj się, to nie tak. Co ty mi głowę zawracasz. Gdzie media są potrzebne, to jest tak zwany spirytyzm.

— Takżeś wiedział, coś powiedział. Spirytyzm... duchy... Za pomocą niego wywołują zmarłych. To jest nie rzeczywistych zmarłych, lecz ich cienie... oni to właśnie pukają w stoly.

— To inna historia, to hipnotyzm, tak jest hipnotyzm!

— Ach, jak ty lubisz spierać się, Mikołaj Iwanowicz. Hipnotyzm jest wtenczas, gdy człowiek nieczuły jak drewno

i jego klują szpilkami. A to jest elektryczność. Wszak elektryczności bywają rozmaite gatunki. W telefonie także jest elektryczność.

Małżonkowie spierali się zaciekle, w końcu jednak Mikołaj Iwanowicz machnąwszy ręką, rzekł:

— Niech będzie twoja prawda, niech to będzie elektryczność. Pluję jednak na to wszystko. Pójdziemy do teatru, żeby się przypatrzeć Arabom.

Zwrócili się do budynku, na którym znajdował się sztyld oświetlony gazem.

— Sam tylko rozsądź: kto może tam brzuchem wypuszczać taką masę zwierzęcego magnetyzmu, wszak prawie objął pół nieba — mówiła Głafira Siemionowna, chcąc koniecznie przekonać męża, że przy niej słuszność.

— Dostyc tego, dostyc... — reflektował ją Mikołaj Iwanowicz. — Już mi się to sprzykrzyło.

— Niema się 'co przykrzeć. Ja o tem wszystkim czytałam w bardzo uczonem dziele.

— Zmiluj się, nie chelp się swem wykształceniem. I myśmy także coś się przecie uczyli.

— Co ty mogłeś się nauczyć, lub przeczytać. Wszak cały dzień zajęty jesteś w sklepie, a ja jestem w domu, obłożona dokoła książkami...

— Znam, znam te twoje uczone dzieła. O Gastonie, o Bercie, o Zeremie, oto twoja cała umiejętność, że czytasz o ich miłosnych stosunkach...

— Nieprawda. Nieprawda. Ja czytam także rzeczywiście uczone dzieła.

— Dajmy pokój z tą uczonością. Uczoność twoja osobliwego zaiste rodzaju. Uczoność swoją już dowiodłaś mi kilkakrotnie. Właśnie niedawno w restauracji prosiłem cię o wyjaśnienie, jak się nazywa śledź po francusku, a przecież i tego nie mogłaś mi powiedzieć.

— Dlatego, że nas nie uczono o śledziach. Nasza pensja była dla panien. Któżby miał ten zamiar uczenia pani

o śledziach. Śledź jest obiekt męski, a nie kobiecy, należy do zakąsek, a zakąska podaje się przy wódce, czy panny piją wódkę?

— Bardzo naturalnie, że nie, ale panny wychodzą za mąż, potem zostają gospodyniami domu, podają, a raczej częstują męża i jego gości śledziem i wódką, więc jakże ich nie uczyć o śledziu.

W tej chwili, tuż nad głowami małżonków, dało się słyszeć kłaśnięcie w dłonie i silny głos wyrzekł:

— *Nous commençons! Dans un quart d'heure nous commençons! Voyons, messieurs et mesdames... Faites attention... Voici la caisse... Prenez les billets. Dépêchez-vous, dépêchez-vous. Seulement un franc¹⁾.*

Małżonkowie wzdrygnęli się i cofnęli. Krzyczał wyniosłej postawy mężczyzna, w kurtce czerwonej barwy, ozdobionej złotymi galonami, w niebieskich pantalonach i w białym turbanie na głowie, przyzywając publiczność.

— Tfu! Niech cię djabli! Przeklęty czort! — zaczął wymyślać Mikołaj Iwanowicz i nawet pogroził kulakiem wąsatemu krzykaczowi, ale ten wcale się tem nie przeraził i krzyczał dalej:

— *Quelque chose de remarquable, monsieur! Quelque chose, que vous ne verrez pas partout... La danse de ventre, monsieur... Venez, madame, venez. Nous commençons²⁾.*

Tuż prawie znajdowało się okno od kasy. W kasie siedziała niemłoda już kobieta w czerwonym stroiku na głowie i z uśmiechem posuwała do Głafiry Siemionowej, wydarte z książki bilety.

Małżonkowie zbliżyli się do kasy.

¹⁾ Zaczynamy! Za kwadrans zaczynamy. Baczność panowie i panie!... Uważajcie!... Oto kasa. Kupujcie bilety, lecz spiescie się! Tylko franka!

²⁾ Coś godnego podziwu! Coś, czego państwo nie zobaczą wszędzie. Taniec brzuchem, panie. Wejdz pani, wejdz. Zaczynamy!

— *Kombię?* — zapytał Mikołaj Iwanowicz i otrzymawszy odpowiedź, że za wejście płaci się wszystkiego tylko jeden frank, zakupił bilety i poprowadził Głafirę Siemionową do wnętrza teatru.

XXXIII.

Teatr Egipcyan i Arabów, do którego weszli Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, był teatrem jarmarczynym, zbudowanym na czas wystawy, z sufitem z żaglowego płótna, ze storami i zasłonami z zielonej jedwabnej materii. Rozstawione przed sceną krzesła oparte były o baryery, w rodzaju składanych, wązkich stolików, na których widz mógł stawiać butelki, kieliszki, a nawet czarki. Niezbyt liczna publiczność siedziała, paliła i piła, ten piwo, ten wino, inny kawę z koniakiem. Anglicy po większej części pili wino kseres, ciągnąc go przez słomkę i przegryzając sandwiczami. Przedstawienie jeszcze nie zaczęło się. Pomiędzy krzesłami przesuwał się chłopiec w bluzie, sprzedając programy spektaklu, i nieustannie opowiadał o treści, mającego nastąpić przedstawienia. Snuli się też lokaje, podbiegając ku każdemu z wchodzących gości, namawiali do zamówienia jakiego trunku. Jeden z lokajów miał czerwonej barwy pantofle, w rodzaju zwykłych trepek, ubrany w zwykły hałas z taniej tarmalamy, jaką nosi służba w niektórych dworach w Rosyi. Głowę miał obwiązaną płóciennym galganem z końcami czerwonej barwy, co niby przedstawiało turban.

— Ależ to nie jest teatr. Tu piją i palą w sali — rzekła Głafira Siemionowna.

— Teatr, teatr, tylko z pozwoleniem picia. Bardzo słusznie. Zaraz i my zażądamy coś do wypicia — rzekł Mikołaj Iwanowicz, upatrując owego przedstawiciela teatralnego w chalcie, i rzekł: Głasza, patrz, jakiś strojniś spaceruje, w naszym rosyjskim szlafroku i w ręczniku na głowie, używanym w naszej łaźni. Poczciwosz! Cóż to z łaźni wyszedłeś? Byłaby to

pora właściwa do wzięcia się do miotły! — dodał drwiąco, śmiejąc się.

— *Plait-il monsieur?* — podbiegł do niego szlafrokwiec, zrozumiałwszy że o nim mowa i wymachnął serwetą, przekładając ją z ręki do ręki. *Que désirez-vous, monsieur? Un café, un bok? 1).*

Mikołaj Iwanowicz spojrzawszy na niego, roześmiał się wesoło.

— W jakiej łaźni poddawałeś się parze? W woroninskiej czy celibijewskiej — zapytał.

Lokaj, sądząc, że go pytają o kostium, odpowiedział po francusku:

— To kostium jednego z plemion żyjących w Egipcie.

Małżonkowie, rzecz prosta, nie zrozumieli ani słowa. Mikołaj Iwanowicz jednakże, nie przestawał się śmiać, pytając w języku rosyjskim:

— Jakaż para dzisiaj? Dobrze się wycpociłeś. Kazałeś się naleźycie wytrześć miotłkami? Ach ty żartownisiu! Skąd ci przyszło przybrać na siebie taki kostium?

— Cóż ty z nim mówisz po rosyjsku, przecież on nie a nie nie rozumie — rzekła Głafira Siemionowna.

— Więc wytłumacz mu. Przecież o łaźni musiałaś się coś uczyć po francusku. Także też i o miotłkach w łaźni masz zapewne niejaki pojęcie.

— No, no, lepiej powiedz mu czego chcesz napić się.

— *Café, cognac, bok. Qu'est-ce que vous désirez, monsieur 2)* — powtórzył lokaj.

— Szklanę! *Ave wu glas? Aporte glas. Komprens wu?* — powiedziała Głafira Siemionowna.

— *O! oui, madame. Vous recevez tout de suite. Et vous monsieur? 3).*

1) Co pan sobie życzy, kawy, bok?

2) Kawy, koniaku, bok. Co sobie pan życzy?

3) O, tak pani. Otrzymasz pani natychmiast. A pan?

— *Kafe noar* i koniak — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

Lokaj, klepiąc trepkami, pobiegł spełnić polecenie.

Małżonkowie usiedli. Wkrótce podniosła się zasłona i zaczęli wychodzić na scenę aktorzy. Ukazało się dwóch wąsaczów, odzianych zupełnie biało, porozmawiali coś po swojemu i zaczęli machać szablami. Pomachali i oddalili się. Wyszło następnie trzech muzykantów boso. Jeden miał bęben, dwóch innych fujarki ze trzciny. Zatrzymali się przed lampą i zaczęli grać coś niezwykle tęsknego, czemu towarzyszyło lekkie uderzenie w bęben.

— Granie to z uroczystej religijnej opery — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Tęsknota — wtraciła Głafira Siemionowna, ziewając. — Także wybrałaś ciekawe przedstawienie?

— Wszak ty sama, zobaczywszy teatr, namówiłaś mnie do pójścia.

— To nie ja, to ty.

Zaczęli się spierać.

— Poczekaj, wypijemy kawę z koniakiem, to może będzie nieco weselej — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zbliżając się do podanej mu filiżanki kawy i do karafki z koniakiem, wypił kawę do połowy filiżanki i do reszty dolał koniaku.

Lokaj w szlafroku spojrział na niego z ukosa, widząc, że karafka z rumem została opróżniona prawie do połowy.

Przedstawienie odbywało się w dalszym ciągu. Muzykanci nie przestawali grać na tęskną nutę. Odpowiedziały im za kulsami żeńskie głosy i wkrótce wyszły na scenę cztery kobiety w pstrych spodnicach, bez gorsetów, ale ze szczególnej formy kaftanikami, pokrywającymi piersi. Obiedwie bose, szły objawszy się za szyję i śpiewały.

— Jakiż to arabski teatr? — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Wszyscy biali. I aktorki białe i aktorzy, a nawet i muzykanci. To proste bałamuctwo. Żeby przynajmniej czarną farbą pomalowali sobie twarze, naśladowując arabów, ale i tego nie zrobili.

— Tak jest... Tymczasem przy wejściu Francuz w czerwonej kurcie krzyczał, że to coś godnego uwagi, jakaś nadzwyczajność — wtrąciła Głafira Siemionowna. — Chyba w tem jest niezwykłość, że kobiety do połowy nagie, bez żadnego pokrycia, i to niezawodnie obrachowane na gust mężczyzn.

— Tylko nie na mój. Jeżeli mają być nagie...

— Milcz bezwstydniku! — surowo skarciła męża Głafira Siemionowna.

Nie przestając śpiewać, kobiety usiadły w głębi sceny, kurecząc pod siebie nogi, równie też i muzykanci usiedli obok nich na podłodze, następnie powróciło dwóch wążaczy z szablami i także zajęli taką samą pozycję, umieszczając się wraz z innymi. Dwaj wążacze równie śpiewali uderzając w takt w dłonie. Wysunęła się murzynka, stara, gębata, tłusta, także bosa i do połowy ciała obnażona. Właściwie wysunęła się z za kulis, trzymając się prosto jak kij, i stanąwszy naprzeciw siedzących zaczęła w takt muzyki takie czynić ruchy brzuchem, jakby rzeczywiście dostała gwałtownych kureczów. Ruchy te robiła przodem i tyłem, tak, że zdawało się, iż chyba brzuch z kauczuku, gdy tymczasem wszystkie członki pozostawały w zupełnym spokoju, jak niemniej i głowa i szyja. Tylko rękami przebierała kastaniety.

— Fe, jakaż to obrzydliwość! Co ona wyprawia ze swoim brzuchem — zapytała Głafira Siemionowna, odwracając się ze wstrętem.

— Co ona tam wyprawia z brzuchem, miejsza, ale że przynajmniej jest rodowita czarna Arabka, to zawsze osobliwość — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— *Danse de ventre... Illustré danse de ventre*¹⁾ — rzekł głośno stojący przy nich sługa, co znaczyło: Taniec brzuchem, znakomity taniec brzucha.

Po murzynce, pojawiła się kobieta biała. Ona również w dalszym ciągu wykonywała taniec brzuchem, nawet posunęła

¹⁾ Taniec brzuchem. Znakomity taniec brzuchem.

się jeszcze dalej. Żeby przekonać, że tylko jej brzuch rusza się a wierzchnie części ciała pozostają najzupełniej nieruchome, wzięła przyniesione jej trzy butelki z wstawionymi w nie zapalonemi świecami, jedną butelkę postawiła na głowie, dwie inne trzymając w rękach i nieprzystając poruszać brzuchem, to w tył, to naprzód, jak niemniej i biodrami, przechadzała się po całej scenie, siadała na podłodze, to układała się połową ciała i ani razu nieupuściła świecy.

— *C'est le chef-d'oeuvre*¹⁾ — wyrzekł znowu lokaj.

Głafira Siemionowna plunęła.

— Fe, jakie paskudztwo, jaka trywialność! Chodźmy do domu, do domu — zawołała, powstając z miejsca.

— Pozwól, duszeńko, zaczekajmy do końca przedstawienia — zaczął namawiać Mikołaj Iwanowicz.

— Dość tego. Zabieraj się natychmiast — przerwała mu Głafira Siemionowna.

— Niechże przynajmniej wypiję resztę koniaku... i załatwię się z rachunkiem.

Wylał resztę z butelki do filiżanki z kawą i wypił jednym tchem. Stojący obok niego lokaj w szlafroku wzdrygnął się i mimowoli zawołał:

— *Monsieur!*...

Pierwszy raz dopiero zdarzyło się mu widzieć, żeby gość odrazu wypił całą karafinkę koniaku, chociaż karafinka była dosyć mała.

— *Kombię?* Bierz pieniądze — zawołał Mikołaj Iwanowicz, wyrzucając na stół pięciofrankową monetę i załatwiwszy w ten sposób rachunek, skierował się do wyjścia, gdzie już poprzednio udała się Głafira Siemionowna plując z obrzydzenia.

— I to nazywa się teatr! — rzekła — paskudztwo, paskudztwo. Fe!

¹⁾ Istotne arcydzieło.

XXXIV.

— Teraz do domu, do domu — mówiła Głafira Siemionowna, wychodząc z Mikołajem Iwanowiczem po za obręb wystawy. Ledwie mię nogi dźwigają ze znużenia. To nie żarty! Całą noc spędziliśmy w wagonie bezsennie i znowu cały dzień jesteśmy na nogach. Jak tylko przyjedziemy do domu, zażądamy natychmiast samowaru, zgotujemy herbatę i napijemy się z bulkami... Mam herbatę własną... Całe pół funta przewieźlam w tiurniurze.

— Czy tylko dostaniemy samowar w hotelu? — rzekł z pewnem zwątpieniem Mikołaj Iwanowicz.

— U Francuzów? To nie Niemcy. Jakżeby nie miało być samowara. Wszechświatowa wystawa... Ognisko główne cywilizacji europejskiej... Tutaj, o ile sądzę, tylko brakuje ptasiego mleka, a zresztą jest wszystko, czego dusza zapagnie, czego ciało potrzebuje. No, jedziemy, Mikołaj Iwanowicz.

— Najmij dorożkę. Oto właśnie powóz. *Kosze!*

— *Oui, monsieur!* — odpowiedział foryś i zapytał: — *Quelle rue, monsieur? ¹⁾*

Głafira Siemionowna chciała coś powiedzieć, ale spojrzała na męża przestraszona i zapytała:

— Mikołaj Iwanowicz, gdzie najeliśmy pokój?

— Jakto gdzie? W hotelu.

— Tak jest, ale na jakiej ulicy?

— A ja skąd mam wiedzieć? Ty jesteś dla mnie przewodnikiem, jako francuska z powołania.

— Boże miłościwy — wykrzyknęła, w pospiechu zupełnie zapomniałam zwrócić uwagę, na jakiej ulicy zamieszkaliśmy.

— Co znowu? Jakże teraz będzie? — tracąc głowę, krzyknął Mikołaj Iwanowicz. Otóż to rozsądna kobieta!

— A ty od czego jesteś, to twoja rzecz, nie moja. Dlaczego nie rozpatrzyłeś się gdzie jesteśmy?

— Wszak wzięłaś to na siebie. Ja głównie rachowałem na twoją przytomność umysłu.

— Mazgaj! Niedorostek. Ja mam być dla niego niafią. Leniuch! Powiedz przynajmniej jak się nazywa hotel, w którym stanęliśmy.

— Ach duszeńko, ja tego wcale, wcale nie wiem... Myślałem, że ty wiesz. Wszak władasz językiem francuskim.

— Nie potrzeba żadnej znajomości języka, żeby spamiętać jak się hotel nazywa. Wszakże i ty coś nie coś rozumiesz po francusku. Dlaczego nie spojrzales na szyld przy wysiadaniu z karety. Zdaje mi się, że potrafisz przeczytać napis.

— Dlaczegoś ty nie spojrzala?

— Znowu ta sama historia. Otóż macie! Ja na niego, on na mnie!...

— Jednakże, skoro przyjechaliśmy do hotelu, widziałas, gdzie się znajdujemy.

— Co? Jechałam razem z tobą w karecie. Kareta była zapakowana poduszkami, tłumokami... Gdzież tedy można było myśleć o rozglądaniu się na wszystkie strony. Byłam przynajmniej z tego nadzwyczaj zadowolona, że nareszcie znaleźliśmy jakiś pokój. O czem innem wcale nie myślałam.

— Więc sama jesteś winna, a na mnie składasz winę.

— Bo jesteś mężczyzną, bo mężczyzna powinien myśleć o kobiecie, nie zaś kobieta o mężczyźnie. Mężczyzna, jako mąż, jest głową domu i do niego należy kierunek w podróży.

— Więc cóż teraz zrobimy?

— Okropne położenie! Potrzeba wynająć powóz, żeby się dostać do domu, a tymczasem nawet nie wiemy, gdzie się ten dom znajduje, przy której ulicy.

— Czekaj no. Ja sobie przypominam, że naprzeciwko naszego hotelu, wisiała nad magazynem, jako szyld, czerwona żelazna rękawiczka.

— I ja to pamiętam, ależ przecie nie można, najmując powóz, powiedzieć forysiowi, zawieziesz nas do tego hotelu, naprzeciw którego jest magazyn, a nad tym magazynem za-

¹⁾ Jaka ulica?

miast szyldu, wisi na dragu, czerwona żelazna rękawiczka, bo wyśmiały nas.

— Kto wie, może też on wie. Spróbuj. Poczekaj... Jak po francusku czerwona rękawiczka?

— *Gan ruż*. Ale to na nic się nie przyda...

— Ja jednak spróbuję na chybil trafil. Uda się dobrze, nie uda się to... *Kosze!* Do hotelu, gdzie rękawiczka czerwona. *Gran gan ruż*... — mówił Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do forysia.

— *Je ne connais pas un tel hôtel, monsieur* — odpowiedział doróżkarz, kręcąc głową z zaprzeczeniem... — *Quelle rue? Quel numéro?*¹⁾

— Nie wie, niechże go djabli wezmą. Powiedz mu Głaska, że tam na rogu był sklepik z naczyniami i w nim siedziała staruszka w jasnym czepku.

— *En petit riu... O kyan e la butik arcek de wer. Opre de hôtel en gran gan ruż de fer. Nu sawon ublie la riu.*

— *C'est impossible de chercher comme ça votre hôtel, madame* — uśmiechnął się woźnica, mówiąc te wyrazy i dodał: — *Avez-vous la carte de l'hôtel. Donnez-moi la carte seulement!*²⁾

— *Non, non.* Właśnie tego nam brak, że *non*. *Nu sawon ublie demande la kart.*

— Wszak zdaje się wymieniałaś wówczas jakieś ulice, będące około hotelu. Samaś czytała, mówiąc do mnie. Gdzieś tam jakiś Gaston, czy też Zerom przebil kogoś sztyletem — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Ach tak — zawołała Głafira Siemionowna, nagle ożywając się. — *Riu de Lafayette i riu Lafit. Kosze. Se ne pa luę de riu Lafayette e riu Lafit.*

— *Voyons, madame... Alors on peut partir*³⁾...

¹⁾ Nie znam takiego hotelu panie. Jaka ulica? Jaki numer?

²⁾ Niepodobienstwo odszukać pani hotelu. Masz pani adres hotelu, proszę.

³⁾ Zobaczymy. Możemy jechać.

— *Me se ne pa la riu Lafayette e riu Lafit, me en petit riu.*

— *Prenez seulement place*¹⁾ — rzekł foryś.

— Siadaj, Mikołaj Iwanowicz. Dojedziemy do ulicy Lafayette i stamtąd rozpoczniemy poszukiwania. Ja pamiętam, że trzy, czy cztery przecznice prowadzą do ulicy Lafayette.

— Dwie a nie cztery. Pamiętam, że dwie.

— Co ty wiesz, kiedyś ty, jadąc, ziewał. Ja uważałam dobrze, jakie ulice były i właśnie dlatego opowiedziałam ci o Zeromie i o węglarzu Zak. Siadaj prędzej.

— Nowy kłopot, nowe zmartwienie — stękał Mikołaj Iwanowicz, siadając do powozu. Jakim sposobem teraz, podczas nocy, odnajdziemy te przecznice?

Foryś zaciął konie. Pojechali.

— Przypominam sobie także, że w jednej przecznicy, przez którą przejeżdżaliśmy na ulicę Lafayette, był wykopany dół, i przy nim pracowało dwóch robotników w bluzach — rzekła Głafira Siemionowna.

— A ja pamiętam również, że opodal hotelu były sztachety żelazne z szyszkami na końcach prętów — dodał Mikołaj Iwanowicz.

— Kłam lepiej. Sztachety z szyszkami były gdzieindziej, na drugim końcu miasta, około kościoła Notre Dame.

— Kłamiesz! Kłamiesz! Stał przy nich chłopiec i robił grzechotkę.

— Naiwnym jesteś mój kochany. Czy też można komu o czemś podobnym mówić. Jakażby to była dla niego wskazówka. Tem więcej, że wówczas był dzień, a teraz już noc. Czy mógłby stać ten chłopiec z grzechotką aż do tej chwili.

— Ja tylko wspomniałem o tem mimochodem. Nie masz więc potrzeby gniewać się i wymyślać. Nie wiemy dotąd jak nareszcie odszukamy mieszkanie, a ta wymyśla od naiwnych, od głupców.

¹⁾ Niech pani siada.

— To wszystko za mało dla ciebie. Jesteś pijany, sam nie wiesz co mówisz. Dlaczego w teatrze wypileś tak wielką ilość koniaku?

— Nie jestem wcale pijany.

— Nie pijany, wypiwszy pełną karafkę koniaku.

— Karafkę... Gadać wszystko można. Alboż to była karafka. Czy to takie są karafki? Coś małego, drobnego, jak brodawka, zamiast karafki. Nie było w niej nawet jednego kieliszka koniaku.

— Mój Boże! Mój Boże! Już ci język odmawia posłuszeństwa. W pośpiechu wcale tego nie zauważyłam. Co ja będę robiła, skoroś zupełnie upity, nieprzytomny. Gotowi nas zaprowadzić do cyrkułu policyjnego.

— Uspokój się, tutaj niema cyrkułów. Tutaj cywilizacya. Wreszcie pijanych z wyższą cywilizacyą nie aresztują.

— Pijak!

— Ja pijak? Nie, *pardon, madame*.

— Milez!

Wkrótce małżonkowie podjechali do ulicy Lafayette. Foryś ukazał im ulicę.

— *A riu Lafayette!* — zapytała Głafira Siemionowna.

— *Ce n'est pas loin, madame?*¹⁾

— Lecz dokąd teraz jechać? Trzeba wysiąść z powozu i odszukiwać piechotę przecznicę — rzekła Głafira Siemionowna. — *Kosze! Arete!* Wysiadał, Mikołaj Iwanowicz. Porachuj się z dorożkarzem.

— Dlaczego mam wysiąść? Prosto... — mrucał Mikołaj Iwanowicz, belkotał jak pijany jakieś niezrozumiałe wyrazy, ale mimo to, Głafira Siemionowna wypchnęła go przemocą, więc wysiadł i zaczął się rachować z forysiem.

— Ależ ty jesteś tak pijany, że aż zataczasz się. Oto do czego doprowadza nieumiarkowanie w trunkach. Noc, obce miasto i pijany mąż, więcej już chyba nie potrzeba do szczę-

¹⁾ Niezbyt daleko.

ścia. Co ja teraz z tobą zrobię? — krzyknęła Głafira Siemionowna, w najwyższym uniesieniu.

XXXV.

Rzeczywiście Mikołaja Iwanowicza koniak całkowicie odurzył, kiedy nareszcie dotarli do ulicy Lafayette. Trzeba było koniecznie odszukać hotel, w którym zamieszkali, ale Mikołaj Iwanowicz okazał się w tym razie niemożliwym, sam nie wiedział co się z nim dzieje. Skoro załatwił rachunek z dorożkarzem i usiłował iść dalej trotoarem, tak się zatoczył, że padł na wielką lustrzaną szybę na wystawie magazynu kapeluszniczego, i o mało jej nie rozbił. Pomimo to belkotał bezprzestannie.

— Magazyn z kapeluszymi, magazyn czapnika. Ale żeby mię kto raznął wcale nie pamiętam tego magazynu. Widocznie nie tą stroną idziemy.

— O ty dużo, bardzo dużo pamiętasz — rzekła ze złością Głafira Siemionowna. — Spił się, mówiąc po prostu jak szewc i plecie niestworzone rzeczy.

Głafira z początku gniewała się, ale później widząc co się dzieje, o mało nie rozplakała się. Wzięła męża pod rękę i starała się go podtrzymać całą siłą.

— Kłamiesz! — zabelkotał znowu pijany Mikołaj Iwanowicz, chłopca przy sztachetach pamiętam doskonale. Te sztachety były obok naszego hotelu. No, a gdzie te sztachety z szyszkami? Co? No gadaj! kiedy tak dobrze wiesz. Co?

— Idź! Idź dalej pijaku! Boże! co ja będę robiła z tym przemierzłym pijaczyną?

— Głasza, ja nie jestem pijany... Na sumienie ci zaręczam, że nie jestem pijany.

— Milez!

Ale Mikołaj Iwanowicz ani myślał zaprzestać dalszego belkotania. Po drodze zaczepiał przechodzących, zatrzymywał się przed otwartymi drzwiami niektórych sklepów i magazy-

nów, stawał przed wystawami, nawet w jednym z tanich sklepów uparł się i kupił czerwoną czapkę, na której dnie, to jest we środku na podszewce, odbity był stempel, przedstawiający wieżę Eifel, potem włożył ją na głowę a swoją dawniejszą niósł w rękę.

— Czy zdejmiesz z głowy tę bladeńską czapkę, czy nie zdejmiesz, ty nieznośny opoju? — krzyknęła zirytowana Głafira Siemionowna.

— Poco mam zdejmować? Kupilem sobie na pamiątkę. Na przypomnienie o wieży Eiflowskiej. Niech wszyscy widzą, że Rosyanin i Sławianin Mikołaj Iwanowicz...

— Spil się jak bela i od rozumu odchodzi. To prawda, każdy to widzi nawet bez twojej czerwonej czapki.

— Nie pijany. Wcale nie pijany. Niech wszyscy widzą, że Rosyanin, Sławianin, z dalekich północnych stron bawil na wystawie i okazywał współczucie braterskie Francuzom. Niech żyje Francya! Głasza, jeżeli chcesz, to ja na tej przecznicy krzyknę z całego gardła: *Wiv la Frans!*

— Krzycz, krzycz, pozwól sobie. Ale powtarzam, że jak tylko krzykniesz, ja natychmiast porzucę cię tu na ulicy a sama ucieknę. Teraz jak ci się podoba. Krzycz, ale ja uciekam.

— Czekaj! Czekaj! Jeżeli chcesz, to ja ci kupię ten gorset z czerwonej materyi, co tu w oknie wystawiony.

— Nie, nie potrzebuję. Chodź!

— Dlaczego? Zawsze gorset, gorsetem. Rosyanka i Sławianka, każdy to zrozumie, gdy się ubierzesz w taki gorset. Chcesz może tę ćwiartkę cielęciny? Co? Patrz. Tam wisi ćwiartka cielęciny w magazynie. Głasza! Patrz! Tu widocznie sprzedają szynki cielęce w wielkich papierowych tekach; ozdobionych koronkami. Oto sztuka nowoczesna. Nawet surowa cielęcina w koszyczkach z bordiurkami. O, to jątka mięsna. U nas magazyny jubilerów na Newskim prospekcie nie przedstawiają się piękniej i rozkoszniej. Może chcesz mózgu? Jutro każemy gospodyni domu, żeby go nam przysmarzyła, mózdzek w kotleciku, wyborna potrawa!

— Przedewszystkiem należy pierwiej odszukać tę gospodynię? Gdzie ona znajduje się ta gospodyni hotelu? Gdzie jest wreszcie i sam hotel?

— Szukaj sztachetek z szyszkami, a znajdziesz go.

— Dały nam ducha, te sztachetki!

— Ach! Ach! Wachlarz z piór pawich. Ja ci ten wachlarz kupię.

— Dziś nie zgola nie potrzebuję. Idź tylko prędzej. Nie, ostatecznie zupełnie straciłam ślad, pomyliłam drogę — zawolała nareszcie Głafira Siemionowna. — Stanowczo nie wiem, dokąd iść.

— A ja wiem. Prosto przed siebie i z pewnością natrafimy na sztachetki. Milicyant! *Ze rius* Sławianin *de nord*. Głasza, jak po francusku sztachety z szyszkami. Właśnie milicyant miejski stoi na rogu ulicy.

— Ale Głafira Siemionowna, żeby uniknąć skandalu, pociągnęła Mikołaja Iwanowicza w uliczkę i prawie ze łzami w oczach odezwała się:

— Mikołaj Iwanowicz, czy ty opamiętasz się nareszcie! Stało się wielkie nieszczęście, ludzie utracili mieszkanie, nie wiedzą gdzie przenocować, a ty odgrywasz rolę kłowna.

— Ja kłown? Ja. Dziedziczny *poczesny* obywatel¹⁾ i kawaler.

— Czekaj. Zdaje się, że trafiłam nareszcie na ślad. Oto tam w przecznicy wykopany dół... Szliśmy około tego dołu — wyrzekła Głafira Siemionowna nieco ożywiona. Wówczas jeszcze dwaj robotnicy w bluzach byli przy nim zajęci.

— Tak jest, przechodziliśmy, przechodziliśmy... Teraz tylko sztachetki z szyszkami...

— Zamilczże raz i nie paplaj o tych tam sztachetkach z szyszkami. Już zaprzestałbyś raz powtarzać w koło jedno

¹⁾ W Rosyi, gdy kto nie jest z rodu szlacheccim, a jednak położył pewne zasługi, otrzymuje tytuł „poczesnego obywatela“, która to godność w rodzinie, jak szlachectwo, przechodzi z ojca na syna.

i to samo. Rzeczywiście tedy przechodziliśmy. Teraz wypada nam zwrócić się, zdaje się naprzód na lewo, a potem zaś na prawo. Pospiesz się nieco. Dlaczego ty tak powoli wleczesz się?

— Naprzód na lewo, Glasza, a potem na prawo. Bo inaczej wiesz na czym się to skończy? Pójdziemy po prostu na nacleg do innego hotelu i basta. Przecież mam paszport w kieszeni. Jutro odnajdziemy nasz hotel.

— Idź no, idź!

Głafira Siemionowna pociągnęła męża za rękę do drugiej przecznicy.

— Zdaje się, dobrze idziemy. Teraz gdybyśmy odnaleźli sklepik z naczyniami na rogu ulicy, gdzie jakaś staruszka wówczas robiła pończochę — mówiła, rozglądając się.

— I sztachetki z szyszkami — dodał Mikołaj Iwanowicz, obstając przy swoim.

— Znowu zaczynasz? Jeżeli sklepiku z naczyniami nieznajdziemy na rogu?... Nie, to nie tutaj.

— Wtenczas także biegał okolo sklepu piesek z zakręconym w górę ogonkiem, to sobie doskonale przypominam — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Tak, podług ciebie, ten piesek z zakręconym w górę ogonkiem, niezawodnie czeka na ciebie i także teraz będzie biegał okolo sklepu. O pijaństwo! Pijaństwo, jakież to nikczemny, wstrętny nalóg. Do czego to może doprowadzić człowieka nieumiarkowanie w używaniu trunków.

— Pije się i umiera. Nie pije się, także się umiera — odpowiedział z głupkowatym uśmiechem Mikołaj Iwanowicz — więc wybierając jedno z dwojga złego, lepiej będzie — pić.

— Sklep! Sklep z naczyniami! — zawołała z radością Głafira Siemionowna, skoro wyszli z przecznicy. — Teraz na lewo, na lewo.

— A tam właśnie sztachetki z szyszkami. Zatrzymaj się, Glasza, ja ci kupię ten wielki puhar? Natychmiast poprosimy staruszkę, żeby nam piwa...

— Idź dalej, idźże. Oto i czerwona, żelazna rękawiczka wisi. Chwała tobie Boże! Odnależliśmy nareszcie nasz hotel! Zaraz na lewo ukaże się i nasz hotel.

Głafira Siemionowna nawet przeżegnała się z radości.

— Nie, poczekaj... — belkotal Mikołaj Iwanowicz... — Trzeba koniecznie sztachetki z szyszkami...

Ale Głafira Siemionowna już nie słuchała i ciągnęła za sobą męża, w kierunku czerwonej rękawiczki, oświetlonej zawieszoną w górze latarnią. Już znaleźli się przy rękawicze. Dziwna jednak rzecz, naprzeciw wiszącej rękawiczki, podświetlonej z napisem »Hotel« niema.

Głafira Siemionowna poprowadziła męża dalej i minęła kilka domów na lewo, i dwa czy trzy domy w prawo od rękawiczki, podjazd jest wprawdzie, ale szyldu z napisem niema.

— Boże mój! — zawołała znekana. — Gdzież znowu podział się nasz hotel. Wyraźnie pamiętam, że znajduje się wprost rękawiczki, dlaczego jednak nie widać napisu?

— Sztachetek z szysz...

— Ach zamilcz nareszcie! Trzeba wejść do magazynu i zapytać, gdzie tutaj jest hotel. Bo przecież rękawicznik wie o tem doskonale.

— Bardzo dobrze, pójdziemy tam Glasza — rzekł Mikołaj Iwanowicz — i ja ci kupię parę rękawiczek. Ten rękawicznik, za pierwszym na niego spojrzeniem, niezmiernie mi się podobał. Ma twarz taką, rozumiesz, lubiącą wychylać kufle...

— *Vous voulez des gants, madame*¹⁾ — zapytał uśmiechnięty rękawicznik.

— *Wuj! Wuj! Nu asxon de gan. Ale dit wu pri, u e hotel isi? Nu savon arete dan otel e nu savon ublie le numero. A szyldu calkiem niema. Non ekri siur la port. Nu riuss! Nu de Rusi* — wyjaśniła Głafira Siemionowna.

— *Vous desirez les chambres garnies, madame?*²⁾

¹⁾ Życzysz sobie pani rękawiczki?

²⁾ Potrzebuje pani pokojów umeblowanych?

— *Wuj! Wuj!* To musi być *le szambr garni*. Tam, *en mosie*, gospodarz i *en wieil dam*.

— *Voilà, madame. C'est la porte des chambres garnies*¹⁾ — ukazał ręką rękawicznik dom naprzeciwko.

— *A purkoa ne pa zekri siur la port?*

— *Ces chambres sont sans écritaux, madame. Voilà la porte*²⁾.

— Tutaj, tutaj, tylko bez szyldu. Podjazd naprzeciwko — z radością powtórzyła Głafira Siemionowna.

Wybrawszy rękawiczki, wyprowadziła męża z magazynu. Mikołaj Iwanowicz jednak obróciwszy się rekl do rękawicznika:

— *Riuse Frans. Biuwon le wę róż. Wiw la Frans!*

Ale już Głafira Siemionowna siłą wypchała męża za drzwi.

W ciągu jednej minuty już dzwonił, stojąc pod bramą zamkniętą. Otworzył sam stary gospodarz.

W głębi podjazdu stała równie właścicielka, staruszka.

XXXVI.

Wszedłszy do siebie na piąte piętro, a wedle obyczaju w Paryżu, na trzecie, małżonkowie zamierzili napić się herbaty z buterbrodami. To jest, właściwie zamierzyła sama Głafira Siemionowna, bo Mikołaj Iwanowicz był jeszcze pijany i zdjawszy z siebie surdut i kamizelkę, zaczął próbować czy nie potrafi naśladować tancerkę z egipskiego teatru, mianowicie czy nie odtworzy, owego arcydziela »tańcu brzuchem«, ale ma się rozumieć, wcale mu się nie udawało, przytem zataczał się na wszystkie strony, uderzając o krzesła i stoliki. Wreszcie nogi odmówiły mu posłuszeństwo i zniechęcony rzekł:

— Bardzo to mądry wynalazek, ten taniec brzucha, dla mnie szczególnie bardzo pożądany, ze względu mojej nadmiernej otyłości.

¹⁾ Oto właśnie wejście do domu z pokojami do najęcia.

²⁾ Te pokoje do najęcia nie mają napisu. Oto drzwi.

— Czy wreszcie skończysz już dziś te błazeństwa? — krzyknęła Głafira Siemionowna.

— Zmuszony jestem pomimowoli ukończyć, bo mi się zgola nie udaje. Widocznie tylko owe egipskie mumie, zdolne są do owego tańca.

— Klown! Prawdziwy klown! Co to za maniera, koniecznie robić z siebie głupca. Jak tylko przebierzesz miarę w trunku, zaraz odgrywasz rolę klowna — dodała Głafira Siemionowna, pociskając guzik od dzwonka elektrycznego, żeby przywołać służącego.

Zadzwońla raz, drugi i trzeci, nikt się nie pokazał.

— Czy już spią wszyscy, czy co? — rzekła. — Przecież to nie późno, dopiero godzina jedenasta.

Zadzwońla* po raz czwarty. W kurytarzu dały się słyszeć kroki i mruczenie, potem pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał staruszek-gospodarz. Miał na głowie nocną szlafmycę i był tylko w pantoflach, w nocnej koszuli i bez kamizelki.

— *Qu'est-se qu'il y a? Qu'avez vous donc!*¹⁾ — zapytał z wielkiem zadziwieniem.

— *Nu wulon boar de te... Aporte la maszyn diu te, le tas, e la tejer. E ankor le butterbrod* — rzekła Głafira Siemionowna.

— *Comment, madame? Vous voulez prendre du thè? Mais la cuisine est fermée déjà. Tout le monde est couché... Il est onze heures et quart*²⁾.

— Doskonałe! O godzinie jedenastej już nie można napić się herbaty. Kuchnia zamknięta, wszyscy spią... Oto są porządki paryskie... — mówiła Głafira Siemionowna, spoglądając na męża. A ja jestem tak spragniona, że mi w gardle sucho.

— Chyba, napijemy się buteleczkę czerwonego wina z wodą — wtrącił Mikołaj Iwanowicz.

¹⁾ Co to takiego? Co potrzeba?

²⁾ Jak to, chcesz pani herbaty? Kuchnia już zamknięta. Wszyscy spią. Już kwadrans na dwunastą.

— Chcesz, żebym się zgodziła na dalszą pijatykę. Za nic w świecie! Lepiej napij się zimnej wody z karafki.

— Jakaż tu pijatyka! Woda z czerwonym winem.

— Lepiej nie odzywaj się.

Staruszek-gospodarz, widząc takie spory między małżonkami, i spostrzegłszy niezadowolenie na twarzach swoich lokatorów, wyobraził sobie, że Głafira Siemionowna może jest chora, i chce się leczyć herbata, jak to jest zwyczajem u Francuzów, więc też zapytał się:

— *Etes-vous malade, madame? Alors...¹⁾*

— Jakto chora? Jestem zdrowa. Zdrowa, zupełnie zdrowa. Chce mi się jeść. *Że we luar e małże*. Jeżeli nie można *diu te*, to *aporte moi du pę, diu ber, e de wiand froa*. *Że demand froa. La kiuzin e ferme*, więc *aporte mua froa. La wiand froa*.

— *C'est impossible, madame. A présent nous n'avons point de viande²⁾*.

— Jakto? *I de wiand froa*, niema. Jakiż to u was tutaj hotel dla podróżnych, *pur wojażer*, kiedy nawet zimnego mięsa niema. Jeżeli nie można *viand*, to *fromaż*. *Fromaż i pę blan*.

— *Sculement jusqu'a neuf heures, madame, mais à présent il est plus de onzes heures, madame³⁾* — rzekł, rozkładając rękami.

— Tylko do godziny dziewiątej można mieć coś do zjedzenia — rzekła Głafira Siemionowna, spoglądając znowu na męża. — To hotel!

— Tutaj tylko zwykle *szambr garni* — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Załadaj buteleczkę czerwonego wina. Czerwone wino jest z pewnością. Jeżeli i kuchnia zamknięta, to nie można nic ani gotować, ani smarzyć.

¹⁾ Czy pani chora. Wjęc...

²⁾ Niemożliwe. Obecnie nie mamy mięsa.

³⁾ Tylko do godziny dziewiątej, ale obecnie jest już po jedenaście godzinie.

— Czy nie rozumiesz, że już prosiłam go o przyniesienie zimnego mięsa i sera, ale i tego niema — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Ale wino czerwone jest napewno. Francuzy piją je ciągle. *Wen ruż, monsie. Aporte wen ruż*. Czy można? — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do gospodarza.

Ten wzruszywszy ramionami, odpowiedział:

— *Oui, monsieur. Je vous procurerai¹⁾...*

— Widzisz! Widzisz! Wino czerwone jest...

— Tak, ale to tylko napój, a ja chcę jeść. Czy ty to rozumiesz, chcę jeść — rzekła podrażniona Głafira Siemionowna.

— Więc załadaj bułek; jeżeli niema nic innego. Wino czerwone z bulką doskonale.

— *Że we małże, monsie* — powtórnie zwróciła się Głafira Siemionowna do gospodarza. — *Le wę ruż. Bię. Aporte moa chociaż diu pę blan. Że we supe*.

— *Oh! que c'est dommage, que nous n'avons rien pour vous donner à manger, madame²⁾* — odpowiedział gospodarz, poruszając głową. — *Mais du vin et du pain je vous apporterai tout de suit. Une bouteille!* — dodał pytając się dla pewności.

— *De... de... de...* — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, zrozumiawszy o co się pyta gospodarz i ukazał mu dwa palce, dodając: *de buteil!*

— *Non, non. En. Selman en* — zawołała z kolei Głafira Siemionowna, a do męża odezwała się — nie pozwolę ci pić wina.

Gospodarz nie wiedział, jak ma postąpić.

— *Une bouteille ou deux?³⁾* — zapytał.

— *En! En!* — odpowiedziała Głafira Siemionowna, wystawiając jeden palec.

¹⁾ Tak panie, to panu dostarczę.

²⁾ Jaka to szkoda, że my nie możemy dać pani nic do zjedzenia. Ale wino i chleb przyniesę paui natychmiast.

³⁾ Jedną, czy dwie?

Gospodarz odszedł i w ciągu niespełna dziesięć minut powrócił, niosąc na tacy butelkę wina czerwonego, dwie szklanki, wielki kawał chleba, odrobinę masła i pół tuzina brzoskwiń, dodając:

— *Voilà, madame, c'est tout ce que nous avons à présent. Bonne nuit, madame*¹⁾ — uklonił się i wyszedł.

Głafira Siemionowna zaczęła smarować masłem czerstwy chleb i wykrzyknęła z goryczą:

— I ja w Paryżu muszę poprzestać na takiej kolacji, w mieście, rozslawionem pod względem wyborowej kuchni, skąd do nas przybywają kucharze. Czerstwy chleb, masło stare, gorzkie i zwiędniałe prawie brzoskwinie.

— Pokazuje się, że w Paryżu nie jadają kolacyi — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — I u nas są również takie miasta. O mieszkańcach Kalugi rozchodzą się wieści, że oni nietylko nie jadają kolacyi, ale zjadłszy obiad, zaraz udają się na spoczynek.

— Głupie i pijackie dowcipy! Milez lepiej — zawołała Głafira Siemionowna.

— Czego ty gniewasz się, Glasza? Wino czerwone mamy, chleb jest, więc dziękować Bogu i za to.

— To tylko wam, pijakom, przyjemność sprawia, czerwone wino, a ja chcę herbaty. Nie, przy tych paryskich porządkach, trzeba jutro koniecznie kupić lampę spirytusową, spirytusu i czajnik miedziany. Zagrzeje się na spirytusie woda, zgotuje się herbata i rzecz skończona. Nie należy równie zapomnieć jutro o kupnie bułek na wieczór.

— Jakże ty będziesz kupowała jutro zakąski, jeżeli wcale nie wiesz, jak się nazywa po francusku zakąska. Wczoraj właśnie w restauracyi zapomniałaś zupełnie języka w ustach, skoro przyszło do zamówienia przekąsek.

— Dowiem się o tem ze słownika.

¹⁾ Oto wszystko, co mamy. Dobranoc!

— Zjadłszy kawałek chleba z masłem, Głafira Siemionowna napila się wina czerwonego z wodą i położyła się spać. Mikołaj Iwanowicz dopił resztę wina i także zaczął układać się do spoczynku.

XXXVII.

Noc w hotelu małżonkowie przespałi spokojnie. Naza jutrz tylko zaszedł mały wypadek z herbatą. Samowaru nie było w hotelu, i o istnieniu maszyny *de le rius*, jak ją nazywała po swojemu Głafira Siemionowna, tylko wiedziano ze słyszenia. Zażądali zatem herbatnika. Służący kurytarzowy, zjawiwszy się i tego dnia za przywołaniem, jak i wczoraj w kurcie podartej i zasmarowanej jakąś tłustością, w przydeptanych pantoflach i w czworokątym na głowie kolpaku, zrobionym z bibuly, przyniósł zamiast herbatnika, maszynkę miedzianą do kawy. Nawymyślawszy mu po rosyjsku od głupców, Głafira Siemionowna, wsypała do maszynki herbatę i prosiła go o nalanie w nią wody wrzącej, nazywając to: *lo szod*. Służący wlał do maszynki ciepłej wody. Podał więc herbatę, której niepodobna było wypić, bo nawet liście herbaty nie zmiękły, nie rozgotowały się. Służący tedy znowu został zwymyślany po rosyjsku, nietylko od głupców, ale i od durniów. Głafira Siemionowna, w jego oczach, wylała wodę z maszynki do umywalni i zasypanwszy na nowo herbatę, zajrzała do słownika i wyrzekła:

— Teraz *il fo bujlir, kuilir kiuir*, zagotować. *Lo bujli*. Czy i tego *ne komprene pa?*

— *Bouillir?* Ah, *oni madame* — odpowiedział służący, uśmiechając się głupkowato, poczem poszedł do kuchni. Długo nie było go widać, aż nareszcie pojawił się z wrzącą herbatą.

Herbata miała zapach, jaki wydaje zamoczona miotła, była nadzwyczaj gorzka i także niepodobna było jej pić.

— Ach! Etiopy! Etiopy! a chelpią się wyższą cywilizacją! U nas nawet w zapadłej ołonieckiej gubernii wiedzą, jak

się zaparza herbata, tutaj zaś w stołecznem mieście nie a nie nie umieją — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do żony. Niema rady. Będziemy musieli pić ich kawę z mlekiem łyżkami stołowemi, z wazek, używanych do zupy. Każ mu Głasza przynieść kawę.

— *Kafe o le. Aporte pur de kafe o le* — polecila służącemu Głafira Siemionowna, wylewając powtórnie do umywalni zgotowaną herbatę i zwracając mu maszynkę do kawy.

Służący uśmiechnął się, pokręcił głową, coś tam pomrucał po francusku i wyszedł.

Zjawila się nareszcie kawa, biały chleb, masło i filiżanki tak wielkie jak wazki do rosolu ze stołowemi łyżkami, zamiast łyżeczek używanych do kawy.

— Koniecznie trzeba kupić lampę spirytusową i miedziany herbatnik, do gotowania wody i zaparzania herbaty. Doprawdy do ludzicy dzicy! Nawet herbaty ugotować nie potrafią. To naleją ciepłą wodą, to znowu gotują jak ziółka — mówiła Głafira Siemionowna, wielce zniechęcona. Poczem napiwszy się z mężem kawy, zaczęła się ubierać, aby pojechać na wystawę.

Tym razem nie ubrała się ani w jedwabną suknię, jak wczoraj, ani nie włożyła aksamitnego paltota, ani brylantów.

— Nie warto, niema się przed kim sprezentować. Wczoraj na wystawie, sądząc podług strojów, znajdowały się jedynie kucharki i pokojówki, to cała wytworna publiczność. Ale co ja mówię pokojówki! Nasza Afimia, w święto, jak się ubierze, tysiąc razy bogaciej wygląda, niż one wszystkie, te damy wielkiego świata paryskiego.

Włożyła na siebie skromną, wełnianą suknię, podróżny waterpruw i ten sam kapelus, w którym przeżyła całą podróż koleją żelazną.

— Teraz już nie będziemy błakali się po nocy, bo posiadamy adres gospodarza i numer tego domu, w którym są pokoje meblowane do najęcia. W razie, jeżeli w jakich nieznanych ulicach zabłądzimy, wnet pokażemy kartę forysiovi,

mówiąc: »*Kosze... woala... alle... wiez*, i po ambarasie«. Ale zmiłuj się, strzeż się znowu upić, bo wczoraj lałeś w siebie wino, jak w studnię bez dna.

— Mnieby to wczoraj wcale nie zaszkodziło, gdybym należycie zjadł — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Jeżeli się wczoraj upilem, to jedynie z głodu. Jakiż to był obiad? Zupa, łyżką uderz a nie pokaże się na niej żadna bańka, a bewszyk raz wzięłem na widelec i po wszystkim, ryba w takiej proporcji, że ledwie ją można było dojrzeć przez powiększające szkło. Dla mnie potrzeba, żebym zjadł talerz kapuśniaku z mięsem, przyzwoity kawał słoniny z chrzanem, przytem prosiaka z kaszą, to co innego, a tak zdawało się mi, żem tylko o jednym oku.

— No, nie gadaj niedorzeczności. Przecież w teatrze, wypileś całą karafkę koniaku. Po takiej pijatyce, to nawet najsytszy, może się oszołomić, upić.

— Jednem słowem, my dzisiaj zjemy obiad w jakiejś innej restauracyi, nie zaś we wczorajszej. Zapłacimy ośm *czetwiertaków* bez wina, dziesięć *czetwiertaków*, byle było tylko tyle, żeby można najeść się do syta. Dowiemy się, gdzie znajduje się najlepsza restauracya, wejdziemy do niej i zapytamy zaraz garsona, wiele kosztuje taki obiad, żeby człowiek był syty, tak ażeby się aż odbijało. Jak po francusku, odbijać się?

— Odbijać się? — rzekła Głafira Siemionowna i głęboko zamyśliła się. Nie wiem... Ty ciągle wynajdujesz takie wyrazy, jakich nas nie uczyli, a nawet ich niema wcale w słowniku. Wreszcie, nie jest to wyskok mądrości, tak opowiedzieć innemi słowami, żeby nas zrozumiano. Powiemy, żeby podał wielki obiad... *Gran dine...* żeby aż... *żuskisi*, aż się człowiek nasycił po uszy...

— Więc też, zechcesz sama objaśnić garsonowi jak tylko umiesz najlepiej. *Gran dine*. Wybornie. Ale, jeżeli będziemy musieli zamawiać z karty potrawy, to zamówimy po dwie porce na osobę i sporo dań. Ty przecież sama widzisz, jakie tu malutkie porce.

Po upływie pięciu minut małżonkowie najęli powóz i kazali odwieźć się na wystawę.

— Skoro staniemy na miejscu, zaraz bez dalszych sporów udamy się na wieżę Eifel — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Nikola, ja doprawdy boję się — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Uważasz, jaki to dzisiaj wicher.

— Obawiasz się, żeby nas wiatr nie wziął? Duszeńko, przy naszej otyłości. Wreszcie tam na wieży znajduje się balustrada, dobrze jest każde piętro zabezpieczone i nie trzeba obawiać się upadku.

— Bardzo to dobrze, ale może byłoby lepiej odłożyć na inny raz. Niech cokolwiek oswoję się z wystawą. My dziś tylko pochodzimy okolo wieży, a jutro...

— Nie, nie. Dziś. Wszak dałaś mi słowo.

— Słowo dałam, ale nie na dziś.

— Na dziś! Na dziś! A jeżeli nie dotrzymasz słowa, to na złość, w pierwszej lepszej restauracyi każę sobie podać smażoną żabę.

— Dobrze już, dobrze, ale dziś dojdziemy tylko do pierwszego piętra, nie zaś na szczyt wieży. Powtarzam ci, muszę się pierwej z tą myślą oswoić. Dziś podsunjemy się do pierwszego piętra, jutro do drugiego.

— Dlaczego się tak targujesz? Wejdiesz na pierwsze piętro i zobaczysz, że niema żadnego niebezpieczeństwa i jestem pewny, że sama zażadasz, ażebyśmy weszli na drugie. Wszak, o ile można przypuszczać, przeszło milion ludzi zwiedzało wieżę, a jednakże nikogo nie zwał wiatr i nie się im zgoła nie stało. Jak wieża po francusku? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Ach mój Boże, zapomniałam popatrzeć w słowniku, jak się wieża nazywa po francusku — zawołała Głafira Siemionowna. Dawniej ja mnóstwo wyrazów wypisałam ze słownika, ale o wieży, ani mi przyszło do głowy.

— Jakaś ty roztrzępana. Przecież nazwa wieży, to przedmiot najgłówniejszy na wystawie.

Rozmawiając w ten sposób, małżonkowie dojechali do wystawy, zakupiono bilety od chłopców ulicznych, załatwili się z woźnicą i weszli na plac wystawy.

— No, Boże nas prowadź — zawołał Mikołaj Iwanowicz — zaraz wzniesiemy się aż pod niebiosa. — Wziął żonę pod rękę i skierował się wprost do wieży Eifel.

— Ja, Mikołaj Iwanycz, będę się ciebie ciągle trzymała, dopóty, dopóki nie wzniesiemy się na pierwsze piętro. Jeżeli mamy umrzeć, to już razem, nierozłączeni — mówiła Głafira Siemionowna.

— Dobrze, dobrze, więc trzymaj się, kiedy tego chcesz koniecznie.

— Ach, jak mię to przeraża. Już teraz czuję, że drżą nogi podemną i ręce.

— To się pomódl.

Przy tych słowach małżonkowie zbliżyli się do wejścia.

XXXVIII.

Przy kacie, sprzedającej bilety, znowu zbity szereg ludzi. Musieli stanąć i czekać.

— A to ruch olbrzymi! Gdzie się zwrócić, pełno ludzi i trzeba czekać na swoją kolej. Cały Paryż jest szeregowany, jak oddziały żołnierzy — narzekal Mikołaj Iwanowicz. — Wchodzisz na wystawę, szereg; wznosisz się na wieżę, także stawaj do szeregu. Wczoraj nawet na obiad, musieliśmy czekać aż przyszła na nas kolej.

— Idąc na wieżę, może to szeregowanie ludzi nie jest wcale zle, bo łatwo opamiętać się, rozpatrzyć, zastanowić, nabrać odwagi, oswoić się z niezwykłą wycieczką, gdzieś aż w chmury — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Nie, nie — rzekła po chwili — odejdzmy stąd. Co nam po tej wycieczce. Przeczuję, że ta wieża wkrótce zawali się.

— Co znowu! Nigdy w świecie! Dalej, dalej idźmy.

Kupiono bilety.

Publiczność ciśnie się do windy. Tu także ustawiono się w szereg.

— Tfu do licha. Ależ w tym Paryżu, przyszłoby umrzeć również kolejno, w szeregu — rzekł, plunawszy Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna, trzymając za ramię męża obu rękami, mówiła:

— Gołąbeczku, Mikołaj Iwanycz, okropnie się lękam. Ja już teraz czuję, że pod nogami coś się trzęsie.

— Jakto, nie wszedłszy wcale na wieżę? Ależ to tylko przywidzenie! No idźmy!

Winda jeszcze nie wróciła z góry. Wnet jednak zaskrzybiały bloki, zazgrzytały koła, toczące się po relsach i olbrzymia kareta zaczęła się opuszczać.

— Prosto na nas pędzi. Tchu mi braknie w piersiach. Jak nareszcie wepchną do tego kurnika, a potem zaczną się podnosić w górę, będzie jeszcze gorzej — mówiła sama do siebie Głafira Siemionowna, trzymając się za poły surduta męża.

— Więc zamknij oczy i wcale nie będzie ci strasznie.

Trzy razy podnosiła się i opadała kareta, zanim przyszła kolej na małżonków do zajęcia miejsca. Nakoniec weszli i usiedli na drewnianej ławce, które ustawiono rzędem. Głafira Siemionowna przeżegnała się i zmrużyła oczy. Rozległ się gwizd i kareta glucho stukając kołami po relsach, zaczęła powoli podnosić się w górę. Głafira Siemionowna mimowoli wydała przeraźliwy krzyk i pochwyciła obu rękami rękę męża. Rzeczywiście była pod wpływem śmiertelnej trwogi, pobladła i lży stanęły jej w oczach. Mikołaj Iwanowicz, jak mógł, uspakał żonę:

— Ej dziecko, dziecko! Co tobie? Przecież jesteśmy razem, jeżeli spadniemy na dół, to zawsze jedno z drugim.

Siedzący rzędem z nimi jakiś długonogi Anglik, w kraćciastym garniturze, w jakichś onuczka z żółtej skóry, zamiast zwykłych butów, natychmiast sięgnął do zawieszanej na plecach torby, wydobył stamtąd flakonik ze spirytusem i mru-

cząc coś po angielsku, przytknął Głafirze Siemionownej do nosa ów flakonik, lecz ona raptem cofnęła się.

— Wąchaj! Wąchaj! Co znowu. Przecież widzisz, że ci podają spirytus. Powiedz, mersi.

— Nie potrzeba, nie potrzeba. Sam mię wystawiłeś na ten przestrach a teraz chcesz mię z niego uleczyć.

— Więc powąchaj, mówię ci. To bardzo dobrze zrobi. Powąchaj, bo w przeciwnym razie będzie to dowód braku dobrego wychowania.

— Nie będę wąchała, bo to może jakie usypiające krople.

— Więc ja powącham, bo tego grzeczność wymaga. *Bite monsie* — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do Anglika. Wziął do ręki flakonik, powąchał i mówiąc: *mersi*, zwrócił go Anglikowi.

Anglik znowu coś bąknął, jakby odpowiedź i także powąchał flakonik. Mikołaj Iwanowicz nie rozumiał tego, co mówił Anglik, ale jednak uważał za konieczne odezwać się:

— Niewieścia pleć, każdemu wiadomo, ulega bardzo łatwo obawie, ot babskie plemię takie.

Anglik wskazał na termometer, wiszący na ścianie karety i znowu coś powiedział po angielsku.

— Tak, tak, duszno, gorąco. Ciągłe zewnątrz dogrzewa. Jak się wjeżdża do tunelu, to już zaraz czuje się duszność, a coż dopiero na takiej wysoczyźnie.

W tym sensie, nie rozumiejąc się wcale, oba rozmawiali. Nareszcie kareta zatrzymała się i konduktor otworzył drzwi.

— Wybornie! Otóż przyjechaliśmy... Pierwsze piętro. Czego tu obawiać się? — mówił Mikołaj Iwanowicz uspakaając tym sposobem żonę, i wyprowadził ją z karety.

— Boże! Pozwól nam dojechać szczęśliwie. Święci pańscy, zbawcie duszę — szeptała Głafira Siemionowna. — Popelniamy wielki grzech, wdzierając się tak wysoko. Za budowanie wieży Babel, jakże srogo ludzie zostali ukarani. Także była wieża.

— Wieża babilońska była daleko wyższa.

— A czy ty ją widziałeś?

— Nie widziałem, ale czytałem, że chciano doprowadzić do tej wysokości, ażeby dosięgła nieba.

— Kiedy nie widziałeś, ta nie pleć.

— Dobrze, będę milczał, ale i ty uspokój się nareszcie. Spojrz tylko, na żadnej twarzy nie widać przestרחu. Kobiet mnóstwo, a żadna się nie boi. Ależ na Boga, to prawdziwe miasto, oto restauracya a przytem jeszcze...

— Ty tylko upatrujesz restauracyi. Na co innego zdobyć się nie potrafisz, a do restauracyi jedyny z ciebie człowiek.

— Przecież nie mogę wykluć sobie oczów. Gwałtu! Co tu ludzi. Nawet nie można docisnąć się do balustrady, żeby spojrzeć na dół. Jakimże sposobem taki tłum mógłby wiatr zwiać z wieży. Takiego nawet wiatru nie było i nie będzie. Preciskaj się i trzymaj się mojej ręki — mówił Mikołaj Iwanowicz ciągnąc żonę za rękę, lecz ona nagle zatrzymała się i zbladła.

— Chwieje się... Czuję, że się chwieje — szepnęła.

— Dajże pokój. Tobie się tylko tak zdaje. No poruszaj nogami. Dlaczego zatrzymujesz się. Wszyscy weseli, nikt zgola nie doznaje trwogi, a ty...

— Każdy ma swoją własną duszę.

Małżonkowie jak mogli preciskali się do balustrady.

— Otóż to dopiero wysoczyzna, a jesteśmy tylko na pierwszym piętrze. Ludzie tam na dole wyglądają jak chrabąszcze. A domy. Patrzno, jakie to domy. Jakby chałupki stawiane z kart. Jakże daleko stąd sięga oko. Sekwana, jak wstążeczka, a parochody na niej, jak zabaweczki dla dzieci. Tam dalej jeszcze jakaś rzeka. Czy wiesz Glasza, ja myślę, że gdyby patrzeć można było przez teleskop, to zobaczylibyśmy i naszą Newę.

Głafira Siemionowna zachowywała milczenie.

— Jak ty myślisz? — dopytywał się Mikołaj Iwanowicz, spoglądając na żonę i dodał: — Dlaczegoś ty taka zamyślona. Wytrzeszczyłaś oczy i stoisz. Wszak jesteś żywa, zdrowa, nic

ci nie brak. Z pewnością przez teleskop można stąd zobaczyć Newę, a z górnego piętra, toby łatwo było dostrzedz i Litówkę. Gdzie ten Anglik, co znami tutaj przybył? Od niego można by pożyczyć lunetę. Posiada on wielką lunetę. Pójdziemy i odszukamy Anglika. Ależ stąpaj śmieiej, czy jeszcze się boisz? Przecież płyta nie jest rozpalona. Znowu druga restauracya. Popatrz tylko w okno a zobaczysz Tyrolki, w zielonych sukniach, które posługują do stołu. Na głowach mają jakby rogi. No spojrzijże przecie Glasza Siemionowna.

— W jakim celu? Tobie podobają się Tyrolki z rogami, a dla mnie one, pfe! — odpowiedziała mocno rozdrażniona Głafira Siemionowna.

— Mówię nie o Tyrolkach, ale właśnie o tem, że ta restauracya jest niezmiernie ciekawa — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, ukazując piwiarnię alzacko-lotaryngską.

— No, no, nie wymawiaj się. Wiem ja, czego się tobie zachciewa.

— Więc cóż? To bardzo naturalne. Wyszliśmy na taką wysoczyznę, trzeba zatem koniecznie napić się czegoś. W jakim celu przybyliśmy tutaj? W jakim celu zapłaciliśmy za przewiezienie nas windą? Czemu się pochwalimy w Petersburgu, jeżeli czegoś nie napijemy się na takiej wysokości? Wtenczas zaś będziemy mogli śmiało powiedzieć: »piliśmy piwo na podniebiu!« Aha! Patrz. Tam właśnie piszą listy otwarte z wieży Eifel. Tutaj widocznie jest poczta. Trzeba nam będzie kupić tych karteczek pocztowych... Oto tam je sprzedają. Naciskaj, naciskaj publiczność, zaraz kupimy. Ty także do matki napiszesz liścik — kochana mateczko, *bonjour* na wieży Eifla i *ze wu pri* twojego rodzicielskiego błogosławieństwa. A *mon mari* zasyla ci ukłony.

Małżonkowie preciskali się przez zbite tłumy i zbliżyli się do stolika, przy którym stara kobieta sprzedawała karty pocztowe z wyobrażeniem wieży Eifla.

— *Katr... katr* sztuk. Albo raczej nie *katr* ale *senk* — wyrzekł Mikołaj Iwanowicz, kładąc na stół pięć franków.

— *Je vous en prie, monsieur* — odpowiedziała sprzedająca, porachowawszy kartki i pieniądze.

— Grzeczny naród, za to go lubię. Wrzyscy mówią: *je vu pri*, wszyscy dodają *monsie* — rzekł zachwycony Mikołaj Iwanowicz. — No, Głasza, teraz idziemy do restauracji, gdzie posługują Tyrolki z rogami. Potrzeba przecież znaleźć miejsce do napisania listów. Przy tej sposobności przypatrzmy się tym Tyrolkom.

— Idź. Idź! Szczęśliwą masz naturę, mnie zaś drżą nogi z przestachu i radabym usiąść gdziekolwiek, inaczej za żadne w świecie skarby nie poszłabym do żadnej restauracji — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Małżonkowie skierowali się w stronę piwiarni alzacko-lotaryngskiej.

XXXIX.

Alzacko-lotaryngska piwiarnia, w której ustawiono mnóstwo malutkich stolików, przepelniona była publicznością. Przy stolikach goście pili piwo i pisali otwarte listy do znajomych i krewnych. Między stolikami snuli się garsoni, a przeważnie kobiety w zielonej barwy wełnianych spodnicach, białych kaptanikach z szerokimi rękawami i bufami, ozdobionych czarnymi wstęgami z przodu i z tyłu. Ubiór głowy kobiet stanowiły szerokie, czarne szarfy, przytwierdzone na wierzchu głowy mnóstwem wstążek, które podnosząc się do góry, tworzyły jakby rogi. Kobiety roznosiły piwo i kałamarze z piórami, do pisania listów, po większej części dla wielu gości brakło kałamarzy i zmuszeni byli pisać ołówkami. Przy jednym stoliku Mikołaj Iwanowicz spostrzegł Anglika, który był tak uprzejmy i w karecie ofiarował Głafirze Siemionownej flakonik ze spirytusem. Przed Anglikiem leżała gromada kartek na otwarte listy, z pewnością około sto sztuk. Siedział jednak niezmiernie zamyślony, prawdopodobnie rozważając co ma napisać, i końcem rączki od pióra skrobał się po włosach. Mikołaj Iwa-

nowicz i Głafira Siemionowna usiedli przy stoliku nieopodal od niego.

— *De bjer* — zawołał Mikołaj Iwanowicz, gdy się zbliżyła do stolika jedna z posługujących kobiet. — *De* — dodał, pokazując dwa palce, potem uśmiechnął się i dodał: Ach ty rogata! rogata! Przyznaj się, wielu dziś zabodłaś rogami. Głasza, przetłumacz jej to po francusku.

— Czyś ty źle w głowie dostał? — rzekła obrażona małżonka. — On przy mnie zaczyna prowadzić romanse z dziewczką i każe mi jeszcze tłumaczyć po francusku.

— Cóż ty znowu. Ona przecie nie prosta dziewczka, ale garson żeński — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Dość już tego. *Alle madame* i przynieś piwo.

— *Deux boks?* — zapytała kielnerka.

— *Bier, Bier* i więcej nam wcale nie potrzeba — odpowiedziała Głafira Siemionowna, rozumiejąc, że pod wyrazem »bok« trzeba się domyślać jakiejś potrawy czy trunku. Jakież to piwo ma przynieść?

— Może »bok« znaczy kałamarz.

— Kałamarz po francusku *ankrier*. To ja wiem. Uczęszczać do pensjonatu i nie wiedzieć jak się kałamarz nazywa, byłoby grzechem nie do darowania.

— Więc zażądaj przyniesienia kałamarza. Będziemy pisali listy. Hej! kielnerka — zawołał Mikołaj Iwanowicz, ale nie odezwała się wcale.

Po upływie jednak minuty powróciła z dwoma kufkami piwa i postawiła je na stoliku.

— *Lankrier! Aporte lankrier!* — rzekła, zwracając się do niej Głafira Siemionowna.

— *A présent nous n'en avons point, madame* — odpowiedziała, rozkładając ręce. *Si vous voulez un crayon*¹⁾ — dodała wydobywając z kieszeni ołówek.

¹⁾ Obecnie nie mamy. Jeżeli pani życzy sobie ołówek?

— Czy można pisać ołówkiem? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, obracając w palcach ołówek?

— *Ecrivez seulement, monsieur, écrivez* — zachęcała kielnerka, zrozumiałwszy jednak, że jej wyrazów nie pojmują małżonkowie, dodała: — *Tout le monde écrit avec le crayon*¹⁾.

— Pisz ołówkiem. Cóż tam w tem tak bardzo ważnego. Wszysey piszą ołówkami — rzekła Głafira Siemionowna.

— Niepodobna. Ja chcę napisać do Aleksieja Pietrowicza, z którym jesteśmy członkami ochronki, ale do tak wysokiej osoby, sądzę, byłoby ubliżeniem pisać ołówkiem. Może słusznie obrazić się, wszak to Jaśnie Wielmożny.

— Przecież wysyłasz list z pod niebiesia, więc nie powinien się obrazić. Chwała Bogu, że na wieży Eifel przynajmniej znalazł się ołówek. Pisz! Pisz!

Mikołaj Iwanowicz napisał list tej treści:

»Jaśnie Wielmożny Panie, Aleksiej Pietrowicz! Znajdując się obecnie na wystawie wieży Eifel, z głębokiem uczuciem przyponniałem sobie osobę Jaśnie Wielmożnego Pana i składam u stóp Jego Ekscelencyi mój pokorny ukłon, jak Sławianin Sławianinowi i piję za zdrowie Wasze w tyrolskiej restauracyi.

Napisawszy pierwszy list, natychmiast przeczytał go żonie i zapytał:

— Cóż? Dobrze?

— Do czego odnosi się ten Sławianin? Ni przypiał, ni przylatal — odpowiedziała. Głafira Siemionowna.

— Bo on to lubi. Wreszcie mniejsza z tem. A teraz napiszę do Michaiła Fedorycza Trinkena. Żona jego podrapie się do krwi z zazdrości, przeczytawszy ten list. Przecież rozpowiedziała wszystkim znajomym, że wyjeżdża z mężem za granicę, a mąż tymczasem, zdaje się, postanowił wykręcić się przed naciskającymi go kredytorami.

Drugi list brzmiał, jak następuje:

¹⁾ Wszysey piszą ołówkami.

»Łaskawy Panie Michail Fedorowicz! Wzniósłszy się na sam szczyt wieży Eifla z małżonką i znajdując się tuż pod nieboskłonem, gdzie nawet ptaki nie dolatują, ja i żona moja przesyłamy państwu ukłon z tej nieobjętej ludzkim okiem wysoczyzny, a także i małżonce Waszej Oldze Tarasiewnie. Tam, gdzie my siedzimy, przesuwają się obłoki i niejednokrotnie zaczepiają się o wieżę. Cała Europa widnieje, jakby na dłoni, w tej chwili właśnie przypatrywaliśmy się Ameryce, za pomocą binokli. Straszne to, ale jednak nadzwyczajnie wspaniale. Z początku doznaliśmy niezwyklej trwogi, ale teraz drobnotka to dla nas i najspokojniej pijemy piwo. Ukłony sąsiadom w rynku. Bądźcie zdrowi.

Przeczytany został żonie i drugi list.

— Jakież to obłoki zaczepiają się o wieżę? Co ty wypisujesz takie brednie — zapytała ze zdziwieniem Głafira Siemionowna.

— Mała rzecz. Nie tak ważnego. Głównie mi o to chodzi, żeby Olga Tarasiewna poźółkła z zazdrości. Niedawno rzeczywiście jakaś chmura...

— Nic zgoła nie widziałam. A przytem ta wzmianka o Ameryce...

— Dajże pokój. Co ci to szkodzi? Teraz napiszę do Skalpina — rzekł Mikołaj Iwanowicz i zajął się pisaniem.

List był tej treści:

»Z dalekiej francuskiej krainy, pośród burzy, szalejącej na wysokościach wieży Eifel, przesyłam ci, Łukian Iwanycz, ukłon i pozdrowienie. Wznięśliśmy się wśród niesłychanych przeszkód i trudności. Wicher tak szamotał windą, że wszyscy bledli z przerażenia. Jeżeli na parochodzie doznałeś takiej trwogi, gdy was wicher rzucał na wszystkie strony, to tutaj o wiele więcej było okropności. Żona moja zemdląła, ale ją uratował jeden Anglik, podaniem spirytusu. Ja nie wiedziałem czym żywy, czy umarły... Wieża Eifel jest co najmniej dziesięć razy wyższa niż strażnica ogniowa na Magistracie w Petersburgu, na szczycie tejże powiewa flaga. My umieścili

się tuż obok flagi i pijemy wino szampańskie, które tu jest tańsze niż rzepa».

— Dlaczego ty tak obrzydliwe kłamiesz? — odpowiedziała Głafira Siemionowna, skoro jej Mikołaj Iwanowicz przeczytał list.

— Duszeńko, alboż on jest w stanie domyśleć się, że to tylko kłamstwo. Wreszcie. Tak jest daleko lepiej. Będzie większa jeszcze zazdrość. Wszak i Skalił chwalił się, że pojedzie za granicę na wystawę, a tymczasem pozostał na miejscu — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Do kogo by tu jeszcze napisać?

— Już skończ to pisanie. Daj mi kartkę, ja napiszę do mamy — rzekła Głafira Siemionowna, przysuwając do siebie kartę i pisząc czytała głośno:

»Najukochańsza mamusiu, bądź pozdrowiona. Wczoraj szczęśliwie przybyliśmy nareszcie do miasta Paryża a dzisiaj, w powietrznej karecie, wznieśliśmy się aż na wieżę Eifel».

— Dlaczegoż ty kłamiesz? — zrobił wyrzut żonie Mikołaj Iwanowicz. — Nawet kłamiesz wobec własnej matki. Jakaż to ta powietrzna kareta?

— A jakże nazwać klatkę, w której tu dostaliśmy się? Przecież ona powietrzna, jechaliśmy w powietrzu...

— Kłamiesz. Toczyła się po relsach.

— Ale zawsze w górę, w powietrzu, a nie po gładkiem miejscu, nie po ziemi.

— Pisz już pisz... Bóg z tobą!

— Ja wyraz »powietrzna« wykreślę.

— Nie potrzeba. Napisz tylko, że ptaki leciały za nami.

— Dlaczego mam pisać o tem, czego nie było.

— Więc ja napiszę do Terentienych, że ciebie na wysoczyźnie tej orzeł dziobnął dziobem i o mało ci nie zerwał kapelusza z głowy, ale ja go zabiłem parasolem.

— Nie, nie, mama przestraszyłaby się tem niezmiernie. Ona i tak płakała, kiedyśmy odjeżdżali i była o mnie wielce niespokojną. Trzeba ją uspokoić.

»Obejmuję cię i całuję serdecznie na wysokości wieży Eifel, i proszę o błogosławieństwo. Pogoda prześliczna i tutaj zupełnie niema najmniejszego niebezpieczeństwa. Mikołaj Iwanowicz także całuje twoje ręce».

— Koniecznie napisać muszę do Terentienych, że orzeł chciał ci zerwać kapelusza z głowy, ale ja go zabiłem parasolem — upierał się Mikołaj Iwanowicz i dopiwszy piwa, zawołał na kelnerkę, pokazując jej pusty kufel.

— *Garson! Mamzel! Ankor!*

XL.

Wyszedszy z piwiarni, małżonkowie wrzucili swoje listy otwarte do skrzynki pocztowej, znajdującej się na pierwszym piętrze wieży Eifel, i Mikołaj Iwanowicz rzekł do żony:

— Teraz na drugie piętro. Gotuj się do drogi. Oto tutaj właśnie kasa sprzedająca bilety.

Znowu tedy kupowanie biletów. Powtórne szykowanie się do szeregu. Nareszcie małżonkowie dotarli do karety. Kareta była daleko mniejsza. Głafira Siemionowna już bez obawy weszła do niej. Dała się słyszeć gwizdawka i kareta zaczęła sunąć się do góry. Małżonkowie wyszli z niej, Głafira Siemionowna rozglądnęła się na lewo i na prawo, ale widać było tylko ściany wieży, umalowane jasną farbą, a dalej tylko niebo i powietrze, nic więcej. Nagle Głafirze Siemionownej zrobiło się słabo. Zatoczyła się i chwyciła męża za rękaw.

— Mikołaj Iwanowicz tu strasznie. Czuję, jak się wieża chwieje — rzekła zaledwie dosłyszczanym głosem.

— Ależ nie... To tylko tak ci się zdaje. Podejdzimy do balustrady, żeby spojrzeć.

— Nie, nie, za nic w świecie. Balustrada złamie się i my spadniemy na ziemię... Wreszcie niema nic szczególnego do widzenia. Przybyliśmy tutaj i dosyć tego. Trzeba się opuścić niżej natychmiast.

— Jakto niżej? Przecie jeszcze dwa piętra?

— Nie mam zamiaru wznieść się wyżej.

— Głasza. Jakże to być może. Dojść do drugiego piętra i wnet...

— Aż nadto dosyć. Co widzisz na drugim, będzie to samo i na trzecim piętrze, i na czwartym, tylko że nieco wyżej. I tutaj dokoła widzialny tylko strop nieba i nic więcej, i tam to samo.

— Być może, że tam chmury...

— Przecież widziałeś chmury i obłoki na pierwszym piętrze a nawet pisałeś o nich do znajomych, czegoż więcej potrzeba? Podług ciebie, już na pierwszym piętrze, obłoki zaczęły się o wieżę.

— Przecież to tylko maleńka improwizacja. Trzeba koniecznie dotrzeć aż do samego szczytu. Ktoś cię naprzykład zapyta...

— Opowiedz mu, że byłeś na samym wierzchołku. Przecież ty już opisałeś to w liście do Skałpinych, że siedzimy tuż przy samej fładze i pijemy wino szampańskie. No, rozpatrz się na drugim piętrze, ile chcesz, i opuszczajmy się na dół.

Zbliżyli się do stolika, przy którym sprzedawano medale z wyobrażeniem wieży Eifel.

— To przynajmniej kupimy parę medali. Będzie to rodzaj paszportu a raczej dowodu nieulegającego wątpieniu, że zwiedzaliśmy wieżę Eifel — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

Przy drugim stoliku kupili równie parę modeli wieży, weszli i na płaszczyznę, gdzie Francuz stojący obok teleskopu w kapi, przyzywał gości do spojrzenia przez teleskop, wymieniając donośnym głosem planety i grupy gwiazd, które można było widzieć. Zapłaciwszy pół franka, Mikołaj Iwanowicz spojrział przez teleskop, i krzyknął:

— Głasza! Tutaj podczas białego dnia można widzieć gwiazdy. Na jakiej to my znajdujemy się wysokości. O tem należy koniecznie do kogoś napisać.

Głafira Siemionowna spojrziała również przez teleskop, mówiąc:

— Gwiazdy, jak gwiazdy, niema w tem nic osobliwego.

— Ale we dnie. Czy ty tego nie rozumiesz?

— Bo takie sztuczne szkła.

— Wyobrażam sobie, co to można zobaczyć na czwartym piętrze. Przez taką lunetę, jestem pewny, że możnaby zobaczyć Ligówkę i nasz dom około mostu Głazowa. No, panie, nastaw pan teleskop na Petersburg. Głasza, powiedz mu, żeby on lunetę nastawił na Petersburg.

— *Wuar Petersburg lu pe?* — zapytała Francuza Głafira Siemionowna.

Ten wzruszył głową z przeczeniem, mówiąc:

— *Oh, non madame, c'est une autre chose* ¹⁾.

— Nie można, odpowiada, nie można — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— *Kłamie. De frank, monsie.* Nastaw pan... — mówił Mikołaj Iwanowicz, podając pieniądze.

Francuz nie wziął pieniędzy.

— Więc, *troa frank.* Nie chcesz i trzy franki. Widocznie zaciął się w uporze.

— Opuszczajmy się co prędzej na dół, Mikołaj Iwanowicz — powiedziała do męża Głafira Siemionowna. — Opuścimy się na dół i poszukamy jakiej restauracyi, żeby zjeść śniadanie. Mnie się chce jeść okropnie. Piwo piliśmy a nie zgoła nie jedliśmy.

— Więc wcale nie wzniesiemy się wyżej? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Nie.

Krok za krokiem nareszcie małżonkowie dostali się do windy. Tutaj Mikołaj Iwanowicz znowu zobaczył stolik, przy którym sprzedawano karty pocztowe i nie wytrzymał, kupił jeszcze jedną kartę i zaraz napisał do Petersburga jak najbardziej chępliwym list do jednego ze znajomych, mianowicie do Terentiewa w tych wyrazach:

¹⁾ Nie pani. To inna rzecz.

»Siedząc na szczycie wieży Eifel, pijemy za wasza zdrowie. Dokola nas latają orły i dzikie sępy, i starają się zadziobać nas dziobami. Wicher ryczy i wstrząsa wieżą na wszystkie strony. W tej chwili jeden z orłów wpił się szponami w kapelusz Głafiry Siemionowny, ale go zabiłem parasolem. Znajdujemy się na takiej strasznej wysoczyźnie, że nawet we dnie widać gwiazdy na niebie, chociaż świeci słońce. Każda malutka gwiazda ma co najmniej objętości trzy arszyny a księżyc większy niż »Gościenny dwór« a na nim widać ludzi i zwierzęta. Opuszczamy się na dół, bo już niepodobna dłużej siedzieć. Bywaj zdrów«.

Listu tego Mikołaj Iwanowicz nie przeczytał żonie, ale natychmiast wpuścił do skrzynki pocztowej.

Po upływie kwadransa małżonkowie siedzieli w karecie i toczyli się po relsach.

— Oto przy opuszczaniu nie doznaje się najmniejszej trwogi — rzekła Głafira Siemionowna. — Zdaje się, że się toczę z lodowej góry na Krestowskiem.

— Ach Głasza! Głasza! Jakież zrobiliśmy głupstwo, że nie wzniesiliśmy się aż do szczytu wieży — westchnął głęboko Mikołaj Iwanowicz.

— Nic to nie szkodzi. Jak przyjedziemy do Petersburga, będziemy opowiadali wszystkim, że siedzieliśmy tuż pod szczytą jej flagą — odpowiedziała małżonka.

I.

Tym razem powiodło się małżonkom zjeść, jak należy, bardzo obfite śniadanie. Znaleźli bowiem na wystawie restauracyjnej, w której na szybach okna było napisane: »śniadanie za cztery franki«.

Głafira Siemionowna przeczytawszy napis, odezwała się natychmiast do męża:

— Oto śniadanie za cztery franki!

— Cztery *exetwertaki* po 38 kopiejek... Zatem obliczając wedle kursu, rubel i pięćdziesiąt dwie kopiejki — wyrachował Mikołaj Iwanowicz.

— Musimy tam pójść, to sposobność nie lada, zjeść tanio i obficie.

Weszli.

Podano im: rzodkiewkę z masłem, rybę z białym sosem, główkę cielęcą ze śliwkami, zielony groszek, pularkę z sałatą *à la romain*, winogrona i gruszki, ser i kawę. Do tego dodano jeszcze małą karafinkę czerwonego wina. Nad rybą Głafira Siemionowna cokolwiek zamyśliła się i pytała: czy jeść, czy nie? Może właśnie to żaba zamiast ryby? — przemknęło jej po głowie. — Rozebrała rybę widelcem, zbadala ze wszystkich stron i po tem skrupulatnem rozpatrzeniu, nie znalazłszy nóżek żaby, zaczęła jeść. Takie samo badanie nastąpiło i przy cielęcej główce.

— Ja wiem, że ta cielęca główka dlatego wymieniona została w jadłospisie *tet de wo*, że w miejsce niej można po-

dać Bóg wie co — rzekła Głafira Siemionowna, zabierając się do jedzenia.

— Bardzo słuszna uwaga — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Raz w Petersburgu wydawano wielki obiad dla braci Sławian w jednej francuskiej restauracji. Podano zupę. Widzę, że w zupie pływa kawałek cielejącej główki, ale zjadłem ją. Owszem było to dobre i smaczne, ale nieco palilo w gardle. Tuż obok mnie siedział Iwan Iwanycz Anczewskij, pierwszy amator wykwiutnego jada. Tylko dlatego podróżował po Europie, aby mógł jeść różne różności. Jadł marynowane krokodyły, żaby, jak niemniej zupy z jajek żmii.

— Przestań, przestań — zawołała Głafira Siemionowna.

— Przecież od nazwy żaby czy krokodyla nie ci się nie stanie. Otóż ten Iwan Iwanycz zobaczył, że ja zjadłem ten kawałek pływający w zupie i odezwał się: Czy smakowała panu cząstka żółwia? Prawda, że to wyborny kasek? Otworzyłem usta ze zdziwienia. Zaczęła mi płynąć ślina. Zanudziło mię. Jednakże jakoś zatrzymałem się od wymiotów, bo trzeba przecież postępować równo z cywilizacją.

— Owszem, bardzo smaczne — rzekłem — ale jednak do tego czasu zapomnieć nie mogę, o tej tak niespodzianej potrawie.

— W takim razie lepiej powstrzymać się od jedzenia cielejącej główki — odpowiedziała Głafira Siemionowna i odsunęła od siebie talerz.

Mikołaj Iwanowicz nie przestawał jeść, mówiąc:

— Główka, bezwarunkowo jest główką cielejącą. Nawet teraz zjadłem kawałek cielejącego ucha.

— Ucho może być także uchem żółwia.

— O nie! Żółw niema wcale uszów. U nas w traktyerni na rynku znajduje się sadzawka, sadź na ryby, a w środku niej sterczy mała górnica z drobnych kamieni, na tej górnicy siedzi po większej części żółw i można się łatwo przekonać, że niema wcale uszów — opowiadał żonie Mikołaj Iwanowicz, po czem dodał: — Ten Iwan Iwanycz Anczewskij, to osobliwy

człowiek. Z powołania marynarz, objechał prawie około świata cały i co on nie jadł! Jadł pieczeń z fok, czyli z psa morskigo, mózg z wieloryba, nogę słoniową.

— Dajże mi pokój z temi osobliwościami, których nie pragnę nie tylko jadać, ale nawet widzieć kiedykolwiek — zawołała z obrzydzeniem Głafira Siemionowna.

Groszek i pularę z sałatą Głafira Siemionowna jadła z wielkim smakiem, i wcale nie kontrolując podanej potrawy.

Skoro skończyło się śniadanie, Mikołaj Iwanowicz obracając się, wyrzekł:

— Drogo nas kosztowało, ale przynajmniej nasyciliśmy się prawdziwie po moskiewsku i za to chwala Bogu.

Wyszli z restauracji.

Mimo nich przesuwali się robotnicy, których powołaniem było ofiarować gościom krzesła toczące się na kołach, ubrani byli w niebieskie bluzy i kepi tegoż samego koloru.

— Czy nie życzysz sobie przejechać się na Francuzach — zapytał mąż.

— Rzeczywiście, chętnie się zgodzę, bo już zupełnie straciłam siłę w nogach, ale mię wstyd — odpowiedziała — jakoś nie wypada dać się dźwigać człowiekowi. Wygląda to jak jada człowieka na człowieku, jakby na jucznym zwierzęciu.

— Wszak jesteś damą a nie człowiekiem. Mężczyźni to nie przynosi wstydu.

— Hej, tom — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Jakże cię nazywać? *Garson*? Nie, nie *garson*!

— Jak się nazywa po francusku człowiek popychający krzesło?

— Alboż można wszystkie wyrazy pamiętać? Przecież nie jestem Francuska. Przywołaj go, a on niezawodnie zatrzyma się, lub przyjdzie na dany znak.

— Hej! Koń na dwóch nogach! *Szewal*! — wołał Mikołaj Iwanowicz, machając parasolem.

Lektykarz, zwrócił się ku niemu z lektyką a raczej z krzesłem na kółkach.

— Na wyraz *szewal* dał odpowiedź, więc ich tutaj zapewne tak samo nazywają; przyczem Mikołaj Iwanowicz wskazał z uśmiechem na Głafirę Siemionownę.

— *Pur la dam. Kombię?*

— *Oh, monsieur, je sais, que madame sera aimable* — odpowiedział lektykarz.

— Wiele? Wiele on powiedział? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— On nic nie odpowiedział.

— Nie można przecież zgodzić się bez targu. Bóg wie, wiele z nas zedrze. No, zgadzasz się za franka podwieźć panią? *En frank* — rzekł znowu Mikołaj Iwanowicz, pokazując franka. A skoro to nie pomogło, ukazał jeden palec, dodając: — *en frank!*

— *Oui, oui, monsieur... je comprends... Prenez place, madame, s'il vous plaît*¹⁾.

Głafira Siemionowna usiadła na krześle, lektykarz stanął za krzesłem, pytając się gdzie ma jechać?

— Gdzie pojedziemy — zapytała męża Głafira Siemionowna.

— Alboż ja wiem. Dokąd oczy prowadzą! Niech jedzie gdzie mu się podoba.

— Prosto przed siebie! *Tu droa!* — rzekła Głafira Siemionowna.

Lektykarz potoczył krzesło. Mikołaj Iwanowicz postąpił obok i mówił do żony:

— Jak przyjedziesz do Petersburga, będziesz miała przy najmniej czem pochwalić się, żeś jechała na Francuzie. Tym Francuzem możesz wykluć oczy swojej ciotce, Paraskewie Kuzminisznie. Ona ci opowiadała, że kiedy odhywała podróż do Jerozolimy, dla pomodlenia się przy grobie Zbawiciela, jeździła na osłach, i na kozłach, i na wielbłądach. Z powrotem do domu, powiesz jej, moja ciotciu, ty jeździłaś na osłach, na ko-

¹⁾ Tak, tak panie. Rozumiem! Niech pani siada

złach i na wielbłądach, a ja w Paryżu jeździłam na Francuzie. Tym sposobem oddasz jej piękne za nadobne.

— Ale gdzież mamy jechać — pyta znowu Głafira Siemionowna.

— Zapytaj lektykarza, co tutaj jest godnego widzenia — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna zamyśliła się, układając w głowie odpowiedni frazes i zwróciwszy się do lektykarza, zapytała:

— *Ekute. Keskilja isi remarkabl? Montre nu, że wu pri.*

— *Oh! oui, madame. Les saurages est-ce que vous avez vu?*¹⁾.

— Co on mówił? Głasza.

— Radzi, żeby przypatrzeć się dzikim ludziom.

— Dzikim? Wybornie. Niech więc wiezie cię tam.

— *Nu naron pa wiu le soważ. Alle. Se bię le soważ.*

— *Oui, madame. Vous verrez quelque chose d'admirable... Ils mangent, ils dansent, ils chantent, ils travaillent*²⁾ — mówił lektykarz i pchnął krzesło w kierunku okolicy nad brzegami Sekwany.

II.

Nie dojeżdżając do brzegów rzeki Sekwany, lektykarz krzyknął nad głową Głafiry Siemionowny:

— Chalupa rosyjska. Czy pani widziałaś chatę rosyjską?

— Rzeczywiście rosyjska chata — rzekła Głafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanowicz, czy widzisz chatę rosyjską? — zapytała Mikołaja Iwanowicza.

— Jeszczeby też nie miałem zobaczyć? Tutaj z pewnością znajdują się i nasi Rosyanie. *Mosie*, skieruj krzesło ku rosyjskiej chacie.

¹⁾ Czy pani widziała dzikich ludzi?

²⁾ Tak panie. Zobaczysz pani coś wspaniałego. Oni jedzą, tańczą, śpiewają i pracują.

— *A droat! A droat!* — zawołała Głafira Siemionowna a Lektykarz potoczył krzesło do malutkiej budowli z ażurowymi ozdobami, przedstawiającej się jak chata rosyjska. Około chaty była nawet klatka ze szpakiem, umieszczona na wysokim pięcie.

Głafira Siemionowna zeskoczyła z krzesła i skierowała się ku drzwiom. Pospieszył za nią i Mikołaj Iwanowicz. Tuż naprzeciw drzwi, stała lada, to jest stół, na którym zwykle sprzedają towary i siedziały dwie dziewczyny w stroju, przypominającym rosyjskie *sarafany* ¹⁾, z zaplecionymi w warkocze włosami i w przepaskach, naśladujących zwykły strój głowy u chłopiek. Dziewczęta sprzedawały toczony z drzewa zabawki, konie, kozły, chłopów, niedźwiedzi. Na ladzie leżały również paciorki i różańce z krzyżkami, drewniane łyżki z muszlami, na których wymalowana była błogosławiąca ręka. Za ladą na półce widać było stojący rosyjski samowar, dość niezgrabnie zrobiona skrzynka z ozdobami z folgi, obita na kantaech, t. j. na rogach blachą i kilka kobialek roboty nowogrodzkiej. Nad półką zawieszony było płótno z wyszyciami z czerwonej nici, przedstawiającymi koguty na rogach, w kącie zaś izby obraz, ale z powodu zbyt ciemnego malowidła trudny do rozpoznania.

— Otóż nareszcie i nasi prawosławni! Zaraz będziemy rozmawiać po rosyjsku, raz przecie usłyszymy własną mowę, po tak długim milezeniu — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zbliżając się do jednej z dziewcząt w *sarafanie*. Jak się masz rodaczko? Czy z Petersburga czy z Moskwy? — zapytał.

Dziewczyna spojrzała przenikliwym wzrokiem, pokręciła głową i odpowiedziała:

— *Je ne comprends pas, monsieur!* ³⁾.

— Jak to? Rosyjska dziewczyna, nie umie po rosyjsku?

Dziewczyna patrzyła na niego uśmiechając się.

— Rzeczywiście nie umiesz mówić po rosyjsku? Chyba się tylko zatajasz, ukrywasz — mówił Mikołaj Iwanowicz.

¹⁾ Szlafrok, długa suknia kobieca. ²⁾ Nie rozumiem.

— Przebrana Francuska, oto cała tajemnica. Teraz poznaję ją z rysów twarzy, że to Francuska — powiedziała Głafira Siemionowna.

— A niechże ich licho! Zbudowali rosyjską chatę, a nie mogli osadzić w niej prawdziwych Rosyanek. Więc, *mamzel*, nie znasz ani jednego wyrazu po rosyjsku?

— *Pa xim sel mo la rius?* — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— *Samowar. Kabak. Kosuszka. Czaj. Wodka* — odpowiedziała dziewczyna.

— Dosyć, dosyć — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz zniechęcony.

— *Achetez quelque chose, monsieur. Vous aurez le souvenir d'isba russe* ¹⁾ — zaproponowała dziewczyna.

— Daj mi pokój. Nawet rozmawiać z tobą nie myślę — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, podchodząc do drugiej dziewczyny, również ubranej w *sarafan*.

— Także jesteś Francuska. A może, co jeszcze gorsze, jesteś rzeczywista Niemka — zapytał.

— *Nous ne sommes des russes, monsieur. Nous sommes de Paris* ²⁾.

— A niechże was licho!

— *Voilà le russe... Voilà qui parle russe* ³⁾ — wskazała dziewczyna jakiegoś chłopca, stojącego w jasnej koszuli z kaszimiru i lakierowanych butach przy warstacie stolarskim, okolo którego był czemś zajęty.

Chłopak uśmiechnął się.

Mikołaj Iwanowicz zbliżył się do niego.

— Rosyanin jesteś? Rodak?

— Tak jest — odpowiedział po rosyjsku. — Z osady sergiejewskiej pod Moskwą.

¹⁾ Kup pan co, będziesz miał pamiątkę z rosyjskiej izby.

²⁾ Nie jesteśmy Rosyanki, lecz Paryżanki.

³⁾ Oto Rosyanin... oto mówiący po rosyjsku.

— Daj rękę! Głasza! Rosyanin! Nasz rodak. Podaj mu rękę. W Paryżu nie słyszeliśmy jeszcze dotąd rosyjskiego języka... Umiesz wymyślać po rosyjsku?

— Dlaczego by nie — odpowiedział z uśmiechem.

— Mikołaj Iwanowicz! — odezwała się Głafira Siemionowna, jakby to zapytanie wydało się jej nieprzyzwoitością.

— Czego chcesz? — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — Przecież ja nie będę żądał, aby nam nawymyślał, ale się tylko pytam, czy umie wymyślać, bo po tem wszystkiem co tu zaszło, po rozmowie z temi dziewczynami, nabrałem przekonania, że i on także podszywa się pod skórę Rosyanina, a nie jest nim właściwie.

— Rosyanin! Rosyanin! — rzekł chłopak.

— Dlaczegoż nie sprowadziliście do Paryża na wystawę ani rosyjskich bab, ani dziewczyn?

— Bo z nimi wielka bieda, niepodobna sobie poradzić. Przywieziono tu wprawdzie z Rosyi jedną kobietę, ale niezadługo uciekła.

— Jakto uciekła? Sama czy z kim?

— Uciekła z Rosyaninem. Jak mówili, był to jakiś kupiec, zawiózł ją na tyrolskie góry, czy gdzieś tam dalej. Pojechał leczyć się na wątrobę i ona z nim pojechała. Było to jeszcze podezas lata.

— Czy ci się Paryż podoba?

— Wikt nędzny. Niema wcale *stevi*, a ich zupy wodniste już mi się sprzykrzyły. Wódki wcale niema.

— Rzeczywiście co do wódki, to wstydzić się powinni, że jej nie mają. Ja już sam do niej zatęskniłem. Czy pijesz wino czerwone?

— Bardzo niewiele. Ale za to jest koniak.

— Chodźmy rodaku, napijemy się...

— Nie, nie — zaprotestowała Głafira Siemionowna. — Poco ten częstunek. Pójdziemy popatrzeć się na dzikich ludzi.

— Przecież wypada wypić po szklance z ziomkiem. Wszak to rodowity Rosyanin.

— Poczęstujesz go innym razem. Jeszcze jutro nie wyjeżdżamy z Paryża. Chodźmy!

— Ale my wypijemy tylko po jednym kieliszku.

— Nie chcę, nie chcę. Już doznałam dosyć przyjemności wczoraj, nie mam chęci aby się ta scena powtórzyła.

— E! — stęknął Mikołaj Iwanowicz. — Masz zupełną słusność rodaku, że z babami zawsze wielki kłopot. A więc do widzenia. My tu jeszcze przyjdziemy.

— Do przyjemnego widzenia się! — rzekł chłopak.

Mikołaj Iwanowicz podał rękę chłopakowi i drażniąc się z żoną wyszedł z chaty.

Lektykarz powiózł Głafirę Siemionowną dalej.

— *Voyons, madame et monsieur... Je vous montrerai quelque chose, que vous ne verrez nullement... C'est le chemin de fer glissant* — rzekł i po upływie pięciu minut zatrzymał się przy relsach kolei żelaznej. — *C'est ravissant* — chwalił. — *Vous verrez tout de suit* ¹⁾.

— Co on tam mamrocze? Głasza — spytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

O jakiejś drodze żelaznej osobliwego rodzaju — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— *Sans locomotive, madame* ²⁾.

— Bez lokomotywy — mówi.

W tej chwili odezwała się świstawka i pociąg, składający się z kilku małych wagonów, rzeczywiście bez lokomotywy, potoczył się po relsach, z których tryskały strumienie wody.

— Skądże się wzięła woda? — rzekł zdziwiony Mikołaj Iwanowicz. — Przecież to pociąg bez kół. Bez kół, to osobliwe. Jadą na jakichś żelaznych podkładach. Patrz, Głafira Siemionowna, jadą na żelaznych podkładach. Prawdziwa i niebywała sztuka.

¹⁾ Zobaczycie państwo zaraz, bo ja was powiozę tam, gdzie nie prędko da się widzieć coś podobnego. Jest to kolej żelazna szluzująca. Rzecz wspaniała. Zaraz zobaczycie.

²⁾ Bez lokomotywy.

— Dlaczego ty tak wykrzykujesz — wyrzekła Głafira Siemionowna. — Pociąg jak pociąg. Nie mogę pojąć co tutaj tak osobliwego.

— Jakto? Co tu osobliwego? Ostatecznie sposób w jaki ten pociąg sunie się po relsach. Wiesz, w jakim to wypadku ten pociąg może być pożądanym. W wypadku, kiedy trzeba przewozić pijanych. Pociąg na sztabach żelaznych, sunie się jak sanki na płozach, nie trzęsie i nie może się przewrócić. Tutaj, może pijany nawet wypaść z wagonu, a nic mu się nie stanie, bo nie dostanie się pod kola. Ten pociąg ma i tę dogodność wielką, że się nie może wydarzyć żadne nieszczęście wykołajenia. Posuwa się powoli, ponieważ sztaby żelaza przystają szczelnie do relsów i tym sposobem pod żadnym pozorem, w żadnym wypadku nie ześlizgnie się. Spytaj się lektykarza, czy rzeczywiście pociąg ten wynaleziony został dla ludzi pijanych?

— Także sens. Mam się pytać o lada głupstwo — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Jakże po francusku pijani? Ja go sam zapytam — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— *Alle, alle... Ce tasse... Aprezan le sowa:...*

— Nie wiesz, jak po francusku pijani, dlatego też nie chcesz go zapytać. Uczylaś się przecie na pensyi, a nie wiesz jak pijani po francusku. Znakomita nanka, wykształcenie wzorowe — dogadywał ze złością Mikołaj Iwanowicz.

Lektykarz nie przestawał toczyć krzesła, na którym siedziała Głafira Siemionowna.

III.

Coś zapachło, coś, jak się wyraża Heine, nie mające nie wspólnego z wonią wody kolońskiej. Lektykarz popychał krzesło ku lepiankom murowanym z płaskimi dachami, północnoamerykańskich narodów, których on nazywał dzikimi (*savage*). Mikołaj Iwanowicz szedł rzędem z krzesłem Głafiry

Siemionowny. Widać było budowle murowane, przytykające do lepianek i stanowiące rodzaj folwarków czy też willi, kolonii. Przesuwali się mężczyźni o smagłych twarzach, z rysami zdradzającymi pochodzenie arabskie, okryci brudnymi płachtami, bosi, z obnażonymi nogami aż do kolan, w turbanach, często zupełnie nędzy aż do pasa, z czarnymi, jak węgiel, brodami, z czarnymi oczami i z zębami białymi jak kość słoniowa. Niektórzy z nich handlowali pod nakryciem przytykającym do owych lepianek, winnemi jagodami, nadzianemi na słonki, tudzież innymi różnokolorowemi galgankami, wykrzykując łamanym francuskim językiem:

— *De konfitiur, madame! A bon marché, a bon marché!*

Wymieniając nazwy towarów, klócili się w swoim rodowitem narzeczu, wyszczerzali zęby i grozili sobie kulakami. Dla przywabienia kupujących uderzali się silnie po biodrach, gwizdali a nawet piali, jak koguty.

— *Les sauvages!* — zawołał lektykarz.

— Dzieci! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna, zehodząc z krzesła. — Trzeba im się przypatrzeć. Pójdziemy tam, Mikołaj Iwanowicz. Złatw się z Francuzem i pójdziemy.

Mikołaj Iwanowicz zapłacił lektykarzowi i małżonkowie skierowali się ku lepiankom. Około lepianek, grunt był wilgotny, błotnisty, a nawet w niektórych miejscach znajdowały się wielkie kałuże; tu i owdzie widać było resztki niedojezonych potraw, lupiny orzechów i kości.

— Ci dzieci, należą do rasy pół-białej i nie są prawdziwymi dzikusami — wyraził się Mikołaj Iwanowicz. — Rodowity dziki, jest zawsze czarny, jak murzyn.

Malutki arabczyk, z gołemi zupełnie nogami i zaledwie do połowy ciała odziany na pół podartym burnusem, natychmiast chwycił za waterpruf Głafirę Siemionownę i wypowiedział coś głosem gardlanym, ciągnąc ją do lepianki.

— *Dix centimes, madame, dix centimes!* — mówił na pół zrozumiale, tak przynajmniej można się było domyśleć, że mówił po francusku.

— Milez! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i zamierzył się na niego parasolem, ale on nie odstąpił, szczyrzył zęby i błyskał czarnymi, jak węgiel oczami.

— Dokądże mię ciagniesz? — pytała z uśmiechem Głafira Siemionowna.

— *Dix centimes, et vous verrez notre maison...* — powtarzał mały arabezyk.

— Chce pokazać dom swój. Czy można bez obawy tam się udać, Mikołaj Iwanowicz? — pytała Głafira Siemionowna.

— Tak sądzę. W razie czego, stoi niedaleko milicyant — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Spełniając życzenie małego arabezyka, małżonkowie zbliżyli się do lepianki i weszli w przecznicę, jeszcze więcej błotnistą. Arabezyk doprowadziwszy ich do niskich drzwi, wiodących do lepianki i zawieszonych brudnym dywanem, zatrzymał się i rzekł dość surowym i stanowczym głosem, jakby grożąc:

— *Dix centimes, madame!*

— Daj mu, Mikołaj Iwanowicz. On prosi o dziesięć santimów. Masz tam w kieszeni miedzianą monetę — rzekła Głafira Siemionowna.

— Bierz i pal cię licho! — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz. Skoro mu podał monetę, Arabezyk, podniósł do góry dywanik i wpuścił do wnętrza Głafirę Siemionownę, ale nie dopuścił do wejścia Mikołaja Iwanowicza, wołając znowu:

— *Dix centimes, monsieur!*

— Przecież dalem ci już — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— *Dix centimes pour madame. Dix centimes pour monsieur!* — krzyknął Arabezyk.

— Mikołaj Iwanowicz, gdzie ty jesteś. Ja sama jedna boję się wchodzić, dał się słyszeć głos Głafiry Siemionowny z wnętrza lepianki.

— Zaraz, zaraz. Puśćże mię ty djabelskie plemie — krzyknął, odtrącając małego arabezyka i wchodząc do środka.

Arabezyk przeraźliwie krzyknął i czepiwszy się rękami ręki Mikołaja Iwanowicza, wołał:

— *Dix centimes! Dix centimes!*

— A to się go, widać, nie pozbędę. Poczekaj, niech się cokolwiek popatrzę. Potem dam ci dziesięć santimów.

— *Dix centimes! Dix centimes!* — krzyczał mały Arabezyk i chwycił zębami za rękę Mikołaja Iwanowicza.

— Kąsasz! Ty czorcie. Masz i udław się tymi santimami.

Otrzymawszy dziesięć santimów, Arabezyk uspokoił się, podrzucił je na rękę i razem z innymi sztukami monety schował do woreczka, zrobionego z pończochy kobiecej, wiszącej na ścianie przy wejściu. Worek był już prawie do połowy wypełniony miedziakami.

— To lotr, zaczął mię kąsać w rękę — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Z nimi trzeba się mieć na baczności — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Wszak to dzieci ludzie. POCO on jednak nas tu przyprowadził? Niema tu nic do widzenia.

Rzeczywiście nie było tu nic osobliwego. Siedziała na ziemi brudna, stara kobieta, w białej chustce na głowie, z golemi nogami, z obnażoną, obwisłą piersią i przyciskając do niej niemowlę, karmila je. Dalej nieco widać było młodą dziewczynę obok tkackiego warstata, w dętych fałszywych perlach na szyi; zajęta była tkaniem dywana. W kącie chrapał, leżąc twarzą do dołu jakiś arab, ale widać było jedynie jego nagie nogi, z niezmiernie zabloconymi piętami. W lepiance było na pół ciemno, bo maleńkie, i równie brudne okienko, zaledwie przepuszczało promienie światła; powietrze zatęchłe, ciężkie, trudne do oddychania; rozechodziła się woń dziecięcych pieluch i zapach przypalonego tłuszczu.

— Fe! Obrzydliwość! Wychodźmy coprędzej — rzekł do żony Mikołaj Iwanowicz i wyprowadził ją z lepianki.

Arabezyk znowu zaczął krążyć koło nich.

— *Dix centimes, monsieur! Dix centimes! Je vous montrerai quelque chose* ¹⁾ — krzyczał wyciągając rękę.

¹⁾ Dziesięć santimów, dziesięć santimów, pokażę coś panu.

— Jak to i za wyjście trzeba płacić. No, braciszku, to paskudny wyzysk — mówił Mikołaj Iwanowicz. — Milicyant! Milicyant! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— On chce jeszcze coś pokazać. Daj mu dziesięć santimów. To biedak... żebrak — wyrzekła Głafira Siemionowna i wzięwszy od męża pieniądze, dała je Arabczykowi.

Otrzymawszy pieniądze, Arabczyk w mgnieniu oka zrzucił z siebie okrywające go gałgany i stanął zupełnie nagi, następnie zaczął nurzać się w bagnie. Głafira Siemionowna pluwała ze złości i wyprowadziła męża z tego wstrętnego zaułka.

IV.

Małżonkowie poszli dalej. Arabi w białych paltach przesuwali się tu i ówdzie. Byli między nimi i tacy, którzy mieli na sobie europejskie kitle. Niektórzy, ubrani w kobiece koszule, mieli na głowach turbany ale zupełnie obnażone nogi; niektórzy z Arabów siedzieli pod lepiankami, podkuliwszy pod siebie nogi, inni znowu stali przy osiodłanych osłach, mruzczeni coś niezrozumiale, błyskając czarnymi, jak węgiel oczyma i wskazując na osłów, uderzali po siodłach, widocznie, zapraszając przechodzących do jazdy. Jeden nawet z nich, nagle chwycił Głafirę Siemionowną za rękę i pociągnął ją do stojącego obok osła.

Mikołaj Iwanowicz zamierzył się na niego parasolem.

— Ja ci pokażę, ty czarny djable, co to znaczy chwycić kobietę za rękę, krzyknął. Gdzie milicyant! *Monsie milicyant! Isi... Wne isi...* — zawezwał stojącego na ulicy policyjnego strażnika i kiedy ten zbliżył się, zaczął skarżyć się przed nim:

— Ten niepoń... Głasza, jak niepoń po francusku?

— Dajże spokój... Nie wywołuj niepotrzebnego wcale skandalu — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Nie, nie. Trzeba go nauczyć, tego czarnego djabła. Niech to bydlę zaprowadzą do cyrkulu.

— Tutaj niema wcale cyrkulów policyjnych. Nie widziałam ani jednej strażnicy — rzekła Głafira Siemionowna.

— Wszystko jedno, ale jest przeciwko sprawiedliwości; jakaś kara za napad. Ten lotr, *monsie milicyant* chwycił *madam* i nawet dotknął się jej piersi. Głasza, przetłumacz mu to po francusku.

— Nie gniewaj się daremnie. Chodźmy! Jakaż to przyjemność, gromadzić w okolo siebie ciekawych. Patrz, już się zaczynają zbierać ludzie.

— A niech się zbierają. Ja tego darować nie mogę. *Set lotr ble...* Ach jakie to nieszczęście, że ja nie znam ani jednego wyrazu, określającego czyn tego nieponia — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Mimo to jednak mówił, zwróciwszy się do milicyanta. — *Set koszą ble chwate ma za mian* i za to miejsce. *Wuala set...* — pokazał na piersi. — *Prene go w polis, prene...* Wszak to wysoka nieprzyzwoitość...

— Mikołaj Iwanowicz, ja odchodzę, dość tego — rzekła Głafira Siemionowna.

— Poczekaj. *Se ma fam i chwate...* Czy to wolno? Milicyant zbliżył się do Głafiry Siemionowny.

— *Qu'est-ce qu'il a fait, madame?* — zapytał.

— *Rię* — rzekła Głafira Siemionowna i poszła dalej.

Nie pozostawało zatem Mikołajowi Iwanowiczowi nic innego jak pójść za małżonką.

— Podziwiam twoją cierpliwość — mruknął. — Umieć mówić po francusku i nie chcieć poskarżyć się organowi bezpieczeństwa publicznego, pozwolić takiemu nieponiowi chwycić się za rękę i za piersi, to rzecz trudna do wytłumaczenia. Widocznie ten gburowaty żart sprawił ci przyjemność i krzyknęłaś tylko, żeby udać, iż cię to obraża.

— Tak jest, było mi bardzo przyjemnie — rzekła Głafira Siemionowna — kiedy tak wmawiasz we mnie. Ja zaś jedynie unikając niepotrzebnego skandalu, wolę zmilczeć, niż skarżyć się i zwracać na siebie uwagę ciekawych uliczników. Odpędziłam go od siebie i po wszystkim.

Mikołaj Iwanowicz powoli uspakajał się, ale jednak, mijając Arabów, trzymał parasol na pogotowiu.

Lepianki zniknęły a natomiast ukazały się domy dwupiętrowe z płaskimi dachami. Widać było jakąś wieżę. Zaczęła się ulica Kairska, zbudowana naprędce podczas wystawy. Zjawil się jeden, i drugi, i trzeci Arab w białym kitlu prowadzący osiodlane osły. Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, unikali z nimi spotkania, przechodząc na przeciwną stronę ulicy. Niezadługo zobaczyli Anglika, w kostiumie w paski i kratki, w białej pelerynce, w czapce, podobnej do helmu, jak noszą powszechnie turyści w ciepłych krajach. Siedział on na osle, przed nim szedł Arab, trzymając w ręku uzdeczkę. Za Anglikiem, przejechała truchtem na osle jakaś Angielka, w płaszczu niebieskiej barwy i w kapeluszu z upiętym welonem, zielonego koloru.

— Ci Arabi, prowadzący osły, wyglądają jak masztalercze. Ofiarują osły gościom dla przejażdżki — rzekła Głafira Siemionowna. — Więc coś można od takiego człowieka wymagać. Przecież i u nas nieraz forysie chwytają gości za rękę.

— Patrz, patrz co ich tutaj! To przewodnicy, prowadzący osły, a ja myślałem, że konnica ulanów, czy huzarów, jak u nas. Mnóstwo ludzi jedzie na osłach a nawet i damy. Tam na przykład jedzie jakaś gruba i tłusta jejmość. Ciekawy widok doprawdy. Tutaj nawet są i wielbłądy. Oto tam jakiś spoczywa na ziemi. Pokazuje się, że można także jeździć i na wielbłądach.

— Ciagle wymyślałeś na nich, a teraz mówisz o jeździe na osłach. Czytałam w jakimś romansie, że w górzystych krajach, mianowicie w takiej Szwajcaryi, jest osobny rodzaj ludzi, którzy nazywają się: mulnikami, oni to najmują muły dla turystów, udających się na wycieczki w góry. I ci zapewne tak samo nazywają się mulnikami, a może osłarzami — mówiła Głafira Siemionowna.

— Że wymyślałem na tych nieokrzesanych gburów, miałem zupełną słuszność — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz —

ale jednak gdybyś zgodziła się na jazdę na osle, to możebym i ja także pojechał.

— Coraz nowe przychodzą ci do głowy koncepta — rzekła Głafira Siemionowna.

— Dlaczegożby nie? Inni jeżdżą na osłach. Byliśmy na wystawie, a jazda na osłach także widocznie należy do programu, więc należy z wszystkiego korzystać — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Nie gadaj głupstw...

— Jakież to głupstwa? Na wielbłądzie jechać nie radzę, bo to jazda niebezpieczna, gdyż zwierz niezwyklej wielkości, ale osiel, to małe zwierzątko i bardzo potulne — mówił Mikołaj Iwanowicz.

Po lewej stronie ulicy, na piętrowym domu, z płaskim dachem, umieszczona była tablica, na której widniał napis:

Café - restaurant!

Na tarasie przytem można było zauważyć jakieś towarzystwo, złożone z mężczyzn i dam, którzy siedząc przy stolikach, coś pili. Pomiędzy stolikami i około nich przesuwali się Arabi w białych burnusach, takiejże barwy szarawarach szerokich i w czerwonych kurtkach.

— Patrz, gdzie to zebrała się publika — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Siedzą na dachu domu. To arabska restauracya. Pójdziemy tam i napijemy się kawy.

— Chcesz się napić? Zapewne tak samo, jak poprzednio z koniakiem? Doskonale to rozumiem — mówiła Głafira Siemionowna ze złośliwym uśmiechem.

— Tak jest. Bo w arabskiej restauracyi musi być wysmienita kawa — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Co do koniaku, bardzo wątpię czy oni go mają. Przecież to Arabi, wyznania mahometańskiego. Ich koran zabrania pić wino.

— Naszym Tatarom ich wyznanie również wzbrania pić wino, a jednakże w tatarskiej restauracyi w Petersburgu trzymają wszelkie gatunki wina. Przytem w tatarskiej restauracyi u nas panuje jak największe pijaństwo.

— Więc napiję się jedynie samej kawy. Powtarzam ci, że kawa musi być wyborna, prawdziwa Mokka. Być w arabskiej restauracji i nie pokosztować ich kawy, byłoby wstrzeźliwością nie do darowania. Pójdziemy... Nawet, jak słyszysz, zapewne i muzyka tam przygrywa.

Z otwartych drzwi restauracji dolatywały dźwięki fleatów i bębna.

— Więc będziesz pił tylko kawę — zapytała Głafira Siemionowna z wielkiem niedowierzaniem. — Co?

— Kawę. Kawę, nic więcej — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, byle tylko co prędzej dostać się do restauracji. W mużulmańskiej restauracji, zastosuję się ściśle i do obycajów mużulmańskich.

— Dobrze więc, chodźmy, ale pamiętaj — dodała Głafira Siemionowna.

Małżonkowie tedy skierowali się do restauracji.

V.

Café-restaurant, do której weszli Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna, była zarazem i tak zwaną *Café-chantant*. W głębi sali wznosiła się niewielka estrada z dekoracyami, na których pomalowane były drzewa daktylowe, przedstawiało to, jakiś zakątek pustyni. Tuż przy dekoracji siedział jakiś Arab, w białym burnusie z podkulonemi pod siebie nogami i grał na długiej piszczalce, dobywając z niej niezmiernie tęskne tony. Tuż przy nim w jednym rzędzie widać było i innego Araba, akompaniującego mu na bębnie. Uderzał on w bęben to palcem, to kulakiem, to łokciem. Wnet z za kulis wysunęła się i baleryna, tanecznica arabska. Ubranie miała barwy białej, niezmiernie obszerne, przytem na głowie wielki zawój, sięgający prawie do oczów. Z całej jej postawy, widniała jedynie część twarzy z czarnemi oczami i brwiami, i zupełnie nagie stopy nóg. Taniec zależał na tem, że Arabka dreptała bardzo drobnemi krokami na jednym i tem samym miejscu,

przechylając się to na prawo, to na lewo, odrzuciwszy w tył głowę, robiła ruchy brzuchem. W miarę, jak się przechylała całym korpusem, rzucała straszliwe spojrzenia w tę stronę, w którą się przechylała, lub też przewracała oczami tak, że zaledwie widać było tylko same białka oczów.

— A to wściekle przewraca oczami! — szepnął Mikołaj Iwanowicz, usadawiając się wraz z Głafirą Siemionowną przy jednym ze stolików, naprzeciwko estrady.

Zbliżył się natychmiast do nich Arab w białym burnusie, w białej koszuli bez pasa, w turbanie i w białych szarawarach opiętych około kolan obnażonych nóg, barwy brunatnej, porosłych gęstym włosem, i w pantoflach. Podał im na tacy dwie szklanki wody i dwa spodeczki z jakimiś bakaliami, czy przysmakami.

— Restauracya wystąpiła z ugoszczeniem — rzekł do żony Mikołaj Iwanowicz i wnet krzyknął na Araba:

— Nie, bracie, *mersi*. Słodocy nie lubię.

— Dlaczego? — zapytała Głafira Siemionowna. — Przecież chciałeś pić, więc się napij. Woda z bakaliami wyborna. *Done... Done...* — rzekła, zwracając się do Araba, wzięła z tacy dwie szklanki, łyżeczkę i oba spodeki z przysmakami. No, napij się — dodała, podając mężowi szklankę.

— Ależ, jakie to głupstwo, być na paryskiej wystawie i ograniczyć się jedynie na picu wody z przysmakami, w takim razie nie warto było jechać taki kawał świata i wydać taką masę pieniędzy.

Mikołaj Iwanowicz pokiwał głową.

— Więc czegoż ci się zachciewa? — zapytała Głafira Siemionowna. — Przecież sam powiedziałeś, że nie będziesz pił żadnego zgoła trunku.

— Ale zawsze muszę napić się czegoś arabskiego — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Wiem ja, co to znaczy to arabskie. Tobie zachciewa się koniak.

— Dlaczego koniecznie koniaku? Niewątpliwie mają oni i arabskie wino. Hej! Arabie. Czy macie tu arabskie wino?

Arab patrzył na niego, wytrzeszczając zdziwione oczy, nie rozumiejąc wcale, czego od niego żądają. Nakoniec wybelkotal coś w niezrozumiałym języku, mieszając do tego i wyrazy francuskie.

— Nie rozumiesz? Co? Głasza, wytłumacz mu, czego ja sobie życzę — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Dlaczego mam mu koniecznie wytłumaczyć, że tobie zachciewa się wina, kiedy mi przyrzekłeś, że będziesz się zachowywał jak prawdziwy muzułmanin i ściśle zastosujesz się do przepisów muzułmańskiego wyznania. Pij wodę z bakaliami.

Mikołaj Iwanowicz skosztował bakalij i wypił kilka kropel wody.

Arab znikł na chwilę, ale niezadługo pojawił się znowu z dwoma spodeczkami, na których leżały owoce, smarzone w cukrze. Podawszy je na tacy, złożył ukłon małżonkom.

— Co on ciągle znosi jakieś słodycze — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Daj przynajmniej kawę, ty panie garsonie. *Kafe!* Czy zrozumiałeś?

— *Oui, oui. Kafe apre* — odpowiedział Arab.

Głafira wzięła talerzyki, z leżącymi na nich smarzonymi w cukrze owocami.

— Mogłabyś przynajmniej spytać się, wiele to kosztuje — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Bo może znowu złupią, jak wszędzie. — I mówiąc to, zapytał Araba:

— *Kombię?*

— *En frank* — odpowiedział Arab, wystawiając jeden palec do góry.

Po raz trzeci zjawil się, niosąc świeże gruszki na ma-lutkiej tacy.

Uklonił się i odszedł.

— My wcale nie żądaliśmy gruszek — zawołał Mikołaj Iwanowicz — zabierz to wszystko napowrót. Przynieś nam *kafe!* Przecie wyraźnie i po francusku mówię: *kafe!*

— *Tu... Tu. Pur tu en frank* — starał się wyjaśnić Arab, wskazując na szklanki, i na spodeczki, i na smażone w cukrze owoce, i na gruszki.

— Za wszystko żąda jeden frank — rzekła Głafira Siemionowna. — Czy będziesz jadł, czy nie?

— Czy mam koniecznie spożywać wszelkie słodycze. To babskie potrawy!

Mikołaj Iwanowicz odwrócił się.

Arab zbliżał się po raz czwarty z tacą i kłaniał się z wielkiem uszanowaniem. Na tacy tym razem stały dwie filiżanki czarnej kawy.

— Nareszcie! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. Przysunął do siebie filiżankę i spróbował łyżeczkę. — Ależ on przyniósł jakiś gąszcz. Czy to żarty? Patrz, jaki to zbity gąszcz zamiast kawy.

— Bo zapewne u Arabów taki zwyczaj — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Pij!

— Nie mogę pić takiego paskudztwa. To prawdziwe przegotowane fusy. W arabskiej restauracji pić fusy, to już przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie. *Garson!* — krzyknął — albo Arabie! Nie wiem, jak cię tam nazywają. Chodź tutaj! Ty! Ty! *Wne isi.*

Arab właśnie zbliżał się tym razem i kłaniał się ze szklaną maszyną do ciągnięcia dymu tytoniowego przez wodę. Postawił ją ostrożnie przy nogach Mikołaja Iwanowicza i podał mu giętki cybuch.

— Do licha! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Przyniosłeś turecką maszynę do palenia i zmuszasz mię, abym do ręki wziął cybuch. Dobrze, więc biorę.

— Pal! Pal! — rzekła Głafira Siemionowna, zachęcając męża — wszak palisz papierosy.

Mikołaj Iwanowicz, zaciągnął się, wypuścił dym i rzekł:

— Teraz zupełnie podobny jestem do tego turka, którego wyobrażają na szyldach trafik w naszym Petersburgu; tylko należałoby podkureczyć pod siebie nogi.

— Tam właśnie na kanapie pod ścianą pali jakiś w czerwonym fezie, tak samo jak ty ubrany, w surducie, podkurczywszy pod siebie nogi, tylko na głowie ma fez czerwony. Przesiądź się na kanapę i podłóż pod siebie nogi.

— Cóż tam jeszcze wymyślisz? Arab! *Mosie* Arab! Czy jest koniak? *Wu xawe* koniak? — nagle zapytał Araba Mikołaj Iwanowicz.

— Ja ci nie pozwolę pić koniaku — rzekła żona.

— Tylko jeden kieliszek, Głasza. *Wu xawe* koniak?

— Koniak? *Oui! Oui!* — potwierdził Arab skinięciem głowy.

— Tak *aporte en ver*. Tylko jeden kieliszek, Głasza. Ja tę wodę stąd wyleję i wypiję. Mam wielkie pragnienie a samej wody pić nie mogę.

— Świnia! Nie umiesz dotrzymać słowa! — krzyknęła z gniewem Głafira Siemionowna.

Arab przyniósł karafkę koniaku i kieliszek. Mikołaj Iwanowicz jednakże nie myślał wcale mierzyć go kieliszkiem, ale od razu wylał z karafki do szklanki, spojrzał na żonę, uśmiechnął się i rzekł:

— Ach doprawdy, pomyliłem się, a to dlatego, że swem paplaniem zawróciłaś mi zupełnie głowę.

Wodę z koniakiem wypił jednym tchem i zaczął rachować cię z Arabem.

Za wszystko, co podawano, zapłacił trzy franki.

W głowie Mikołaja Iwanowicza zaczęło szumieć. Nagle dostał wesoły humor. Koniak zrobił swoje. Głafira Siemionowna przeciwnie, zachmurzyła się, ale milezała.

Małżonkowie wyszli z kawiarni.

VI.

Już szarzało. Nad Paryżem zawisł mrok, gdy małżonkowie obeszlili dokola wszystkie budynki, stanowiące ulicę. Należało pomyśleć o obiedzie.

— Mnie się jeść chce, a tobie Głasza? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Nietylko mi się chce, lecz jestem zupełnie głodna. Cały dzień na nogach, cały dzień błąkamy się po placu wystawy, więc może się zachcieć jeść. Tylko nie mam wcale zamiaru obiadować na wystawie, ale zjemy obiad gdzie w mieście. Tam sporo restauracyi.

— Bardzo dobrze. Ale teraz dla załagodzenia wszelkich naszych nieporozumień przejedziemy się na osłach. Każemy się wywieźć z placu wystawy, aż do bramy wyjazdowej.

— Nie! Nie! Także obmyśliłeś nowy koncept — sprzeciwiła się Głafira Siemionowna.

— Ależ dlaczego opierasz się. Osły niosą powoli i łagodnie. To zupełnie inne zwierzęta, niż konie. Przytem prowadzą ich za uzdy przewodnicy. Niema żadnego niebezpieczeństwa.

— Ja jednak lękam się.

— Lękać się duszeńko nie masz najmniejszego powodu. Widziałas przecież niedawno, jak Angielka na osłe jechała, a była to kobieta niezbyt młoda i niezmiernie otyła. Dojechałibyśmy tym sposobem do bramy wjazdowej, najęli następnie powóz i kazali zawieźć się do najlepszej restauracyi. Wieczorem poszlibyśmy do teatru.

— Ja nigdy nie jechałam wierzchem — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Przecież to osieł nie koń — namawiał żonę Mikołaj Iwanowicz. — Tam nawet małe dziewczątka jeżdżą na osłach. Patrz, jak drobne jakieś dziewczątka doskonale jedzie na osłe — mówił, wskazując na jakąś panienkę, około lat dwunastu lub czternastu. Jutro już nie pojechalibyśmy na wystawę, lecz poszlibyśmy do magazynów dla kupienia dla ciebie paryskich strojów. Jak się nazywa ten magazyn, który tobie w Petersburgu polecono?

— Magazyn *de Loure*.

— Otóż widzisz... Tylko teraz przejedziemy się na osłach. Zmiłuj się, nie opieraj się. Wiesz, dlaczego ja cię o to

proszę? Chciałbym pochwalić się przed Skalkinymi. Dziś wieczorem napisałbym list do nich z zawiadomieniem, że jeździliśmy na osłach, których prowadził dziki Arab, wyśpiewujący rodzinne pieśni, że osieł rozszalał się, wziął na kiel, i popędził wprost do wezbranej niezmiernie rzeki, jeszcze chwila, a byłabyś niezawodnie zginęła w odmętach, ale ja rzuciłem się za tobą i na samym brzegu przepaści... osła rozszalałego...

— Pochwyciłeś za ogon! — dodała nagle, przerywając Głafira Siemionowna.

— Dlaczego za ogon? Chwycilem go za pysk, co mi również zagrażało wielkiem niebezpieczeństwem.

— Jaką ty masz pasyę, Mikołaj Iwanowicz, do nierzetelnego przedstawienia najprostszej rzeczy — rzekła żona.

— Bo to widzisz, daleko lepiej brzmi, jest pewnym rodzajem niezwykłego a wykwintnego stylu.

— Ha! jedźmy więc na tych osłach, chociaż dla mnie nie jest to zgoła żadna przyjemność.

— Jak to? Hej! Hej! Arab z osłem! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz na jakiegoś Araba, stojącego na uboczu, ale ten nie zrozumiał wezwania i nie ruszył się wcale.

— Czekaj, czekaj — powstrzymała męża Głafira Siemionowna. — Ja się niezmiernie lękam tej jazdy. Nie boję się wprawdzie osła, ale tego czarnego, jak sadza, przewodnika. Jak on znowu rzuci się ku mnie, jek tamten, co mię schwycił w pól, chociaż nie siadałam na osła. Oni wszyscy, niezmiernie są natrętni i zuchwali.

— Od czegoż tedy parasol? Ja na nim połamię mój parasol, jeżeli osmieli się na coś podobnego. Zresztą nie będziemy sami, jest publiczność, zawsze znajdzie się pod ręką milicyant miejski. Hej! hej! oślarzu, ośle! — znowu krzyknął Mikołaj Iwanowicz, pytając żonę jak po francusku: osieł.

— *Lan!*

— Co? Po francusku osieł nazywa się lanią? U nas lania, w naszym języku, zupełnie inne zwierzę. Hej: Lan! Lanczyk! Oślarz. Dawaj!

Arab zauważył, że to pewnie jego przywołują, zaraz też podprowadził do małżonków osła, szczerząc zęby.

— Do bramy wyjazdowej! Do wyjazdu! Gdzie *la port* — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Ale trzeba nam i drugiego osła. *En lan pur ma fam i en lan pur moa.* Głasza przetłumacze mu po francusku.

— *De zan! Il fo nu de zan* — przetłumaczyła Głafira Siemionowna, pokazując dwa palce.

Arab natychmiast przeraźliwie gwiznął, włożywszy dwa palce w usta i machnął ręką. Wnet z za węgla jakiegoś domu ukazał się inny »oślarz« i podprowadził drugiego osła.

— Siadaj Głasza! Czekaj, ja ciebie podsadzę — rzekł, zbliżając się do żony. No oprzej się na mnie i wsiądź.

Mikołaj Iwanowicz nachylił się, Głafira Siemionowna chwyciła się jedną ręką siodła osła a drugą oparłszy na plecach Mikołaja Iwanowicza, włożyła nogę w strzemię, nagle jednak krzyknęła: Aj, aj, oślarz chwytą mię za nogę...

— Cóż ty sobie myślisz, ty bestyo, ty świńskie ucho — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i zamierzył się na niego parasolem... — Chwytasz moją żonę za nogę... *ty raxprokanalia, ty protobestia.*

Oślarz jednak przykuczony, coś mruknął, pokazując na dłoń, jakby tem chciał przekonać, że tylko podawał własną dłoń, jako bardzo uprzejmy, elegancki kawaler i szczerzył zęby. Nareszcie i on odezwał się po francusku:

— *Metex pje, madame, metex pje*¹⁾.

— On chce, żebym nogę postawiła mu na dłoni — krzyknęła Głafira Siemionowna. — Dlatego właśnie chwytął mię za nogę. W każdym razie jak on śmie tak zuchwale brać mię za nogę. Posadź mię Mikołaju Iwanowiczu sam na osła.

Ale zanim Mikołaj Iwanowicz odrzucił swój parasol i zdecydował się posadzić żonę, już oślarz pochwyił Głafirę Siemionownę w pól, podniósł do góry jak piórko i posadził na osła.

¹⁾ Postaw pani nogę, postaw pani nogę.

— Stój, stój lotrze! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz, co równie powtórzyła i Głafira Siemionowna, ale już siedziała na siodle osła.

Oślarz wydał jakiś tajemniczy wykrzyk i poprowadził osła za uzdeczkę.

— Zatrzymaj się! Zatrzymaj się. Pojedziemy razem — wołał Mikołaj Iwanowicz, i zaczął wdrapywać się na osła. Wdrapywał się i napowrót obsuwał, wreszcie przy pomocy Araba dostawszy się na siodło, krzyknął:

— Popędzaj osła, dogoń moją żonę!

VII.

Przejechawszy się na osłach, po załatwieniu rachunków z właścicielami osłów, małżonkowie najęli powóz. Wsiadłszy do powozu, zwrócili się do forysia, który właśnie podniósł do góry swój kapelus, pytając dokąd ma jechać.

— *Quelle rue? monsieur. Quel numéro?*

— Nie jedziemy do numeru, więc nie potrzeba numeru. Chcemy gdzieś zjeść obiad... *Dine...* — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— *Montre nu en pti bię dine; me tre bię...* — rzekła Głafira Siemionowna.

— *Oui, madame* — odpowiedział uprzejmie dorożkarz i zaciął konie.

Po chwili obejrzał się ponownie po za siebie i rzekł:

— *Il me semble, que vous êtes des étrangers! Et après diner? Après diner vous allez au théâtre? N'est ce pas? Alors, je vous conseille le théâtre Edem. C'est ravissant!*¹⁾.

— Uważasz, jaki to grzeczny foryś! Nawet teatr nam rekomenduje — rzekła Głafira Siemionowna. — *Kosze! Kel teatr wu zawe di?*

¹⁾ Zdaje się mi, że jesteście państwo cudzoziemcy! Po obiedzie pójdzicie państwo do teatru. Wszak tak? Radzę państwu teatr Edem! Cudowny!

— *Edem, madame. Ce n'est pas loin de l'Opéra!*¹⁾.

— Czy tam śpiewają opery? — spytał się żony Mikołaj Iwanowicz.

— Nie, nie. On mówi, że teatr ten znajduje się w bliskości teatru Opery. Pamiętasz, że już raz przejeżdżaliśmy obok olbrzymiej budowli teatralnej, więc to pewno tam, obok tego gmachu.

— Spytajże się go, co tam przedstawiają. Może być znowu tańce brzuchem, to niech ich tam licho bierze.

— *A keskilia dan cet teatr!* — zapytała forysia Głafira Siemionowna.

— *C'est le ballet, madame.*

— Przedstawiają tam balet.

— Słyszę, słyszę. Ja to przecież zrozumiałem. Ja już teraz oswoilem się z francuskim językiem — pochwalil się Mikołaj Iwanowicz. — Jednakże Głazza, spytaj go jeszcze jaki to balet. Tutaj w Paryżu balet jest modnym. Do trzech teatrów wstępowaliśmy na wystawie i w tych trzech teatrach był balet brzuchem.

— Rzeczywiście, te tańce brzuchem są bardzo wstrętne.

— Nie są tak wstrętne, jak monotonne, ciągle jedno i to samo aż do znudzenia.

— *Kosze! Kel balet dan set teatr?*

— *Excelsior. Ah, madame, c'est quelque chose d'énorme.*

— *La dans de wantr?*

— *O non, non, madame. C'est quelque chose de ravissant. Grand corps de ballet... Mais il vous faut procurer les billets... à présent!*²⁾.

Po upływie dziesięciu minut foryś przywiózł małżonków do teatru, znajdującego się w niewielkiej przecznicy za teatrem Wielkiej Opery. Nad teatrem widniał napis: *Eden*. Na

¹⁾ Eden, niedaleko teatru Opery.

²⁾ Nie, pani. Coś zachwycającego. Wielki *corps de ballet*. Ale trzeba teraz zakupić bilety.

drzwiach nalepione były wielkie afisze, z wyobrażeniem scen z baletu »Excelsior«. Były tam narysowane i pociąg kolei żelaznej z parowozem, i parochód, i skały, palmy, masa na pół tylko ubranych tanecznice a pośród tego wszystkiego stała na jednej nodze, najniezawodniej balerina, z której sypały się iskry.

— Afisz wielce pikantny, ułożony w sposobie afiszów jarmarcznych — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Nie nie szkodzi. Weźmiemy dwa bilety. Foryś zachwala balet. Tutaj forysie o wszystkim wiedzą — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Tylko Głasza, nie kupuj drogich biletów.

— Otóż masz... Przecież nie będziemy się dusili na galerii, gdzieś pod dachem. Chcę ubrać się gustowniej, chcę widzieć przyzwoite towarzystwo. Bo trzeba przecie raz przypatrzyć się wyższemu towarzystwu, a na wystawie niema nic, coby miało pozór jakiś bardziej cywilizowany.

Małżonkowie zbliżyli się do kasy.

Mikołaj Iwanowicz sięgnął ręką do kieszeni.

Z okna kasy wyjrzała w gorsecie jakaś dama, mająca przepięte włosy rodzajem kindżała, zamiast zwykłej szpilki.

— Zapytaj o cenę biletów do krzeseł — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Ja nie wiem, jak po francusku pytać o krzesła.

— Ja również zapomniałam, jak krzesło po francusku. Stolki ja wiem — *szez*. Ale wszystko jedno. *De szes, madam. De. Combię kut.*

— *Qu'est-ce que vous désirez, madame. De szes, madame* — zapytała powtórnie kasyerka.

— *Szez*, to jest nie *szez*, a takie z poręczami. *De szesz awek le mę. Komprenę wu?*

— *C'est-à-dire, vous voulez des stalles?*

— *Non. Ze se de stal. Stal* nie to. *Stal*, to miejsce za krzesłami. *A de szesz.*

— *Peut-être, deux fauteuils, madame.*

— Fotel. Fotel. *Wuj*. Wszystkie wyrazy salonowe, doskonale znam, a tego wyrazu zapomniałam na śmierć.

— *Les fauteuils d'orchestre, madame, ou les fauteuils de balcon?* ¹⁾.

— Nie, dlaczego na balkonie! na dole, *an ba*.

— *Ah, oui, madame* i kasyerka wydała dwie kontramarki.

Zaopatrzwszy się w bilety, małżonkowie pojechali na obiad. Foryś przywiózł ich do jagiegoś gmachu i rzekł po francusku:

— Tutaj doskonale obiady. Będą państwo zupełnie zadowoleni. To pasaż. Wejdźcie państwo a zobaczycie restaurację.

Małżonkowie weszli.

Restauracja była wytworna i literalnie zalana światłem gazowym, ale tak zalecony przez forysia obiad nie smakował małżonkom, chociaż składał się z ośmiu dań. Zupa była strasznie wodnista; zamiast ryby podali raki z sosem, których Głafira Siemionowna nawet nie dotknęła ustami, mięsa była taka porcyjka, że Mikołaj Iwanowicz pochłonał go za jednym razem. Później nastąpiły szparagi, jakiś, Bóg wie z czego sfabrykowany biały sos, pół skrzydła pulardy z sałatą, puding, melon i kawa. Przy obiedzie dodano jeszcze poncez *glacé*. Za wszystko wzięli po sześć franków od osoby, oprócz wina.

— Gdzież tu tak chwalebna paryska kuchnia? — zapytał Mikołaj Iwanowicz po zjedzeniu obiadu, dopijając resztę czerwonego wina. — Wzięli za obiad po sześć francuskich *extwertaków*, co, zamieniwszy na nasze pieniądze, wypadnie wedle kursu po dwa ruble i czterdzieści kopiejek, a ja nie jestem ani syty, ani głodny. U nas zaś w Petersburgu w restauracji Donona, za dwa ruble tak nakarmią, że się aż odbija. Tutaj zaś, powtarzam, nie jestem ani syty, ani głodny. Wiesz, że po obiedzie zwykłem nieco zdrzemnąć się, a po tym obiedzie nawet mi się spać nie chce. Z jaką przyjemnością zjadłbym teraz tak świeżego z mięsem wolowem lub cielęcem kapuśniaku, lub prosiaka z chrzanem, albo też kawał gęsiny pieczonej z jabłkami. Tutaj niema nic pożywnego. Mało jedzą Francuzi, mało.

¹⁾ Fotele przy orkiestrze, czy na balkonie.

Oto tam siedzi Francuz... Zupełnie syty, z jego twarzy wyczytuję, że jest nasycony. Siedzi wykala zęby. Chleba przy obiedzie jedzą oni sporo. Dają zupę bez pirożków, czy to słyszane rzeczy. U nas w rosyjskiej restauracji podadzą ci taką masę rosolu lub zupy z ryb, że nie wiesz skąd ją zacząć jeść. Tu podali półmisek szparagów i dziesiątek zielonego groszku. Coż to dla mnie taki talerzyk szparagów. U nas pięć takich talerzyków idzie na ugarniowanie sztuki mięsa a tu uważa się za oddzielne danie. Do mięsa jako garnitur podali trzy kawaleczki przysmarzonych ziemniaków i po wszystkim. U nas podają do mięsa i ziemniaki, i grzyby, i czerwoną kapustę, i bób, i szpinak, i fasolę. Czyby nie zamówić natychmiast całej pulardy? Mnie się okropnie chce jeść.

— Daj pokój. Zjemy znouwu po wyjściu z teatru — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Z powodu twej otyłości, przegłodzenie się jest bardzo pożyteczne. Rozrachuj się i zapłać, pojedziemy zaraz do domu. Muszę się przebrać. Zapewne u nich w teatrze musi być bogatsza i strojniejsza publiczność.

— Sprobujemy jeszcze jutro wejść do jakiej restauracji. Czyby nie było u nich restauracji, w której chociaż drogo biera, ale przynajmniej nakarmią jak należy człowieka. Weź za obiad ośm, dziesięć franków, ale daj tyle, abym się nasycił. *Garson. Kombię?*

Zapłaciwszy podług rachunku, powstał z krzesła i spoglądając na garsona i poruszając głową, rzekł:

— Nie *bien* wasze *dine. Pe, tre pe. Rius* lubi *manže boku. Komprene?* Głasza przetłumacz mu na język francuski.

— Daj mi pokój. Chodźmy! — odpowiedziała Głafira Siemionowna, kierując się ku drzwiom.

VIII.

Według afisza przedstawienie w teatrze Eden rozpoczęło się o godzinie ósmej. Malżonkowie przyjechali o godzinie

trzy kwadrans na ósmą, ale podjazd teatralny nie był jeszcze wcale oświetlony, chociaż mnóstwo już czekało publiczności, spacerował milicyant miejski paląc cieniutkiego papierosa. Mikołaj Iwanowicz spróbował drzwi, ale były zamknięte.

— *Kieskes!* Czy czasem nie odwołali przedstawienia — rzekł, zwracając się do żony.

— Alboż ja wiem — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Więc zapytaj się milicyanta.

— Jakże ja się go zapytam, kiedy słów teatralnych po francusku nie znam, nie umiem. Wreszcie okolo teatru gromadzi się publiczność, więc dowód, że przedstawienie nie zostało odwołane — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Może ona tylko gromadzi się jedynie z ciekawości? — zapytał Mikołaj Iwanowicz — bo my przybyliśmy i patrzmy jedni na drugich.

Drzwi wchodowych było troje. Mikołaj Iwanowicz zbliżył się do drugich drzwi, spróbował je otworzyć i zaczął uderzać w nie pięścią. Wewnątrz odezwał się ktoś:

— *Qu'est-ce que vous faites là? Ne faites pas de bêtises!* ¹⁾

— *Fermé, monsieur, fermé* ²⁾.

— Wiem, że *ferme*, ale dlaczego *ferme*.

— *On ouvre toujours à huit heures et quart. Il faut attendre* ³⁾ — odpowiedział milicyant.

— O ósmej napisano, a otwierają kwadrans na dziewiątą — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Jaktó, o kwadrans na dziewiątą. Na afiszu wydrukowano, że przedstawienie rozpocznie się o godzinie ósmej. Czy to w tem co mądrego, że się opóźniają o kwadrans.

— Tak powiedział milicyant. Odpowiadam jego słowami. Ale dziwna rzecz, że przy podjeździe niema żandarmów i stoi tylko jeden policyant.

¹⁾ Co to znaczy, nie rób pan głupstw. ²⁾ Zamknięte.

³⁾ Otwierają o godzinie ósmej i kwadrans. Trzeba czekać.

Musiano tedy wyczekiwać na ulicy, co było bardzo ni przyjemne, tem bardziej, że zaczął padać deszcz, a Głafira Siemionowna miała elegancką, jedwabną suknię, jasne rękawiczki, kapelusze równie wykwiłtny, ażurowy z kwiatami. Mikołaj Iwanowicz roztworzył parasol i zaczął narzekać.

— Otóż to porządek. Przyjechaliśmy o kwadrans wcześniej, a do teatru wcale nie wpuszczają. Czy tu czasem niema jakiego innego podjazdu? Może ten służy jedynie dla widzów z galerji, dla gości z tańszych miejsc. Glasza, czy nie spytałabyś się o to policyanta?

— *Petr il i a en otr port?* — rzekła Głafira Siemionowna, zwracając się do policyanta — ale odpowiedział, że niema, co też zakomunikowała swemu mężowi.

— Dziwne; nikt nawet nie nadjeżdża ani w powozie, ani w dorożce — mruzczał w dalszym ciągu Mikołaj Iwanowicz.

Publiczność idąca pieszo pod parasolami ciągle przybywała. Mężczyźni mieli spodnie u dołu zawinięte. Ci zaś, którzy tu przyszli wcześniej, zanim deszcz zaczął padać, także zawijali sobie spodnie od dołu. Wszysey skupiali się pod niewielkim daszkiem, wystającym nad podjazdem, z czego powstała straszliwa ciżba.

— Uważaj dobrze na brylantową broszkę, Glasza, żeby ci jej czasem nie skradli — zrobił uwagę Mikołaj Iwanowicz.

Stojący obok niego już niemłody człowiek w czarnej welnianej czapce i z małemi bokobrodami, wedle mody petersburskich urzędników, uśmiechnął się i przemówił po rosyjsku:

— Niech pan także poradzi małżonce, aby dobrze pilnowała kieszeni. Tutaj w Paryżu mnóstwo kieszonkowych złodziei.

— Pan Rosyanin? — wykrzyknął z radością Mikołaj Iwanowicz. — Bardzo mi przyjemnie. Glasza, Rosyanin, wyobraź pan sobie, że moje serce przeczuwało, że pan jest moim rodakiem.

— Być może z tego powodu, że palę rosyjskiego papierosa z fabryki Bogdanowa z wyobrażeniem orła na mundsztuku — zapytał bokobrodzista, pokazując papieros.

— O nie, nie. Ja nietylko orła, ale nawet papierosa wcale nie widziałem. Tylko twarz pańska wydała mi się rosyjską. To już cecha wybitna wszystkich nas Rosyan. Pozwól pan, że mu się przedstawię. Mikołaj Iwanowicz Iwanow, kupiec z Petersburga, a to moja żona. Boże, jakaż to przyjemność spotkać się z Rosyaninem za granicą.

I Mikołaj Iwanowicz pochwycił w objęcia bokobrodzistę i potrząsł nim. Ten z kolei także się przedstawił.

— Radca kolegialny, Siergiej Stepanowicz Peredriagin — wyrzekł z ukłonem.

— To, to. Twą twarz pana zaraz mi to powiedziała, że mam do czynienia z wysokim urzędnikiem, co najmniej z radcą kolegialnym. Masz pan wyraz twarzy tak poważny, tak solidny. Tutejsi Francuzi — nie. Pospolite figury, bez żadnej solidności w twarzy, postawie i czynach! A porządek u nich, niech ich pan Bóg ma w swojej opiece. Chociażby to tylko jedno na przykład. Ogłoszono afiszami, że przedstawienie w teatrze rozpocznie się o godzinie ósmej, a chociaż już po ósmej jeszcze nie otworzono drzwi, nawet podjazd nie został oświetlony.

— To już zwykły ich obyczaj, otwierają zawsze dopiero kiedy się przedstawienie rozpoczyna. Z powodu oszczędzenia gazu — odpowiedział bokobrodzista.

— Wszak już przedstawienie rozpocząć się musi, bo brak zaledwie pół minuty do ósmej.

— Oglaszają, że rozpoczyna się przedstawienie o godzinie ósmej, a właściwie zaczynają grać dopiero o pół do dziewiątej.

— Jakto? Jeszcze mamy czekać pół godziny? Tym sposobem żona mi zupełnie przemoknie. Wybrała się w czem miała najlepszego.

— To niepotrzebnie. Tutaj w teatrze nikt się nie przedstawia ubrany wykwiłtnie. Im prościej tem lepiej.

— Gdzież zatem można napotkać stroje?

— Nie wiem jak to panu określić. Oto, na wyścigach.. no i w teatrze, ale tylko w teatrze Wielkiej Opery.

W tej chwili blyśnął jasny płomyk i wszystkie latarnie w podjeździe zajaśniały elektrycznym światłem.

— Chwała Bogu — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Niema wątpliwości, że wkrótce wpuszczą nas do teatru.

— Tak jest, po upływie co najmniej dziesięciu minut. Tutaj należy przyjeżdżać dopiero kiedy się przedstawienie rozpoczyna a nawet w kilka minut później, i to będzie najwłaściwszy czas. Ja to już sam doświadczyłem. Dziś jadłem obiad w restauracyi na placu wystawy, więc postanowiłem pójść pieszo do teatru, ale źle rozliczyłem czas i zmuszony jestem również czekać — odpowiedział bokobrodzista.

Nareszcie drzwi otworzono i cała publiczność zaczęła cisnąć się do podjazdu.

— Pan gdzie siedzi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— W krześle balkonowem.

— Ach jaka szkoda, że nie możemy być razem. My zaś zakupiliśmy bilety do foteli na dole. Rodaku! Rodaku! Żeby przynajmniej można było zjeść wspólnie kolację. Czy nie spotkamy się w foje, dla porozumienia się pod tym względem?

— Bardzo dobrze.

Bokobrodzista uklonił się i skierował ku schodom.

IX.

Dwie damy średniego wieku, silnie wyblanszowane pudrem i wyróżzowane, w opiętych gorsetach i w czarnych, jedwabnych sukniach, z obramowaniem z różnobarwnych wstążek na piersiach, w białych czepkach, rzuciły się ku małżonkom, kiedy weszli w kurytarz i zaczęły im dopomagać do rozebrania się. Jedna dama zaszedłszy z tyłu, chwyciła Mikołaja Iwanowicza za kołnier i za rękaw paltota, druga zaś zajęła się Głafirą Siemionową. Stało się to tak pospiesznie, że Mikołaj Iwanowicz wykrzyknął:

— Przepraszam, przepraszam madamy. *Keskese?* Czego panie żądacie odemnie?

— Pańskie wierzchnie ubranie, pański parasol — objaśniły damy po francusku.

Głafira Siemionowna przetłumaczyła to mężowi.

— Dlaczego mamy oddawać damom nasze wierzchnie ubranie. Lepiej oddać je posługaczowi teatralnemu. Gdzie jest posługacz teatralny? — zawołał, wodząc oczami na wszystkie strony, czy nie spostrzeże posługacza.

Damy w długiej, obszernej a niezrozumiałej dla Mikołaja Iwanowicza przemowie, zapewniały najuroczyściej, że wierzchnie ubranie będzie należycie pomieszczone i zachowane.

— Czort wie, co one tam mamroczą. Głaska zapytaj się, co one za jedne? — mówił Mikołaj Iwanowicz.

— Mnie się zdaje, że one zastępują posługacza teatralnego — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— To być nie może. Gdzież kto widział, żeby baby zastępowały, czy też pełniły obowiązki posługaczy teatralnych. Spytaj się. *Keskese?*

— *Wu set le kapeldiner? Wu wule kasze notr abi?* — wypytywała się Głafira Siemionowna.

— *Oui, madame, oui. Laissez seulement... Tout sera bien gardé. Votr parapluie, monsieur?*¹⁾

— Posługaczki teatralne! Posługaczki teatralne! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Dziwny obyczaj! A ja myślałem, że one takimi samemi są gośćmi tutaj jak my. Nawet nadzwyczajnie zdziwiłem się, że mię jakaś obca dama schwyliła za kołnier od paltotu i za rękaw. *Prene, madam, prene.* Oto i *le kalosz*. A niechże was nie znam, z takimi pomysłami. Posługaczki teatralne, kobiety, zamiast posługaczy teatralnych. *Kombię* za przechowanie ubrania? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, kładąc rękę do kieszeni, żeby wydobyć pieniądze.

¹⁾ Tak pani, proszę zostawić. Wszystko będzie schowane. Pannie, proszę o parasol!

— *Ce que vous voulez, monsieur* — wstydliwie odpowiedziały damy, robiąc grzeczne dygi.

Mikołaj Iwanowicz wydobyl pół franka i zapytał:

— *Asse?*

— *Oh, oui, monsieur, merci, monsieur.*

Znowu zaczęły obie dygać a nawet jedna ze szczególnym uśmiechem i zalotnością spojrziała na Mikołaja Iwanowicza.

— Fe, do diabła, czort z tobą — mruknął Mikołaj Iwanowicz. — Widziałeś, jakim zalotnem spojrzeniem obdarzyła mnie ta namalowana maska.

— Ty niby się o to rozgniewałeś? — rzekła z ironią Głafira Siemionowna.

— A ty nie możesz się powstrzymać, żeby nie dogryźć mi choćby marnem słowem. Nie, to nie są posługaczki teatralne. Trzeba uważać, żeby nam paltoty nie przepadły — wygłosił sentencyonalnie Mikołaj Iwanowicz, dotknięty wyrazami widocznie zazdrosnej żony.

— Przecież oddajemy pod numer — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Głafira Siemionowna rozebrawszy się, zaczęła poprawiać na sobie suknię jedwabną. Jedna z dam zbliżyła się do niej i zaczęła jej pomagać. Zobaczywszy, że się coś odpięło, natychmiast wyjęła z kaftanika szpilkę i przypięła.

— Posługaczki teatralne, posługaczki teatralne, to zaraz można poznać — stanowczo zdecydowała Głafira Siemionowna, skoro dama, spojrzawszy na numeru biletów, poprowadziła małżonków na właściwe miejsce.

— *Voilà, monsieur et madame* — wskazała posługaczka teatralna dwa krzesła, dodając: *Bien amuser...*

Małżonkowie zaczęli rozpatrywać się po teatrze.

Sala teatru Eden była wspaniała, w stylu maurytańskim, sprawiała imponujące wrażenie. Umiejętne zestawianie i zmieszanie barw i złoceń przyjemnie wpadało do oka; na ścianach i kolumnadach widniały olbrzymie figury karyatyd, tak artystycznie upiękuszonych, że zdawały się być żywe.

— Teatr, to teatr nie lada! — mimowoli wypowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Lecz w tej chwili do małżonków podsunęła się trzecia posługaczka teatralna, ze świeżą różą, wpiętą na piersiach, nachyliła się i zaczęła coś tam szperać około ich nóg.

— *Keskese?* Czego pani tam szuka? — wykrzyknął dość głośno Mikołaj Iwanowicz.

Ale dama już trzymała małą poduszkę i podsuwała ją pod nogi Głafiry Siemionowny.

— *Ça sera plus commode pour madame* — odpowiedziała i nachyliwszy się do ucha Mikołaja Iwanowicza, szepnęła:

— *Donnez moi quelque chose, monsieur... Ayez la bonté de me donner un peu¹⁾.*

— Poduszkę, poduszkę daje mi pod nogi i za to prosi kilka santimów — przetłumaczyła Głafira Siemionowna. Daj jej.

— Do licha! Oto w jaki sposób starają się wydurzyć pieniądze — mówił Mikołaj Iwanowicz, kiwając głową i dał posługaczce teatralnej pół franka. — Ona ci poduszkę podsuwała pod nogi, a ja myślałem, że mię z żartów chwytą za nogi. Piękny teatr ani słowa — mówił Mikołaj Iwanowicz, rozkoszując się widokiem sali, lecz przed małżonkami stała już czwarta posługaczka teatralna, to zamykając, to otwierając oczy i ze śmiechem cichym pechała mu do ręki jakiś świstek papieru, mówiąc:

— *Le programme de ballet, monsieur...*

— Program. *Wuj*. A jak on *a la russ*, czy *a la franse*, nadrukowany.

— Koniecznie po francusku — odpowiedziała Głafira Siemionowna, uprzedzając wyjaśnienie posługaczki.

— Jeżeli po francusku, to dla mnie wcale przydatnym być nie może. Ja zupełnie ani jednego wyrazu nie rozumiem. *Alle madam, alle...* Nie potrzeba. To nie dla nas pisane — zaczął machać ręką Mikołaj Iwanowicz, ale posługaczka tea-

¹⁾ Daj mi pan z łaski swojej cokolwiek.

tralna nie ustępowała. Zaczęła przewracać oczami tak, że widać było tylko białka i z uśmiechem szepnęła:

— *Un peu, monsieur... Soyez aimable pour une pauvre femme... Vingt centimes, dix centimes* ¹⁾.

— A to nieznośna, natrętna! Pochodzi chyba z rodziny cyganów francuskich. Nie mam drobnych, *madam*. Oto jedyny miedziak, który pozostał — mówiąc to, wyjął sztukę dziesięcio-santimową.

— *Merci, monsieur, merci...* — przemówiła dama i po prostu wyrwała mu z rąk monetę.

— No, tutejsze baby sprytne! Nie gardzą nawet i miedziakami, a patrz, jak ona elegancko ubrana — mówił do żony Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna siedziała z binoklem w ręku i równie rozpatrywała się nietylko po sali, ale i po rzędach łóż. Mikołaj Iwanowicz ze swej strony przeglądał wyższe górne miejsca w teatrze. To nie uszło uwagi posługaczek teatralnych i wnet przed nim pojawiła się już piąta dama, posługaczka w wykwintnym bardzo stroju podając mu maleńkie binokle z dodatkiem:

— *Servez-vous, monsieur, et donnez moi quelque chose* ²⁾.

— Niechże was djabli! — rzekł groźnie Mikołaj Iwanowicz. — Nie potrzebuję tego wcale, nie, nie potrzebuję.

Wyblanszowana i uróżwana posługaczka teatralna nie ustępowała.

— Cyganki, prawdziwe cyganki... — mruknął i wydostając podszewkę kieszeni, pokazał proszącej, że jest pusta. — No patrz, widzisz że *rien*.

— Daj jej choćby miedziaka, bo ona od ciebie nie odstąpi — rzekła Głafira Siemionowna i wydobywszy z kieszeni dziesięć santimów, ofiarowała je damie.

¹⁾ Cośkolwiek panie. Bądź tak grzeczny ofiarować choć dziesięć santimów wiece ubogiej kobiecie.

²⁾ Proszę, racz pan przyjąć i ofiaruj cośkolwiek.

— *Merci, madame, merci* — poruszyła posługaczka głową jakby na znak podziękowania, wzięła monetę miedzianą, odeszła i zaczęła na nowo operować jakiegoś mężczyznę obok siedzącego.

Teatr wypełniła publiczność.

Na pierwszym piętrze widać było mężczyzn, siedzących bokiem na balustradzie, co niezmiernie zdziwiło małżonków. Orkiestra stroiła instrumenta i nareszcie zaczęła grać. Za chwilę, podniosła się kurtyna.

X.

Przedstawienie fantastycznego baletu »Eksceksior« rozpoczęło się.

Dekoracje były wspaniałe, to samo i kostiumy, ale tańczyła tylko baleryna, odgrywająca pierwszorzędną rolę, reszta zaś baletnic, chociaż były ubrane w krótkie spodniczki tancererek, tworzyły tylko pozę z girlandami kwiatów w rękach, z tiulowemi szarfami, ze strzałami, z flagami, ale nie tańczyły. Odrzucały to prawe nogi, to lewe, to nachylały się ku przodowi całym korpusem ciała, to się cofały i na tem polegały ich role. Nie uszło to uwagi obu małżonków.

— Zadziwiający obrazek, tylko jedna baleryna tańczy w rozmaitych pozach a inne tylko podskakują na miejscu i zadzierają w górę nogi — rzekł Mikołaj Iwanowicz, gdy może po raz dziesiąty baleryna wykonywała solo, kręcąc się na końcach palców jak fryga. U nas, jeżeli przedstawiają balet, to wszystkie taneczniczki skaczą, wszystkie starają się coś robić ze swojemi figurami, a tu *kordebale*, podobny do ustawionych dla ozdoby figurek czy sprzętów.

— Jednakże to bardzo ładne, bardzo interesujące. Patrz tylko jakie to zręczne ugrupowanie — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Hej! Hej! U nas w Petersburgu balet daleko lepszy. Teatr wprawdzie pod względem upiększenia i wzorowego stylu,

nie dorównywa tutejszemu, jednakże balet stokroć przewyższa paryski.

— No sama powiedz, czy u nas nie piękniej rzecz się cała przedstawia, przynieśli naprzykład teraz drabiny i weszły na jej szczyt. Wysoko stoją i poruszają rękami. Ależ to cała gromada ludzi.

— Masz słuszość. Właściwych tańców tu prawie niema. Jedna tylko tancerka wydobywa ze siebie ostatek sił, cała złana potem a jej nikt nie dopomaga. Balet powinien składać się z tańców. Wszyscy tańczą, wszyscy podrygują, wszyscy się kręcą jak wrzeczona, to ja rozumiem taki balet.

— Widocznie, tutaj już taki zwyczaj...

Nastąpiło kilka zmian, kilka poz odmiennych i kurtynę zapuszczono. Nastąpił między-akt. Malżonkowie zaczęli przypatrywać się publiczności.

— Rzecz godna zastanowienia, że i tu w teatrze niema weale strojnych toalet. Pokazuje się, że jestem ubrana lepiej niż wszyscy — wyrzekła Głafira Siemionowna. — Nawet zwykłych, codziennych ale modnych toalet brak zupełny, wszystko proste, bez upiększeń. Gdzież te tak przechwalone francuskie stroje. Na wystawie ich niema i w teatrze również. I do tego w teatrze, w którym grają balet. U nas na przedstawieniach baletu występuje publiczność w świetnych garniturach, w najmodniejszych, najwykwintniejszych toaletach. Patrz, tam na lewo w krzesłach siedzi jakaś figura wstrętna. Zdaje się, że to dziewczka od koryta. Palto ma, które, o ile mi się zdaje, musiało być najmniej pięć razy przerabiane, na głowie jakiś zupełnie zmięty kapelusz. Ja odjeżdżając za granicę podarowałam mojej pokojówce, Marfucie, sto razy świeższy i porządniejszy kapelusz. Ot mamy Paryż!

— Widocznie, że tu nie należy ani do mody ani do dobrego tonu strojenie się do teatru — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Więc kiedy i dla kogo się stroją? Na wystawie nie wypada być elegancko ubraną, w teatrze także nie modny

i nie w tonie wszelki wykwiut w toalecie, więc kiedyż wypada? A mimo to Paryż uważają powszechnie jako miasto stołeczne i główne, jako siedlisko najpierwsze i jedyne przepychu, wykwiutu i mody.

Mikołaj Iwanowicz uśmiechnął się.

— Czy ty znasz przypowiestkę, że szewc zawsze chodzi w podartych butach a krawiec w poplamionych ineksprimablach. Paryż przygotowuje i wykonywa stroje dla obcych, dla cudzoziemców, ale sam nie wydaje zbyt wiele pieniędzy na modne gałganki, rządzi się bardzo poniekąd rozumną oszczędnością. Ale co ja przytem szczególnego spotrzegłem, rzy siedzimy w krzesłach a gdzie pomieszczają się wojskowi? Widzisz sama zapewne, że tu niema ani jednego oficera.

— Co znowu?

— Więc spojrzysz i szukaj. Nawet w pierwszym rzędzie krzesel siedzą jedynie cywilni. Niema tam ani jednego oficera a nawet generała. Tylko widać cywilnych łysiny i brody.

Głafira Siemionowna zaczęła się rozglądać na wszystkie strony i odpowiedziała:

— Rzeczywiście niema ani jednego wojskowego.

— U nas zaś przeciwnie, zwykle na balecie cały pierwszy rząd krzesel błyszczący od szlif, haftów i gwiazd, zbiera się tam cała generalicya, oficerowie sztabowi i wyżsi dygnitarze wojskowi. Ale, ale, mieliśmy przecie zajść do foje. Należy przywitać się z ziomkiem, z którym niedawno spotkaliśmy się w podjeździe teatralnym.

— Prawda. I widocznie jest to człowiek doskonale obznajomiony z Paryżem — rzekła Głafira Siemionowna. — Z takim bywalcem w świecie przyjemnie...

W następnym antrakcie malżonkowie przechadzali się w foje, odszukując swego ziomka, z którym zapoznali się w podjeździe teatralnym.

XI.

Rodaka wkrótce znaleziono. On równie szukał małżonków.

— Jakże się państwu podobał balet? — zapytał Mikolaja Iwanowicza.

— Niezły. Dekoracye znakomite, kostyumy równie. Co się zaś tyczy tańców, u nas są one daleko lepsze i szykowniejsze. Wszak tu w balecie jedna tylko baleryna i ta niestannie tańczy, reszta czyli tak zwany *kordebalet* przechyla się z boku na bok, albo wygina się przodem lub tyłem, macha rękami i uśmiecha się.

— Tutaj zawsze tylko jedna tancerka stanowi główną rolę baletu, reszta tylko figuruje, jako konieczny dodatek dla urozmaicenia.

— Niema i *kordebaletu*. Na jakiego tu czorta *kordebalet*. Przypomnij pan sobie jak to u nas tańczą. Wskoczy dwie baletnice, odtańczy swoje jak wieher, a zanim się upamiętasz jest już ich cztery i odtańczą swoje jeszcze lepiej niż poprzednie. Tylko te skończyły, wpada na scenę aż sześć strojnych dziewic, które przesadzają się w tańcu, chcąc zakasować swoje poprzedniczki. Za szóstką tą pędzi ósemka, za ósemką, dziesiątka i dopiero wówczas zjawia się baleryna pierwszej klasy i zaczyna wyprawiać skoki, jak fryga. Oto mi balet w całym znaczeniu tego wyrazu. Czy mogę panu zaproponować małą wypitkę, dla zapiecztowania naszego, tak przyjemnego poznania się — rzekł Mikolaj Iwanowicz. — Gdzie jest tutaj bufet?

— Tutaj niema bufetu.

— Jakto niema? W teatrze niema bufetu? A to dziw nad dziwami.

— W bardzo wielu teatrach w Paryżu jest bufet, ale nie w samym teatrze, tylko na dole, we właściwym lokalu i wchodzi się od ulicy.

— Oto porządki paryskie! Teatry bez bufetów, zamiast męczyzn, kobiety są posługaczkami teatralnemi, baby wyblanszowane i uróżowane.

— Ale czy pan wiesz kto są te kobiety, zastępujące posługaczy teatralnych? — zapytał rodak i zaraz odpowiedział: — Większa część z pomiędzy nich, jak wieść niesie, są dawniejsze aktorki, figurantki i usunięte z *kordebaletu* tancerki. Zestarzała się, utraciła siłę i giętkość w nogach, utyla zbyt wiele, miły przyjaciel ją opuścił, zjawily się rozmaite niespodziewane wypadki w życiu, nie było więc innej rady jak przenieść się z za kulis do łóż i krzeseł, w charakterze posługaczek teatralnych. Niektóre z nich, prawdopodobnie na scenie teatru Eden tańczyły, potrzasały szarfami tiulowemi, a teraz kiedy zbyt otyłość nie pozwoliła im na te skoki, skoro z młodziutkiej dziewczyny stała się baba sześciodobowa, to już o skokach i tańcu myśleć niepodobna. Dlatego to antreprenery, przedsiębiorcy teatralni, jako nagrodę służby i zasług wobec teatru pozwolili im pełnić obowiązki posługaczek teatralnych i zbierać od gości przynależną im daninę.

— To one tak wywracają oczy z przywyknienia, nabytego w ich poprzedniej karierze. Tylko, że są zbyt patętne.

— One każdego widza okładają nieodstępny podatkami. Czy chcesz, czy nie chcesz, musisz coś ofiarować. Jednak na ich usprawiedliwienie można przytoczyć tę okoliczność, że nie pogardzają nawet datkiem dziesięciu santimów, a to jednak obliczając na nasze pieniądze, jest zaledwie trzy kopiejki.

— Jednakże — przerwał Mikolaj Iwanowicz — pojedziemy na kolację po ukończeniu przedstawienia?

— Niema gdzie. Wszystko będzie zamknięte. Tutaj w Paryżu, o godzinie jedenastej w nocy, wszystkie restauracye zamykają się.

— Czy tylko wszystkie?

— Są dwie czy trzy restauracye, które prowadzą swój interes nawet w nocy, ale w takich zakładach za wszystko płaci się podwójnie.

— Drobnostka. Pojedziemy tam. Sprawi nam to wielką przyjemność, gdy zjemy kolację ze spotkanym niespodzianie ziomkiem.

— Nie widząc od tak dawna swojego krajowca, byłoby wielkim nierozsądkiem zważać na cenę, nam głównie idzie o przyjemność.

— Do takich restauracyj nie wypada chodzić z małżonką.

— Dlaczego?

— Dlatego, że tam po nocach tylko zwykle kokotki bywają. Tam równie jedzą tylko z kokotkami po ukończeniu przedstawienia w teatrze.

— Mikołaj Iwanowicz, pojedziemy tam — zawołała nagle Głafira Siemionowna. — Pokażesz mi, jakie to są te paryskie kokotki.

— Coż ty znowu? — rzekł Mikołaj Iwanowicz, mocno rozgniewany, albo to będzie przyzwocie?

— Tu w Paryżu nikt nas przecie nie zna. Stanowczo nikt nas nie zna.

— Ale i ciebie mogą uważać za kokotkę.

— Niech uważają. To i cóż z tego? Przecież będę tam z moim mężem, z tobą.

— Co ty pleciesz! Co ty pleciesz!

— Kobieta zamężna może wszędzie bywać z mężem — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Ale pamiętaj o tem, że ciebie może jaki pijanica schwycić, objąć w pól, nawet pocałować. Ja tego, ma się rozumieć, nie zniosę i cóż, jakież następstwo... bójka, awantura, skandal. Nie nie, na to się nie zgodzę.

— Nie wypada pani stanowczo, nawet z mężem, jechać do takiej restauracji. Trzeba przecie zawsze zachować swoją własną godność — wtrącił bokobrodzista.

— Jesteście oba panowie dziećmi. Czyż ja tu widziałam coś paryskiego... Wszak Paryż słynie na cały świat jedynie z kokotek... — rzekła Głafira Siemionowna nachmurzona.

— Dostyc, dostyc tego. Nie zgadzam się z samej przyzwoitości, chyba zapominasz, że kobieta uczciwa unikać musi nawet cienia podejrzenia — odpowiedział stanowczo Mikołaj Iwanowicz. — Ale jednakże — mówił dalej, zwracając się do

ziomka — są tu i ludzie żonaci, gdzież oni w takim razie jadają kolację?

— Po większej części tutaj wcale nie jadają kolacyi. Późny obiad, bo prawie o godzinie ósmej, usuwa wszelką potrzebę wieczery. Jeżeli zaś ludzie żonaci chcą jadać kolację w nocy, to zawczasu kupują jakie chłodne zakąski i jadają w domu.

— Jaka szkoda, że nie możemy z panem zjeść razem kolacyi — rzekł Mikołaj Iwanowicz, mocno zakłopotany.

— Więc jutro możemy zjeść obiad — odpowiedział ziomek. — Państwo będziecie jutro na wystawie? Więc tam naznaczymy sobie schadzki i spotkamy się.

— Już mię znudziła, a powiem prawdę, i zbrzydła ta wystawa. Ona chce sobie co kupić w magazynie Luwru — dodał Mikołaj Iwanowicz.

— Więc bardzo dobrze. I ja tam będę. Tam się spotkamy. O której godzinie.

— Około jedenastej.

— Niezawodnie masz pan zamiar kupić dla żony materję jedwabną. Otóż niech się państwo spytają, gdzie jest oddział materji jedwabnych na drugim piętrze i zaczekają tam na mnie.

— Dzwonią. Natychmiast zacznie się akt. Chodźmy na swoje miejsca — rzekł ziomek, kierując się z foje ku kurytarzowi, pożegnał się z małżonkami, mówiąc:

— Jutro w magazynie Luwr. Do widzenia.

Małżonkowie także poszli do sali teatralnej.

XII.

Jeszcze nie była godzina jedenasta, gdy się już spektakl ukończył. Małżonkowie poszli do domu. Chcieli jechać ale przy podjeździe, ku wielkiemu ich zdziwieniu, nie było ani jednego powozu do najęcia, trzeba było zatem iść pieszo. Wreszcie odległość teatru od hotelu nie była wielka. Na ten raz Głafira Siemionowna mogła bez obawy prowadzić męża do domu.

Wczorajsze odszukanie hotelu obznajomiło ją z ulicami, prowadzącymi do ich mieszkania. Plac teatru Wielkiej Opery był jej dobrze znany, ulica zaś Lafayetta sąsiadująca z placem, także nie wyszła jej z pamięci. Przytem sklep a raczej magazyn z naczyniami gospodarskimi znajdował się na rogu ulicy.

Magazyn nie był jeszcze zamknięty.

Małżonkowie przypomnieli sobie, że chcieli kupić denarek i blaszany czajnik do gotowania herbaty, weszli więc do magazynu, celem uskutecznienia tego sprawunku. Równie też wstąpili i do sklepu z prowiantami, zakupili kielbasę i ser. Tutaj równie był i chleb, więc należało go zabrać. Tym sposobem wracali do domu z gotowością przyrządzenia sobie kolacyi, ale nowa przeszkoda, nie mieli wcale spirytusu. Gdzież tu go kupić, wcale o tem nie wiedzieli, przytem nie wiedzieli również jak się nazywa po francusku.

— Niema rady, musimy znowu położyć się spać nie pijąc herbaty — rzekł Mikołaj Iwanowicz, ciężko wdychając. — Niech licha porwie to życie paryskie, choć wszystkie głoszą, że to szczyt cywilizacyi.

Brama hotelu, jak w dniu wczorajszym, już była zamknięta, zaczęli dzwonić. Otworzył im znowu sam właściciel, bez surduta, w kamizelce i w pantoflach. Na placu wchodowym stały dwa składane łóżka, na których widniały głowy w białych nocnych szlafmycach. W jednej z nich małżonkowie rozpoznali sługę, który im poprzedniego dnia posługiwał.

— Czy można *a prezan* dostać *wen ruż*? *On pe* — zapytał Mikołaj Iwanowicz właściciela.

— Ten zmarszczył się, ale jednak odpowiedział, że można. Widocznie w tej malej kamieniczce już wszystko od dawna spoczywało, ukończyło się codzienne zajęcie i życie, o godzinie jedenastej w nocy i lokatorowie i służba spoczywali.

Kiedy przechodzili około łóżka służącego, podniósł on głowę do góry i rzekł po francusku.

— Świece i zapalki leżą przy drzwiach.

— Co on tam mruczy? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Mówi coś o świecach i zapalkach — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Wszedłszy po schodach bardzo słabo oświetlonych, małżonkowie rzeczywiście znaleźli na podłodze przy drzwiach miedziany lichtarz z ogarkiem świecy i kilka zapalek. Zapaliwszy świecę weszli do pokoju. Wkrótce pojawiło się wino. Przyniósł go sam gospodarz, postawił na stole i rzekł w tonie kaznodziejskim:

— *Je dois vous dire, monsieur, qu'a onze heures nous finissons déjà notre travail. Il faut se reposer. Bon soir, monsieur et madame*¹⁾ — uklonił się i wyszedł.

— Co on powiedział? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do żony.

— Stanowczo nic a nic nie rozumiałam — odpowiedziała.

— Ach francuska z ciebie, francuska! Czego was uczono na pensyi.

— Uczyli, ale nie takich wyrazów. Wreszcie na pensyi, skoro tłumaczyliśmy coś z francuskiego, zawsze miałyśmy do tego słownik.

Nazajutrz rano, jak tylko małżonkowie przebudzili się, pomyśleli najpierw o herbacie.

— Głasza! Jakim sposobem ugotować herbatę? — rzekł Mikołaj Iwanowicz, wstając z łóżka i przeciągając się. — Ani jednego razu jeszcze za granicą nie piliśmy herbaty takiej, jak ją u siebie w domu przyrządzamy. Nie wiem jak ty, ale ja prawdziwie tęsknię za herbatą. Przywykłem wypijać po dzieśnięć szklanek herbaty i nagle taka zmiana, nie mogę wypić ani jednej szklanki. Zaraz przywołamy stróża z kurytarza i każemy mu kupić spirytusu, do lampy spirytusowej.

— Ja zaś popatrzę w słowniku, jak się spirytus nazywa po francusku — rzekła Głafira Siemionowna, zabierając się do przejrzenia słownika. Spirytus — *espri, espri de wen*.

¹⁾ Jestem zmuszony oświadczyć państwu, że o godzinie jedenastej kończymy nasze czynności. Trzeba odpocząć. Dobranoc.

Małżonkowie ubrali się i wezwawszy stróża, który zjawił się w swojej zwykłej rogatej czapce, z bibuly zrobionej i w wojskowych pantoflach.

— *Plait-il, monsieur?* — rzekł wyprostowany i uśmiechał się głupkowato.

— *Purce wu xaszte pur nu en butel espri de wen* — zapytała Głafira Siemionowna.

— *L'esprit de vin... C'est la boisson russe? Oui, madame*¹⁾.

Pobiegl na dół i w ciągu kwadransa, zadyszany, przyniósł butelkę spirytusu, z dwoma kieliszkami na tacy.

— Patrz, Mikołaj Iwanowicz, on myśli, że my będziemy pili ten spirytus — rzekła z uśmiechem Głafira Siemionowna — *Purkoa le wer? Il ne fo pa le wer;* — mówiła, zwracając się do służącego.

Ten uśmiechając się, jak zwykle, głupkowato, rzekł:

— *Mais comment est-ce que vous prendrez, madame, sans verre?*²⁾.

— Głupi jesteś, mimowoli wyrwało się z ust Głafiry Siemionownej. Alboż to do picia? Czy to *pur boar. Ce ne pa pur boar.*

— *Comment donc pas boire. Et j'ai lu, madame, que les russes prennent tout ça avec grand plaisir. C'est l'eau de vin russe*³⁾.

— Otóż to prawdziwy idyota! *Alle... Alle...* Stanowczo jest przekonany, że będziemy pili spirytus. *Se pur fe te... Komprens wu... Pur te.* Oto patrz.

I na dowód tego Głafira Siemionowna pokazała służącemu kupione dnia poprzedniego przyrządy do herbaty, mianowicie dwa blaszane herbatniki i denarek.

Służący uśmiechnął się, ale wcale nie odchodził.

¹⁾ Spirytus, to napój rosyjski.

²⁾ Jakże to państwo będą pili bez kieliszków.

³⁾ Jak to nie do picia. Ja czytałem, że Rosyjanie piją go z wielkim upodobaniem. To wódka rosyjska.

— *Il faut voir, comment vous ferez le thé, madame*¹⁾.
Alle... Alle...

Ale on stał i uśmiechał się.

— *Pardon, madame, il faut voir*²⁾.

Głafira Siemionowna nalala spirytusu do lampy stojącej na denarku, zapaliła spirytus, z karafki nalala wody do herbatnika i postawiła na palącym się spirytusie.

Służący pokiwał głową, mówiąc:

— *C'est curieux... Le thé à la russe. C'est curieux*³⁾.

— Czy to prawda, *madame*, że w Petersburgu chodzą po ulicach niedźwiedzie i nigdy nie bywa lato, tylko wiecznie śnieg leży? — zapytał po francusku, ale Głafira Siemionowna nie zrozumiała jego zapytania i rzekła:

— Zrozum tu, co on tam mówi. Mikołaj Iwanowicz, wyproś ty go natychmiast, jeżeli Boga kochasz. Ja mu mówię: *Alle... Alle...* a on ciągle stoi i coś mruczy.

— *Garson!* Precz! Wychodź mi stąd! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i energicznym ruchem ukazał mu drzwi.

Służący powoli, krok za krokiem zbliżał się do drzwi, oglądając się i kiwając głową, wreszcie oddalił się.

— Dziecy, zupełnie dziecy tutaj ludzie! — rzekła Głafira Siemionowna. — A jednak to Paryż! Paryż, ognisko cywilizacyi! O Paryżu mówią u nas, że to naród wysokiej kultury, przewyższający wszystkie narody swą inteligencyą.

Wkrótce woda w czajniku zaczęła parować i Głafira Siemionowna zasypawszy herbatę, w drugim herbatniku, zaczęła ją przyrządzać. W ciągu minuty małżonkowie delektowali się herbatą, ugotowaną na sposób rosyjski.

— Zjadłszy coś słonego poprzedniego dnia, z prawdziwą przyjemnością pije się nazajutrz dobrze naparzoną herbatę — mówił Mikołaj Iwanowicz. — Wypiwszy jedną szklanekę, nalal sobie drugą.

¹⁾ Trzeba zobaczyć jak to pani przygotowuje herbatę.

²⁾ Przepraszam panią, ale radbym widzieć.

³⁾ To ciekawe... herbata po rosyjsku... To ciekawe!

— Tysiąc razy to lepsze, niż kawa przyrządzona z żyta i podawana w wazkach od rosółu, ze stołowemi łyżkami.

Pili herbatę w szklankach, jakie podano im do wody, ale bez spodeczków i bez łyżeczek a właściwie z jedną tylko łyżeczką, przywiezioną przypadkiem z Petersburga, żeby nie obudzać na nowo ciekawości służącego, mianowicie co do sposobu przyrządzania herbaty i picia tejże, nie przywołali go wcale i nie żądali przyrządów do herbaty.

XIII.

Napiwszy się do woli herbaty z *buterbrodami*, małżonkowie zaczęli przygotowywać się do wyjścia, mianowicie do zwiedzania magazynu Luwr. Głafira Siemionowna ubrała się bardzo skromnie, w zwykłą suknię wełnianą, dawny waterpruw i lekki kapelusz.

— Niema potrzeby ubierać się strojnie, bo i dla kogo? Damy tutejsze to zwykła pospolitość, chodzą w zużytych sukniach — mówiła Głafira Siemionowna, zwracając się do męża.

Zeszedłszy na dół, w biurze gospodarza zasięgli wiadomości, jak daleko stąd do magazynu *Louvre*.

— *Pas loin, madame, pas loin!* — odpowiedziała gospodyni i zaczęła okazywać gościom, jak blisko znajduje się magazyn, a to zdjawszy ze ściany plan Paryża.

— Czyś co zrozumiała? zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Nic nie rozumiałam, oprócz tego, że magazyn nie jest zbyt daleko. Ale to mała rzecz, pójdziemy pieszo, to go odnajdziemy. Język i do Kijowa zaprowadzi. Tylko trzeba uważać dobrze ulice.

W ulicach panował ruch nadzwyczajny, gdy małżonkowie wyszli z hotelu i przebywszy ulicę Lafayette zwrócili się ku innym ulicom. Na zegarze, ustawionym na wysokim słupie przy zbiegu ulic, wskazówka była na pół do jedenastej. Z wielkim hukiem pędziły omnibusy, zapelnione publicznością, ciągnęły długim szeregiem powoziki jednokonne, oraz wozy z cię-

żarami, zaprzagięte parą koni lub więcej, rozlegały się trzaskania biczami, jak wystrzały karabinowe, przechodnie mijali się, potracając się wzajemnie i przepaszali się, przy otwartych magazynach i sklepach stojący handlarze głośno zapraszali do wejścia, jak nie mniej przy mniejszych, skromniejszych sklepikach wywoływano głośno ceny towarów i potrząsając nimi, zachwalano dobroć i trwałość.

— *Tout en soie... Quatre-vingt centimes le mètre...* — krzykliwym, piszczącym głosem wołała jakaś dziewczyna w sukni czarnej i białym fartuszk, wymachując na wszystkie strony kawalkiem jedwabnej materji.

— *Aucune concurrence!* — krzyczał basem jakiś wąsaty subiekt we drzwiach sklepu, pokazując mijającej go publiczności pluszowy kapelusz i zarazem w tej samej chwili przekonywał, że kapelusz jest zabezpieczony od przemoknięcia, bo go polewał wodą z karafki.

Około niektórych wystaw sklepowych grupowały się tłumy publiczności z ciekawością odczytując ceny towarów, zamieszczone w oknie na sztukach rozmaitych materji. Targowano się na ulicy, zagradzając przejście na chodnikach, tak, że ci, którzy nie mieli zamiaru kupienia czegokolwiek, zmuszeni byli schodzić z trotuaru, narażając się na przejechanie. Na ulicy zaś pośród pędzących w rozmaite strony powozów i dorożek, cisnęli się przekupnie ze skrzyniami i koszykami, sprzedając rozmaite produkta, włoszczyznę, zapasy żywności, chleb i różne ciasta.

Przekupnie równie wykrzykiwali przeraźliwym głosem:

— *V'la d's artichauts! Ma botte d'asperges! Des choux des haricots! Des poireaux des carottes!*

Z wrzaskami temi łączyły się i krzyki chłopców w bluzach, ofiarujących publiczności kartki i drukowane wielkie afisze z reklamami i ogłoszeniami, o różnych magazynach, nawoływania sprzedających gazety i dzienniki, potrząsających wielkimi arkuszami pism i rozpowiadających treść artykułów i sensacyjnych wiadomości.

Jakiś chłopiec z gazetą, machając rękami, silnie trącił Głafirę Siemionownę, tak, że musiała zeskoczyć z trotoaru i zawołała:

— A to lotr! Dlaczego policya pozwala na coś podobnego i nie rozpędza tych krzykaczy.

— Rzeczywiście panuje tu wielki nieporządek — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, zamierzając się parasolem na uciekającego ze śmiechem chłopca. — A co najbardziej doprowadza do wściekłości, że nie można zwymyślać natrętnika, nie znając ani jednego, odpowiedniego wyrazu w języku francuskim. Głasza! — zawołał, zwracając się do żony — powinnaś mi podyktować trzy lub cztery wyrazy, jakich francuskich wymyślał, żebym mógł zmyć głowę takiemu nieponiowi.

— Jakże ja mogę ci podyktować, kiedy sama żadnego nie wiem... Nas nie uczyli na pensyi podobnych wyrazów. Nasza pensya była w wyższym stylu, bo się tam uczyły nawet dwie córki generała. Wszystko odbywało się w sposób delikatny, przyzwoity, jakże zatem mogli uczyć ulicznych, rynsztokowych frazesów.

— Rzeczywiście masz zupełną słuszość. Jednakże powinnaś mimo to wiedzieć, jak się »nicpoń« nazywa po francusku.

— Nie wiem.

— A »nikczemnik«?

— Także nie wiem. Powtarzam ci, że pensya była prowadzona na wyższą skalę.

— Wymyślanie po rosyjsku nie odniesie najmniejszego skutku, bo taki lotr tego nie rozumie — narzekał mocno rozniewany Mikołaj Iwanowicz. — Może wiesz przecie jak po francusku: »głupiec, dragal«? Po naszymu, jak to wiesz dobrze mówi się *dubina*.

— Nie wiem. Drzewo *arbr*, a jak *dubina*, nie wiem. więc w każdym razie wymyślaj od wyrazów: *kosza* i *lan*, co znaczy osioł i świnia, prosiak.

— Cóż dla tego oberwusa, co cię trącił znaczą podobne wyrazy jak osioł i świnia. Trzeba mu powiedzieć coś wyro-

zumialszego, aby go rozdrażniło, zacięło jak biczem po twarzy, żeby on to poczul.

— To zawsze coś, co go zastanowi. W domu przejrze starannie słownik i może wynajdę jaki wyraz podobny, chociaż uważam, że wyrazy osioł i świnia, aż nadto dobrze określają wzgardę.

Sposobność do zwymyślenia wktótce nadarzyła się.

Z za węgla domu wyskoczył jakiś robotnik w bluzie z koszykiem, zapelnionym rybami. Krzyząc: *il arrive, il arrive l'marquereau!* — wpadł na Mikołaja Iwanowicza i chociaż natychmiast przeprosił, mówiąc: *pardon monsieur!* rozniewany kupiec obraził go wyrazami: *koszon, lan*, co usłyszawszy robotnik, z oddalenia, zawołał:

— *Merci, monsieur, pour l'amabilité.*

— Nic mu to nie pomogło — rzekł Mikołaj Iwanowicz, odwracając się z groźną miną i zapytał żonę, co znaczyło odezwanie się robotnika.

— Podziękował ci za uprzejmość — odpowiedziała Głafira Siemionowna, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— Za jaką uprzejmość?

— Za to, żeś go nazwał *koszon*. Uczy cię grzeczności. On choć cię uderzył, jednakże cię przeprosił, ty zaś jak grubijanin zwymyślałeś go.

— A to lotr! — zawołał Mikołaj Iwanowicz wielce niezadowolony z siebie.

Mimo to Mikołaj Iwanowicz odwrócił się i pogroził pięścią owemu robotnikowi, który też uśmiechnawszy się wzajemnie pogroził mu kulakiem.

— No moi państwo — rzekł — wyobraźcie sobie ten lotr jeszcze ośmiela się grozić mi! — Chciał pobiedz za robotnikiem, ale Głafira Siemionowna powstrzymała go.

— Dajże pokój! Uspokój się. Co to zaczynać z jakimś tam gburem, człowiekiem nie znającym grzeczności. Z tego wszystkiego wynikłaby bójka, a to dla takiego jak ty kupca nie przystoi.

Małżonkowie znaleźli się nareszcie na placu przed teatrem Wielkiej Opery.

XIV.

Na placu Wielkiej Opery opadli małżonków przekupnie i handlarze biletami ofiarując je na wieczorne przedstawienie. Narzucali się im nawet wówczas, kiedy Mikołaj Iwanowicz zwrócił się ze skargą do milicyanta. Nie mogąc sobie poradzić, a raczej nie wiedząc w jakich wyrazach wyrazić skargę, małżonkowie ograniczyli się do zapytania, gdzie znajduje się Magazyn *Louvre*. Policyant wcale nie zwrócił uwagi na natrętnych przekupniów, co mocno zdziwiło Mikołaja Iwanowicza.

— Uważasz, że on wcale nie rozpędza tych chłopaków, widocznie podobny handel jest tu dozwolony — rzekła Głafira Siemionowna. — Sprzedają bilety w oczach przedstawiciela porządku publicznego i to uchodzi im bezkarnie.

Policyant z uprzejmością wskazał małżonkom drogę do magazynu i małżonkowie odeszli. Ale zaszła tu pewna, dość ciekawa okoliczność. Małżonkowie wysłuchawszy objaśnienia, jakie im dał policyant co do magazynu, odeszli, zapomniawszy powiedzieć »dziękujemy«. Policyant widocznie tem obrażony, zdaleka odsalutował im po wojskowemu, kiwnął głową i rzekł:

— Dziękuję za grzeczność.

Głafira Siemionowna zrozumiała co to znaczy i objaśniła mężowi.

— Głupiec, głupiec — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Zaco ja mu mam dziękować, kiedy to jego obowiązek, na to właśnie tam postawiony, aby wskazywał drogę nieznanym, a zwłaszcza endzoziemcom.

— Nie, ja przeciwnie uważam. Naród to widocznie niezmiernie drażliwy, więc wszystko jest na stopie nadzwyczajnej delikatności.

— Piękna mi delikatność, gdy ze wszystkich stron po ulicach obijają człowiekowi boki, forysie na wołanie nie dają

żadnej odpowiedzi, lecz tylko odwracają się, gdy najęty, lub niema chęci być najętym, a kupey gwałtem wciskają w ręce przechodniom najpodlejszego gatunku towary. Niedawno jakiś komisant handlowy o mało nie wepchnął w nos gumowych kaloszy, pod pozorem namowy do kupienia, a nawet uderzył jeden o drugi przed samymi oczami. U nas, co prawda, przekupnie chwytają publiczność za rękawy, ale tu jeszcze gorzej.

Rozpytując się po drodze, małżonkowie nareszcie doszli do magazynu i udali się do środka przez szeroko rozwarte podwoje. Już na samym wstępie zdziwiły ich tłumy, stojące przed magazynem. Z wielką ciekawością wczytywali się w olbrzymi plakat, przyklejony na drzwiach, na którym wydrukowano ogromnemi literami:

— *Occasion!* ¹⁾

Mężczyźni i kobiety przekładali towary rozrzucone w nieporządku na kontuarach, leżały tam wstążki, chustki, koronki, i chustki do nosa. Na każdej sztuce była przypięta karteczka z oznaczeniem ceny. Subiekt z ołówkiem za uchem tylko spoglądał na przybywającą publiczność, wykrzykując po francusku:

— Ceny oznaczone. Proszę wybierać... Ceny stałe!

Trzeba było literalnie zdobywać sobie miejsce, przeciskając się siłą przez tłumy.

W samym magazynie ścisk nie do opisania. W rozmaitych miejscach wisiały tablice z napisami: Kasa nr I.; kasa nr II. i t. d. Towary wyłożone były na ladach sklepowych, na podłodze piętrzyły się olbrzymie stopy tychże, leżały na łożerkach, wisiały na ścianach. A czego tu nie było? Sztuki wszelakiego gatunku i koloru materij, całe stopy, wysokie jak piętra, rękawiczek, damskich gorsetów, gotowych ubrań, obuwia, szarf. Około tego wszystkiego gromadziła się publiczność, składająca się, ma się rozumieć, przeważnie z kobiet. Subiekt i panny sklepowe, ubrane w czarne suknie z nieodstępny ołówkiem za uchem, zaledwie mieli czas odpowiadać na rzu-

¹⁾ Sposobność do kupienia tanio.

cane im zapytania. Jeden subiekt często obsługiwał trzech lub więcej kupujących. Pomimo olbrzymiej, nadzwyczaj obszernej sali, powietrze było ciężkie, panowało nieprzyjemne gorąco, zaduch wstrętny.

— Oto dopiero olbrzymia machina, cały ten magazyn — mimowoli wyrwało się z ust Mikołajowi Iwanowiczowi — skoro małżonkowie postąpili kilkanaście kroków.

— Czytałam opis — rzekła Głafira Siemionowna — że w tym magazynie ma być około tysiąca subiektów, komisantów i panien sklepowych.

Głafira Siemionowna rozglądała się na wszystkie strony, nie wiedząc do którego należało zbliżyć się subiekta, prawdziwie przerażała ją ogrom magazynu, jakiego dotychczas jeszcze nie zdarzyło się jej widzieć.

— No, kupuj więc, co ci potrzeba — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Za wejście na wieżę Eifel, wyasygnowałem ci na zakup towarów sumę czterysta francuskich *czetwiertaków*.

— Przecież mówiłeś o asygnowaniu pięciuset. Już zaczynasz urywać i jak zawsze cofasz dane słowo. Pięćset! Pięćset! Doskonale pamiętam, że przyrzekłeś mi pięćset, nawet sześćset, ale o to spierać się nie będę.

— Kupuj tylko, kupuj! Oto tam stoi subiekt nie zajęty, spytaj go o to, co ci potrzeba.

— Potrzeba mi wszystkiego. Tylko pozwól, niech się pierwszej dobrze rozglądnę. Boże, jakie tanie te chustki do nosa z widokiem wieży Eifla. Po sześćdziesiąt santimów sztuka. To na naszą monetę... Wiele wypada na naszą monetę? — spytała Mikołaja Iwanowicza.

— Dwadzieścia dwie czy trzy kopiejki. Tylko, że to towar bardzo lichy.

— Jakto lichy? Na podarki wyborny. Przyjedziemy z za granicy, trzeba zatem dać prezenta na pamiątkę krewnym i znajomym.

— Naprzód kup sobie suknię. Ja tobie właśnie obiecałem kupić suknię.

— Suknię kupię później. *Antande monsie, kombię kut se muszoar?* — zapytała Głafira Siemionowna przechodzącego obok niej subiekta z ogromnym stosem towarów, wskazując na chustki.

— *Les prix sont éerits, madame*¹⁾ — odpowiedział tenże nie zatrzymując się.

— *Monsie! Monsie! Wene isi. Ze we zaszte* — zwróciła się do drugiego subiekta, pakującego coś w papier.

— *Tout est éerit, madame. Il faut choisir seulement... Ayez la bonté*²⁾ — odpowiedział, stojąc na miejscu.

— Jakie to niegrzeczne figury, ci panowie subiekiei. Ani jeden się nie ruszy. Proszę mi powiedzieć, kto tutaj sprzedaje? — krzyknęła na cały głos Głafira Siemionowna.

Nie było odpowiedzi. Subiekiei nie przestawali pełnić swoich czynności, pokazywali towary, pisali coś na karteczkach, zawiązywali pakunki, to znowu gdzieś biegli.

— Wybierz sobie, co ci potrzeba a potem będziemy się targowali — powiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Jakże jednak wybierać bez obecności subiekta.

— Wyobrażam sobie, jak oni tu znakomicie kradną przy takim porządku — rzekła Głafira Siemionowna i zaczęła przewracać i oglądać rozmaite towary, wykrzykując za każdym razem:

— Boże! jak tu wszystko tanio! Za te naprzykład chustki na szyję trzeba u nas przynajmniej dwa razy tyle zapłacić. Sztuka kosztuje franka... To znaczy po czterdzieści kopiejek. U nas nie kupi nawet za rubla. Mikołaj Iwanowicz, wezmę sześć sztuk — rzekła, zwracając się do męża.

— Na co? Przecie to lichy wyrób.

— Czy lichy, czy nie, popatrz tylko, jak to tanio. Prawie można powiedzieć, darmo.

— Na co ci te chustki? Przecież nie będziesz ich nosiła.

¹⁾ Cena napisana.

²⁾ Wszystko napisane, trzeba tylko brać z łaski swojej.

— Owszem będę. A jeżeli nie ja, to inni będą nosić. Dla ciebie równie przyda się taka chustka, jak będziesz szedł do łaźni. Wezmę i tę czapczkę. Patrz, tylko dwa franki kosztuje. Być może, jest to mycka żydowska, z papierowych korenek, ale...

— I sama zgodzisz się na jej noszenie.

— To podaruję komu. Jakie tanie rękawiczki. U nas tacy razy tyle kosztują. Rękawiczek trzeba kupić sporo. Mój numer sześć i cwierć.

Powoli zebrała się ogromna kupa różnych przedmiotów. Głafira Siemionowna okazała to subiektowi i rzekła:

1) — *Peje. Il fo peje. Kombię.*

Subiekt zaczął rozkładać towary i obrachowywał należność, notując na karteczce. Wypadło czterdzieści dwa franki z santimami, jakoż wypowiedział ogólną sumę.

— Czterdzieści będzie dosyć — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — *Karant.ASSE karant* a resztę pan opuści. Wszak to lichota.

— *Nous avons des prix fixes* ¹⁾ — odpowiedział subiekt.

— O my znamy wasze *pris fixy*. Wszędzie opuszczają santimy nawet z *prifixami*, więcej nie dam. *Karant*.

— *Oh, non, monsieur.*

— I subiekt, który już zaczął pakować zakupione przedmioty, na nowo je rozwinał.

— *Nu prenon, nu prenon. Karant de e santim asi* — rzekła Głafira Siemionowna, przyczem oświadczyła mężowi, że tu nie można targować się.

— Głupstwo, brednie nowomodne!

Subiekt poprosił małżonków do kasy, dla zrealizowania rachunku.

¹⁾ U nas ceny stałe.

XV.

Małżonkowie udali się po schodach z lanego żelaza na drugie piętro. Drugie piętro było wypełnione przeważnie gotowymi ubraniami, tak męzkimi jak i damskimi. Tutaj już nie było tak zwanej: *Occasion*, to jest wystawy towarów, sprzedających się przypadkiem, z nadarzającej się sposobności z wielkiem ustępstwem, to też i publiczność nie tłoczyła się takimi gromadami jak na niższym piętrze i na dole. W oddziale damskich strojów subiekt i panny sklepowe byli starannie ubrani, więcej uprzejmi, niż na dolnych piętrach. Większa część subiektów sklepowych wystąpiła we frakach, nie mniej też włosy, brody i wąsy były modnie przystryżone, uczesane, a nawet zafryzowane, każdy z nich, pachniał, jak flakonik z perfumami. Subiekt ci przypominali figury tancmistrzów, bo też rzeczywiście przybierali rozmaite pozy wobec kupujących dam i mieli ruchy tancerzy, a raczej baletników, odpowiadając poruszali głowami, na podobieństwo koni obuczanych w ujeżdżalni. Panny sklepowe również nadzwyczaj różniły się od panien sklepowych na dole. Wszystkie prawie ubrane były wprawdzie w suknie czarne, lecz wedle najświeższej mody. Zapewne miały na sobie suknie magazynowe i służyły jako rodzaj modelów.

Małżonkowie przeszli przez całe piętro, zanim dostali się do oddziału damskich strojów, damskiej toalety pod ogólnym tytułem: *Confections*.

Głafira Siemionowna zachwycała się na każdym kroku, co chwila zatrzymywała się i kupowała coś z leżących towarów. Mikołaj Iwanowicz, niosący za nią zakupione przedmioty, całkiem już był obciążony, jak juczne zwierzę, gdy nakoniec doszedł do oddziału damskiej toalety.

— Trzebaby choć co nieco odpocząć — mówił, zobaczywszy krzesła i odsapnął. Obrzydliwy tu zwyczaj placenia za najmniejszy, najkrótszy odpoczynek, ale ja zapłaciłbym chętnie, byle można było usiąść.

— Siadaj, siadaj, teraz sobie doskonale odpoczniesz, bo przyszedliśmy właśnie do miejsca, gdzie nam było potrzeba. Wszak to oddział gotowych ubrań — rzekła Głafira Siemionowna. — Patrz tylko, jakie to śliczne rzeczy wiszą w szafach — zawołała, nie mogąc pohamować się od zachwytu, ukazując balową suknię.

W tej chwili, nagle, jakby z pod ziemi, pojawiła się panna sklepowa, wysoka, rosła, w czarnej, jedwabnej sukni, z olbrzymimi bufami na ramionach, dochodzącymi prawie do uszów i z ogromnym kołnierzem *à la* Maria Antoinetta. Gdyby nie żółty, skórzany santimetr, zawieszony na szyi, możnaby ją poznać za królową z jakiej tragedyi.

— Model tej sukni, *madame*, otrzymał na wystawie towarzyszącej wielki medal w nagrodę — mówiła po francusku. — *C'est le dernier mot de la mode*¹⁾.

— *Je we en rob de la soa noar* — rzekła Głafira Siemionowna, zwracając się do marszandki. — Pragnę kupić sobie czarną, jedwabną suknię — powtórzyła mężowi.

— Hm! — mruknął Mikołaj Iwanowicz i położywszy trzymane w ręku pakiety na stole, zaczął ocierać chustką spocną twarz i czoło.

Pot lał się mu po twarzy strumieniem.

— *Je vous montrerai, madame, quelque chose d'extraordinaire*²⁾ — powiedziała z uśmiechem kupcowa i zawołała:

— *Mademoiselle Eliz! Madame Peroke!*

Dwie inne panny sklepowe natychmiast odpowiedziały na jej wezwanie i zjawily się. Pierwsza kupcowa skinęła na nie ręką. Obie przywołane panny stanęwszy przed Głafirą Siemionowną zaczęły się obracać na wszystkie strony, jak żywe modele, czy manekiny.

— Niech pani tylko wybierze sobie fason — rzekła. — Ten, czy ten — mówiła kupcowa, wskazując na jedną, to na

¹⁾ Jest to ostatnia moda, ostatnie jej słowo.

²⁾ Pokażę pani, coś niezwykłego.

drugą, obracającą się nieustannie pannę. — A to trzeci fason — dodała, i sama równie powoli się obróciła, okazując boki, tył i przód swej sukni.

Głafira Siemionowna zrozumiała, co jej mówiono po francusku, ale jednak nie zdecydowała się jeszcze co do fasonu.

— *I set bię i set bię* — odpowiedziała. — *Set osi bię. Il fo regarde troa fason.*

— *Tout de suite, madame... Voulez-vous assoir... C'est monsieur votre mari?*¹⁾ — zapytała kupcowa, spoglądając w stronę Mikołaja Iwanowicza.

— *Wuj, mari.*

Kupcowa podała krzesło i Mikołajowi Iwanowiczowi.

— *Prenez place, monsieur.* Przyjdzie panu dość długo oczekiwać. Damy w ogóle nieprędko decydują się co do wyboru kostyumów. Ale, żeby się panu nie przykrzyło, proszę pana oto dzisiejszy numer *Figara*.

— *Mersi* — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, ociężale rzucił się na krzesło i rozwinąwszy podany mu numer dziennika, zaczął go przeglądać, udając, że rozumie po francusku.

Kupcowa tymczasem wydobywała z szaf ubrania damskie, okazywała je, nie przestając mówić i zachwalać wszystko Głafirze Siemionownie. Jednakże ani jedna suknia jej się nie podobała.

— *Je we z wisiuleczkami... Komprens? Z wisiuleczkami. Garni avek wisiuleczki...* — mówiła, starając się objaśnić wyraźniej swoje wymagania kupcowej. *Avek że i pasmantri.*

— *O, madame, tego już teraz wcale nie noszą.*

— *O non, non... Je wiu o teatr. I wiele, dużo pasmantri.* Boku...

— *Mademoiselle Goden!* — zawołała znowu kupcowa, przywołując czwartą, tłusciutką i dość niskiego wzrostu pannę sklepową, a pokazując jej suknię Głafirze Siemionownej, wyrzekła po francusku:

¹⁾ Natychmiast, rącz pani usiąść. Ten pan to mąż pani?

— Oto wszystko, na co pozwala ostatnie słowo mody. Figura panny Goden, przypada do wzrostu pani. Panna Goden ma tak wspaniałą biust, tak pełny jak pani. Dodać więcej siutażu i paciorek, znaczyłoby przestąpić zakaz mody i skompromitować naszą firmę. Niech pani raczy przymierzyć tę oto suknię. *Voyons, madame... Ayez la bonté de venir ici.*

I kupcowa, zarzuciwszy na rękę suknię, poprosiła Głafirę Siemionownę o pofatygowanie się za parawan, dla przymierzenia. Głafira Siemionowna weszła tam z kupcową, lecz kupcowa natychmiast stamtąd powróciwszy, oświadczyła Mikołajowi Iwanowiczowi:

— *Monsie*, raczy pan podsunąć się do parawanu i rozmawiać z *madame*, aby się panu nie przykrzyło.

Powiedziane to było, ma się rozumieć, po francusku. Mikołaj Iwanowicz nie rozumiał i ze zdziwieniem wytrzeszczył oczy. Kupcowa widząc, że on nie rozumie, zaczęła przywoływać go odpowiednimi ruchami ręki a nawet postawiła mu krzesło niedaleko parawanu. Mikołaj Iwanowicz pokręcił głową i przesiadł się. Tymczasem kupcowa weszła ponownie za parawan i zaczęła znowu nieustannie rozmawiać.

— Głaska! Czy ty rozumiesz chociaż troszeczkę, co ona belkocze? — zapytał donośnym głosem Mikołaj Iwanowicz.

— Otóż to właśnie, że bardzo mało rozumiem, ale przeczuwam, że ona chce mię gwałtem obalamucić.

— I mnie się też zdaje, że chce cię otumanieć. Ale nie daj się wprowadzić w błąd. Jeszcze jedno. Tutaj taki jest magazyn, że czego chcesz, możesz poprosić. Tu są wszystkie w ogóle towary. Więc zapytaj się jej, czy nie możnaby czego napić się. Mam straszliwe pragnienie.

— Nie wypada, Mikołaj Iwanowicz — dał się słyszeć głos za parawanem. — Sam tylko osądź, wszak to modny magazyn, nie zaś zwykły sklep.

— Przecież tutaj po rozmaitych zakładach sprzedają wino. Wprawdzie nie są to handle, ale zawsze można dostać tam wina. Żeby chociaż buteleczkę czerwonego. Przecież to

także przynosi pewien zysk firmie sklepowej. My tu nie przyszli zakupić tylko za kilka groszy. *Cxetwierćtaków* francuskich zostawimy tu sporo.

— Nie mogę się zdecydować na podobną propozycję. Zastanów się sam, że to może ubliżyć takiemu magazynowi, może go spospolitować, nie jest winiarnia, ale modny pierwszorzędny handel.

— Mnie jednak w Petersburgu z jubilerskiego sklepu posyłali po piwo, widząc, że dam im zarobić przyzwoitą sumkę.

— Przecierp nieco to nadzwyczajne pragnienie. Później podwójnie możesz sobie pozwolić. Ja ci w tym razie nie będę bronila pić wiele zechcesz.

— Ciężko to będzie. Najedliśmy się w domu wędliny i sera, i teraz pali w gardle, jak po tureckim pieprzu — rzekł ciężko wzdychając Mikołaj Iwanowicz, ale jednak musiał się wyrzec wina i znowu rozwinął dziennik *Figaro*, udając, że go czyta z zajęciem.

XVI.

Minęło przeszło pół godziny a Głafira Siemionowna ciągle przymierzała coraz nowe suknie, a na żadną zgodzić się nie mogła. Mikołaj Iwanowicz siedząc obok parawanu, z początku zaczął ziewać a potem i drzemać.

— Głaska — zawołał, budząc się — czy prędko tam skończysz?

— Nie prędko, dotąd jeszcze nie mogłam sobie dobrać odpowiedniego kostyumu. Najważniejsze, że ani *madame* mię nie rozumie, ani ja jej. Wszystkie nazwy części toalety damskiej znam doskonale po francusku, ale tu w Paryżu, wyrazy odmienne, jakich właśnie nas nie uczono — odpowiedziała za parawanem Głafira Siemionowna.

— Można zatem być pewnym, że nawet za godzinę nie ułatwisz się ze swoim sprawunkiem — mówił zniechęcony Mikołaj Iwanowicz.

— Naprawdę ja sama tego dobrze nie wiem. Skoro wybierę suknię, muszę następnie wybierać zarzutkę. Zarzutkę pragnę kupić taką, abym miała ją na wyjście do teatru... Wreszcie potrzebuję także i kapelusza... Bo inaczej zrobić niepodobna. Będąc w Paryżu należy kupić i modny kapelusz.

Mikołaj Iwanowicz ze złością podrapał się po głowie.

— To ja przejdę się po magazynie — rzekł — i odszukam wczorajszego rodaka. Niezawodnie błąka się on po sklepie. Pójdę i zobaczę czy go niema.

— Mikołaj Iwanowicz, ja się boję pozostać sama jedna — odezwała się Głafira Siemionowna.

— Czegoż się boisz? Tu nie las, wreszcie natychmiast będę z powrotem. Wszystkie zakupione sprawunki zostawię tutaj. Weź je do siebie za parawan.

Mikołaj Iwanowicz wstał z krzesła i wyszedł, żeby przeszukać piętro i dół, czy nie spotka swego znajomego. Nie zdołał jednak jeszcze zwiedzić nawet trzech oddziałów, gdy nagle spotkał się z ziomkiem. Ziomek stał w oddziale nieprzemakalnych materyi i wybierał dla siebie palto.

— A szanowny dobrodzieju! Gdzież to pan tak zaszyłeś się, że cię nigdzie widać nie było. Szukałem pana i znalazłem nie mogłem — zawołał tenże, zobaczywszy niespodzianie Mikołaja Iwanowicza.

— Żona moja właśnie weszła do oddziału damskiej garderoby i tam utknęła. Do tej pory jeszcze siedzi za parawanem i wybiera dla siebie fasony. Z kobietami, sam pan wiesz dobrze, trudna sprawa. Czy nie poszlibyśmy gdzie, coś napić się. Mam piekielne pragnienie. Wrócimy za małe pół godzinki — mówił Mikołaj Iwanowicz z widoczną radością.

Ziomek nie znalazłszy odpowiedniego dla siebie palto, odszedł i w niespełna pół minuty znalazł się wraz z Mikołajem Iwanowiczem w kawiarni, naprzeciwko magazynu *Louvre*.

— Napijemy się piwa, a może co innego? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, zacierając ręce w najlepszym humorze.

— Dlaczego koniecznie piwa? W Paryżu zwykło się pić czerwone wino — odpowiedział ziomek i kazał dać butelkę wina czerwonego.

Tręcili się.

Zaczęła się rozmowa, gdzie będą dziś jedli obiad i w jaki sposób spędzą wieczór.

— Wieczorem wypadłoby pójść do takiego zakładu, gdzieby było wesoło, do jakiej *kafe-sxantant*, w której czar-nookie hurystki pieją jak słowiki — rzekł Mikołaj Iwanowicz z rozjaśnioną twarzą i bardzo wymownym uśmiechem na ustach. Wszak, znajdują się podobne zakłady?

— Owszem, jest ich dosyć. Takich zakładów pełno, tylko zwiedzać je nie wypada z żoną, żona stanowi w tym razie największą przeszkodę — odpowiedział ziomek.

— Moja żona wyrozumiała...

— Żeby najbardziej była wyrozumiała, to jednak nie pozwoli panu na zbyt wesołe towarzystwo z kawiarnianemi hurystkami, jak się pan wyraziłeś. Przy żonie jesteś pan, jeżeli tak wyrazić się można, jakby na służbie, jako podwładny, bez niej, jestem pewny, żeby pan zapragnął rajskich rozkoszy i wówczas pohulałibyśmy.

— Pewno, pewno.

— Nie mądra wcale rzecz, przyjeżdżać do Tuly¹⁾ ze swoim samowarem — rzekł ziomek w dalszym ciągu.

— Jak to pan rozumiesz? Co to właściwie znaczy? — zapytał ze zdziwieniem Mikołaj Iwanowicz.

— Do Tuly ze swoim samowarem nie jeździ się, bo ich tam mnóstwo, tak i do Paryża nie przyjeżdża się ze swoją babą, bo tutaj od bab trudno się opędzić, jest ich bez liku.

— Aha, teraz rozumiem. Bardzo słuszna uwaga. Ale kiedy się raz obabiło, to już trzeba zastosować się do tego jak nakazuje obowiązek małżeński i baby nie zostawia się samej w domu. Pan dobrze znasz Paryż?

¹⁾ Miasto Tuła, słynie z fabryki samowarów. (*Przyp. tłum.*).

— Znowu, bo tu już byłem, obecnie przyjechałem po raz drugi — odpowiedział ziomek.

— Więc doradz pan, gdzieby można naleźćcie i do syta podjeść. Wszystkie tutejsze obiady, jakby na żart, straszliwie oszczędne i zanadto delikatne. To nie na żołądek rosyjskiego człowieka.

Ziomek zamyślił się.

— Jest tu jeden garkuchmistrz, właściciel garkuchni, ale nie jest to taka garkuchnia ordynarna jak u nas w Petersburgu, lecz rodzaj szykowniejszej kuchni, gdzie głównie podają zakąski. Nie obawiaj się pan, będziemy naleźćcie obsłużeni. Wybierzemy sobie kawał mięsa, albo tłustą gęś, kurę lub co innego i każemy upiec lub usmarzyć. Garkuchnik specjalista pod tym względem — rzekł po chwili namysłu ziomek.

— Bardzo dobrze, jeżeli to miejsce, jak pan twierdzisz, przyzwoite. W tych eleganckich restauracjach podają takie porecy, że za ledwie raz się weźmie na widelec i po wszystkim. A czy można tam mieć i pieczonego indyka?

— Całego prosiaka upieką.

— To wybornie. Ale teatr? Tylko żeby był najzabawniejszy? — pytał Mikołaj Iwanowicz.

— Czy byłeś pan w cyrku amerykańskim? Czy widziałeś pan manewry z lancami dzikich Indyan i ich wojnę improwizowaną na scenie?

— Nie mogłem tam być, ani widzieć, bo dopiero trzeci dzień bawimy w Paryżu — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— No, to tam dziś pójdziemy. Ale to już za miastem. Jakże, zgadzasz się pan?

— Indyka zjeść w owej sławnej garkuchni i przypatrzeć się walce Indyan, to znaczy przepędzić dzień wesoło i z wielką przyjemnością.

Wypili butelkę czerwonego wina i wyszli, udając się z powrotem do magazynu *Louvre*.

Głafira Siemionowna, jak pierwszej, jeszcze nie zdecydowała się na wybór odpowiedniego dla siebie kostiumu.

— Głasza! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, czy jeszcze tam jesteś?

— Jestem. Wyobraź sobie, nie mogłam dotąd zdecydować się na fason — odpowiedziała za parawanem Głafira Siemionowna.

XVII.

Cały dzień prawie zeszedł na wybieraniu kostiumu. Wybiła godzina czwarta, gdy nareszcie Głafira Siemionowna ukończywszy przymierzanie sukien, zdecydowała się na jedną z nich. Wybrała bardzo elegancki gorsel, dwie suknie i kapelusze. Na odznaczającą się urodę i silnie rozwiniętym korpusem ciała, niezbyt przypadają gotowe już suknie, skutkiem czego kupcowa zdecydowała się odpowiednio przerobić i w ciągu jednego dnia odesłać Głafirze Siemionownej do hotelu, razem ze wszystkimi pakuunkami. Mikołaj Iwanowicz uregulował natychmiast rachunek i zrobił wzmiankę, co do proponowanego przez ziomeka obiadu.

— Jedziemy natychmiast na obiad — rzekł. — Jeść się chce straszliwie. Chociaż raz jeden zjemy obiad, tak jakby w domu u siebie, po rosyjsku, a to najpóźniej o godzinie siódmej. Co to będzie za wyśmienity obiad! Będzie właściwie nie obiad ale kolacya. Oto, Głafira Siemionowna, nasz rodak proponuje, abyśmy udali się do miejscowej garkuchni, do kuchmistrza, który słynie z przyrządzania wyśmienitych przekąsek, tam będzie można zjeść smacznie i obficie i raz przecie nasycić się nie tak, jak w dotychczasowych eleganckich restauracjach.

— Do garkuchni! Czyś ty rozum stracił? — krzyknęła Głafira Siemionowna.

— Niech się pani nie obawia — wtrącił ziomek. — Pani sama przekona się, jaki to przyzwoity zakład. Wszystkie zapasy żywności są tam wystawione, w stanie surowym. Wybierz sobie pani, co się jej będzie podobało, wedle gustu, i natychmiast to albo zgotują, albo usmarzą, albo upieką. Wszak,

o ile sędzę, zdarzało się pani wchodzić do zakładów w Petersburgu, w których, przy pani, wycinają kawał mięsa surowego, lub też podają surowe jeszcze ptactwo, jak gęsi, kaczki, kury lub kureczęta, które wedle żądania gotują, smażą, lub pieką w obecności pani. To samo i tutaj. Więcej jedziemy. Możemy tam dostać się omnibusem.

Sławiona przez ziomka Mikołaja Iwanowicza garkuchnia składała się z wielkiej sali, w której ustawiono mnóstwo stolików z marmurowymi blatami. W głębi sali, znajdowały się dwa olbrzymie ogniska, czyli tak zwane kuchnie, i tam właśnie na rożnach piekły się gęsi, indyki, kapłony lub smarżyło się mięso, lub też dzierzyna. Z powodu smażonej tłustości, atmosfera sali była nieco duszną. Około samych ognisk rozpościerał się rodzaj obłoku, rodzaj pary, czy wyciewu ze smażonych potraw i w tej osłonie widniały figury kucharzy w białych kaftanach i w białych, z papieru zrobionych, kołpakach. Tu też szumiało, piszczało, skwiercało smażące się masło, po drugiej zaś stronie sterczały olbrzymie stosy zapasów żywności w stanie natury. Leżały gromady oskubanych indyków, pulardy, gęsi, zadziwiające białością mięsa, ozdobione koronkami, wyciętymi z białego papieru a raczej z delikatnej bibułki. Ułożone było mięso, także przyozdobione koronkami papierkami, nogi cielęce i baranie, obłożone drobniutko uciętymi płatkami z rzepy, marchwi, rzodkwi i buraków.

Skoro małżonkowie weszli do garkuchni, bez względu że to jeszcze było za wcześnie na obiad, przy stolikach marmurowych siedziało już mnóstwo gości, którzy jedli i pili. Publiczność obsługiwały kobiety, ubrane w suknie koloru cyanomonowego, w czepki i fartuszki białe.

— Oto jest właśnie ta sama garkuchnia, o której państwu powiedziałem — rzekł ziomek zwracając się do obojga małżonków.

Głafira Siemionowna, pokręciła noskiem i odpowiedziała:

— Ale tu straszny swąd, od którego można dostać bólu głowy.

— Tymczasem goście, którzy się stołują, uważają swąd ten za zapach bardzo usposabiający do zaostrzenia apetytu — odpowiedział ziomek.

— Bardzo jest przyjemny, skoro chce się jeść — odpowiedział ze swej strony Mikołaj Iwanowicz.

— I będziemy jedli. Ale jednak mogę państwu oświadczyć, przepraszam najmocniej za wyrażenie, że tu zwykle przychodzą same obżartuchy, ludzie, którzy dobre jadlo uważają za cel ziemskiego życia.

Małżonkowie zbliżyli się do leżącej na stołach prowizyi i zaczęli przypatrywać się ułożonemu mięsu i ptactwu, pomieszczonemu na liściach kapusty, w bardzo umiejętnie i artystycznie poukładanych warstwach. Wzrok Mikołaja Iwanowicza skierował się przeważnie na nadzwyczaj wielką i znakomicie utuczoną gęś.

— Gęś ta, to znakomity kasek, nie krokodyl. Czy nie wypadałoby kazać upiec ją dla nas.

— Wszak zdecydowaliśmy poprzednio na indyka — wtrącił ziomek. — Patrz pan, leży tam indyk, przypominający swą wielkością hypopotama.

— Co pan chcesz, im się więcej wpatruję, tem apetyt wzmagą się, jadłbym wszystko bez różnicy. Bo i indyka lubię, ale też i gęś jest wybornym, bo lekko-strawnym pokarmem — mówił Mikołaj Iwanowicz, oblizując się. — Jak myślisz Głafira Siemionowna, każemy sobie przyrzadzić i indyka i gęś.

— Ależ na Boga, nawet we troje tego zjeść nie potrafimy — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Nie wiem jak ty, ale ja od czasu jak podróżujemy za granicą zawsze jestem taki głodny, że gotów byłbym zjeść sam całego rocznego wieprzaka. Zmiluj się, jakie tutaj są porcje, co to za minimalne dania. Wreszcie gdybyśmy nie zjedli wszystkiego, także się nie złego nie stanie.

— Państwo możecie zjeść pół indyka i pół gęsi a resztę wam zawiną w papier i zabierzecie państwo ze sobą — rzekł ziomek.

— Doskonale. Co nie dojemy zabierzemy ze sobą i będziemy mieli wyśmienitą kolację — zawołał uradowany Mikołaj Iwanowicz. Jakoż zwracając się do stojącego obok nich wasacza, w kołpaczku papierowym, rzekł:

— Proszę nam upiec gęś i tego indyka, ale żeby było dobrze i smacznie — *bię*.

Ziomek zaś objaśnił kucharza po francusku:

— *Pour trois personnes seulement, monsieur?* — zapytał kucharz, ze zdziwienia wytrzeszczając oczy.

— Tak. To i cóż, że to tylko dla trzech osób. Co nie zjemy zabierzemy do papieru — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Mnie się zdaje, że nie jest to nie tak wielkiego, i że bardzo mało pozostanie do zabrania ze sobą. Czekaj-no, czekaj — dodał, zatrzymując kucharza, już zabierającego z marmurowego stolika wskazane mu przedmioty. — *Ankor la viande*, potrzeba koniecznie mięsa, bez mięsa obiad być nie może.

— Ależ zmiluj się — zawołała Głafira Siemionowna, i tego aż nadto.

— Matuszka ja zupełnie ogłodzony zostałem w Paryżu. Jak pan myślisz rodaku, czyby nie kazać usmarzyć kawalka cielęciny? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Ależ tego niepodobna zjeść: Mostek cielęcy, gęś, indyk, to dla nas za wiele.

— Nie wiem jak pan, ale ja temu wszystkiemu sam poradzę. Jestem niezmiernie kontent, że nareszcie natrafiłem na taki sumienny obiad — mówił Mikołaj Iwanowicz, w brylantowym humorze.

— Dosyć, dosyć tego. Teraz jednak zapytać należy, jaką nam dadzą zupę.

— Może jest *szezi*?

— Nie, nie; tego w Paryżu nigdzie pan nie dostaniesz, żebyś nie wiedzieć wiele obiecywał. *Quelle soupe est-ce que vous-avez aujourd'hui?* — zapytał ziomek kucharza, i otrzymał odpowiedź:

— Tylko bulion i zupę z zielonego groszku dostanie.

— Zupa *piure... piure... piure...* — Mikołaj Iwanowicz kiwnął na kucharza — to daleko sytniejsze. A więc tym sposobem będziemy mieli: indyka, gęś i zupę. Ale, ale, trzeba i *salat ancor... boku salat...*

Przeczuwając błogość tak obfitego obiadu, Mikołaj Iwanowicz uśmiechnął się i zatarł ręce z radości.

— Zapewne podadzą nam i czerwonego wina? — zapytał Mikołaj Iwanowicz ziomek.

— Wiele tylko pan zechcesz. Zamiast zaś wódki napijemy się koniaku — odpowiedział ziomek.

XVIII.

Kiedy małżonkowie wraz z ziomekiem usiedli przy stole, podbiegła do nich bardzo przyjemna kobieta, w sukni cynamonowego koloru i białym fartuszką oraz białym czepku i zaczęła rozstawiać na stole talerze.

— Obrus, obrus — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Tutaj nie używają obrusów — odpowiedział ziomek, wyręczając w odpowiedzi kobietę. — Czysty, marmurowy stół, oto wszystko. Prostota i czystość. Przypatrz się pan zaś całemu serwisowi. Takimi talerzami można gwoździe wbijać w ścianę, takie grube.

— Koniak, *madame*, koniak *aporte* — naglił Mikołaj Iwanowicz.

— *Cognac? A présent?* — ze zdziwieniem zapytała. — *Mais vous n'avez pas encore mangé...*

— Tak... tak... to na sposób rosyjski — wyjaśnił jej ziomek po francusku. — W Rosyi piją zawsze mocne wino albo wódkę przed jedzeniem, nie zaś po jedzeniu. A to dla wzbudzenia apetytu. Przynieś nam z łaski swojej flakonik koniaku i sera.

Podano koniak. Mężczyźni zaczęli pić. Służba ze zdziwieniem przypatrywała się im zdaleka, wzruszała ramionami, ukazując wzrokiem osobliwych gości. Podano zupę. Mężczy-

źni znowu napili się koniaku przed zupa. Widząc to, służba o mało nie wybuchła śmiechem. Nie uszło to uwagi Mikołaja Iwanowicza.

— Dlaczego oni śmieją się? — zapytał ziomek.

— Bo tu nie mają zwyczaju pić koniak przed jedzeniem. Piją go wszyscy ale po jedzeniu, dlatego tym ludziom wydaje się to dzikim wymysłem.

— Głupy!

Wnet też przyniesiono i indyka z gęsią, tylko co zdjęte z rożna, szumiała jeszcze tłustość na półmisku, wydając zapach, pobudzający apetyt. Niesły dwie kobiety na dwóch półmiskach. Po za nimi postępował kucharz z nożami i z półmiskiem sałaty. Kobiety i kucharz nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Kucharz nawet nie wytrzymał i rzekł:

— *Voyons, messieurs... Il faut avoir grand appétit pour manger tout ça!*¹⁾

Wydobył z za pasa nóż, zapytał czy nie potrzeba rozebrać pieczystego i otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, rozebrał je w sposób rzeczywicie artystyczny.

Mikołaj Iwanowicz zabrał się do gęsi, Głafira i ziomek do indyka.

— Jakże się panu podoba i smakuje? — zapytał ziomek.

— Wyśmienite — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, zapychając sobie usta gęsiną.

Kucharz i posługujące kobiety stali w oddaleniu i z ciekawością przypatrywali się jedzącym, uśmiechali się i szeptali między sobą. Kobiet było już sześć, przypędziła ich tu także nadzwyczajna ciekawość. Do nich przyłączył się i kuchcik. Widocznie sprzeczały się między sobą, czy goście zjedzą to wszystko, czy też pozostawią jakie resztki. Bo rzeczywicie indyk był olbrzymi i gęś również. Głafira Siemionowna pierwsza odsunęła od siebie talerz, ziomek równie wkrótce przestał jeść. Najdłużej jadł Mikołaj Iwanowicz, nakładając na talerz

¹⁾ Trzeba mieć znakomity apetyt, aby to wszystko zjeść.

na przemiany, to kawał indyka, to kawał gęsi, ale i on wkrótce otarł usta serwetką i rzekł:

— *Asse. Teraz wen ruż.* Teraz zabawimy się, popijając winem. To prawdziwy obiad. Taki obiad ja rozumiem — zawołał, cmokając ustami. — *Mersi*, rodaku, za ukazanie nam miejsca, gdzie można zjeść do syta.

Podał mu rękę i uściskał.

Pomiędzy zebraną służbą można było dostrzedz poruszenie.

— *Je disais que c'est difficile!*¹⁾ — przemówił kucharz, wąsacz i otrzymał od drugiego kucharza srebrną monetę. Widocznie założyli się, czy będzie zjedzona gęś i indyk, i stary wyjadacz, wąsacz, wygrał zakład.

Ziomek przywołał do siebie posługującą przy stole kobietę i kazał jej resztę gęsi i indyka zapakować do papieru, co też ta skutecznie, podając pakiet z resztkami obiadu, kobieta rzekła po francusku:

— Państwu trojgu nie udało się zjeść nawet połowy z dwóch pieczystych, a przed dwoma miesiącami był tu u nas jeden Anglik, który sam zjadł jeszcze większą gęś.

Ziomek natychmiast przetłumaczył to swoim współbiesiadnikom.

— Nie to wcale nie znaczy, i ja zjadłbym całą gęś, gdyby można było zaraz po obiedzie przespać się choćby dwie godziny, a nam tymczasem wypada dzisiaj iść do teatru — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, nalewając sobie i ziomekowi wino w kieliszki. A więc, za szczęśliwy spoczynek i strawność gęsi! — zawołał — trąćmy się ziomek.

— Przepraszam, trzeba także wspomnieć co i o indyku. Za zdrowie indyka, był on poważnym okazem swojego rodzaju.

— Tak! Tak! Za zdrowie obojga. Ze względu ich laski pierwszy raz dopiero najadłem się za granicą.

I Mikołaj Iwanowicz i ziomek wypili jednym tchem swoje kieliszki.

¹⁾ Mówilem, że to trudno.

XIX.

Już zapadł mrok, kiedy kompania ukończyła tak sy i tak wybornie przyrządzony obiad. Mikołaj Iwanowicz i ziomek nie żalowali sobie wina i wypili go bardzo dużo, byli też oba już w wybornym humorze. Mikołaj Iwanowicz rwał się jeszcze do butelki, ale powstrzymał go ziomek.

— Dosyć. Dosyć. Już czas na odwiedziny cyrku indyjskiego, bo inaczej spóźnimy się — rzekł ziomek. — Cyrk ten stąd niedaleko. Chociaż jest po za miastem. Pojedziemy koleją żelazną, tak zwaną *Ceinture*, a do stacji pójdziemy piechotą. Napić się możemy także i w cyrku.

Zabrali ze sobą resztki pieczonego, wyszli z garkuchni i udali się wprost do stacji kolei żelaznej. Trzeba było przejść kilka ulic.

— To tam, w tym cyrku tylko dzieci Indyanie dają przedstawienie — zapytała Głafira Siemionowna.

— Tak jest dzieci... dzieci... — odpowiedział ziomek. — Dwieście pięćdziesiąt koni, dwustu jeźdźców, bawoly, psy, masa kobiet i dzieci, i wszystko strzela i walczy. Powiadają, że Indyanie bardzo przystojne — dodał, trąciwszy łokciem Mikołaja Iwanowicza i mrugnawszy na niego, ale wnet opamiętał się, że nietylko słucha go towarzysz, ale i jego żona, i nagle umilkł.

Mikołaj Iwanowicz także wzajemnie trącił ziomeka.

— Pysyt!... Samowar tutaj — rzekł, przypominając sobie przysłowie niedawno słyszane — kto jedzie do Tuly, nie powinien brać ze sobą swojego samowara.

— Jaki samowar? Co to znaczy? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Żaden. Co cię tam to obchodzi. My mówimy pomiędzy sobą — odparł Mikołaj Iwanowicz.

— Jak mi się zdaje. Już koniak zaczyna przemawiać przez ciebie. Gdzie zobaczyłeś samowar — rzekła z gniewem Głafira Siemionowna.

— No, zaczynasz teraz na nowo. Oho! to już cię nikt nie utrzyma — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna wyrzekła z gniewem:

— Ach, jak ja nie cierpię iść z tobą, gdy się upijesz.

— Kto ci powiedział, że ja jestem pijany? Wreszcie cożeśmy pili. Parę kropelek wina, nie więcej.

Nastąpiło milczenie.

— Bądź też tak dobry, Mikołaju Iwanowiczu i nie zaczynaj swych zwykłych sztuczek z tymi dzikimi — zaczęła na nowo Głafira Siemionowna. — Ja już ciebie znam doskonale; jak tylko sobie podchmielisz, to zaraz jesteś gotów pić nawet z dzikusami. I co to za moda taka w Paryżu, żeby sprowadzać Indyan. Miasto zdaje się cywilizowane, ognisko wszechświatowej oświaty, a gdzie tylko się ruszyć, wszędzie dzieci.

— Wystawa, laskawa pani, narody przybyły z całej kuli ziemskiej, trudno ich nie przyjąć — odpowiedział ziomek. — Europejczycy są już zupełnie znani, dzieci ludzkie nowość. Rzeczywiście tutaj są w modzie dzieci ludzkie.

— Nie, nie, jedynie będzie tylko konne przedstawienie, nie więcej.

Rozmawiając w ten sposób, doszli do stacji. Pociągi kolei *Chemin de fer de Ceinture*, przebiegające co kwadrans, nie pozwoliły zbyt długo czekać małżonkom. Rozległ się dźwięk trąbki, zapowiadający przybycie pociągu, słychać było głuchy huk kół, głośnie sapanie lokomotywy, i pociąg za chwilę zatrzymał się na stacji. Mikołaj Iwanowicz, Głafira Siemionowna i ziomek szybko weszli do małego wagonu i umieścili się. Znowu zadźwięczała trąbka i pociąg ruszył. Wlókł się bardzo powoli, co pięć minut zatrzymywał się na małych stacjach, przyjmując pasażerów. Małe wagoniki i te tak częste przystanki pociągu, wiele rozweseliły zagniewaną Głafirę Siemionowną, która też uśmiechając się, odezwała się:

— Zupełnie jak dziecinny wózek.

— Krąży on w okół całego Paryża, otacza go jakby pasem i dlatego też ta kolej otrzymała tę nazwę *Ceinture*,

wyjaśnił ziomek. Pociąg nie mija żadnej pozamiejskiej okolicy. My też wkrótce staniemy na miejscu i trzeba będzie nam wyśiąść. Niech się pani przygotuje.

— Co się mamy przygotowywać — krzyknął Mikołaj Iwanowicz — zakąskę mamy a napić się i tam można — dodał, pokazując pakiet, który trzymał w ręku. Ty zaś gniewaj się lub nie gniewaj, a ja gęsią poczęstuję jaką indyjską babę. Chciałbym koniecznie zobaczyć, jak dziecy ludzie jedzą.

Głafira Siemionowna machnęła ręką, odwracając się. Ale oto pociąg zatrzymał się na tej stacyi, do której całe towarzysztwo jechało.

Kompania wyszła na platformę. Cała platforma była zaklejona afiszami, ogłaszającymi o wielkiem wojennem przedstawieniu trupy czerwonoskórych Indian i białych, amerykańskich osadników. Na czterech rogach afiszów widniały ilustracye, przedstawiające odrąbane głowy i nadziane na piki. Chłopy w bluzach i wysokich kapeluszach sprzedawali programy widowiska, wymachując olbrzymimi arkuszami i wykrzykując po francusku:

— Niebywale, nadzwyczajne przedstawienie!

Spieszcie się, spieszcie panowie, krótko tylko można je będzie widzieć! Indianie jeszcze tylko dzień zabawią w Paryżu!

Świetne, uroczyste, wspaniałe przedstawienie!

XX.

Stacya kolei żelaznej znajdowała się poniżej góry. Małżonkowie wszedłszy po schodach na górę, poprowadzeni przez ziomek, zwrócili się w jakąś ulicę a następnie weszli do ogrodu. W ogrodzie zupełnie prawie pustym, gdzie niegdzie tylko widniały krzaki i drzewa. Pomiędzy krzakami i drzewami, tu i tam, wznosiły się spiczaste dachy chatki indyjskich. Z kominów buchał obficie dym. Kilkoro nagich dzieci z twarzami barwy brązu i długimi, czarnymi, jak pióra kruka włosami, bawiło się obok chatki. Na dalszej części ogrodu widać było

bawoły, przy jednej chatce wyl chudy pies, uwiązany na powrozie. Wszystko to przedstawiało się dokładnie w owietleniu gazowem.

Z oddalenia dolatywały tony muzyczne orkiestry.

— Trzeba się spieszyć. Przedstawienie w cyrku już się rozpoczęło — rzekł ziomek.

Przeszli szybko około oświetlonego równie gazem namiotu, na którym widniał napis: *Restaurant*.

— Oóż jest i miejsce, gdzie się będzie można napić — zauważył Mikołaj Iwanowicz. — Ziomku! Ziomku! Warto by spróbować. Przecież Indianie nie wyznają wiary Mahometa, tym sposobem pozwolone mają wszelkie trunki.

— Później, później Mikołaj Iwanowicz. Spieszmy się do cyrku, aby nam nie zajęto miejsca. Jak pan widzisz, publiczności w ogrodzie wcale niema. Wszyscy są już na swych miejscach.

Ukazał się wielki, wysoki płot, za którym stał cyrk. Przy płocie ustawiona była kasa, trzeba było znowu płacić. Za pierwsze miejsca wzięto po dwa franki i kompania poskrzypiących i trzeszczących schodach, udała się do amfiteatru, gdzie też zajęła miejsca.

Przedstawienie rzeczywiście rozpoczęło się. Na arenie pod odkrytem niebem przejeżdżało na dzielnych, choć niepozornie wyglądających konikach, kilkunastu jeźdźców w czarnych, welnianych czapkach, jasnych kurtkach i ze strzelbami przewieszonemi przez plecy. Objechawszy trzykrotnie hipodrom, wpędzili nareszcie do środka konia. Jeden z jeźdźców zarzucił mu na szyję arkan i zatrzymał go. Pochwycony koń zaczął się rzucać, stawać dęba, przysiądać na tylne nogi. Dwa czy trzy zarzucone na niego arkany, powaliły go na ziemię.

— Czy to oni przedstawiają rozbójników? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Przedstawiają myśliwych w amerykańskich stepach. Pochwycili dzikiego konia, powalili go, i teraz nakładają mu uzdeczkę.

Za dekoracją, wyobrażającą w dali wzgórze i na nich chaty amerykańskie, słychać było dzikie krzyki. Myśliwcy, zajęci dzikim koniem, któremu założyli uzdeczkę, porzucili go, skoczyli na swoje konie i znowu zaczęli pędzić po arenie. Krzyki wzmagaly się, zmieniły się w prawdziwy ryk i na wzgórzach ukazali się jeźdźcy indyjscy na nieosiódlanych koniach z rozpuszczonymi długimi włosami i w płaszczach przegowatych zarzuconych na ramiona. Zaczęli ścigać myśliwców.

— Oto rozbójnicy, indyjscy rozbójnicy. Napadają na myśliwych. Wszak państwo widzicie, jak pędzą za nimi — wyjaśniał ziomek.

Rozległy się wystrzały, szcęk broni, kilku jeźdźców spadło z koni, w dymie z prochu zmieszali się Indianie z myśliwymi. Kiedy dym rozwił się, Indianie już ścigali ich z koni i prowadzili za dekorację, wyobrażającą wzgórze z małą wioseczką. Na koniu jednego Indianina, między karkiem konia a siedzącym jeźdźcem leżał myśliwy ze zwieszonymi rękami i nogami. Inny znów Indianin ciągnął po ziemi na arkanie drugiego myśliwego.

— Bywajcie zdrowi myśliwcy! Indianie zwyciężyli i przygotują sobie z was pieczeń — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Czy rzeczywiście ich zjedzą? — szybko zapytała Głafira Siemionowna.

— Koniecznie. Przecież to znany ich obyczaj. Pewnikiem są to ludożercy. Z jednej nogi przygotowują befsztyki, z drugiej zwykłą pieczeń, z trzeciej jakiegobądź antrykot, jak z cielęciny — żartował Mikołaj Iwanowicz.

— I rzeczywiście zjedzą to jak zwykle?

— Nie! Nie! To tylko takie naśladowanie, przedstawienie sztuczne dla zabawy — odpowiedział ziomek. — Któżby pozwolił w Paryżu dopuszczać się takiego bezeczeństwa, zjadania ludzi.

— A ja seryo myślałam — rzekła Głafira Siemionowna.

Skończyła się pierwsza część programu. Zaczęli krążyć garsoni z tacami, ofiarując publiczności piwo, butelki koniaku,

owoce, sandwiche (to jest grzanki z bułek lub chleba). Przesuwał się także jakiś chłopiec, Indianin, w niebieskich spodniach z galonami i w jakiejś paskowanej kurcie, zarzuconej na plecy, częstując jakimiś ziarkami różowej barwy, gotowanymi w cukrze, mrużąc coś po angielsku. Z angielskiej tej przemowy można było pochwycić i francuskie wyrazy, mianowicie: *vingt centimes*. Zbliżył się on i do małżonków, wtykając im w ręce owe przysmaki.

— Czy to do jedzenia? — pytał z zaciekawieniem Mikołaj Iwanowicz.

Chłopiec tego wcale nie rozumiał, powtarzając nieustannie: *vingt centimes*.

— Niezawodnie do jedzenia — odpowiedział skwapliwie za chłopca ziomek.

Ziomek kupił jeden taki kawałek, odłamał cząstkę i wziął do ust, ale zaraz wypluł.

— Bez najmniejszego smaku — rzekł.

Spróbowali także małżonkowie i również wypluli.

— Niema nic ciekawego w tem przedstawieniu dzikich — odezwała się Głafira Siemionowna, ziewając.

— Jedynie tylko podziwiać należy dzielne konie, wyborną jazdę Indian i zręczność, oto wszystko — odpowiedział ziomek.

— Dajże pan pokój tej chwalebnej. Nasi kozacy daleko dzielniej jeżdżą i większe sztuki wyprawiają na koniach — wtrącił Mikołaj Iwanowicz.

XXI.

Przedstawienie indyjskie było rzeczywiście monotonne i nie wzbudzało żadnej ciekawości. W pierwszej części Indianie ścigali myśliwych, atakowali i walczyli z nimi, w następnym zaś oddziale to samo powtórzyło się, z tą różnicą, że napadli na wóz z europejskimi osadnikami. Głafira Siemionowna ziewała.

— Pójdziemy oto lepiej do ogrodu i tam odbędziemy spacer, potem zwiedzimy domki dzikich, żeby się przekonać, jakto oni mieszkają i żyją — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Tutaj niema na co patrzeć i psuć sobie darmo oczy. Niema najmniejszego interesu cały szereg ich skoków. Popatrzyliśmy cokolwiek i dosyć na tem. Przytem jest tam i restauracya. Chodźmy Głasza.

— To rzeczywiście lepiej będzie jak się przespacerujemy po ogrodzie — wstając, odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Nie stawiając żadnej opozycji, ziomek również podniósł się z krzesła.

Wyszli tedy z amfiteatru i spacerując po ścieżkach ogrodowych, zbliżali się do mieszkań Indyan.

W namiotach Indyan kobiety gotowały. Widocznie przygotowywały one pożywienie dla mężczyzn harcujących na kaniach w cyrku. Mikołaj Iwanowicz, Głafira Siemionowna i ziomek weszli do jednego z tych namiotów, uniósłszy w górę wołok zawieszony na wstępie zamiast drzwi.

Dym zapelniał całe wnętrze. Gorzalo ognisko, nad ogniskiem wisiał kocioł, gotowała się w nim pszenna kasza. Około ogniska siedziały dwie kobiety, jedna stara, druga młoda. Stara mieszała drewnianą łyżką kaszę w kotle, młoda zaś mając w ręku zakrzywiony, jak sierp, nóż, krajała mięso na drobne kawalki, skutecznie zaś tę czynność na ziemi, na udeptanej nieco trawie. Kobiety miały na sobie brudne, bez rękawów koszule i spodnice krótkie, bardzo wąskie. Nogi bosc. Stara miała zawiązaną na głowie pstrą chustkę, młoda była z gołą głową, ale za to na szyi zawieszono w kilku rzędach jasne perły, fałszywe. Przy wejściu gości, kobiety przemówiły coś do siebie w rodzinnem narzeczu. Nakoniec młoda rzuciła wzrokiem w stronę stojącego Mikołaja Iwanowicza, powstała z ziemi i zbliżywszy się do niego, położyła mu rękę na ramieniu i uśmiechając się rzekła:

— *Mosie... Aszete absynt... Aszete absynt pur nu* — poczem zaczęła pieszczotliwie gładzić go po twarzy.

— Daj mi pokój! Odstap! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i cofnął się.

Ale kobieta nie ustępowała. Schwyciła go za rękę i zaczęła ciągnąć do siebie, jakby pragnąc, żeby ją pocałował.

— Czego ona chce, ta czarownica — mruczał Mikołaj Iwanowicz, usiłując wydobyć swoje rękę, lecz kobieta była silna i nie tak łatwo dala się to uskutecznić. Ciagle trzymała go za rękę i powtarzała jeden i ten sam frazes:

— *Aszete absynt pur nu... aszete absynt.*

— Ona prosi, żebyś pan kupił jej wódki anyżowej — rzekł ziomek.

Mikołaj Iwanowicz spoglądał z ukosa na żonę. Ta jednak już gotowa była wybuchnąć, bladła, to czerwieniała z zazdrości i nakoniec zawolala:

— A to natrętna! Mikołaj Iwanowicz cóż ty stoisz i za rękę ją trzymasz. Odejdźmy stąd. Chodź!

— Kiedy to ona mię trzyma. Puść mię ty czarnucho. Wyrwał jedną rękę, ale kobieta uśmiechając się i ukazując białe zęby, trzymała go za drugą rękę, powtarzając:

— *Aszete absynt! Aszete absynt!*

— Mikołaj Iwanowicz. Coż ty znowu, nie możesz sobie dać rady, czy co? — rzekła Głafira Siemionowna podniesionym głosem. Przecież ci mówiłam, żebyśmy stąd odeszli.

— Duszczechko... Ona mię trzyma...

Postąpił krok ku wyjściu, a ponieważ kobieta trzymała go, więc wyciągnął ją za namiot. Ta, zapewne przypuszczając, że Mikołaj Iwanowicz zgodził się na kupienie jej wódki i zaprowadzi ją natychmiast do restauracyi, objęła go drugą ręką za szyję, pocałowała i rzekła:

— *Mersi! Mersi! Allon! Allon!*

Ale tymczasem Głafira Siemionowna widząc to, już straciła cierpliwość i z okrzykiem: Ty podła indyjska mordło! parasolem trzymanym w rękę uderzyła kobietę po głowie. Z kolei przeraźliwie krzyknęła Indyanka, i puściwszy rękę Mikołaja Iwanowicza, rzuciła się na Głafirę Siemionowną

chwytając ją za waterpruf, błyskając ognistemi oczami i coś tam mruzcąc. Głafira Siemionowna również wpadła we wściekłość i z okrzykiem:

— Mnie się czepiasz? Mnie? Ach ty indyjska bezecnico, ja ci te bielmy twoje wydrapię — trzymała Indyankę za kołnierz od koszuli.

— Głasza, dajże pokój, co czynisz — zaczął perswadować żonie Mikołaj Iwanowicz i pochwyciwszy Głafirę za ramię, starał się odebrać, ale było już za późno.

W jednej chwili Głafira Siemionowna i Indyanka chwyciły się za włosy i padły na trawę, szamocząc się i drapiąc po twarzy.

— Boże! Cóż to znowu! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i rzucił się, aby rozdzielić walczące. — Ziomku, cóż pan stoisz z założonemi rękami. Pomóż mi — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

Ziomek również usiłował oderwać jedną kobietę od drugiej. Przysiadł Indyankę, chcąc oderwać jej ręce od głowy Głafiry Siemionownej, ale z namiotu wybiegła stara Indyanka, i zaczęła okładać pięściami ziomka, Mikołaja Iwanowicza i Głafirę Siemionowną.

Tym sposobem wywiązała się wzajemna walka.

Słyszac niezwykle krzyki, wybiegli garsoni z restauracyi, spiesząc na miejsce niezwyklej walki, popędzili za nimi i mali Indyanie.

Wreszcie powiodło się rozdzielić zacięte kobiety, obie dwie dyszały ze zmęczenia i z bójk, każda po swojemu groziła jedną drugiej.

— Ach ty nikizemna bezecnico — krzyczała Głafira Siemionowna — w moich oczach śmiesz całować mojego męża. Ty nikizemna duszo.

Indyanka ze swej strony także coś gwałtownie belkotała, grożąc pięściami Głafirze Siemionownie.

Kapelusz Głafiry Siemionowny leżał na trawie zmięty, zgnieciony, leżała także i parasolka połamana.

Ach, jakież wstyd! Ach, jaki wstyd! Głasza, uspokój się, upamiętaj! — mówił Mikołaj Iwanowicz, popychając ku ziomkowi Głafirę Siemionowną, z rozpuszczonymi, potarganymi włosami, w zmiętej sukni. Ziomek również był bez kapelusza i miał rozczochrane włosy i pomięty żakiet.

Mikołaj Iwanowicz podniósł z ziemi kapelusz ziomka i żony, oraz parasolkę.

Garsoni tudzież zebrana publiczność śmiała się, trzymając się za boki.

XXII.

Skoro nareszcie małżonkowie odzyskali zimną krew, zaczęli sobie wzajemnie czynić gorzkie wyrzuty.

— Tyś żądał tego, tobie się to podobało, chciałeś, aby przyszło do tak okropnego skandalu. Tyś jedynie tylko myślał o dzikich. Kontent jesteś z tej sceny bezpłatnej, postąpiłeś rzeczywiście jak kochający mąż. Przeniosłeś nad żonę jakiegoś wycierucha indyjskiego.

— Duszeńka, tyś sama temu winna. Tyś pierwsza uderzyła Indyankę w głowę parasolem — odpowiedział mąż.

— Uczyniłam to, co powinnam! Jak ona śmiała czepiać się ciebie. Wszak się z tobą całowała, obejmowała cię za szyję, jak najwstrętniejsza ulicznica. Przecież to widziałam na własne oczy. Jaka podła, nikizemna, całować męża wobec żony!

— Skądże ona mogła wiedzieć, że jesteś moją żoną — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Więc jeszcze pragniesz ją bronić? Tobie to sprawiało przyjemność. Tyś sam szukał tego, naumyślnie wszedłeś do ich chaty, jaka szkoda, że ja ją i ciebie nie uczęstowałam tym samym parasolem.

— Ja zupełnie o czemś podobnem nie myślałem i nie w tym celu wchodziłem do ich mieszkania. Także przyjemność znosić podobne pieszczoty od jakiejś tam brudnej i śmierdzącej baby — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Milez, bo wy to lubicie. Dla was wszystko jedno, byle była kobieta, czy brudna, czy śmierdząca, ale aby tylko nie żona.

— Ach Glasza! Glasza! jakże jesteś niesprawiedliwą. Ja poprostu chciałem tę Indyankę nakarmić resztkami gęsiny. Nigdy nie widziałem jak jedzą dzicy, pragnąłem więc przypatrzeć się i oto...

No dosyć, dosyć tego. Ja się z tobą w domu rozmówię. Chodźmy do domu.

— Duszeńko, pierwszej uspokój się, przyjdź do siebie. Nie można wracać do domu w takim stanie umysłu. Wstąpimy naprzód do restauracyi, tam jest niezawodnie garderoba kobieca, doprowadzisz więc do porządku swój kostyum, potem napijemy się nieco chłodnego wina — namawiał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Tego jeszcze brakuje, żebym po tym skandalu pokazała się publicznie w restauracyi — krzyknęła Głafira Siemionowna. — Chyba dostałeś pomięszania zmysłów. Już i tutaj śmiali się z nas garsoni i publiczność, a tam byłabym narażona na większe jeszcze pośmiewisko.

— Nie będą się oni wcale śmiali. Teraz śmiali się, bo nie wiedzieli co się dzieje, sama tylko scena wzbudzała śmiech. Zrozumieją oni doskonale, że to nie jest żaden skandal, ale proste nieporozumienie. Pójdziemy Glasza do restauracyi. Tam łatwiej uspokoisz się.

— Na taki wstyd narażać się nie myślę. Jakbym mogła po tem wszystkim spojrzeć na służbę. Przecież wszystkie lokaje widzieli jaka to była między nami walka.

— To cóż z tego? Wreszcie nikt nas tu zgola nie zna. Stanowczo nikt nas nie zna.

— Nie, nie, nie prosz nadaremnie. Jedziemy do domu.

Głafira Siemionowna prędko zaczęła doprowadzać do porządku swoje ubranie. Przystąpił do niej ziomek, który rozmawiał dotąd z garsonem, niewiadomo o czem i zaczął ją również namawiać.

— Ja również radziłbym pani — mówił ziomek — wejść do restauracyi i nieco uspokoić się. Tutaj są osobne gabinety. Można by wziąć osobny gabinet. Co zaś do tego, że pani obawia się drwinek służby, to zupełnie niepotrzebnie. Przeciwnie, wszystkie ubolewają nad tym tak fatalnym wypadkiem. Właśnie w tym względzie rozmawiałem z garsonem, są oni niezmiernie oburzeni zachowaniem się tej obrzydliwej indyjskiej czarownicy. Zdarzały się podobne wypadki i z innymi gośćmi. Służba cała opowiada niestworzone rzeczy o natrętności kobiet indyjskich. Odznaczają się one pijaństwem i rozpustą i jak tylko pojawi się jaki mężczyzna, natychmiast czepiają się go, domagając się wódki. Garsoni dziwią się, że dotąd policya nie wdała się w tę sprawę i pozwala tym przybyszom z Indyi na tak obrzydliwe skandale.

— Nie, nie, pan mię wcale nie przekona i nie zmusi do pozostania. Dość tego. Jadę do domu — rzekła Głafira Siemionowna stanowczo. — Mikołaj Iwanowicz, czegoż ty stoisz. Zabieraj się, jedziemy — krzyknęła.

Mikołaj Iwanowicz podniósł leżące na trawie pakiety z resztkami obiadu i powoli skierował się do wyjścia. Za nim postępował ziomek. Za ziomkiem szła Głafira Siemionowna.

— I gdzież to mają miejsce takie obrzydliwe skandale? Czy można uwierzyć, że w Paryżu, w ognisku światowej cywilizacyi bezkarnie uchodzi takie bezprawie? Pierwsza lepsza przybłęda rzuca się na szyję mężowi w przytomności żony a policya nawet nie wie o tem. Takim jest ów Paryż chwਾਲony pod niebiosą, do którego z rozmaitych stron świata zbiegają się ludzie, by się przekonać o tej cywilizacyi, aby zaczerpnąć tu światła i... wracają napowrót rozczarowani. Ono ognisko cywilizacyi jest wprawdzie ogniskiem... ale zgorzenia i zepsucia. Mikołaj Iwanowicz — rzekła Głafira Siemionowna, po tej długiej przemowie — oświadczam ci stanowczo, że jutro wyjedziemy z Paryża.

— Ależ moja duszeńko, w tak krótkim czasie nie mogliśmy jeszcze wszystkiego obejrzeć na wystawie — odpowie-

dział Mikołaj Iwanowicz. — Nie widzieliśmy jeszcze oddziału sztuk pięknych.

— Pal go licha i całą wystawę — krzyknęła ze złością.

Zapomniałaś przytem, że w magazynie *Louvre* zamówiłaś sobie kostyum, który nie będzie gotów wcześniej jak pojutrze — wtrącił nieśmiało Mikołaj Iwanowicz.

— Jutro pójdę sama do magazynu i będę prosiła, aby mi go koniecznie ukończono na wieczór. Wieczorem go otrzymam a w nocy wyjedziemy.

Trzeba nam pozostać koniecznie jeszcze choć trzy dni na wystawie — prosił Mikołaj Iwanowicz.

— Żeby znowu spotkać się z dzikimi. Dziękuję ci za tę przyjemność. Do domu, do domu, do domu!

— Sama jesteś temu winna. Nie trzeba było tej kobiety uderzać parasolem. Ja byłbym łatwo mógł znaleźć środek, pozbycia się natrętnej Indyanki.

— Ty? Ty? Ależ ty byleś uszczęśliwiony z jej towarzystwa. W oczach migaly ci jakieś djabelskie ognie, znieść tego nie mogłam. Bo i któraż żona byłaby tak cierpliwą i pozwoliła, aby w jej przytomności jakaś nędznica całowała jej męża.

Głafira Siemionowna prędko zwróciła się do wyjścia. Skoro znaleźli się w blasku palącego się gazu w latarniach, Mikołaj Iwanowicz zauważył, że ma ona twarz podrapaną i że płynie krew. Powiedział jej o tem, dodając:

— Przyłóż do twarzy chustkę. Indyanka widocznie zdrapała ci jakiś pryszczyk na twarzy.

— Plunąć na to. Na złość nie obetrę krwi, ani nie przyłożę chustki, niech widzą na co mię mąż naraził — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Do domu małżonkowie nie pojechali już koleją żelazną. Przy wejściu do ogrodu stał powóz do najęcia. Mikołaj Iwanowicz przywołał powóz i dopomógł żonie do wsiadania. Gdy żegnali się z rodakiem, ten mu szepnął na ucho:

— Mówilem panu, że nie jeździ się do Tuły ze swoim samowarem, a dziś miałeś pan tego dowód oczywisty. Gdyby

nie było przy panu żony, nie wydarzyłoby się nic nadzwyczajnego i przepędzilibyśmy cały czas bardzo przyjemnie, może nawet w towarzystwie Indyanek. Do widzenia. Adres państwa znam i jutro się do was zgłoszę — dodał, składając ukłon Głafirze Siemionownie, z Mikołajem Iwanowiczem pożegnali się uściskiem rąk.

XXIII.

Nazajutrz, po owym tak niefortunnym dniu, Mikołaj Iwanowicz obudziwszy się, przeciągnął się i otworzył oczy. Zobaczył też, że Głafira Siemionowna już nie spała. Stała ona w spodnicy i w nocnym kaftaniku przed lustrem, i pudrem nacierała sobie twarz. Skoro dojrzała, że się mąż obudził, zwróciła się ku niemu, mówiąc:

— Ta nikezemna kobieta w trzech miejscach podrapała mi twarz. Ale też dostało się i jej odemnie, dobrze obłożyłam ją parasolem. Zdaje się, że jej twarz przecięłam i także porządnie podrapalam. Wielka jedynie szkoda, że się złamała parasolka. Dziwię się tobie...

— Jak mówisz, duszeczko? — zapytał głosem pieszczonym Mikołaj Iwanowicz.

— Dziwię się, że tobie każda spodnica milsza niż żona.

— Czy ja temu winien jestem, że się mnie czepiła? Wszak sama widziałeś, że jak tylko weszliśmy, zaraz pochwyciła mię za rękę.

— Kłamiesz! Kłamiesz! Byleś z tego niezmiernie kontent. Gdyby ci to nie sprawiało przyjemności, byłbyś jej dał po zębach i zaprowadził do miejscowego policyanta.

— Także dziwna pretensya. Dziękuj Bogu, że nie było policyanta w pobliżności, bo by ta sprawa niezawodnie skończyła się w cyrkule policyjnym.

— Jak to?

— Było to bowiem naruszenie spokoju publicznego — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Wszak ona pierwsza zaczęła. Jakiem prawem mogła w podobny sposób obrażać legalną żonę.

— Za pieszczoty nie karzą, ale za awantury, a ty dopuściłaś się tego przekroczenia, uderzając ją parasolką.

— Dość już tego, dość. Rób co chcesz a ja nie myślę dłużej bawić w tym Paryżu, gdzie na każdym kroku można spotkać się z dzikimi. Dziś pójdziemy do magazynu *Louvre* i poprosimy żeby suknie moje były gotowe wieczorem, albo jutro rano i wyjedziemy natychmiast z Paryża.

— Ależ duszeczko, my nie widzieliśmy wcale samego miasta Paryża.

— Dziś najmiemy powóz i przejedziemy wzdłuż i wszersz Paryż. Na wystawę, gdzie dziki jedzie na dzikim i dzikim pogania, nawet jednym krokiem nie stąpię. Wiedz o tem, że to moje stanowcze postanowienie. Przedewszystkiem chciałybyśmy zwiedzić tak zwaną dzielnicę: *Cartier latin*. We francuskich romansach ciągle o niej jest mowa. Bardzo mię to ciekawia i pragnę koniecznie jej przypatrzeć się. Tam mieszkała Agnieszka, kwaciarka, tam...

Mikołaj Iwanowicz chciał coś powiedzieć, ale Głafira Siemionowna nie dopuściła go do głosu, przerywając:

— Milez. Milez! Każdy na twojem miejscu, po wczorajszym skandalu, nieśmiałyby ust otworzyć, podtuliwszy pod siebie ogon, a ty...

— Wszak nie ja, ale ty wywołałaś skandal...

— No dosyć już tego, dosyć! — krzyknęła Głafira Siemionowna.

Przygotowawszy herbatę na swoim herbatniku, małżonkowie spożyli śniadanie i punkt o godzinie dwunastej wyszli z domu. Była to niedziela. Paryż świętował. Sklepy i magazyny były pozamykane. Na ulicach nie ślaniali się robotnicy w bluzach, nie widać było nawet powozów do najęcia, chociaż publiczność snuła się gromadami i w omnibusach pełno było przejeżdżających w świątecznych sukniach. Głafira Siemionowna ciągle jeszcze podrażniona i w najgorszym humo-

rze, biegła szybko po chodniku a za nią postępował Mikołaj Iwanowicz.

— Godne podziwu, że niema ani jednego powozu do najęcia — zawołała z gniewem Głafira Siemionowna.

— Święto. Wszyscy są najęci. Przecież widzisz, co tu narodu spaceruje po ulicach. Ja sądzę, że i magazyn *Louvre* jest równie zamknięty.

— Kłamiesz! Kłamiesz! Naumyślnie tak mówisz, żebyśmy dłużej zabawili w Paryżu. Ale ja ci powtarzam, czy magazyn zamknięty lub nie, my z Paryża wyjedziemy.

Na rogu jakiejs przecznicy znajdowała się niewielka restauracyjka. Kilka stolików z krzesłami stało obok tego lokalu na chodniku, i za stolikami siedziała publiczność niższego rzędu, w czarnych surdutach, z fajkami, oprócz tego widać było i kobiety w pstrej toalecie, widocznie świątecznej. Publiczność pila kawę, wino czerwone, przegryzając grzankami, małąnkami bulkami, przekrojonemi wzdłuż z ułożonem na nich mięsem i serem. Tuż około restauracyi stał także i powóz do najęcia. Foryś, człowiek już podżyły, z twarzą gładko ogoloną i niezwykle dobrodusznym wyrazem oblicza, przywiązywał koniowi torbę z obrokiem.

— *Kosze! Wu zet libr?* — zapytała Głafira Siemionowna.

Foryś z wielkim szacunkiem zdjął czapkę i odpowiedział po francusku:

— Tak, *madame*, nie jestem zamówiony, ale jeszcze nie jadłem śniadania. *Il faut, que je prenne mon café*¹⁾. Gdyby pani raczyła nieco poczekać, zanim spożyję mój posiłek, to będę gotów do pani usług natychmiast. *C'est seulement un quart d'heure*. Niech pani raczy tutaj usiąść, każe sobie podać co do zjedzenia lub wypicia i zaczekać na mnie. Bardzo przepraszam, ale jestem głodny.

Odszedłszy od konia, foryś nawet podał krzesło Głafirze Siemionownie. Taka grzeczność i usłużność forysia niezmiernie

¹⁾ Muszę napić się kawy.

życzliwie usposobiła Głafirę Siemionową, to też uśmiechnęła się i wyrzekła: *Mersi*.

— Zdziwiająco pocieszny foryś — rzekła, zwracając się do męża. Prosi, aby na niego poczekać dopóki nie spożyje śniadania. Jak to grzecznie z jego strony. Należałoby naszym forysiom brać przykład z tego człowieka. Widzisz, że nawet podał mi krzesło. Niema rady, trzeba poczekać na niego, bo forysiów wolnych prawie zupełnie niema, a pieszo chodzić nie mam najmniejszego zamiaru. Siadaj. Trzeba coś zamówić, mnie również chce się jeść.

Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna umieścili się przy stoliku około drzwi restauracyi. Foryś, wszedłszy do wnętrza, przegryzając jakąś bułkę, czy też kawałek mięsa, usiadł także przy innym stoliku, nieopodal od małżonków.

— *Il faut beau temps, madame. N'est-ce pas?* — rzekł z uśmiechem, zwracając się do Głafiry Siemionowny.

— Boże mój, on nie tylko siadł obok nas, ale nawet rozmawia o pogodzie — rzekła Głafira Siemionowna.

— Zmiluj się, tylko nie zrób znowu jakiej awantury, nie dopuść się nowego skandalu — powiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Dlaczego ma być skandal! On bardzo grzeczny... Ja rzeczywiście nie wiem tylko, czy mam mu odpowiedzieć czy nie? Wszak to zwykły dorożkarz.

— Odpowiedz, jeżeli odnajdziesz w pamięci odpowiednie wyrazy. Ciebie przez to nie ubędzie.

W tej chwili kobieta w białym czepku, w fartuszkach i z bukietem kwiatów na piersiach, przyniosła i postawiła na stoliku, przy którym siedział foryś, kawałek chleba, trochę rzodkiewek i nieco masła, na talerzyku. Foryś zabrał się do jedzenia z wielkim apetytem.

XXIV.

Małżonkowie oczekując na forysia, kazali sobie podać sandwicze i czerwonego wina i przypatrywali się z ciekawo-

ścią, jak tenże siedząc prawie obok nich, spożywał rzodkiewkę z chlebem, posmarowanym masłem. Zjadłszy to, zażądał sera i czerwonego wina i znowu począł jeść.

— Rzodkiewka... ser... No, no, wszak on śniada wedle obyczaju arystokratycznego — rzekła Głafira Siemionowna, trącając męża. — Oto jak w Paryżu żyją dorożkarze: na śniadanie piją czerwone wino.

Foryś widocznie zauważył zachowanie się Głafiry Siemionowny, bo się uśmiechnął i skoro odkroiwszy kawałek sandwicza, Głafira Siemionowna, niosła go do ust, odezwał się:

— *Bon appetit, madame.*

Głafira Siemionowna podziękowała mu poruszeniem głowy i rzekła do męża:

— Zaczyna na dobre prowadzić z nami rozmowę. Czy słyszałeś, w tej chwili powiedział do mnie: Dobrego apetytu.

— Politura towarzyska, a raczej francuska — bąknął Mikołaj Iwanowicz.

— Ale i u nich są prostaki, a ten należy do osobliwości.

Dopijając czerwone wino, foryś znowu zwrócił się do małżonków i jakby chciał przeprosić, że na niego tak długo czekają, rzekł po francusku:

— Jeszcze tylko filiżankę kawy wypiję i wnet będę na usługi państwa.

— Nawet będzie pił kawę po śniadaniu, oto foryś osobliwy — przetłumaczyła mężowi Głafira Siemionowna.

Posługująca kobieta rzeczywiście przyniosła forysiovi wielką filiżankę kawy ze śmietanką i on powoli zaczął ją popijać. Przelknawszy kilka łyżek, odezwał się ponownie:

— Pan nie mówi po francusku?

Przyczem głową ukazał Mikołaja Iwanowicza.

— *Non... En pe il kompran, me ne parl* — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— *Il me semble, madame, que vous êtes russes.* Wzrok paryskiego dorożkarza nigdy nie myli się. Państwo jesteście Rosyanie?

— *Wuj. Nu som rius.*

Foryś podniósł w górę ceratową czapkę, cmoknął językiem i rzekł:

— *Brave nation!* I mogę państwu oświadczyć, że wszyscy sympatyzują z Rosyanami.

Nakoniec foryś jednym tchem wypił resztę kawy, położył na stoliku pieniądze należące się za śniadanie, powstał i rzekł uprzejmie:

— Jestem gotów teraz służyć państwu. Dziękuję serdecznie za państwa uprzejmość, żeście państwo byli laskawi na mnie czekać. Proszę siadać do powozu.

Powstali od stolika i małżonkowie. Głafira Siemionowna szła naprzód, za nią zaś postępował Mikołaj Iwanowicz, zbliżyli się do powozu i jak tylko Głafira Siemionowna okazała gotowość wejścia do powozu i postawiła nogę na stopniu, foryś podstawił jej rękę złożoną w kulak. Głafira Siemionowna zatrzymała się, niezmiernie zdziwiona.

— Niech się pani oprze, niech się pani oprze na mojej ręce — rzekł foryś, dodając: — O ja widzę teraz, że ten pan jest pani mężem, a mężowie w ogóle nie są zbyt grzecznymi kawalerami.

Głafira Siemionowna oparła się na rękę forysia i podziękowawszy wsiadła do powozu.

— Co to za foryś szerególny! — rzekła do męża. — On prawie zupełnie nie zakrawa na zwykłego woźnicę, z powodu owej wyszukanej grzeczności.

— Pragnie na herbatę otrzymać przyzwoitą sumkę i dlatego podehlebia się, jak może — odparł dość zgryźliwie Mikołaj Iwanowicz.

— Jednakże, zapewne widziałeś z jakim szarmanckim giestem podał mi rękę, zupełnie na sposób oficerski. Zresztą zwróć na to uwagę, że nie jest młody, ale stary.

— Wypolerował się! Staremu z większą przychodzi to łatwością.

Foryś tymczasem usiadł na koźle i powóz ruszył.

— Zadziwia mię nadzwyczajnie tak szarmancki woźnica — mówiła Głafira Siemionowna. — Czy wiesz, że on i ciebie już osądził z tego względu żeś mi nie pomógł do wsiadania.

— Za to może otrzymać doskonale po uszach. Jakiem prawem śmie robić uwagi nieprzyzwoite o gościu.

— No, no. Lepiej uczyniłbyś, gdybyś tę wczorajszą babę należycie zaciął po uszach. Tylko jakoś nie zebrało ci się na taką odwagę. Chcesz człowieka gładkiego i grzecznego wytargać za uszy, a tymczasem...

— Bo mu zasie od tego, żeby wyśmiewał męża w obecności żony...

— Daj pokój, daj pokój. Żaluję żem ci to powiedziała. Zbliżali się do magazynu *Louvre*.

— Otóż i luwrski magazyn — rzekł foryś, obróciwszy się do małżonków. Dziś niedziela, więc jest zamknięty, radzę pani odwiedzić go dopiero jutro.

— *Koman ferné? Ach kom se domaż* — zawołała Głafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanowicz, magazyn zamknięty, co tu robić — powiedziała, obróciwszy się do męża.

— Wszak ci to już mówiłem.

— W jaki sposób teraz można będzie poprosić, aby dziś wieczorem moja suknia była skończona? Ja stanowczo i nieodwołalnie nie życzę sobie pozostać w Paryżu choćby tylko jeden dzień. *Kosze! Pe te zapukać en pe a la port? Pe tetr* otworzą. Mogą *uwrir? Wuj?* Wszak tam zapewne są rachmistrze lub buhalterzy. *Areté kosze!*

Głafira Siemionowna kazala stanać forysiewi i wysiadłszy z powozu, zaczęła szukać dzwonka, lecz dzwonka przy drzwiach nie było. Zapukała więc kilka razy we drzwi.

— Nadaremnie, *madame*. Dziś magazynu nie otworzą — rzekł foryś. — Dziś wszyscy urzędnicy i oficyaliści świętują, najpewniej spacerują z damami swego serca, lub też wyjechali w okolicę dla świeżego powietrza.

Zapukawszy jeszcze kilka razy do drzwi, Głafira Siemionowna wróciła do powozu i z guiewem rzekła do męża:

— Wszystko jedno, pozostaniemy jeszcze jeden dzień w Paryżu, tylko zaznacz sobie na nosie, że ja na wystawę, dla spotkania się znowu z dzikimi ludźmi, nawet jednym krokiem nie stąpię. *Kosze! Kartie laten, že wu pri* — zawołała Głafira Siemionowna na forysia.

XXV.

Małżonkowie jechali wolnym klusem. Foryś co chwila odwracał się do nich i pokazywał im jaki gmach, mówiąc nieustannie, chociaż ani Mikołaj Iwanowicz ani Głafira Siemionowna nie rozumieli ani jednego wyrazu. Twarz Forysia jaśniała radością, to czasami przybierała wyraz wielkiej powagi, to znowu jakiegoś smutku, to nieustannie cmokał językiem, to kiwał głową. Widocznie sam najbardziej zachwycał się Paryżem.

— Mówi ładnie, ale jednak trudno zrozumieć — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Czy ty coś pojęłaś z jego opowiadania — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Właśnie że bardzo mało, co mię mocno martwi. Rozumiem nazwy kościolów i gmachów, oraz ulic, ale nic więcej. Właśnie przejeżdżaliśmy koło giełdy, na której stracił prawie cały majątek margrabia de Klermon.

— To znowu pewnie z jakiegoś romansu?

— Tak jest, pamiętasz zapewne, czytałam ci go — rzekła Głafira Siemionowna.

— Do licha. A ja myślałem, że to teraz się stało — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— Stracił cały majątek i został publicznym czyścicielem obuwia. Mnie się zdaje, że i ty to czytałeś.

— Nie pamiętam. Wiesz, jakie to moje czytanie. Kładę się na sofie, bierę książkę do ręki, otwieram, a po upływie minuty zasypiam. Dla mnie czytanie, to jakby krople na sen.

— A ja wszystko pamiętam, co czytałam. Dlatego to prawie wszystkie ulice w Paryżu niezmiernie dla mnie ciekawe, bo są opisane we francuskich romansach. Z tej przyczyny

właśnie pragnę zobaczyć dzielnicę lacińską, bo wszystkie tam miejsca, wymienione w rozmowach, znam doskonale.

Wjeżdżali do dzielnicy lacińskiej, foryś odwrócił się i rzekł po francusku:

— Ta dzielnica Paryża, nazywa się właśnie: *Cartier latin*.

— Tak, tak. Tu już na ulicach nie tyle snuje się ludzi — odezwiała się Głafira Siemionowna, rozglądając się z ciekawością dokola. — *Mersi kosze, mersi...* Tutaj to studenci, gryzетки, rozmaitego rodzaju robotnice i kwiaciarki przeważnie mieszkają — rzekła Głafira Siemionowna do męża.

— Co? — odpowiedział tenże, głośno ziewając.

— Alboż ciebie to nie zaciekawia, Nikola? Mnie zaś interesuje więcej niż cała wystawa.

— *Boulevard St. Michel!* — wygłosił foryś, kiedy wjechali w szeroką ulicę.

— *A! boulevard St. Michel!* — zawołała Głafira Siemionowna. — Ja sobie tak samo go wyobrażałam. Zupełnie podobny do Wielkiego Prospektu na Wasilowskiej wyspie. Ileż to razy pisali o tym bulwarze! Tutaj szwaczka, Klotylda, zajmująca się szyciem bielizny, poznała się z medykiem, Maline. I z pewnością jest tu gdzieś restauracya, w której pierwszy raz jedli śniadanie. Trzyma tę restauracyę ciotka Paté. Widzisz, że ja wszystko pamiętam.

— Mnie się zdaje, że ty tylko bredzisz.

— Bynajmniej. Tam było szczegółowe opisanie. Przy wejściu wisiał zegar, a nad zegarem jelenie rogi. Gdyby tam można było wejść, tobym zaraz poznała tę restauracyę z opisu.

Mikołaj Iwanowicz zadrżał.

— Dobrze, chodźmy tam. Czerwonego wina napiję się z wielką przyjemnością. Forysiowi można także dać.

— Poczekaj, przedewszystkiem trzeba odszukać tę restauracyę. *Kosze. Wu save u e restorant de tant Paté?* — zapytała Głafira Siemionowna.

— *Quel numero, madame?* — rzekł tenże, zwracając się do niej.

— Foryś zapytuje się o numer domu. Ja nie wiem.
Že ne se pa.

— *Alors il faut chercher? C'est un restaurant russe?*

— Jakto *rius? frans*. Ta ciotka Patè opisana, jako kobieta bardzo serdeczna. Kiedy Klotylda dopuściła się błędu i urodziła dziecko, to Patè zajęła się niemowlęciem i żywiła je koziem mlekiem. Klotylda zaś chora, leżała w klinice. Ja wszystko doskonale pamiętam.

— *Boulevard St. Germain!* — ukazał ręką foryś.

— I bulwar *sen Žermę* doskonale pamiętam. Tutaj mieszkał na strychu ten sam...

— Dajże pokój tym glupstwom — rzekł z ironią Mikołaj Iwanowicz.

— Dlaczego. To bardzo przyjemnie przypominać sobie wszystko. On był prowizorem w aptece...

— *La rue des Ecoles. La rue St. Jacques* — wyglądał foryś.

— Wszystko, wszystko pamiętam. Wszystkie miejscowości znane mi dobrze.

— *C'est la Sorbonne!*

— Ach Sorbona! To Sorbona! Przypatrz się, Mikołaj Iwanowicz. Tutaj i Józef, tutaj i Lazar uczyli się. Tutaj u antykwarza znaleźli rękopis z XVI wieku, wskutek którego okazało się, że Józef jest potomkiem księcia *Ovre* i jedynym spadkobiercą jego milionów.

— Hm! — bąknął Mikołaj Iwanowicz. — Wszystko to jednak wcale nie interesujące.

— Jakże nie interesujące, jeżeli ktoś to wszystko czytał — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Ja tego nie czytałem i w ogólności we wszystkich romansach są same kłamstwa.

— Kłamstwa? Popatrz tylko tam, obok żelaznych sztachet rozłożone są książki i antykwaryusz tam stoi. Tak też opisywał to i romans, o którym ci mówię. Widocznie była to prawda. Czy nie widzisz antykwarza?

— Bardzo dobrze. Chciałaś odszukać restauracyjkę, więc trzeba ją odnaleźć.

— Ty tylko ciągle myślisz żeby się jakim sposobem dorwać do restauracyi. Ty się nigdy nie nasycisz.

— Dziecko jesteś, ja tylko pragnę spełnić twoją wolę.

— *Collège de France* — rzekł foryś.

— I *kolleż de Frans*, doskonale pamiętam. Tu musi być także tawerna pod napisem: »Róg obfitości«. Niezawodnie ta — rzekła Głafira Siemionowna, ukazując brudną jakąś restauracyę, około której stało dwóch jakichś robotników w szarych bluzach i czarnych czapkach.

— Więc wejdziemy do niej — wykrzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— Weszłabym tam, dlatego że rzeźbiarz Karo przegrał w kości swoją żonę do artysty Briude, ale nie wiem czy to ta sama restauracya.

— Więc zapytaj się forysia.

— Zapytałabym go, ale nie wiem jak po francusku »Róg obfitości«. *Kosze! Kosze! Komman on nomm set tavern?* — powiedziała Głafira Siemionowna, zwracając się do dorożkarza.

— *Connais pas, madame. Mais si vous voulez visiter un restaurant ou il y a une dame, qui parle russe, alors-voilà!*¹⁾

Foryś wskazał restauracyę na drugiej stronie ulicy.

— Co on mówi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz?

— Oto pokazuje restauracyę, w której jest dama, mówiąca po rosyjsku.

— Koniecznie trzeba tam wejść. Dlaczego nie kazałaś mu się zatrzymać. Czy ta dama francuska?

— *Kosze, set in dame franse, ki parl rius?* — zapytała Głafira Siemionowna.

— *Oui, oui, madame. Elle a été à Petersbourg...*

— Tak francuska, ale bawiła w Petersburgu.

¹⁾ Nie wiem, ale jeżeli pani chce zwiedzić restauracyę, w której właścicielka mówi po rosyjsku, to ta właśnie.

— Doskonale. *Kosze!* Stój! Stój! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

— *Kosze. Arrete. Il fo wuar cet dam.*

Foryś zaciął konie i podjechał do wskazanej restauracji.

XXVI.

Restauracyjka, do której weszli małżonkowie, należała do traktierni pośledniejszego gatunku. Można ją było nazwać po prostu szynkiem, gdzie oprócz wina sprzedawano równie chleb, jaja, rzodkiew, które też leżały na ladzie wraz z blaszanymi lejkami, używanymi do nalewania piwa w butelki. Za ladą stała silnie rozrosła i otyła, już nie pierwszej młodości kobieta, brunetka, z wielkimi lukowatymi brwiami, widocznie poczerwionemi, i z maleńkimi wąsikami na wierzchniej wardze. Mięiste jej ręce z palcami tłustemi, na których widać było mnóstwo pierścieni nie drogich, zaledwo schodziły się z sobą, to jest łączyły, na olbrzymim brzuchu. Kobieta ubrana była w czarną suknię. Przy ladzie stało dwóch chudych francuzów, jeden z wąsami, podobnymi do wąsów karalucha, drugi z małą bródką, jak u kozła, i bardzo jakoś romantycznie rozmawiali z tą niewiastą. Restauracyjka obejmowała tylko jeden pokoik, na podłodze wałaly się obierzyny z rzodkwi i skorupy ze zjedzonych jaj. Na ścianach wisiały niezbyt moralne litografie, w starych, już dobrze popstrzonych przez muchy ramach, odznaczały się jaskrawemi farbami a przedstawiały rozstrzelanie słonia podczas oblężenia Paryża, mapę Europy pod przenośnemi postaciami panujących, jakoż Rosyę wyobrażał olbrzymi niedźwiedź, a zaś Niemcy pruska pikielhauba i bagnet i t. p. Czuć było zapach wina. Stolików było sporo, ale tylko przy dwóch siedzieli goście. Przy jednym dwóch Francuzów, bez surdutów, grało w domino, przy drugim siedział samotny gość, w wysokim francuskim *kepi*, mając przed sobą butelkę z winem czerwonym, z wielkiem zainteresowaniem czytał: *Petit journal*. Co do posługi, pełniła ją tylko jedna dziewczyna,

bardzo młoda, w fartuszkach ceratowym i z małą torebką zawieszoną u pasa.

Wszedłszy do restauracji, Głafira Siemionowna, chciała się wstecz cofnąć.

— Jakiś szynk! POCO my tu weszli? — rzekła, patrząc z ukosa na Francuzów bez surdutów, palących cygara i buchających dymem.

— Nie stało się przecież żadne nieszczęście! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Nikt nas tutaj nie zna. Ale za to poznamy Francuskę, mówiącą po rosyjsku. Siądź ot przy tym stoliku.

Skoro małżonkowie usiedli, poskoczyła do nich posługująca dziewczyna i zatrzymała się jakby pytając co sobie życzą.

— Ktoż tu u was mówi po rosyjsku? Czy panienka mówi po rosyjsku — zapytał dziewczyny Mikołaj Iwanowicz.

— *Comprends pas, monsieur* — odpowiedziała.

— Jak to nie *comprend*. Nam powiedziano, że tutaj mówią po rosyjsku.

— *Nu som riu e kosze nu za di, ke isi parl riu* — zapytała się ze swojej strony Głafira Siemionowna.

— *Ah! oui. C'est ça* — odpowiedziała, uśmiechając się dziewczyna i zwróciwszy się do tłustej kobiety, stojącej za ladą, zawołała:

— *Madame Bavolet! Voilà des personnes russes, qui desirent vous voir*¹⁾.

Tłusta kobieta uśmiechnęła się i zbliżyła się do stolika, przy krórym siedzieli małżonkowie.

— *Ah, que j'aime les russes! Monsieur et madame sont de Petersbourg ou de Moskou*²⁾. Ja mieszkałam i w Petersburgu i w Moskwie, i do tej pory zachowałam jak najmiłsze wspomnienie o Rosyanach — wypowiedziała jednym tchem Francuska.

¹⁾ Pani Bavolet, oto są Rosyanie, którzy życzą sobie widzieć panią.

²⁾ Ach jak ja lubię Rosyan. Państwo zapewne są albo z Moskwy, albo z Petersburga.

— Czekaj pani, czekaj? — przerwał jej Mikołaj Iwanowicz — więc pani mówisz po rosyjsku?

— Tak, ja mówiłam po rosyjsku, *mais à présent c'est très difficile pour moi. Madame parle français?* — rzekła tłusta kobieta, zwracając się do Głafiry Siemionowny.

— *Wuj madame, en pe...* — z pewną niechęcią odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Powiedz jej, żeby siadła przy nas — szepnął żonie Mikołaj Iwanowicz.

— *Prene plas, madame.*

Kobieta przysunęła krzesło i usiadła.

— Ja, artystka — rzekła po francusku. — Ach *monsieur*, gdybyś pan wiedział, jaki miałam rozgłos. Ale zaziębiłam się, zachorowałam i utraciłam mój kapitał. Ja byłam śpiewaczką. Miałam *engagement* i jeździłam do Petersburga. *Vous devez savoir Egareff? Jardin de Demidoff?* Ogród Demidowa, wyrzekła te dwa wyrazy po rosyjsku. Tam była moja arena. A! *monsieur*, Rosyanie umieją cenić talenta, umiają uszanować artystów.

— Ale pani umiesz po rosyjsku? — przerwał jej Mikołaj Iwanowicz.

— *Oh! oui, monsieur. Je me souviens de quelques mots, Izwoszczyk... Wino... Wodka... Botwina...* O jakaż to wyborna rosyjska potrawa, botwina. Botwina wraz z lososiną.

— Tak, ale to są tylko pojedyncze wyrazy, mówić pani jednak nie potrafisz? *Parle rrus ne komprene pa.*

— Tak, tak. Mówiłam po rosyjsku — dokończyła po francusku — ale dla braku użycia tego języka, zapomniałam. Tutaj są rosyjscy studenci, często tu przychodzą i my nieraz bardzo długo rozmawiamy o Rosyi. *Mużyk* (chłop), *bulka*, *na czaj* (na herbatę), *tri rubli na czaj* (trzy ruble na herbatę). *C'est pour boir.*

— To wcale nie wiele umiesz pani po rosyjsku. *Pe rrus, pe, pe.*

— *Oui, oui, monsieur. A présent j'ai oublié... Mais votre madame vous traduit. Et trojka* (trzy konie). Ach jaka to rozkosz trójka. *Trojka, jamszczyk* (foryś) *c'est ravissant.*

— Głasza! Co ona tam rozpowiada? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna jak mogła tak przetłumaczyła to swemu mężowi.

— Aho, to ona aktorka. To ona wspominała o Egarefie i o Denisowskim ogrodzie — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Bardzo nam przyjemnie, *madame* — rzekł, wyciągając do pani Bavolet rękę. Jak »przyjemnie« po francusku — zapytał żony.

— *Szarman.*

— *Szarman. Szarman madame*, że pani jesteś i byłaś aktorką.

Tłusta kobieta ożywiła się i z kolei uściśnęła rękę Mikołaja Iwanowicza.

— Byłam artystką. I jaką artystką! Mnie obsypywali kwiatami — mówiła w dalszym ciągu po francusku i wreszcie dodała zniżonym głosem: Teraz zaś, muszę oto dusić się w tej malej restauracyjce. Trzymam mały bufet, mówiąc szczerze: *un petit cabaret*¹⁾. To mój bufet. Do mnie on należy i jestem dość zadowolona z mego losu.

— Pies ją wie, co ona tam mamrocze. Pal ją licho — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz i rzekł: — Pani jesteś artystką, a my jesteśmy kupcy, *marszan, Biurwon!*

— *Qu'est ce que vous voulez prendre, monsieur?*²⁾.

— *Wen ruż* i na zakąskę winogrona. *Rexan. Rexan. No bien wen.*

— *Du bon vin? Il faut chercher, monsieur. Mademoiselle Marie!* — rzekła kobieta, zwracając się do dziewczyny i podając wielki klucz, coś jej długo mówiła po francusku. *Tout de suite, monsieur... vous recevez* — rzekła i na nowo oddała się wspomnieniom o Rosyanach i Petersburgu, mięsza-

¹⁾ Mały szynk. ²⁾ Czego życzysz pan sobie napić się.

jąc do rozmowy rosyjskie wyrazy, jak: *Gostinnoj dwor* (bazar), *piroque russe*, *kwass*, *sterletti*, *czelowiek*, *kazak*.

Po upływie pięciu minut dziewczyna przyniosła butelkę wina i postawiła ją z dwoma szklankami na stole.

— *Voyons, monsieur, c'est quelque chose d'extraordinaire* — przemówiła tłusta kobieta, uderzywszy palcami po butelce i zaczęła rozlewać wino w szklanki.

XXVII.

Madame Bavolet, opasła właścicielka sklepu winnego, czyli prostej winiarni, okazała się znakomitym pijakiem.

Nalawszy wino w szklanki, odezwała się chrypliwym, kontraltowym głosem:

— *Ah! que j'aime les russes. Ah, que je suis bien aise de voir monsieur et madame! Buons sec! Avec les russes il faut boire à la russe!*¹⁾ Twoje zdrowie duszeńka! — zawolala nareszcie po rosyjsku, trącąc się z małżonkami, wypila odrazu całą szklankę, i podniosła ją do góry, uderzywszy o grzebień, wystający z jej włosów.

— Oto baba! Pije jak z nut! — niechętnie wypowiedziała Głafira Siemionowna, z podziwieniem przypatrując się właścicielce winiarni. Ależ to jakaś awanturka.

— Mniejsza z tem. Zawsze to osoba, która mieszkała w Rosyi. Bardzo przyjemne spotkanie. Chwali nadzwyczajnie Rosyan — przerwał Mikołaj Iwanowicz żonie i również dopił swej szklanki.

Głafira Siemionowna tylko umoczyła usta. To nie uszło uwagi właścicielki winiarni.

— O nie, *madame*... tak nie można. Tak Rosyanie nie piją. Trzeba pić do dna, żeby kieliszek lub szklanka była zupełnie sucha — rzekła po francusku i zaczęła nakłaniać Głafirę Siemionownę do wypicia szklanki.

¹⁾ Ach ja kocham Rosyan! Jakże jestem kontenta, widząc państwa. Z Rosyanami trzeba pić po rosyjsku, do dna!

Głafira Siemionowna odmówiła. Gospodyni nie ustawała ją namawiać. Ujął się za żoną Mikołaj Iwanowicz.

— Jak głowa po francusku — zapytał.

— *La tet*.

— Ona chora. Ona *mal* na *tet* — rzekł, zwracając się do francuski, ukazując ręką na głowę żony.

— *Mais c'est du bon vin, madame, que je vous donne.* Od tego wina nigdy głowa boleć nie będzie. Pan zna *monsieur* Petriwsky à *Petersbourg*. *Je crois qu'il est colonel à présent.* My z nim bawiliśmy się doskonale w Petersburgu. To był człowiek wesoly i lubił pić. *Et même très riche... Beaucoup d'argent.* Dużo pieniędzy.

Nieustannie paplala tłusta francuska, wymieniając ulice i francuskie restauracye w Petersburgu.

— Newskij, Wielka Morskaja, restauracya Borela, Sarmarkand... Ja sędzę, że teraz wszystkie te ulice i restauracye w Petersburgu jeszcze piękniejsze niż dawniej. *N'est ce pas, monsieur? A Newa? Newa? C'es un fleuve ravissant!*

Małżonkowie w części tylko rozumieli Francuskę, i jak mogli zadawali jej ciekawość, łamiąc i kalecząc język francuski, mieszając do tego rosyjskie wyrazy i objaśniając, o ile się dalo wymownymi gestami. Głafira Siemionowna zaczęła co chwila poziewać. Jej wcale nie podobalo się towarzystwo aktorki zbyt swobodnego życia.

Eks-śpiewaczka opowiadała w dalszym ciągu o swojej przeszłości po francusku:

— Wszysey moi koledzy zebrali już kapitały a przy mnie, ze względu zbyt czulego serca mojego, pozostały jedynie okruchy, za które otworzyłam ten zakładzik. Tak, *monsieur*, umiałam żyć i żyłam rzeczywiście dostatnio, lecz utrata głosu, zmiana mojej osoby pod względem korpusu ciała (pokazała ręką na zbyt pulchne członki) *et les circonstances*...

Nie dokończyła i machnąwszy ręką, dodała:

— *Et à présent je suis une pauvre veuve... et rien de plus.*

— Wdowa, wdowa — przetłumaczyła mężowi Głafira Siemionowna, pochwycawszy ten wyraz jako dla niej zrozumiałe. — Mówi, że biedna wdowa.

— Wdowa. Więc kobieta otwarta, szczerza. Całe życie swoje opowiedziała — rzekł Mikołaj Iwanowicz i dość familiarnie poklepał właścicielkę winiarni po ramieniu, dodając: Lubię panią za jej szczerłość. Glasza, jak po francusku, otwartość? Przetłumacz.

— Nie wiem.

— Otóż masz. Nie nie wiesz. Lubię panią całym sercem, całym sercem. *Wu komprene. Non.* Przynajmniej mi powiedz, jak dusza po francusku.

— Dusza, *lam.*

— *Za lam madame*, lubię, za *wotr lam*. Za czystą, szczerą, serdeczną duszę. *Pur wotr bian lam.*

Francuska zrozumiała, wyciągnęła rękę i silnie uściskała rękę Mikołaja Iwanowicza.

— *Merci monsieur... Blagodariu* (dziękuję panu). *Voilà je me souviens encore de quelques mots russes.*

Mikołaj Iwanowicz, ujęty tem postępowaniem gospodyni, chciał nalać z butelki wina, ale butelka była próżna. Zauważyła to Francuska i rzekła:

— To była moja butelka, *monsieur. C'est de moi, c'est pour les voyageurs russes que j'adore*¹⁾, ale teraz możesz pan żądać wszystkiego czego potrzebujesz.

— Tą butelką ona nas ugościła, uczęstowała — przelożyła po rosyjsku Głafira Siemionowna. — Oto sprytna baba! Za granicą jeszcze nas nikt nie częstował — dodała, i gościnność tłustej Francuski nieco sympatyczniej usposobiła Głafirę Siemionowną. — Chociaż nie mam wielkiej chęci, żebyś jeszcze więcej pił, ale jednak wypada nową butelką odpowiedzieć na jej przyjęcie.

¹⁾ To była moja butelka, to dla uczczenia podróżnych rosyjskich, których uwielbiam.

— Koniecznie, koniecznie — zawołał Mikołaj Iwanowicz, i dziękując Francusce za jej gościnność, kazał podać szampańskiego wina. *Shampain, madame.*

Szampańskiego wina nie było w winiarni, ale tłusta Francuska natychmiast posłała posługującą dziewczynę i butelka zjawiała się na stole.

Tłusta Francuska sama odkorkowała ją i zaczęła nalewać do szklanek.

— Za zdrowie Francuzów! *Pur le Frans* — wygłosił Mikołaj Iwanowicz.

— *Vive la France! Vive les Français* — odpowiedziała Francuska, wstając z krzesła, wyprostowała się w całej swej postawie i efektownie, po rycersku, z teatralnym patosem, wzniosła do góry kieliszek.

Na wykrzyk: *Vive la France!* odezwali się Francuzi, siedzący bez surdutów, krzycząc równie: *Vive la France!* Mikołaj Iwanowicz tedy zaraz zażądał dwa kieliszki i prosił Francuzów o wypicie, przedstawiając się jako człowiek rosyjski. Francuzi przyjęli propozycję i krzyknęli w odpowiedzi: *Vive la Russie.* Wszyscy tedy połączyli się, zasiadłszy przy stoliku. Czekaający na ulicy na Mikołaja Iwanowicza i Głafirę Siemionowną foryś, usłyszawszy głośnie wykrzyki, wszedł do winiarni, i dla niego też zażądał Mikołaj Iwanowicz kieliszek. Okazało się, że jednej butelki za mało, trzeba było zatem posłać po drugą.

— *De butel! De butel!* — zawołał na służącą Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna zaczęła ciągnąć męża za rękaw.

— Dosyś, dosyć. Nie posyłaj po więcej. Daj mój kieliszek forysiowi. Ja wcale pić nie będę — mówiła, ale powstrzymała już teraz Mikołaja Iwanowicza było niepodobieństwem.

— Nie można, nie można duszeńko. Piją zdrowie Rosyan, pijemy zdrowie Francuzów, więc ani myśleć ażeby wystarczyła jedna tylko butelka. Powstrzymaj mię w innem miejscu, ale tutaj nie można. Wszędzie cię posłucham, ale tutaj nie mogę.

Skoro pojawiły się nowe dwie butelki wina szampańskiego, foryś przysiadł się także do małżonków. Chciał widocznie im coś opowiedzieć, dotykał się bowiem swoich piersi i wymawiał wyrazy *royaliste*, ale ani Mikołaj Iwanowicz, ani Głafira Siemionowna wcale go nie rozumieli.

Tłusta pani Bavolet coraz więcej ożywała się.

Z początku sprzeczała się z Francuzami bez surdutów, wspominając z zachwytem cesarza Ludwika-Napoleona i podając rękę forysiowi znowu coś przemówiła o Petersburgu. W końcu z kieliszkiem w ręku, wyszedłszy na środek sali, zaśpiewała głosem rozbitym, dźwięczącym jakby w garnku, skrzeczącym, znaną śpiewkę: *Ah, que j'aime les militaires*¹⁾. Śpiewka była nieprzyzwoita, *madame* Bavolet często pokaszliwała, ale tem więcej Mikołaj Iwanowicz i cała męska publika zachwycała się i wpadła w zapał.

— Bravo! Bravo! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz za każdym kupлетem.

Głafira Siemionowna zadąsana, namawiała męża aby wrócili do domu, ale ten wcale nie słuchał i widząc, że dwie poprzednio przyniesione butelki są próżne, stuknął nimi w marmurowy stolik, wołając:

— *Ankor szampan! Ankor de butel.* Za zdrowie Francuzów jestem gotów pić zawsze.

XXVIII.

Biesiada, wyprawiona w winiarni tłustej *madame* Bavolet przez Mikołaja Iwanowicza, przybierała coraz większe rozmiary. Już wypito ośm butelek szampańskiego wina, na stole stał koszyk z gruszkami i winogronami. Towarzystwo, składające się z obojga małżonków, *madame* Bavolet, dwóch Francuzów bez surdutów i forysia ożywiało się coraz więcej. Wyjątek stanowiła Głafira Siemionowna, która błagała Mikołaja Iwa-

¹⁾ Ach jak lubię wojskowych.

nowicza, aby wrócili do domu, ale on na jej błagania nie zwracał najmniejszej uwagi. Jak to zwykle bywa u ludzi rozgorączkowanych winem, wszyscy odrazu mówili, a nikt nie słuchał. Język rosyjski brzmiał dość dziko pośród rozmowy francuskiej. Jego nikt nie rozumiał, ale jemu zdawało się, że go wszyscy rozumieją. Z Francuzami nieustannie ścisnął się za ręce, klepał ich po ramieniu, jeden z Francuzów bez surduta, wspominając coś o Alzacyi i Lotaryngii, nawet pocałował się z nim serdecznie. Pili zdrowie Rosyan, pili oddzielnie zdrowie Kozaków a nawet zdrowie saperów, nie wiadomo z jakiej przyczyny. Ostatni toast wypila sama pani Bavolet i powtórnie stanawszy na środku winiarni odśpiewała drugą szansonetkę, tym razem na cześć saperów, poczynając się od słów: *Rien n'est sacré pour un sapeur!*¹⁾.

Powtórny okrzyk: brawo! powtórne oklaski, chociaż śpiew był poniżej wszelkiej krytyki. Znakomita porcja wina, jaką wlała w siebie *madame* Bavolet, zupełnie pozbawiła sławną niegdyś śpiewaczkę głosu. Lecz oklaski i brawa widocznie sprawiały jej niewypowiedzianą przyjemność. One bowiem przypominały jej świetne czasy występów w teatrze. Jak stary kawaleryjski koń, posłyszawszy dźwięki wojennej trąby i bębna, nawet zaprzężony do wozu, stara się stapać podług taktu, tak i *madame* Bavolet przykładając ręce do serca, kłaniała się na wszystkie strony. Raz nawet wedle dawnego przyzwyczajenia, nabytego w teatrze, posłała ręką pocałunek Mikołajowi Iwanowiczowi, który najdonośniej ze wszystkich krzyczał brawo i najenergiczniej klaskał w ręce. Przy tym pocałunku, rozmarzona winem niewiasta, wyrzekła *pour mon bon russe*²⁾. Głafira Siemionowna słysząc to wybuchnęła gniewem i zwróciwszy się do męża rzekła:

— Jak sobie chcesz, ale jeżeli natychmiast nie wrócisz do domu, ja stąd sama odjadę.

¹⁾ Nic nie istnieje świętego dla saperów.

²⁾ Dla mego zacnego Rosyanina.

— Natychmiast! Natychmiast Głaszeńka, zaczekaj chwileczkę... Pierwszy raz dopiero zdarzyło mi się spotkać z ludźmi gorącego serca — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — To są Francuzi, kochający Rosyę całą duszą.

— Ale musisz zapewne zrozumieć, że mi się chce jeść. Wszak dzisiaj nie jedliśmy obiadu. W tutejszym szynku prócz śmierdzących jaj i rzodkiewki nic nie dostanie, a to wcale nie byłby obiad.

Madame Bavolet spostrzegłszy, że Głafira Siemionowna zabiera się do odejścia, poskoczyła do niej i zaczęła grzecznie prosić, aby nie odechodziła.

— *Me nu vulon dine. Nu navon pa ankor dine ożur-dwi* — odpowiedziała jej Głafira Siemionowna.

— *Dîner? Vous n'avez pas diné, madame? Alors tout de suit je vous procurerai le dîner*¹⁾ — i natychmiast posłała po obiad.

Przyniesiono gotowanego homara, wędlinę i chłodny pasztet. Głafira Siemionowna dąsała się i spróbowała tylko wędliny, ażeby uspokoić głód, ale rzeczywiście chciało się jej jeść. Francuzi bez surdutów rzucili się na homara.

Teatralne przedstawienia jednakże *madame* Bavolet następowały nieustannie z kolei: Po drugiej szansonetce, poszła trzecia, za trzecią czwarta, z dodatkiem unoszenia w górę sukni i zamasztych ruchów. Potem nastąpiły aryjki z operetek. *Madame* Bavolet przyśpiewywał także Fracuz bez surduta, to jest właściwie akompaniował, ale ponieważ oboje byli pijani, zakrawało to na kocią muzykę. Skończyło się na tem, że *madame* Bavolet zaczęła tańczyć kankana. Niezgrabnie jakoś podskakiwało jej olbrzymie cielsko, tłuła się bowiem o krzesła i stoliki. Ciężkie, grube, jak u słonia, nogi podnosiły się jak stufuntowe ciężary, mimo to jednak Francuz bez surduta, wystąpił także jako tancerz *vis à vis* szalejącej tłuściochy. *Ma-*

¹⁾ Jeść obiad! Pani nie jadłaś obiadu? Więc natychmiast każę przynieść.

dame Bavolet sapala jak miech kowalski, ale mimo to starała się odpowiadać godnie swemu danserowi. Mikołaj Iwanowicz patrząc na taniec, coraz bardziej zachwycał się i nie zdołał powstrzymać się od pokusy.

— To było *frans* — krzyknął — a to *a la riuss* — i puścił się kozaka, przysiadując i wysuwając to prawą, to lewą nogę, jak tego wymaga narodowy rosyjski taniec, przezywany *dropak!*

Tego już nie mogła znieść Głafira Siemionowna. Rozplakała się i wybiegła z winiarni.

— Głasza! Głasza! Gdzie ty idziesz? Poczekaj chwilę — rzucił się za nią Mikołaj Iwanowicz i zaczął prosić, aby pozostała jeszcze chwilę.

— Nie, już nie mam siły. Dość tego — odpowiedziała z gniewem i z płaczem, stojąc na progu winiarni, a następnie zawołała na forysia: *Kosze! Je we do domu. Ze we u lu mexon. Wene isi e parton à la mexon.*

Foryś wybiegł za Głafirą Siemionowną i ze współczuciem wyrzekł:

— *Madame est malade, je vois que madame est malade!*¹⁾ — poczem dopomógł jej przy wsiadaniu do powozu.

— Pozwól mi przynajmniej zapłacić za wino, i ja także pojedę z tobą — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Djabie! Szatanie! Bezduszne bydlę! Nie chcę wcale z tobą razem jechać. Pozostań z temi pijakami, umizgaj się do tej obrzydliwej baby. Załatwić potrafię rachunek z forysiem, bo i przy mnie znajdzie się złoto. Zobaczę, jak ty się będziesz błakał po Paryżu bez języka. *Kosze! Alle! Alle! Kosze!* — zawołała na forysia, który już siedział na kozle.

— Ależ ja mogę natychmiast... w tej sekundzie... — mruzczał Mikołaj Iwanowicz. — *Madam! Kombię.* Wiele *arizan* — zawołał na Francuskę, zwróciwszy się ku otwartym drzwiom, ale już foryś zaciął konie. — Głasza! Głasza! Za-

¹⁾ Pani jest chora, widzę że pani jest chora.

czekaj! — rozległ się głos Mikołaja Iwanowicza za oddalającym się powozem.

Z powozu nie było żadnej odpowiedzi.

Wybiegła na ulicę *madame* Bavolet, wybiegli i Francuz bez surdutów i otoczyli Mikołaja Iwanowicza.

— *Madame est partie? Il me semble, que madame est capricieuse, mais ne pleurez pas, nous nous amuserons bien* ¹⁾ — mówiła *madame* Bavolet, jakby szydząc i drwiąc z Mikołaja Iwanowicza i wzięwszy go pod rękę, zaprowadziła napowrót do winiarni.

Pozostawszy w kompanii sam jeden, Mikołaj Iwanowicz, zrozumiał nareszcie, że jest na lasce swoich towarzyszy, nie posiadając zgola języka francuskiego, gdy tymczasem Głafira Siemionowna była dlań przewodnikiem i tłumaczem. Zapas słów francuskich posiadał bardzo ograniczony, który składał się jedynie z wyrazów, jak się sam wyrażał, trunkowych, napojowych, pomimo to oddał się całą duszą hulance. Musiał tedy mimiką nadrabiać, aby się porozumiewać z amatorami butelki i jako tako rzecz wyjaśniać. Chociaż mu się język płątał, bo już dobrze miał w głowie, mówił nieustannie i rzecz dziwna, skutkiem jego wymownych ruchów, rozmowa prowadzona była z ogólnem zadowoleniem. Mówił zaś głównie o Petersburgu, o swoim sposobie życia, o żonie i o handlu.

— *Ma fam bien fam*, ale nie lubi *boar wen*. *Non boar wen* — tym sposobem próbował usprawiedliwić nagły odjazd Głafiry Siemionowny, przy tem zaś uderzał palcami po butelce i wstrząsał głową z przeczeniem.

— *Oh! monsieur! Presque toutes les femmes son de cette façon* ¹⁾ — odpowiedział jeden z Francuzów bez surduta.

— Jak żonaci mężczyźni, tak i zamężne kobiety, nieszczęśliwi ludzie. Ja to wiem sama z doświadczenia — twier-

¹⁾ *Madame* odjechała. Zdaje mi się, że pani jest kapryśną, ale nie płacz pan, będziemy się wybornie bawili.

²⁾ O panie! Prawie wszystkie kobiety są takiego usposobieni-

dziła, poczerwieniawszy na twarzy, wdowa, *madame* Bavolet. Teraz jestem wdową i za żadne skarby w świecie, nie zmieniałbym swojego stanu.

Miała włosy rozczochrane, wysoki grzebień, tkwiący we fryzurze, przekręcił się na bok, twarz pokryła się potem, a brwi, skutkiem spocenia się, przedstawiały rozmazaną czarną farbę. Już zupełnie była pijana, ale mimo to ciągle trącała się z Mikołajem Iwanowiczem i mówiła:

— Pijmy *monsieur*, ale do sucha, do sucha!

— Dlaczego pani mówisz mi *musie*? Dlaczego *musie*? Trzeba mówić po rosyjsku. *A la rrus*. Ja, Iwanowicz Mikołaj — rzekł, uderzając się ręką w piersi.

— *Oui! Oui! Je me souviens... Petr Iwanicz, Iwan Iwanicz* ¹⁾...

— Mikołaj Iwanycz — powtórzył Mikołaj Iwanowicz.

— *Nikolas Iwanitsch. Burons sec, Nikolas Iwanitsch. Et votre nom de famille?*

— Familia? *Marszan* Iwanów.

— *Voyons, monsieur. Moi je suis aussi marchand. Je suis gantier* — wyrwał się niespodzianie jeden z Francuzów. *Vous comprenez: gantier.*

I dla zrozumialszego wyjaśnienia, wydobyl z kieszeni na piersiach, rękawiczki.

— Rękawicznik? Prowadzisz pan handel rękawiczkami? Rozumiem. A ja handluję linami i powrozami. Oto...

Mikołaj Iwanowicz zaczął szukać powrozu, a znalazłszy sznurek na szyjce butelki po szampańskim winie, okazał go Francuzowi.

— Aha lina...

Oderwał sznurek z butelki i pokazał na palcach szerokość i grubość. Francuzi zrozumieli.

— *Tiu marszan i że marszan, de marszan. Rękę!* — wołał Mikołaj Iwanowicz, wyciągając rękę.

¹⁾ Tak, tak, pamiętam. Piotr Iwanicz, Iwan Iwanicz.

Nastąpił toast: *Vive la France! Vive la Russie!* — i na nowo zaczęła się pijatyka.

— *A la ruis* — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i zaczął się całować ze wszystkimi. Trzykrotnie wymieniając pocałunek wedle obyczajów panujących w Rosyi. *Trua! Trua!*

Madame Bavolet, ze szczególnem upodobaniem i przyjemnością, cmokała go swojemi grubemi wargami.

Winiarnia już od dawna była zamknięta. Wino lało się rzeką. Wypito bardzo dużo. Pamięć już od dawna stracił Mikołaj Iwanowicz, nie wiedząc zgoła gdzie się znajduje.

Po niejakiem jednak upływie czasu coś mu się płacze po głowie, coś sobie przypomina, że oni gdzieś wyjechali, w powozie o czterech siedzeniach, zaprzężonym parą koni. On, to jest Mikołaj Iwanowicz siedział razem z *madame* Bavolet, ubraną w wysoki kapelusz, z wielkim rondem, z olbrzymią ilością czarnych, czy też białych piór. Dwaj Francuzi siedzieli na przodzie, naprzeciw nich. Przypomina sobie jakiś ogród, oświetlony gazem, coś w rodzaju teatru, kobiety nadzwyczajnie wydekoltowane, które śpiewały i tańczyły, przypomina sobie dźwięki orkiestry, różnobarwną publiczność, wściekle tańce; przypomina, że oni coś jedli w jakimś pokoju, zdobnym w jasne, złocone tapety, że siedział z jakąś Francuską, obejmując ją ramieniem, ale nie z *madame* Bavolet, ale z jakąś bardzo smukłą, o spiczastym nosie i do tego dosyć ładną blondynką, ale wszystko to, przedstawia mu się jak jakieś bardzo dawne marzenie, czy też sen.

Dalej, jak on powrócił do siebie, do domu, lecz tego wcale nie wiedział, jakim sposobem zbudził się w hotelu, leżąc na łóżku w najętym numerze. Leżał bez surduta i bez kamizelki, tylko w spodniach, w butach i czuł nadzwyczajny ból głowy. Otworzył oczy i zobaczył, że przez okno przeświecały jasne promienie słońca. Głafira Siemionowna w spodnicy i w nocnym kaftaniku, zwrócona do niego tyłem, układała coś w tłumoku. Mikołaj Iwanowicz jakiś czas udawał że spi i zaczął sobie układać w głowie, w jaki sposób rozpocznie roz-

mowę z żoną, skoro wstanie z łóżka, bo przecież wstać musi, ale w żaden sposób nie ułożyć nie mógł. Głowa ostatecznie odmówiła posłuszeństwa. Poleżawszy jeszcze jakiś czas, zaczął powoli i z wielką ostrożnością wyciągać rękę do nocnego stolika, aby wziąć zegarek i zobaczyć która godzina. Wziął zegarek z wielką ostrożnością, również ostrożnie popatrzył i zdziwił się niezmiernie, że to już trzecia godzina popołudniu; ale kiedy kładł napowrót zegarek, zabrzączał łańcuszek, upadłszy na marmurowy blat i łóżko zaskrzypiało. Stojąca nad otwartym tłumokiem podróżnym Głafira Siemionowna odwróciła się, a ujrzawszy Mikołaja Iwanowicza z otwartymi oczami, namarszczyła się i rzekła:

— Przecie zbudziłeś się bezwstydniku!

— Głasza, przebacz, daruj gołąbeczko. Wszak ty sama jesteś temu winna, że takie zaszły wypadki — mruknął pokornie Mikołaj Iwanowicz, starając się nadać głosowi ton najbardziej pieszczony i czuły, ale głos był chrapowaty i syczący wskutek wczorajszego upicia się.

— Milcz! Ja ci dowiodę zaraz, w jaki to sposób mam być winna. Jeszcze śmiesz się usprawiedliwiać pijaku! — przerwała mu Głafira Siemionowna.

— Daruj mi aniołku! Czuję, że jestem w twojej mocy.

— Nie masz prawa nazywać mię aniołkiem, nazwij tak tę tłustą wiedźmę, z którą piłeś i którą ściskałeś w moich oczach, przemierzły hulako!

— Kogo ja ściskałem, kogo?

— Milczeć. Jak sądzę, ściskałeś się z dziesiątkiem takich uczciwych, jak ta baba, ladacznie i spędziłeś całą dzisiejszą noc na picciu.

— Głasza! Głasza! Powiedz mi, dlaczego masz o mnie takie mniemanie? Bóg widzi... — zaczął mówić Mikołaj Iwanowicz i powoli dźwigał się z łóżka, czując nadzwyczajny zawrót głowy.

Głafira Siemionowna straciła cierpliwość. Siadła na tłumoku i zakrywszy twarz rękami, rozplakała się.

XXIX.

Głafira Siemionowna płakała a Mikołaj Iwanowicz wstawszy z łóżka, zaczął swój kostyum porządkować w milezeniu, czynił to nie bez trudności. Po wczorajszej hulance, zataczał się to w prawo, to w lewo, głowa mu ciężyla jak cetnar ołowiu, nie mógł patrzeć na światło, bo mu lzy płynęły z oczów a język miał tak obłożony, jakby był zrobiony ze skóry.

Mikołaj Iwanowicz umył się bardzo starannie, ale i to nie wiele pomogło. Próbował zapalić papierosa, lecz go zamgliło. Rzuciwszy tedy papieros i odkaslnąwszy, zbliżył się do Głafiry Siemionowny.

— Precz! Odstąp odemnie! — zakrzyczała, zamierzysz się na niego ręką. — Nie zbliżaj się! Idź tam do swoich przyjaciółek wczorajszych!

— Co ty wygadujesz? Jakie przyjaciółki?

— Te, od których wczoraj otrzymałeś upominki — rzekła z gniewem Głafira Siemionowna.

Głafira Siemionowna wstała i zbliżyła się do jego paltotu, wiszącego na ścianie przy drzwiach i zaczęła dobywać z kieszeni rozmaite przedmioty. Pędzel z puchu do pudrowania się, karteczkę z napisem: *Blanche Barbier*, i adresem tejże, poświadczającym, że mieszka na bulwarze włoskim, w domu numer taki a taki. Dalej wyjęła zatyczkę, to jest koreczek od kryształowego flakonika, zmiętego motyla, zrobionego z tiulu i aksamitu, po czem rzekła:

— To są twe tryumfy miłosne. Rozkoszuj się nimi! Skądże się one wzięły, gdzie nazbierałeś tego śmiecia?

Mikołaj Iwanowicz z wielkiego zdziwienia wytrzeszczył szeroko oczy i zaczął rozkładać rękami.

— Stanowczo nie pojmuję, skąd się to wszystko znalazło w mojej kieszeni, wnet jednak przyszło mu na myśl, że może wywinąć się kłamstwem, jakoż mruknął: Ach tak... Tego motylka ja dla ciebie kupiłem, ale się zgniół w kieszeni. Był to figielek bardzo elegancki i misterny...

— Dziękuję, dziękuję. Zapewne i korek od flakonika także dla mnie kupiłeś; karteczka a właściwie adres jakiejś *Blansz*, także dla mnie przeznaczona?

— Duszeczeko, to niezawodnie była jakaś krawcowa; tak jest krawcowa. Nie pamiętam dobrze, bo byłem pijany, mówię ci to otwarcie, że byłem bardzo pijany, ale to niewątpliwie adres taniej krawcowej, którą mi rekomendowała dla ciebie *madame* Bavolet.

— Wywinałem się nareszcie — pomyślał w duchu Mikołaj Iwanowicz, ale Głafira Siemionowna uśmiechnąwszy się zjadliwie, rzekła:

— Nie kłam, nie kłam — i wydożyła z drugiej kieszeni paltotu, długą, czarną, znacznie już zużytą i zniszczoną o siedmiu guzikach rękawiczkę, pytając: — Więc i tę starą rękawiczkę, ten gałgan, dla mnie kupiłeś?

— Doprawdy, tracę głowę, stanowczo tracę głowę, jakim szczególnym wypadkiem ta rękawiczka znalazła się w mojem paltocie. Jedno tylko mogę przypuścić, że ten Francuz, z którym piłem, włożył mi ją przez omyłkę do kieszeni mego paltotu, a może tylko dla żartu; o bo Francuzi, to figlarze!

— Doskonale! Doskonale! Widocznie ów Francuz nosi rękawiczki kobiece, zapinane na siedm guzików. Jeżeli chciałeś kłamać, to trzeba było pierwaj do tego przygotować się, ale tak jak ty kręcisz, to się jedno drugiego nie trzyma. Jasnem tylko, jak słońce, jest to, żeś się ścisnął z wieloma ladacznkami, i że one uszczęśliwione tym niezwykłym dla nich zaszczytem, ofiarowały ci rozmaite pamiątki. Przecież ja mężczyzn znam, znam was wszystkich doskonale. Teraz pozwól się zapytać, gdzież zniknęły pańskie pieniądze? — zawołała Głafira Siemionowna, przystępując do męża z wyciągniętymi pięściami, a ten ze strachu zaczął się cofać w tył. — Trzeciego dnia wieczorem miałeś w woreczku czterdzieści sztuk złota, a teraz zostało się tylko dwie sztuki. Trzydzieści ośm sztuk zatem poszło na pijatykę, czyli, że siedmset sześćdziesiąt franków wydałeś w ciągu jednego dnia, przemarnowałeś, rzuciłeś

jak w błoto. Czyż tylko w tej winiarni, z tą tłustą babą, z tym tołombasem przepiłeś, niepodobna. Była pijatyka gdzieś indziej, w jeszcze przywoitszem towarzystwie.

— Czy rzeczywiście tylko dwie sztuki złota pozostały — zapytał mocno przerażony Mikołaj Iwanowicz.

— Dwie! Dwie! Ciesz się — zawołała w najwyższym uniesieniu Głafira Siemionowna — tak przywoity kupiec, Rosyanin, mąż poczciwy marnuje swoją pracę. Przypatrz się sam i przekonaj — dodała Głafira Siemionowna, wydobywając z pod swojej poduszki woreczek Mikołaja Iwanowicza.

— Stanowczo nie pamiętam, nie mogę sobie przypomnieć — mówił Mikołaj Iwanowicz, rozkładając rękami. — Zdaje się, że musiałem zgubić. Kijem tego co nie pilnuje swego. Szampańskie wino, któreśmy pili, nie było bardzo drogie, wszystkiego po pięć lub sześć franków butelka. Sam dobrze nie wiem, byłem pijany, do czego się przyznaję.

— A ja wiem... Te siedmset franków przeszły do rąk i wątroby tej Bavolet i innych do niej podobnych ladacznice — groźnie zawołała Głafira Siemionowna i uderzyła po nosie Mikołaja Iwanowicza trzymaną w rękę karteczką. — Tak do niej i do innych... Coż to znowu za krawcowa? Ja i o tem już się dowiedziałam. Wtenczas, kiedy wy hulaliście w najlepsze, ja zdążyłam pojechać na włoski bulwar dowiedzieć się, co to za jedna, ta tania krawcowa Blansz Barbie.

— Doprawdy, duszeńko, nie a nie nie pamiętam, bo spiłem się jak szewc. Karteczka mogła dostać się do kieszeni od Francuza, który mi ją tam włożył. Djabeł wie, co to za jeden, był ten Francuz. I co tobie przyszło do głowy, że ci się zachciało zajechać do szynku tej tłustej baby.

— Otoż masz, teraz ja temu winna. Sam przecież prosiłeś mię, abyśmy tam zajechali — zawołała z guiewem Głafira Siemionowna.

— Nieprawda — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz — ja tylko zgodziłem się na twoją propozycję. Odszukiwałeś przecież jakąś tawernę, z napisem: »Róg obfitości«.

— Odszukiwałem ją nie w tym celu, żeby tam hulać i pić, ale dlatego, żeby zobaczyć to miejsce, w którym wedle opisu zamieszczonego we francuskim romansie, rzeźbiarz sprzedał swoją żonę artyście. Weszłam zaś tylko dlatego, żeby mieć pojęcie o małych tawernach dzielnicy lacińskiej, a ty zaś zabrałeś się zaraz do pijatyki.

Mikołaj Iwanowicz zrobił minę grzesznika, żalującego za swe błędy i mruknął, rozkładając rękami:

— Djabeł mię podkusił. Głasza! Daruj mi, imieniem Chrystusa Pana. Nigdy już nie podobnego nie stanie się.

— Nie, ja tobie tego nigdy nie przebaczę! — rzekła Głafira Siemionowna. — Ja ci się odplacę tą samą monetą.

— To jest, jak? — zapytał bardzo wylekniiony Mikołaj Iwanowicz.

— Tyś hulal i ja pohulam. Także znajdę sobie jakiego kawalera. Tyś odszukał Blansz, ja odszukam Alfonsa.

— Nie mów takich głupstw, Głasza, nie mów — i pogroził jej palcem.

— Powiedz mi natychmiast, gdzie włóczyłeś się do godziny szóstej rano?

— Nie wiem, stanowczo nie wiem. Byłem w tamtym szynku a potem gdzieś jeździliśmy na hulankę, ale gdzie, tego zupełnie nie wiem.

— Bardzo ładnie. Była to pierwsza hulanka w Paryżu a zarazem ostatnia. Dziś wyjeżdżamy z Paryża — oświadczyła stanowczo Głafira Siemionowna.

— Ależ Głasza, jakże to być może — rzekł Mikołaj Iwanowicz — a powroźniczy wydział na wystawie? Ja jeszcze nie widziałem powroźniczego oddziału, który przejrzeć jestem obowiązany, należy to bowiem do mojej specjalności, tyczy się głównie mojego fachu i handlu. Nie widzieliśmy również i obrazów...

— Nie chcę o niczem słyszeć — krzyknęła, tupiąc nogą Głafira Siemionowna. — Wyjeżdżamy z Paryża, już ci raz powiedziałam i od tego nie odstąpię. Czy masz przynajmniej

jeszcze tyle pieniędzy, żebyś mógł zrealizować rachunek w hotelu i opłacić koszta podróży powrotnej?

— To się znajdzie. Ale pozwól się zapytać, jak możemy wyjechać z Paryża, jeżeli ja jeszcze nie odebrałem moich pieniędzy?

— Jakich pieniędzy? Od kogo? — zapytała Głafira Siemionowna wielce zdziwiona.

— Od rodaka naszego, z którym zaznajomiliśmy się w teatrze Eden. Zapomniałem ci powiedzieć, że pożyczył odemnie trzysta francuskich *czetwiertaków*, obiecując, że mi ich jeszcze wczoraj odda, tymczasem...

Mikołaj Iwanowicz wypowiedział to zniżonym głosem, ale Głafira Siemionowna krzyknęła:

— Otóż tak łapią starego wróbla na plewy. Czy widział kto takiego niedołęgę? Pożycza pieniądze pierwszemu lepszemu kogo spotka, po trzysta franków. Dlatego to on wczoraj nie pokazał się wcale. Ach jakiż z ciebie głupiec.

— Niepodobna było odmówić. Cały dzień przepędziliśmy tak zgodnie, tak po przyjacielsku.

— Wszystko jedno, jedziemy dziś i basta. Co z woza spadło, przepadło.

— Ale suknie twoje, zamówione w magazynie *Luvre*? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, spodziewając się, że Głafira Siemionowna zapewne pozostanie jeszcze w Paryżu — gdyby zamówienia nie zostały wykonane w oznaczonym czasie.

— Oto one — rzekła Głafira Siemionowna, wskazując pakunki. — Tyś spał a ja tymczasem pojechałam do magazynu i przywiozłam. Gotuj się do drogi. A zapłać też i stróżom, którzy cię tu pod ręce przyprowadzili do numeru. Temu zaś Francuzowi, który cię przywiózł w karecie, zapłaciłam i za karetę i za kapelusz. Bo podobno zerwałeś mu go z głowy i rzuciłeś do Sekwany.

Mikołaj Iwanowicz westchnął.

— To prosty wymysł, wybieg. Niepodobna ażebym był tak bardzo pijany.

— A czy nie wołałeś »mamo«. Przytem tutaj u nas, na dole rozbileś jakieś zwierciadło butelką, trzeba i za to zapłacić — wypowiedziała z kolei Głafira Siemionowna wszystkie bohaterkie czyny swego małżonka.

— Boże miłosierny! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz pochwyciwszy się za głowę i z wielką cheiwością zaczął pić zimną wodę, nalawszy z karafki w szklanke.

XXX.

— Cóż tak odrazu oniemiałeś, jak posag i pijesz ciągle wodę, jak gęś? — krzyknęła Głafira Siemionowna. — Dzwoń! Załadaj rachunku z hotelu i załatw się ze wszystkimi wyplatami jak należy. Ja wcale nie żartuję. Dziś bezwarukowo odjeżdżamy z Paryża.

— Zaraz, zaraz, mój aniele, zaraz — odpowiedział dość niecierpliwie Mikołaj Iwanowicz. — Przecież tylko co wstałem z łóżka, muszę napić się herbaty i wiele rzeczy doprowadzić do porządku i zastanowić się nad wszystkim. Przytem zdaje mi się, że i ty chciałabyś zjeść obiad.

Nie mógł śmiało patrzeć w oczy żonie, z wielką przyjemnością byłby się gdzie ukrył, ale jak na nieszczęście jeden tylko był pokój i ukryć się niepodobna, chyba na łóżku za parawanem, ale nie miał chęci do leżenia.

— Dlaczego ponownie rozsiadłeś się na kanapie. Gotuj sobie wodę, naparzaj herbatę, i pij ją, jeżeli tego koniecznie potrzebujesz. Tylko spiesz się. Bo i denarek i herbatniki muszę pakować do tłumoka. Wszak to są rzeczy nasze własne i nie zostawię ich w hotelu.

Mikołaj Iwanowicz, który zapalił papierosa i głęboko zamyślony, czy też zawstydzony siadł na kanapie przy stole, na tak groźne wyrazy swojej małżonki, odpowiedział bardzo pokornie.

— Gołębeczko moja, może będziesz tak łaskawa sama przyrządzić mi herbatę, bo ja jakoś do tego nie czuję się od-

powiednio usposobionym. Wreszcie czynność ta nie należy do mężczyzny.

— Tak! Tak! Ale mężką czynnością jest włóczyć się całą noc, popijać w różnych porządnych zakładach, jak szynki i winiarnie, i ścisnąć się ze wstrętnemi ladacznicami. Ja muszę zbierać rzeczy i upakowywać tłumoki, jak równie powinienam gotować dla ciebie herbatę — odpowiedziała podrażniona na nowo Głafira Siemionowna.

— No dość tego, przestań już raz o tem mówić. Ja za twoją dobroć i wyrozumienie ofiaruję ci ładny prezent — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Skoro stąd wyjedziemy, to możemy się gdzie zatrzymać i wtenczas kupisz sobie co zechcesz — rzekł Mikołaj Iwanowicz, którego nieustanne wyrzuty żony doprowadzały do rozpacz.

Głafira Siemionowna słysząc to, ukradkiem, z lekka się uśmiechnęła.

— Powiedz mi też z łaski swojej co to, za jedna ta Liza Patrykewna? Przytem to jeszcze muszę ci oświadczyć, że dawniejszą drogą wcale nie pojedę, już ona mi stanęła kością w gardle, gdyśmy się błakali po różnych Dirschau i Königsbergach. To znaczyłoby, że nie można nigdzie ani napić się, ani cokolwiek przekąsić bez wysłania telegramu. Niemiecka ziemia już mi zupełnie zbrzydła. Jest inna droga, może nawet daleko prostsza. Spotkałam się właśnie dziś w Luwrze z jakąś rosyjską damą i ona mnie upewniła a nawet napisała na karteczce, jakiej drogi trzymać się nam należy. Pojedziemy tedy przez Szwajcaryą do Wiednia, a z Wiednia wprost do Petersburga. Oto ta notatka. Należy wsiąść do wagonu pociągu lionńskiej kolei żelaznej i kupić bilety do Genewy, a z Genewy do Wiednia i stąd prosto do Petersburga.

— Jak chcesz, moja luba, jak chcesz tak pojedziemy — rzekł Mikołaj Iwanowicz, unikając sporu z żoną. — Ale muszę jednak zwrócić twoją uwagę, że jeżeli pragniesz objechać niemiecką ziemię, aby się z Niemcami nie spotkać, to i we Wiedniu także są Niemcy.

— Wszystko jedno, zawsze to iuna droga. Rosyjska dama, z którą poznałam się, wyraźnie oświadczyła mi, że droga ta jest daleko wygodniejsza i przyjemniejsza, że konduktorzy po większej części są Słowianie, a nawet umieją po rosyjsku. Dalej zrobiła mi uwagę, że będziemy mieli daleko piękniejsze widoki i krajobrazy, że zobaczymy szwajcarskie i tyrolskie góry, a o górach szwajcarskich już dawniej słyszałam a nawet je sobie wyobrażałam, jako rzecz godną podziwu. Czytałam bardzo wiele o górach w Szwajcaryi.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna zajęła się przygotowaniem herbaty.

— Przywołaj garsona i zażądaj żeby nam przyniósł co do zjedzenia. Trzeba się spieszyć. Ja zasiągnęłam w tym względzie wiadomości. Pociąg odchodzi o godzinie siódmej wieczorem; pozostaje nam tylko trzy godziny — nagliła męża.

Mikołaj Iwanowicz widząc, że Głafira Siemionowna już się nieco udobruchała, ożywił się, siadł przy stole i zadzwonił. Zjawił się służący w wojskowych pontoflach i w papierowym kołpaku, zatrzymał się i uśmiechnął, jak zwykle głupkowato, spoglądając na Mikołaja Iwanowicza.

— *Ça va bien, monsieur?* ¹⁾ — zapytał, mrugając domyślnie okiem i pokazał mu podrapaną swoją rękę. — *C'est votre travail d'hier* ²⁾.

— Głasza, co on mówi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Pokazuje, jak mu wczoraj podrapałeś rękę, kiedy cię pijanego prowadził na górę po schodach — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Mikołaja Iwanowicza ta przymówka widocznie zawstydziała, bo zaraz odpowiedział:

— Zdaje ci się mój kochany, zepewnie sam się gdzieś uderzyłeś o ścianę a na mnie zmwiasz.

Potem zaś zwracając się do żony dodał:

— Zamów co chcesz.

¹⁾ Jakże zdrowie pana? ²⁾ To pańska wczorajsza robota.

— *Nu wulon manże* — wyrzekła Głafira Siemionowna.

— U nas *tabldot* o godzinie szóstej, *madame*, a śniadanie już się skończyło — odpowiedział posługacz.

Pokazało się, że nie można było nic dostać do jedzenia, ponieważ w hotelu nie przygotowywano obiadów *à la carte*, lecz jedynie dwa razy dziennie, we właściwych godzinach wydawano śniadania i obiady.

— Oto hotel osobliwy — zawołała Głafira Siemionowna. — Niema rady, musimy się zadowolnić tem co mamy, zakąską i zimnem pieczysem, resztkami gęsi i indyka, chociaż to już trzeci dzień, jak były upieczone.

Poleciała garsonowi przynieść sera i chleba, dodając:

— *Alle i aporte nu* rachunek. Jak rachunek po francusku, całkowicie wyszło mi z pamięci. *Wu komprene* rachunek, rachunek. *Kombię nu devon peye pur tu. Nu parton ożurdi.*

— *Ah, c'est l'addition de tout ce que vous devez. Oui, madame*¹⁾.

Posługacz wyszedł i niezadługo wrócił, niosąc chleb, ser i przyrządy stolowe.

— *Mal à la tête?* — zapytał Mikołaja Iwanowicza, spostrzegłszy, że pocierał czoło i skronie. *C'est toujours comme ça, quand on prend beaucoup de vin le soir*²⁾.

— Patrz, do czego to doszło, zwykły posługacz hotelowy wyśmiewa się z ciebie, żeś był wczoraj pijany i pyta się, czy nie odczuwasz bólu głowy — rzekła Głafira Siemionowna.

— On! Jak on śmie! *Won!*

I Mikołaj Iwanowicz zerwał się z kanapy i takim wzrokiem spojrzął na posługacza, przyczem pogroził mu pięścią, że ten natychmiast uciekł.

Małżonkowie zasiedli do jedzenia, ale Mikołaj Iwanowicz po wczorajszej hulance a raczej po przepiciu, zgoła nie

¹⁾ Ah, to ogólną kwotę, jaką państwo winni jesteście.

²⁾ Głowa boli. To zawsze tak bywa, jak się za wiele pije wina wieczorem.

miał apetytu. Zjadł tylko nieco sera i zaczął popijać herbatę. Tylko Głafira Siemionowna krajała zimne pieczyście i jadła je ze smakiem.

— Dlaczego nie jesz? — zapytała męża.

— Nie chce mi się.

— Aha! Będziesz znowu popijał?

— Przestań mi czynić wyrzuty — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Wiem, że na nie zasłużyłem.

Staruszek, gospodarz hotelu sam przyniósł rachunek i położył go na stole przed małżonkami. On równie z ciekawością przypatrywał się Mikołajowi Iwanowiczowi. Rzecz bardzo naturalna, że go mógł dziwić stan gościa, którego przywieziono w karecie prawie bez duszy. Nie mógł również wytrzymać i z uśmiechem zapytał:

— *Votre santé, monsieur?*¹⁾

— No. No. Zupełnie dobrze. Zbyteczna troskliwość. A z tobą stary djable nie zdarzało się nigdy coś podobnego, może z tysiąc razy — odparł Mikołaj Iwanowicz z gniewem.

Stary podreptał trochę na jednym miejscu i wyszedł. Małżonkowie zaczęli przeglądać rachunek.

XXXI.

Był on spisany na wielkim i długim arkuszu papieru, z największemi drobnostkami, rachunek był olbrzymi.

— Boże, coż oni tu narachowali! Za co? Wszak tylko spaliśmy tu, i nic prawie nie jedliśmy — zawołała Głafira Siemionowna.

Mikołaj Iwanowicz wziął rachunek do ręki, przepatrzył z uwagą i rzekł:

— To nie dla nas pisane. Przeczytaj Głasza — dodał, zwracając się do żony.

Wzięła do ręki rachunek i zaczęła przeglądać.

¹⁾ Jak pańskie zdrowie?

— Jakaż to bazgranina, pisane jakieś kulasy, których przeczytać niepodobna — rzekła po chwili.

— Ja sędzę, że to naumyślnie, żebyśmy się nie mogli domyśleć co napisane — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Ale czy przynajmniej choć cokolwiek rozumiesz?

— Oto *szambr*, to jest za pokój, porachowano dwanaście franków.

— No tak, tak ugodziliśmy się — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Przepraszam cię, umówiliśmy się zapłacić tyle za pokój, ale z dwoma łózkami, tymczasem osobno w rachunku za drugie łóżko policzona po franku dziennie.

— Jakże oni śmiać coś podobnego wypisywać, te lotry. Jaka to szkoda, że ja nie umiem po francusku — mówił Mikołaj Iwanowicz.

— Zaraz, zaraz. Tu znowu wymieniono aż dwa razy świece, to jest osobno, za *buzzi de serwis*, a nadto za proste *buzzi*. Za pierwsze dwa franki, za drukie pięć franków. My zaś spaliliśmy tylko dwie świece.

— Nadzwyczaj sprytnie — klasnął Mikołaj Iwanowicz językiem ze złości.

— Nie mogę wyjść z podziwienia, dlaczego dwa razy porachowano za świece. Czyliżby pierwsze dwa franki, to jest za *buzzi de serwis*, miał być ten ogarek w śmierzącym miedzianym lichtarzu, który nam dali w biurze na dole, kiedy szliśmy po nieoświetlonych schodach do naszego numeru? Ależ to nadużycie niesłychane. Nawet policzyli oddzielnie i za posciel do łóżka.

— Nie może być.

— Oddzielnie, oddzielnie porachowano. A to rachunek prawdziwie na pokaz. *De cafe o le* — trzy franki. Czy ty rozumiesz? Za każdą filiżankę kawy z mlekiem porachowano nam po półtora franka, to jest po sześć *grywennikow*, wypadałoby na nasze pieniądze podług kursu.

— Istny rozbój!

— Gorzej jeszcze, to wyszukana grabież. Dalej w rachunku stoi *en serwis te, de serwis te!* Wyobraź sobie, za to że nam przynieśli przyrządy do naszej herbaty, bulki i masło, za każdy raz policzyli po dwa franki.

— Oto podły naród, to zdierusy; a przecież jak tylko spotkają Rosyanina i poznają, że jest rzeczywiście mieszkańcem Rosyi, zaraz krzyczą: *Wiw la Riusi!*

— Dlatego właśnie krzyczą: *wiw la Riusi*, bo wiedzą, że z Rosyanina można zedrzeć siedm skór. Czekaj... Czekaj... tu znowu coś nowego, mianowicie: *papie a letr*. Pamiętasz, że żądaliśmy od nich dwa arkusiki listowego papieru i dwie koperty, żeby napisać listy. Za to porachowano także 2 franki.

— Niepodobieństwo!

— Przekonaj się sam. Za dzisiejszy kawałeczek sera, któryśmy w tej chwili zjedli, porachowano nam cztery franki.

— Ach lotry! lotry!

— Nawet marki, za marki pocztowe do listów porachowano po pięćdziesiąt santimów za sztukę — mówiła w dalszym ciągu Głafira Siemionowna. To znaczy po pół franka, więc prawie dwa razy tyle. Teraz znowu serwis, serwis także po 2 franki. To już chyba za usługę. Niezawodnie za usługę.

— Za naszego głupca posługacza w papierowym kołpaku, niezawodnie za niego.

— Teraz za zapalki, *de salinnet*, także osobna zapłata.

— A nie zarachowano czasem do ogólnej sumy i za papierowy kołpak posługacza? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Nie, tego niema — odpowiedziała żona.

— A za jego wołkowe pantofle?

— Nie, nie! Natomiast porachowano dwa franki za coś, czego wcale zrozumieć nie jestem w stanie. Czy czasem nie za to, że cię wczoraj prowadzili pod ręce po schodach — rzekła Głafira Siemionowna.

Mikołaj Iwanowicz nachmurzył się.

— No, no, już dość tego — rzekł, przyczem machnął ręką. — Już się dosyć nazłościłaś, więc przestań.

— Aha, nie lubisz tego słuchać, a jednak musisz. Patrz! za rozbite zwierciadło porachowano pięćdziesiąt franków, i to trzeba będzie zapłacić.

— Nie wiem, w jaki sposób mogłem stłuc zwierciadło? Nie, ja takiego rachunku nie przyjmę, nie zapłacę go w dobroduszy sposób, niepodobna dać się tak obdzierać — mówił Mikołaj Iwanowicz, coraz bardziej oburzony.

— Daj pokój. Bo znowu będzie skandal — rzekła, odradzając mężowi Głafira Siemionowna. — Jeżeli setki franków przemarnowałeś na pijatykę z ladacznicami, musisz ponieść za to dobrowolną karę, i musisz teraz płacić ile zechcą. Dostyc narobiłeś im wczoraj ambarasu, cały hotel zerwał się na nogi, wszystka służba była zajęta doprowadzeniem cię do numeru.

Mikołaj Iwanowicz ciężko westchnął i zabrał się do wydobycia pieniędzy, które miał schowane w zamkniętej torbie podróźnej.

Głafira Siemionowna przypatrując się mężowi mówiła:

— Podziękuj Bogu, że ci udzielił tyle przytomności umysłu, iż nie zabrałeś wszystkich pieniędzy ze sobą, bo w takim razie byliby cię oporzadzili. Byliby twoi tak serdeczni przyjaciele i przyjaciółki wydobyli od ciebie ostatnią kopiejkę i puścili, jak oskubanego z pierza wróbla, a można się tego spodziewać, gdy zaledwie z siemset franków pozostało ci tylko dwie sztuki złota.

— No już dosyć, dosyć. Już się tyle nagadałaś, że mogłabyś nareszcie przestać — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Po upływie dwóch godzin małżonkowie w podróźnym ubraniu wychodzili z hotelu, aby wsiąść do czekającego na nich powozu i udać się na dworzec kolei żelaznej.

Służba hotelowa wynosiła ich poduszki i tłumoki.

W kurytarzu i na schodach stali także służący, tak mężczyźni jak kobiety, wyciągając ręce, chociaż wielu z nich małżonkowie wcale nie widzieli podczas pobytu w hotelu. Wszyscy bardzo uprzejmie pozdrawiali i żegnali odjeżdżających, życząc im szczęśliwej podróży, była to bardzo zręczna przymówka do

otrzymania napiwka, a jak wyrażał się Mikołaj Iwanowicz, do łapówki na herbatę.

— *Fille de chambre du troisième*¹⁾ — rekomendowała się kobieta w cynamonowej barwy sukni i w czepku.

— *Monsieur, c'est moi qui* — rzekł, ale się powstrzymał posługacz hotelowy, w wołkowych pantoflach, w papierowym kołpaku na głowie i uśmiechnął się, jak zawsze, głupkowato, jedynie tylko ukazał Mikołajowi Iwanowiczowi podrapaną rękę.

Głafira Siemionowna w milczeniu dała im po pół franka.

— Na dole, przy drzwiach wchodowych spotkali gospodarza i gospodynię. Staruszka bardzo uprzejmie kłaniała się i w końcu rzekła:

— *Bon voyage, monsieur et madame! ... Bon voyage!*²⁾.

— Zdziercy! Rozbójniki! Żebyście się udławili zrabowanymi pieniędzmi — odpowiedział oburzony Mikołaj Iwanowicz. Stary gospodarz, w tem mniemaniu, że Mikołaj Iwanowicz żegna go po rosyjsku, podziękował.

— *Merci, monsieur, merci, monsieur...* — przyczem wsunął mu do ręki całą paczkę adresów, prosząc o rekomendację i zalecenie jego hotelu dobrym znajomym.

XXXII.

Obłożeni poduszkami i obstawieni mnóstwem pak, paczek, sakwojazzów i tłumoków, małżonkowie jechali ulicą Lafayette w zamkniętym powozie na dworzec kolei żelaznej Lyońskiej. Przez okno spoglądali na śmiejącą się publiczność i mimowoli żegnali się z Paryżem. Głafira Siemionowna nawet głośno wyrażała się:

— Żegnaj, żegnaj, żegnaj Paryżu, w którym doznałam tyle przykrości i utrapień. Być może, już się nigdy nie zob-

¹⁾ Pokojówka z trzeciego piętra.

²⁾ Szczęśliwej podróży życząc państwu.

czymy ze sobą. Wprawdzie przecierpiałam tu bardzo wiele i wylałam dużo łez, ale tysiąc razy jesteś lepszym niż obmierzły Berlin.

— Ależ duszeńko — odezwał się Mikołaj Iwanowicz — jakichże tu doznałaś przykrości, jakie przeżyłaś cierpienia. Takie nieprzyjemności to tylko nieporozumienia, spory i wzajemne nasze winy.

— Milez — krzyknęła Głafira Siemionowna. — Jeszcze ich było mało? A skandal z tą Indyanką, a marnotrawstwo twoje i wypadek w łacińskiej dzielnicy? To dla ciebie nic, ale dla mnie...

— No, no, uspokój się, zapomnij! Wszak to wszystko już przeszło, minęło. Stój! Stój *kosze* — nagle zawołał Mikołaj Iwanowicz na forysia, i spuściwszy okno od karety, zaczął krzyżeć: Rodaku! Rodaku! — Tam właśnie widzę radcę kolegialnego!

Rzeczywiście na rogu jakiejś przecznicy, około oświetlonego magazynu, stał radca kolegialny w swym welnianym, to jest filcowym, kapeluszu z wielkimi skrzydłami, z którym przed paru dniami poznali się małżonkowie. Stał przy oknie magazynu, przyglądając się wystawionym towarom. Posłyszawszy krzyk: Rodaku! obrócił się, ale zobaczywszy Mikołaja Iwanowicza, do połowy ciała wychylonego z karety, nasaunął natychmiast jeszcze silniej kapelusz na czoło i szybko poszedł dalej. Mikołaj Iwanowicz wyskoczył z karety, chcąc go dogonić, ale po panu radcy kolegialnym nie pozostało ani śladu. Postawszy jakiś czas na ulicy i rozpatrując się na prawo i na lewo, Mikołaj Iwanowicz ze złością machnął ręką, wracając do karety.

— Wyobraź sobie — mówił Mikołaj Iwanowicz do żony — poprostu uciekł, to lotr.

— Byłby nierozsądnym, gdyby czekał na ciebie, aż przyjdiesz i zażądaś zwrotu wyludzonych tak nikczemnie pieniędzy — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Już jak od ciebie pożyczal, nie miał zamiaru oddania ich kiedykolwiek.

Kontent, że znalazł tak łatwowiernego człowieka, pożyczył, ale na wieczne nieoddanie. Zwykły oszust, któremu udało się gładko sztuka.

— A tak solennie przyrzekł, że zwróci. Tylko na jeden dzień zapewniał mię, ściskając serdecznie za rękę — mówił Mikołaj Iwanowicz. — Jak tylko otrzymam jutro przesyłkę od bankiera, natychmiast odnieś panu do domu z podziękowaniem. Pożyczył zaś odemnie wówczas, kiedyśmy z magazynu *Louvre* poszli do kawiarni naprzeciwno, żeby się napić czerwonego wina. Smutne to bardzo! — dodał, załamując rękę. — Jedyne rosyjski człowiek, z którym poznałem się w Paryżu i ten mię oszukał haniebnie. Swój naciągnął swojego, to bardzo bolesne. Wierz tu teraz ludziom!

— Masz naukę, abyś nie ufał pierwszemu lepszemu spółtканemu na drodze — mówiła Głafira Siemionowna. — Targowałeś się ze wszystkimi, i z forysiami, i z posługującymi, a tymczasem tak na wiatr rzuciłeś pieniądze, jeszcze z takim wyzyskiwaczem zawiązałeś przyjaźń, który nas wprowadził do teatru indyjskiego, jakby naumyślnie wywołał skandal i skompromitował tak ciebie jak i mnie. Człowiek zje beczkę soli, nim pozna człowieka. Trzysta franków, to nie kopiejka! Przedstawił się jako radca kolegialny, ale kto zaręczy, że to rzeczywiście tak wysoki urzędnik.

Na dworzec kolei żelaznej Lyonńskiej małżonkowie przyjechali dość szczęśliwie, bez wypadku. Robotnicy w niebieskich bluzach zabrali ich bagaże, upierając się koniecznie, aby i poduszki były oddane do *pakameru*, twierdzili bowiem, że poduszek zabrać do wagonu zarząd kolei nie pozwoli.

— *Ce n'est pas permis, madame. Vous verrez que ce n'est pas permis.*

— Kłamstwo, to nieprawda. Przyjechaliśmy tutaj z poduszkami, a nikt nam wcale nie bronil zabrać je do wagonu. *Parti dan le wagon, avec nu dan le wagon. Non, non! Komman don nu puwon dormir san kusen. Non, non!* — mówiła Głafira Siemionowna.

Tragarze jednakże, oddawszy do pakameru paki i tłumoki, nie chcieli nieść sakwojżów i poduszek, i małżonkowie musieli je sami dźwigać.

— Co to znaczy — rzekła Głafira Siemionowna — że oni nie zgodzili się na odniesienie poduszek i sakwojżów do wagonu — zapytała ze zdziwieniem Głafira Siemionowna, zwracając się do męża.

Wkrótce jednak przyczyna ta wyjaśniła się. Około przygotowanego już pociągu, stojącego na platformie, rozwożono na wózkach małe poduszcзки i bajowe kołdry w paski i za franka ofiarowano je podróżnym. Wózki te obwożono od wagonu do wagonu, a tragarze, tak samo ubrani w niebieskie bluzy wykrzykiwali:

— *Pour se reposer! Pour se reposer!*

— Wyobraź sobie, jaki to chytry naród, ci tragarze! Naumyślnie odmawiali zanieśienia do wagonu naszych poduszek, bo spodziewali się, że nas przymuszają do zażądania tych właśnie poduszek, które teraz ofiarują pasażerom. »Nie wolno wsiadać do wagonu z wielkimi tłumami rozmaitych rzeczy«, mówili, sama to dobrze zrozumiałam. Byli widocznie pewni, że uwierzmy ich upomnieniom i nie zechce się nam samym je dźwigać, ale na szczęście pomylili się — rzekła Głafira Siemionowna.

— Masz zupełną słuszność — odparł Mikołaj Iwanowicz. — Albo ich ktoś, co ma w tem swój interes, namówi albo też oni sami chcieli zarobić.

Tymczasem wpuszczono małżonków do wagonu nie stawiając żadnej przeszkody. Tylko konduktor, dostrzegłszy taką ilość poduszek, zapytał Mikołaja Iwanowicza:

— *Vous êtes les russes, monsieur? N'est-ce pas?*

— *Wuj! Wuj! le ruis* — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— *Oh, je vois déjà, madame* — rzekł konduktor, uśmiechając się i pokazał palcem poduszki, poczem zażądał biletów, bacznie i starannie obejrzał je i dodał po francusku: — *Jada*

państwo do Genewy. dlatego nie radziłbym wsiadać do tego wagonu. W Dijon musicie państwo przesiadać się do innego. Niech państwo pozwolą ze mną, to ja państwu wskażę wagon, z którego nie potrzeba się przesiadać.

Przywołał ich poruszeniem ręki, zabrał sakwojże i poduszki, dopomógł im do wyniesienia reszty pakunków i przeprowadził do drugiego wagonu, wyjaśniwszy jeszcze raz.

— *Voilà à présent c'est tout droit pour Genève.*

— Oto po naszymu, to konduktor, jakby z Rosyi pochodził — mówił Mikołaj Iwanowicz uradowany i podziękował konduktorowi, wciskając mu w rękę franka.

— *Merci, monsieur* — odpowiedział konduktor, kłaniając się, a następnie dodał:

— *Oh, je connais les russes et leurs habitudes!*

Pociąg stał jeszcze kwadrans i nareszcie po trzech dzwoniach ruszył w dalszą drogę.

XXXIII.

Oprócz małżonków, siedział w wagonie tłusty, przysadkowaty Francuz, z krótko przystrzyżoną brodą, z twarzą pełną, i bardzo smukły, chudy, inny Francuzik, w jasnym krawacie i z czarnymi wąsikami.

— Bardzo jestem uradowana, że w nocy sami nie jedziemy, i że rozbójnicy nas nie zrabują — mówiła Głafira Siemionowna. — Jakakolwiek to kompania, jakiegokolwiek jest to towarzystwo, a zawsze czworo ludzi. Przypominasz sobie, Mikołaju Iwanowiczu, podróż naszą z Kolonii do Paryża, siedzieliśmy sami w *coupé*. Nabyliśmy się też strachu, skóra cierpła u nas z obawy. Ja wówczas całą noc prawie nie zmrzyłam oka. Teraz zaś, jak my zaśniemy, to oni będą czuwali.

— Bardzo słusznie, ale znowu na tej dzisiejszej naszej kompanii nie można tak bezwarunkowo polegać i ufać nieograniczenie. Skąd można wiedzieć kto są ci panowie, może właśnie ci dwaj Francuzi, należą do bandy zbójczej. My

uśniemy a oni podsuną nam chloroform w butelce, uspią a następnie ograbią.

— Bój się Boga! Wcale niepodobni do zbójców — rzekła Głafira Siemionowna, nie mogąc ukryć trwogi.

— Dlaczego mówisz, że nie podobni do zbójców. Dlatego, że ubrani przyzwicie? Przecież koleją żelazną nie jeżdżą oberwańcy, przeciwnie, są ubrani zawsze bardzo wykwintnie.

— Tem swoim oświadczeniem Kola, znowu mię nabawiłeś strachu. Teraz całą noc spać nie będę.

— Bać się niema czego, ale właściwie trzeba się mieć tylko na ostrożności i spać kolejno, z początku ty się przespisz a potem ja się zdrzemnę.

— Alboż ty nie będziesz spał, kiedy ja zasnę. Ty nie dotrzymasz placu, ja cię znam, tyś najpierwszy ze spiochów.

— Nie chwał się bobie, bo i ty jesteś grochem — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Najlepiej będzie skoro natychmiast wydobędę rewolwer z sakwojażu i schowam go do bocznej kieszeni. Niech zobaczą, że nie jesteśmy bezbronni.

Jakoż Mikołaj Iwanowicz z wielką powagą wydobył rewolwer z sakwojażu, opatrzył uważnie kurek i schował go do bocznej kieszeni marynarki. Tłusty Francuz spojrzawszy na Mikołaja Iwanowicza z uśmiechem powiedział:

— *C'est l'ami de voyage?*

— *Wuj!* Pewny, bardzo pewny przyjaciel. Każdemu załość uczyni i nikogo nie zawiedzie — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz uderzając po kieszeni ręką.

W ciągu niespełna czterech minut tłusty Francuz zaczął ziewać, nachylił się do Głafiry Siemionowny, mówiąc: *pardon madame*, zdjął z nóg półbuty, włożył grube pantofle i zamiast cylindra nakrył głowę czerwonym fezem, nogi podkurczył, przycisnął się do kąta wagonu i zaczął na dobre chrapać. Zaś Francuz w jasnym krawacie i z czarnymi wąsikami, ciągle jeszcze nie dawał się drzemce. Kilka razy wydobywał z kieszeni okrągłą, lakierowaną bombonierkę, brał z niej ma-
lutkie cukierki i wkładał do ust.

— Patrz, jaki to amator słodczy — zawołała Głafira Siemionowna, i zaraz dodała: — Nie, ci Francuzi, nie mogą być lotrami.

— Dlaczego nie? — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — Że jeden spi, a drugi polyka cukierki? To przecież wcale nie dowodzi, duszeńko. Może to właśnie czynią, dla zamydlenia nam oczów.

— Dlaczego ty mię koniecznie straszysz? Staram się uspokoić, a ten mi ciągle dogaduje i wzbudza we mnie niepotrzebną obawę.

— Możesz być zupełnie spokojną, bo ja ich mam ciągle na oku — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Po upływie niejakiego czasu Francuz z czarnymi wąsami wdał się w rozmowę. Uchyliwszy kapelusza, zapytał Głafiry Siemionowny:

— *Madame et monsieur sont les russes?*

— *Wuj, monsie* — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Pozwól mi pani, że się przedstawię jako Francuz, który często bawi w Rosyi. W interesie tych firm, których jestem zastępcą i przedstawicielem, w tym czasie bawiłem blisko tydzień w Petersburgu, i tydzień w Moskwie. Jestem oczarowany życiem w Rosyi. *Izwozczyk, le samowar, le trojka, le wodka, le muzyk*¹⁾, wszystko ja widziałem i wszystko to niezmiernie mię zachwyciło, paplał Francuz i po kolei wymieniał, pochwycone na razie rosyjskie wyrazy, jak niemniej wymieniał petersburskie firmy i ulice w Moskwie i Petersburgu. — Wreszcie dodał — jestem komiwojażerem.

Głafira Siemionowna słuchała i milczała.

— *Je crois, que madame parle français?* — spytał nagle Głafiry Siemionowny.

¹⁾ Forys, samowar, trójka (sposób jazdy w trzy konie, zaprzężonych w orla. Dwa boczne pędzą bokiem z odchyleniemi głowami, środkowy zaś w *duy*, to jest w rodzaju pajaka, który podtrzymując dwa dyszle wystaje mu nad głowę, pędzi prosto. Trójka taka jest rodzajem wichru, są to zwykle bowiem konie stepowe). (*Przyp. tłum.*)

— *En pe, monsieur* — odpowiedziała i zwróciwszy się do męża objaśniła go, o czem mówił Francuz.

— Pięknie, pięknie — rzekł Mikołaj Iwanowicz — ty powtarzam ci, miej się na baczności... Djabeł go wie, on kłamie, że pochodzi z kupieckiej branży. Twarz jego czywiście podobna do kupieckiej.

Znowu po jakimś czasie Francuz z wąsikami był bonbonierką i prosił Głafirę Siemionowną, aby wzięła cukierek. Głafira Siemionowna jednak wahała się czy wziąć, czy nie i spojrzała na męża.

— Weź, weź! Nic nie szkodzi. Ponieważ on sam je, to zapewne nie mogą być zatrute.

Głafira Siemionowna wzięła cukierek i włożyła do ust.

Po niejakej chwili Francuz z czarnymi wąsikami zdjął z plecionki siatkowej u góry wagonu swoje dwa małe kufereczki i otworzywszy je, zaczął pokazywać Głafirze Siemionownie wzory towarów tych fabryk, w imieniu których podróżował i jeździł po rozmaitych miastach. Były to dosyć wielkie sztuki koronek, peleryny, tuniki. Francuz pokazując wymieniał przytem ceny.

— Ach jakie to śliczne — zawołała zachwycona Głafira Siemionowna. — Jakże niesłychanie tanio. Kola! Kola! Patrz, cały wolant z koronek, za sześćdziesiąt franków. U nas w Petersburgu trzeba byłoby zapłacić pięćdziesiąt rubli, a nawet wątpię czy dałoby się kupić za tę cenę — mówiła do męża i zwracając się do Francuza, zapytała:

— *On pe aszte sze wu?*

— To tylko próbka, *madame*. Stosownie do tych próbek przyjmujemy zamówienia, a sprzedajemy w ogóle *en gros*, ale to mam w dwóch egzemplarzach i jeżeli się pani podoba, mogę odstąpić po cenie fabrycznej — odpowiedział Francuz.

— Kola. Ty zawiniłeś wielce wobec mnie, jestem bardzo obrażona na ciebie za twoje wybryki nocne w Paryżu, dlatego, jeżeli chcesz, abym zapomniała o wszystkim, to mi kupisz ten wolant. Bo i tak obiecałeś mi podarunek za twoje

przestępstwo. Wszak kosztuje tylko sześćdziesiąt franków — rzekła Głafira Siemionowna.

— Pieniądzy moich niemam zamiaru pokazywać mu — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Być może, że on temi towarami chce obalamucić, ażeby dowiedzieć się, gdzie się znajdują pieniądze, aby mógł następnie ograbić.

— Dajże pokój. On wcale nie wygląda na zbrodniarza.

Mikołaj Iwanowicz ostrożnie sięgnął do kieszeni i nie wyjmując całego woreczka, wydobyl sześćdziesiąt franków i doręczył je Francuzowi.

Francuz nieustannie przekładał i przebierał swoje towary. Po koronkach dobył jedwabie i galony, potem szarfy i wstążki, a rezultatem tego było, że Głafira Siemionowna zakupiła u niego rozmaitych galanteryi za sto dziesięć franków.

— Oż djabeł przyniósł tego kusiciela — rzekł z gniewem Mikołaj Iwanowicz.

XXXIV.

Kupionymi u kommi-wojażera towarami była naprawdę jakby oczarowana Głafira Siemionowna. Kilkakrotnie przeglądała je i nie mogła dość nacieszyć się. Przypatrywała się im nawet pod światło lampy, zawieszanej u sufitu *coupe*, a kommi-wojażer pokręcając czarne wąsiki, ciągle rozszerzał się z wielkimi pochwałami o swoim towarze.

— Te koronki, znamienite *Chantilli*, oryginalne, nie naśladowane, wyrobu dzisiejszego, nowoczesnego — belkotal po francusku.

— Tak, tak, ta *Chantilli*... Ja to widzę, znam, rozumiem — odpowiadała Głafira Siemionowna po rosyjsku. — *Mersi, mosie, boku mersi* — rzekła, wyciągając do niego rękę.

Kommi-wojażer silnie ścisnął ją za rękę i spojrzał jakimś szczególnym wzrokiem, dodając:

— Niezmierną sprawia mi przyjemność, żeś zdołał zadowolić panią, żeś trafił do gustu rosyjskiej damy. Z Rosya-

nami w ogóle ja bardzo sympatyzuję, a damami rosyjskiemi prawdziwie się zachwycam, uwielbiam je, ubóstwiam.

— Jakiż to miły mężczyzna — rzekła Głafira Siemionowna, zwracając się do męża. — Mężczyzna nadzwyczaj przyjemny i w wysokim stopniu sympatyczny, a my podejrzewaliśmy go, że może to jaki rabuś.

— Tak, tak. Ale ostrzegam cię, nie bardzo zbliżaj się do niego... — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Komi-wojażer tymczasem mówił bezustanku, mięszając do swej rozmowy rozmaite komplementa, wcale nie troszcząc się o to czy go Głafira Siemionowna rozumie, czy nie. Powoli przybrał postawę i uprzejmość prawdziwego kawalera. Dość było, żeby się Głafira Siemionowna oparła łokciem na poduszcze a wnet zaczął ją poprawiać, następnie zdjawszy z plecionki u góry *coupe* jeden ze swoich skórzanych kufereczków, podstawił pod nogi. Na jednej z następnych stacyi, wyjrzał oknem, zakupił sporo gruszek i ofiarował Głafirze Siemionownej. Na innej znowu stacyi skoro ukazał się przekupień z winogronami, równie je zakupił i prosił o przyjęcie Głafiry Siemionownej. Zmuszona była dziękować mu nieustannie. Mikołaj Iwanowicz ciągle słyszał wyrazy: *merci monsie*, przypatrywał się żonie, a widząc z jakim rozkosznym uśmiechem prowadziła rozmowę z komi-wojażerem, zaczął na nich spoglądać z ukosa.

O godzinie dwunastej w nocy Głafira Siemionowna zapytała męża:

— Czy my też już nigdzie nie zatrzymamy się, żeby zjeść kolację?

— Nie nie wiem, *matuszka*, nie nie wiem — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Spytaj o to swego, tak sympatycznego i przyjemnego Francuza, on pewno będzie wiedział.

— Dlaczego dodajesz z naciskiem »swego«. Skądże on ma być moin?

— Niezawodnie jest twój, bo go do siebie przywabila. Ja tego znieść nie mogę, gdy z takim zapalem, z takim zajęciem rozmawiasz z tym sprytnym wydrwigroszem. Zapew-

jakiś niższego rzędu subiekt handlowy, a do niego szczerzysz ząbki i uśmiechasz się — rzekł niechętnie Mikołaj Iwanowicz.

— Czy mam mu wymyślać? Powinam przecie podziękować mu za uprzejmość, jaką mi okazuje.

— Wszystko musi być w miarę, nawet w wdzięczności za uprzejmość — wyrzekł sentencyonalnie Mikołaj Iwanowicz.

— A ja nie chcę zachowywać miary i na złość będę dla niego jeszcze więcej uprzejmą. Nawet zaraz zapytam go, czy będzie można gdzie zjeść kolację. *Dit moa, monsie... Wu ne save pu, siur kiel station on pe soupe ożurdi?* — zapytała zwracając się do komi-wojażera.

— A *madame*, to będzie niezmiernie trudno. Pociąg pędzi, prawie nigdzie nie zatrzymuje się dłużej, ale ja jednak sprobuję... Skoro pociąg zatrzyma się choćby na trzy minuty, sprobuję poprosić konduktora, czy nie będzie mógł w bufecie dostać coś dla pani chłodnego, sera, zimnego mięsiva i wina.

— *Mersi monsie, mersi* — podziękowała Głafira Siemionowna Francuzowi i natychmiast o tem oświadczyła swemu mężowi.

— Niech więc dostarczy ci kolację, bo ja wcale nie jeść nie będę. Ja wcale nie jestem głodny.

— Jakże nie masz być syty po wczorajszej tak gwałtownej pijatyce, nie pierwej jak za trzy dni znowu dostaniesz apetytu — rzekła z docinkiem.

— Dość tych złośliwych przymówek. Umilknij nareszcie.

— Nie będę milczała.

— Więc się ściszkaj z komi-wojażerem a mnie pozostaw nareszcie w spokoju — mruknął Mikołaj Iwanowicz odwracając się do okna.

— Głupiec! Zazdrośnik!

— Nie mamy sobie nic do zarzucenia oboje.

Między małżonkami wywiązała się kłótnia. Komi-wojażer patrzył na nich, wytrzeszczywszy ze zdziwienia oczy. Z tonu mowy rozumiał, o co chodzi i zapytawszy się Głafiry Siemionowny, czy jej mąż umie po francusku, zaczął rozprawić.

— Och ci mężowie! Mężowie, to ludzie okropni! Mąż pan! .aje się, gniewa się, że pokazałem pani towary i tym sposobem naraziłem go na znaczny wydatek. Mężowie nie umieją cenić swoich żon. Miłość trwa zaledwie do ślubu. To wszystko sprawdzić można w romansach. Jak tylko kobieta zostanie mężatką, mąż przestaje ją kochać i jest poniekąd trudnym do zniesienia, niemożliwym do pożycia. Czy mówię prawdę?

Wszystko to wypowiedział, ma się rozumieć, po francusku. Głafira Siemionowna poniekąd domyśliła się głównego sensu i odpowiedziała:

— *Wuj, monsieur.*

Mikołaj Iwanowicz w przemowie tej Francuza, usłyszał kilka razy powtórzony wyraz *l'amour*. Wiedział co znaczy po francusku *l'amour*, wnet się też odezwał:

— Ten nicpoń, poważa się nawet mówić mojej żonie o miłości. *Lamur... Lamur...* Powiedz mu, żeby tę *lamur* pozostawił dla siebie, bo mogę mu karku nakręcić.

Głafira Siemionowna rozgniewała się.

— Ty wyraźnie chcesz wywołać nowy skandal — krzyknęła. — Nie rozumiesz języka i złościsz się bez przyczyny. O miłości, mówił on zupełnie w innym znaczeniu.

— W jakimkolwiek znaczeniu by ją omawiał, niech się strzeże, bo ja żadnemu francuskiemu bydlęciu nie pozwolę z moją żoną mówić o miłości. Niech umilknie, bo może mu spaść co na głowę — rzekł Mikołaj Iwanowicz przyciszonym głosem, ale z jego oczów tryskała złość i wściekłość.

— On mówił o miłości męża do żony.

— Nie wolno mu pleść takich bzdurstw w mojej obecności — rzekł Mikołaj Iwanowicz podniesionym głosem.

— Ale czego ty krzyczysz i kompromitujesz się?

— Bo mam prawo krzyczeć, bo mi się tak podoba. A ty siadaj tu ze mną rzędem i milcz. Nie życzę sobie, abyś z nim rozmawiała. Przesiądź się i milcz, powtarzam — mówił Mikołaj Iwanowicz głosem donośnym, wcale już nie krepując

się, a nawet wyrwał poduszkę, na której siedziała Głafira Siemionowna i przerzucił ją na kanapkę obok siebie.

Głafirze Siemionownej puściły się łzy z oczów, ale jednak nie opierała się i przesiadła się obok męża.

Francuz zrozumiał, że małżonkowie rozpoczęli ze sobą jakąś kłótnię, pomimo to, skoro pociąg przystanął, przypomniawszy sobie obietnicę dostarczenia Głafirze Siemionownej czegoś do zjedzenia na kolację, wyskoczył z wagonu i po upływie minuty zajął swoje miejsce, mówiąc:

— *Tout de suite, madame, on vous apportera quelque chose à manger et à boire! ¹⁾*

Pociąg ruszył i podczas jazdy ukazało się w oknie kępi konduktora. Opuścił szybę i podał, owinięte w papier, sandwiche, butelkę wina i szklanę.

— *S'il vous plaît, madame* — rzekł komi-wojazer z lekkim ukłonem, wskazując na konduktora.

— Nie potrzeba! Nie potrzeba! — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz, powstrzymała go jednak Głafira Siemionowna.

— Jakto nie potrzeba? Widać masz zamiar zamorzyć mię głodem. Mnie się chce jeść, i wziąwszy od konduktora podane przez niego przedmioty, zapytała: *Kombien?*

— *Trois francs, madame* — odpowiedział konduktor.

— *Prenez trois francs, se pur boar.*

— Lzy ją dusiły. Należało podziękować komi-wojazerowi za uprzejmość. Opanowawszy się więc siłą i nie ukazując twarzy, rzekła:

— *Mersi, monsieur.*

Mikołaj Iwanowicz siedział zachmurzony, ale milczał, widząc jednak, że Głafira Siemionowna dotąd nie dotknęła przyniesionego pakunku, rzekł:

— Więc jedz. Prosiłaś o przyniesienie co do zjedzenia.

Głafira Siemionowna wcale nie odpowiedziała, bo płakała utuliwszy głowę w poduszkę.

¹⁾ Natychmiast przyniosą pani co do zjedzenia i do picia.

— Kiedy nie chcesz jeść, to ja napiję się wina — rzekł Mikołaj Iwanowicz i naławszy wina z butelki do szklanki, wychylił do dna.

Po upływie pół godziny, napłakawszy się do woli, Głafira Siemionowna otarła ukradkiem oczy i odwróciwszy się od męża, zaczęła jeść sandwicze! ¹⁾.

Komi-wojażer zaś już spał, czy też udawał śpiącego.

XXXV.

Po owej nocnej sprzeczce, małżonkowie już wcale do siebie nie mówili i siedzieli nadaśani. Mikołaj Iwanowicz wypiwszy sam jeden prawie całą butelkę wina, chociaż ostrzegwał przedtem żonę, że powinni się mieć na baczności od rozbójników, a zatem, że spać nie powinni, zaczął drzemać i pierwszy na dobre usnął. Głafira Siemionowna jeszcze walczyła z oporną ją sennością, patrzyła przez okno, jak w oddaleniu pęgały światelka, zaczęła wreszcie poziewać i mimo łuku kół pociągu także zasnęła.

Skoro zaś przebudziła się, pociąg stał na jakiejś stacyi. Zaczęło świtać. Komi-wojażer i drugi Francuz już nie spali. Tłusty Francuz poziewał i zdjąwszy z nóg pantofle, włożył pół-buciki. Komi-wojażer stojąc poprawiał ubranie. Wpatrywał się w małe lusterko, które trzymał w ręku, przyczesywał włosy i kręcił czarne wąsiki.

— Ostatnia stacya przed Genewą. Za piętnaście minut przybędziemy do miasta — rzekł Francuz z czarnymi wąsikami, zwróciwszy się do Głafiry Siemionownej, pytając zarazem czy miała sen przyjemny.

¹⁾ Tyle razy wspominamy tu wyraz „sandwicze“, jest on wyrazem angielskim, oznacza zaś rodzaj grzanki, to jest bułki czy chleba po zdarceniu wierzchniej skórki, nasmarowanej masłem i w piecu opieczonej. Nazwa pochodzi od imienia pewnego angielskiego hrabiego, który spożywał grzanki takie jako przysmak.

Głafira Siemionowna, przyciszonym głosem, odpowiedziała *mersi* i zaczęła budzić męża. Mikołaj Iwanowicz otworzył oczy, wpatrując się w żonę bezmyślnie.

— Trzeba związać nasze rzeczy. Niezadługo przyjedziemy do Genewy.

— Gdzie?

— Do Genewy.

Mikołaj Iwanowicz spojrział z ukosa na komi-wojażera, zmarszczył się i zapytał żonę:

— A ten bałwan także tam jedzie?

— Skądże ja mam wiedzieć. Wcale go nie pytałam.

— Do Genewy, to widoczne. Czy wiesz, Głafira Siemionowna, że nie mam wcale chęci zatrzymywania się w Genewie. Niech ją tam lichy. Pojedziemy dalej.

— Jak to, pał ją lichy? Przecież w Genewie już Szwajcarya. Nareszcie zobaczymy raz te słynne na cały świat Alpy, przyjrzymy się szwajcarskim krajobrazom w naturze, które u nas widzieliśmy tylko na obrazach i sztychach litograficznych.

— Co nam po górach! Co nam po widokach i krajobrazach! Pluć na to wszystko. Góry i krajobrazy możemy widzieć z okien wagonu, w czasie przejazdu — mówił Mikołaj Iwanowicz i nieustannie wpatrywał się z pod oka w komi-wojażera, który nieprzystawał porządkować swoją toaletę.

— Ty możesz na to pluć, ale ja pluć nie myślę i nie chcę. Pragnę koniecznie widzieć Genewę i Alpy, czytałam bardzo wiele o Genewie, i to nie bardzo dawno. Tu margrabia de Furma spędził z Leonią miodowy miesiąc. Jeździli po jeziorze przy świetle księżyca.

— Znowu opowieść z romansu. Niech to djabli wezmą — krzyknął Mikołaj Iwanowicz.

Możesz sądzić djablami, niemam nic przeciwko temu, ale choć jeden dzień musimy zabawić w Genewie. Powinieneś się na to zgodzić, jako na karę za twoje przewinienie.

— Zaczyna się dawna historia. Przecież za to moje jakieś przewinienie kupilem ci już koronek i innych jakichś dro-

bnostek u Francuza za sto siedmdziesiąt franków. Lepiejbyś o sobie pomyślała i zastanowiła się — dodał Mikołaj Iwanowicz nie spuszczać z oka komi-wojażera.

— Zmiluj się, nie pleć głupstw, wiem dobrze do czego ta przymówka; ale niema najmniejszego sensu. Musimy zatrzymać się w Genewie.

Głafira Siemionowna zaczęła zbierać rzeczy i obwiązywać rzemykami. Pociąg pędząc całą siłą pary zbliżał się coraz więcej do Genewy. Już zrobiło się jasno, dzień. W mgłę porannej, przyświecały zarysy olbrzymich gór, ale jednak pokrywały je jeszcze chmury. Kobiety w niebieskich sukniach i kapeluszach ze słomy, z grabiami na ramionach i z koszykami na plecach, szły obok toru kolejowego na robotę. Mikołaj Iwanowicz patrzył zachmurzony na wszystko i ze złości przygryzał wargi.

Pociąg zaczął zwalniać biegu, ukazała się stacya.

— Romanistka! — rzekł ze złością Mikołaj Iwanowicz — zapewne wiadomo ci z romansów, jakim tu mówią językiem, po francusku, czy po niemiecku?

— Sam niezadługo usłyszysz — odpowiedziała Głafira Siemionowna, także w najgorszym humorze.

Pociąg stanął.

Małżonkowie zebrali rzeczy i gotowi byli do wyjścia. Głafira Siemionowna trzymała w rękach dwie poduszki i sakwojaż. Komi-wojażer zbliżył się do Głafiry Siemionownej i chciał jej pomóc.

— Niepotrzeba. *Alle!* — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Patrzącie go, jaki skory do usługi. Zapewne dlatego, żeby co ściagnąć ukradkiem.

— Zupełnie już zgłupiałeś! jak uważam — odezwała się Głafira Siemionowna.

Wysiedli z wagonu.

Tragarz, który natychmiast zbliżył się do nich, pokazując palcem blachę z numerem przypiętą na piersiach, odebrał od nich poduszki i sakwojaże i zapytał:

— *Quel hôtel désirez-vous, monsieur? ¹⁾*

— Aha! więc tu jeszcze mówią po francusku — rzekł Mikołaj Iwanowicz — to dobrze, tylko pamiętaj Głafira Siemionowna, że więcej niż jeden dzień pod żadnym warunkiem nie zabawimy w Genewie.

Około zabudowania stacyjnego, przy samych drzwiach zatrzymał ich tragarz i jakiś, już podżyły, jegomość z cygarem w ustach.

— *Qu'est-ce que vous avez là, monsieur? Ouvrez. ²⁾* — rzekł ów jegomość wskazując na sakwojaże.

— *Monsieur le visiteur des douanes ³⁾* — rzekł tragarz.

Małżonkowie nie rozumieli, co od nich żądano i patrzyli na siebie. Pan z cygarem i tragarz gośćmi rąk objaśnili ich, że powinni otworzyć sakwojaże. W tej chwili podsunął się komi-wojażer i coś przemówił po francusku do kontrolora, ukazując małżonków. Kontrolor wysłuchał i wypowiedziawszy: *Allez*, przepuścił ich swobodnie.

— Czy to komora? Czy co? — zapytała Głafira Siemionowna.

— A ja skąd mam wiedzieć — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Wiem tylko to, że ten bałwan, ten natręt z czarnymi wąsikami, nie chce od nas odstąpić i ciągle mięsza się do naszych spraw.

— Przecież nam dopomógł. Za jego wstawieniem się puścili nas swobodnie — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Nie żądam wcale jego pomocy.

Na podjeździe stali szwajcarzy z rozmaitych hoteli z blachami na czapkach, na których były wypisane nazwy hoteli.

— *Otel de Riusi* — przeczytał Mikołaj Iwanowicz na blasze jednego ze szwajcarów i zawołał:

— Chwała Bogu! Nareszcie przynajmniej tutaj znalazł się hotel rosyjski. Zabieraj rzeczy — machnął ręką na szwaj-

¹⁾ Jaki hotel pan sobie życzy? ²⁾ Co tam pan ma. Otworzyć!

³⁾ Pan ten, jest kontrolorem celnym.

cara. Dać nam numer. — Wiele kosztuje u was porządny numer z dwoma łózkami?

Szwajcar zaczął zabierać rzeczy, ale zaraz na zapytanie nie odpowiedział.

— *Comprends pas, monsieur* — rzekł po chwili.

— Jak to? Szwajcar z hotelu rosyjskiego nie umie po rosyjsku. A to wybornie. Jakaś nowa komedia!

— Wszak to szwajcar, a w hotelu, być może, mówią po rosyjsku — odpowiedziała Głafira Siemionowna. Chodźmy!

Wyszli za szwajcarem, który poprowadził ich do karety i dopomógł do wsiadania. Kareta potoczyła się po szerokiej bardzo ulicy z wielkimi, szarej barwy, domami, skręciła w bok i natychmiast zatrzymała się przy podjeździe. Małżonkowie nie jechali nawet trzech minut.

— Tak prędko? Już przyjechaliśmy — ze zdziwieniem zawołał Mikołaj Iwanowicz, wysiadając z karety. — Nie warto było jechać. Doszlibyśmy tu pieszo. Czorty! Tylko bałamuca niepotrzebnie ludzi, a to dlatego, żeby potem zedrzeć za karete po dwa franki od osoby.

— No, no, wychodź! I tak już namruczałeś dosyć, oburzasz się i rzucasz o nędzne cztery franki. Na pijatykę w Paryżu wyrzuciłeś siedmset franków, i nie było ci żal pieniędzy — rzekła z wymówką Głafira Siemionowna.

XXXVI.

Hotel »Rosya« jest jednym z najwspanialszych w całym mieście Genewie. Małżonkowie weszli do przedsienia hotelu i rozpoczął się zwykły akt dzwonięcia w wielkie i małe dzwonki. Szwajcar uderzył w wielki dzwon, na to odpowiedział inny mniejszy dzwonek, zadzwoniły także i elektryczne dzwonki. Ni stąd ni z owąd pojawił się starszy kelner we fraku i z olówkiem za uchem, ze schodów zbiegł inny kelner z serwetą w ręku, ukazał się także jakiś chłopak w niebieskiej barwy uniformie z galonami na kołnierzu i błyszczącymi guzi-

kami. Małżonkom składano ukłony ze wszystkich stron, zapraszając uprzejmie na górę, już to w języku francuskim, już w niemieckim.

— Kto jednak z was tutaj mówi po rosyjsku? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, idąc po schodach wraz z żoną. *Russisch... Russisch sprechen...*

Pokazało się, że w hotelu nikt nie mówi po rosyjsku.

— A to pięknie! Jakże wy możecie nazywać ten hotel, hotelem rosyjskim? Wszak to najwyraźniejsze oszustwo! Do was przyjeżdżają Rosyanie, aby korzystać z rosyjskiego języka, a tu nikt go nie rozumie.

Zajęli numer za ośm franków na dobę. Pokój był wspaniały. Starszy kelner, pokazując go, zachwalał widok przepyszny, jaki się rozpościerał przed oknami.

— Państwo zobaczycie jezioro genewskie i nasz śnieżysty *Montblan* — dodał starszy kelner.

— Co do widoków, Bóg z wami. Potem się dopiero rozpatrzymy — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Czy nie można czego *boar* i zjeść, *manže a la rıus*? *Te a la rıus* można? *Te awek* samowar.

— *Oh, oui, monsieur* — odpowiedział starszy kelner i ukłoniwszy się zabierał się do odejścia.

— Czekaj! Czekaj! Otóż jeszcze... Przyjechaliśmy do Szwajcaryi, więc trzeba spróbować szwajcarskiego sera. Przynieś *fromaż szwajcar*.

— *Fromage de suisse?* — poprawił go starszy kelner. — *Oui, monsieur*.

W ciągu kwadransa małżonkowie umyli się, uczesali i pojawiła się na stole herbata, doskonale przyrządzona, z samowarem brązowym, ze śmietanką, z cytryną, z ciastami, z bułkami, z masłem a nawet z miodem w plastrach. Podano także kawalek sera.

Mikołaj Iwanowicz spojrział i wykrzyknął z radością:

— O tak, to doskonale. Pierwszy raz za granicą będziemy jedli po ludzku, jak należy. Szwajcarowie, to dzielny

naród. *Bian, bian* — rzekł do kelnera, ukazując na herbatę i poklepał go po ramieniu.

Kelner uklonił się i z uśmiechem odszedł.

— I służba tutaj bardzo przyzwoita, wszyscy we frakach. Ani się umywała do niej obsługa francuska, w papierowych kołpakach i w wojskowych pantoflach — wyrzekła z zadowoleniem Głafira Siemionowna.

— Patrz, podali nawet miód. Znają smak i upodobanie rosyjskie — rzekł Mikołaj Iwanowicz, ukazując plaster miodu. Jedno tylko najgorsze, że nie mówią po rosyjsku.

Przedewszystkiem skosztował sera, ale ser był lichy.

— Alboż to szwajcarski ser? Z serem pokpił zupełnie sprawę. Niema najmniejszej goryczki, ani smaku. To ser nasz zwykły, z fabryki Meszczerskiego, nie zaś szwajcarski.

— Niezawodnie ser Meszczerskiego, bo przecież życzyłeś sobie, aby wszystko koniecznie było po rosyjsku, to też podali ser rosyjski.

— Przepraszam, wyraźnie powiedziałem, ser szwajcarski. Nie, nie, już to tutaj najwidoczniej to samo dzieje się co wszędzie, szewc bywa bez butów a krawiec chodzi w podartej odzieży. Dobry i prawdziwy ser szwajcarski tylko do Rosyi wysyłają.

Napiwszy się herbaty, małżonkowie wyszli celem obejrzenia miasta, ale zaledwie tylko ukazali się na schodach, spotkali się zaraz oko w oko z komi-wojażerem. Stał na pierwszym stopniu schodów, w błyszczącym kapeluszu i w żółtych rękawiczkach i grzecznie się uklonił.

Mikołaj Iwanowicz odwrócił się tyłem.

— Tfu do djabła! I tutaj... Przyczepił się jak smoła do podeszwy, jak bielmo na oku — mruknął Mikołaj Iwanowicz z oburzeniem. Natręt!

Mikołaj Iwanowicz dotychczas w wybornym humorze, nadąsał się i nasrożył.

Na dole spotkał małżonków starszy kelner i z ukłonem, pełnym szacunku, rzekł po francusku:

— U nas *tabl-dot...* Śniadanie i obiad o piątej godzinie. Jeżeli państwo raczycie *zaszczycić* nas swoją obecnością proszę o łaskawe zapisanie się *wcześniej*.

Głafira Siemionowna przetłumaczyła to mężowi, dodając:

— Zapewne zjemy tu obiad, powinien być dobry.

— Żebyś się znowu spotkała ze swoim komi-wojażerem? Nie życzę sobie tego wcale — odpowiedział opryskliwie Mikołaj Iwanowicz. — Raczej wolę w jakim nędznym szynku zjeść obiad, niż narażać się tutaj na towarzystwo tego balwana, już mi stanął kością w gardle.

XXXVII.

Genewa, której połowę prawie ludności składają cudzoziemcy, w jesieni bywa zwykle pusta; podróżni wcale do niej nie przyjeżdżają, zaś bogatsi mieszkańcy opuszczają miasto, udając się nad brzegi Śródziemnego morza. Tak było i w tej porze. Ulice były bezлюдne, restauracye, kawiarnie i sklepy bez gości. Gospodarze domów stali na progach drzwi i nie mając wcale żadnego zajęcia, nie prowadząc interesu, ziewali lub palili fajki. Turystów nigdzie nie można było spotkać, nawet, jak to mówi się, na lekarstwo. Tylko tu i owdzie przesunął się jaki przechodzień, ale i ten spieszył się, idąc do pracy. Małżonkowie nie spotkali ani jednego powozu do najęcia, nie widać także było i wozów ciężarowych, i robotników. Wszystko to niezmiernie zasmuciło Mikołaja Iwanowicza i Głafirę Siemionowną. Wielka tu była różnica między tem miastem a Paryżem. W tem ostatniem wystawa sprowadziła setki tysięcy podróżnych, to też na ulicach panował olbrzymi ruch, tu zaś cicho, pusto, jakby rzeczywiście Genewa należała do miasteczek ostatniego rzędu.

— Co to jest? — zawołała ze zdumieniem Głafira Siemionowna. — Czy to Genewa, czy inny jakiś partykularz? Tak chwalono Genewę, tak rozpowiadano z zachwytem o jej wspaniałości i świetności, a tymczasem, jak widzę, pustki

i pustki! A w książkach i romansach ileż wzniosłych opisów o niej nazytałam się. Nie, to chyba nie Genewa.

— Genewa! Genewa! Sam to wyczytałem na tablicy wywieszanej na stacyi — mówił Mikołaj Iwanowicz.

— Godne podziwu. Gdzież ten *Montblan*? Ja tu wcale *Montblana* nie widzę.

— Tam przecież, tam dalej, patrz jakie olbrzymie wznoszą się góry — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Właśnie zbliżali się do mostu.

— *Montblan*, wedle opisu, powinien być biały, śnieżysty, pokryty lodem, a ja tego wcale nie widzę. Góra zwykła, jak wszystkie inne, a na szczycie chmury — mówiła Głafira Siemionowna.

— Bo dzień pochmurny. *Montblan*, o ile się domyśleć można, jest tam, w chmurach.

— Nie, to nie Genewa, stanowczo nie Genewa. Czytałam przecież, że widok gór ma być majestatyczny, wspaniały, zachwycający, a tu pospolitość. Góry jak góry.

— Skoro niema tej majestatycznej wspaniałości, to tem lepiej. Ponieważ nie podoba ci się Genewa, przeto wyjedziemy z niej jak tylko będzie można najprędzej — z gniewem odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Podszedłszy do mostu, skoro Głafira Siemionowna spojrziała na jezioro, zawołała z radością:

— Niebieska woda. Tak, tak, to Genewa! Genewa! Poznalam ją po niebieskiej wodzie. O tej niebieskiej wodzie tyśiące było opisów. Rzeczywiście, woda to osobliwa, niebieskiej barwy a przeźroczysta. Patrz, Mikołaj Iwanycz, tu przecież ma być nadzwyczajnie głęboko a dno widać. Oto tam leżą skorupy z robitego talerza.

— Pał go lichu!

— Ale woda, woda, prawdziwa rozkosz — zachwycała się Głafira Siemionowna. — Dlaczego, Mikołaj Iwanowicz, woda w tem jeziorze ma taką niebieską barwę? Czy to już taka z natury?

— Gdzieś w pobliżu musi być fabryka, wyrabiająca materye, które farbują kubeką i krochmalem niebieskim, a następnie niebieską farbę wypuszczają z kotłów i wylewają do tego jeziora.

— Co ty znowu pleciesz? Czy podobieństwo, aby można było wlać tyle farby do wody, ażeby przybrała kolor niebieski — zawołała Głafira Siemionowna. — Patrz, patrz, płynie parowy statek, parochód, tam znowu śmigają dwie łodzie z żaglami!

Mikołaj Iwanowicz głośno ziewnął.

Małżonkowie przebyli most i znaleźli się na szerokiej ulicy, szczerlnie zapelnionej bogatemi magazynami, z olbrzymiemi zwierciadlanemi wystawami. W oknach widniały rozmaite modne galanteryjne drobiazgi. Głafira Siemionowna przypatrywała się z wielką ciekawością i zajęciem, zatrzymywała się prawie przy każdym oknie, wykrzykując:

— Ach, jakie to śliczne! Jakże zachwycające! Tu daleko piękniejsze rzeczy niż w Paryżu. Mikołaju Iwanowiczu — odzwała się po chwili — czy chcesz, czy nie chcesz musisz za swoje przewinienie kupić rozmaite rzeczy na podarunki, przynajmniej za sto franków.

— Znowu przewinienie! Dokądże to będzie? Zdaje się, że nie skończysz nigdy. W wagonie u tego natręta kupilem ci koronki, niby za karę, tu znowu nowa kara. Z jednego wolu nie zdiera się siedm skór — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna odęła usta.

— A to będzie ładnie — rzekła po chwili — jak powrócę do domu bez prezentów. Komi-wojażer także najął numer w tym samym co my hotelu. Pójdę i zażadam od niego, aby mi sprzedał kilka próbek ze swych towarów. Dwie złote sztuki mam jeszcze przy sobie.

Mikołaj Iwanowicz wybuchnął rozgniewany.

— Na to nie pozwolę pod żadnym pozorem. Jeżeli ośmielisz się wejść do komi-wojażera, ja cię stamtąd za włosy wyciągnę. Wiedz o tem i rób co ci się podoba.

Głafira Siemionowna spojrziała na męża zalawionemi oczami, plunęła i pobięła dalej chodnikiem. Mikołaj Iwanowicz poskoczył za nią.

— Glasza! Co to znaczy? Nie rób głupstw, nie dokucaj! Zmiluj się, miej trochę zastanowienia — prosił mąż i chciał jej zajrzeć w oczy, ale jak tylko zbliżył się, uderzyła go parasolką w rękę.

Przechodzący stawali i przypatrywali się zdumieni. Gospodarze, właściciele magazynów i ich subjecci z ciekawością śledzili uliczną awanturę, niektórzy nawet wybiegli ze sklepów. Doszedłszy do jakiegoś bulwaru, Głafira Siemionowna zwolniła kroku, usiadła na ławce i zakrywszy twarz chustką zaczęła płakać.

— Potworze! Nikczemniku! Jeździsz po Europie, wymyślasz na cywilizację, a sam jak zwierz chcesz po azyatycku postępować z żoną, torturować jak niewolnicę — mówiła Głafira Siemionowna.

Mikołaj Iwanowicz siadł obok swej małżonki i zaczął uniewinniać się.

— No, uspokój się. Cóż się stało? Ja żartowałem. Może się przecie w gniewie wyrwać jakie niepotrzebne słówko — mówił i perswadował.

Skończyło się na tem, że Głafira Siemionowna uspokoiła się i przestała płakać.

Mikołaj Iwanowicz poprowadził ją do magazynu, gdzie zakupiła różnych drobnostek galanteryjnych za dwieście franków. Kupiono plecione koszyki, rozmaite drobnostki z górskich mineralów, podstawę do lampy, jakieś z muszli morskich drobnostki, wyrobione przez miejscowych jubilerów, szpilki z główkami z fałszywych kamieni, krawatki, domki rzeźbione z drzewa i t. p. Wszystko odesłano do domu.

Poczyniwszy zakupy, małżonkowie zaczęli odszukiwać restaurację, gdzieby mogli zjeść obiad.

XXXVIII.

Restauracya, do której weszli małżonkowie, należała do pierwszorzędných a znajdowała się przy ulicy blisko jeziora.

Garsoni ubrani we fraki, a nie w kurtkach jak w Paryżu i w długich fartuszkach, przy tem mieli białe kamizelki i białe krawaty.

Małżonków powitał przy wejściu właściciel we własnej osobie, tłusty mężczyzna w marynarce, bardzo podobny z ruchów i postawy do rosyjskiego kupca, z okrągłutkim brzuskiem, na którym jaśniała gruba, ze złota, dewizka, z podstrzyżoną brodą, przytem z kieszeni wystawał mu róg fularu; z nosem kształtu cebuli, czy rzepy. Różnił się tylko tem od kupców tamtejszych, że na głowie miał niebieską, sukienną czapczkę, podobną do mycki, jakiej kupcy w Rosyi nie noszą. Złożywszy kilkakrotny ukłon małżonkom, przemówił coś po francusku i następnie poprowadził ich na drugie piętro do ogromnej sali i ukazał miejsca przy stole, na którym znajdował się liczny, bardzo wykwintny i bogaty serwis.

Skoro małżonkowie usiedli, właściciel ukłoniwszy się powtórnie, zapytał:

— Zdaje mi się, że państwo jesteście Rosyanie?

— *Wuj! Wuj! Le ruis* — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Postaramy się zadowolnić rosyjski gust państwa. Ja znam nawykienia Rosyan — poruszył głową i dodał:

— Państwo zapewne życzą sobie zjeść obiad?

— *Wuj! Wuj! Diné* — rzekł Mikołaj Iwanowicz, potwierdzając głową, gdyż zrozumiał wyraz obiad. — A po jakiej cenie są tutaj obiady? *Kombié?*

— *Kel pri le dine?* — wyjaśniła Głafira Siemionowna?

— Od sześciu do dwudziestu franków, *madame*. Mogę państwu dać obiad z sześciu dań. Państwo raczycie tylko oznaczyć cenę a mnie pozostawić wybór potraw. Mam nadzieję, że zdołam państwa najzupełniej zadowolić — mówiąc

to, restaurator usiłował gościami jak najdobitniej rzecz przedstawić, widząc, że Głafira Siemionowna przysłuchuje się bardzo uważnie.

Zrozumiawszy oświadczenie restauratora, przetłumaczyła mężowi, dodając:

— Niezmiernie osobiwa restauracya. Za wiele franków zamówimy obiad?

— Niech nam da obiad na ośm franków. Zobaczymy co on nam przysposobi wedle gustu rosyjskiego — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Zamówiono i czerwone wino.

— *Et l'eau de vie russe? Wodka!* zapytał gospodarz.

— Jak to, jest tutaj i wódka rosyjska? Czy podobna! — z radością zawołał Mikołaj Iwanowicz.

Gospodarz uśmiechnąwszy się potwierdził głową.

— Proszę pana. *Že wu pri.* Jeżdżę, jeżdżę po za granicą a jeszcze nie wypilem ani jednego kieliszka rosyjskiej wódki. Prawdziwa niespodzianka! Nagle w Szwajcaryi, rosyjska wódka! *Mersi! Mersi!*

Mikołaj Iwanowicz ucieszony wyciągnął rękę do gospodarza i uścisnął.

Publiczności w restauracyi było bardzo mało.

Na drugim końcu stołu siedziały dwie z wielkimi, wystającymi zębami Angielki, z podżyłym Anglikiem. One już kończyły śniadanie, czy też obiad, i jadły kompot z jabłek, popijając nieustannie wodą sodową, którą nalewały z wielkim szumem z trzech syfonów. Oprócz nich, siedział przy stoliku oddzielnym, chudy, wysoki jak żerdź, oficer z rudymi wąsami, skręconymi jak nitka, w niebieskim mundurze z niezwykle wysokim, stojącym kołnierzem. Przed nim stała szklanka likieru i na talerzu leżały gruszki. Czytał gazetę.

— Czy długo będziemy czekali na obiad? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz. — Czyby nie zażądać papieru i atramentu, bo radbym posłać list do Skrypkinych. Napiżemy, że siedzimy pośród śniegu i lodowców na szczycie *Montblan*.

— A dlaczego? Z jakiej racyi? — rzekła Głafira Siemionowna.

— Ot tak sobie. Niech się dziwują. Pisaliliśmy z wieży Eifla, a tutaj z *Montblan*.

— Na wieży Eifla byliśmy, a na *Montblan* wcale nie.

— Wielka historia! Plunąć na to. Niech nam dowiodą, że nie byliśmy. Byliśmy i rzecz skończona. Znaj naszych! Ich to ogromnie rozżłości! Myśmy zaledwie zdołali być na nabożeństwie w Tychminie — powiedzą sobie — a Iwanowcy byli na wieży Eifla i na *Montblanie*. Ja napiszę do nich.

— Jak chcesz. Napisz, napisz wreszcie — rzekła Głafira Siemionowna, uśmiechnąwszy się.

Zażądano papieru, koperty i pióra z kałamarzem, Mikołaj Iwanowicz zasiadł do pisania.

— Już list gotów. Wszystkiego dziesięć do piętnastu wierszy, z naszej strony będzie to rodzaj uprzejmości, a obok tego list tak zgiewa Skrypkinych, że oni się wzajemnie zwymyślają z zawiści. Wszak Skrypkin obiecał żonie, że pojedą za granicę a skończyło się na Tychminie — rzekł Mikołaj Iwanowicz i przeczytał list:

»Otóż tedy jesteśmy w Szwajcaryi, kochany Anisim Sergejewicz i Marya Iwanowna. Przyjechawszy do Genewy zaraz zabraliśmy się do zwiedzenia gór śniegowych i lodników. W tym momencie siedzimy na *Montblan* i pijemy poncz, skąd zasyłamy wam pozdrowienie. Zimno straszliwe, piętnaście stopni mrozu, tak, że nawet Głafira Siemionowna zdecydowała się wypić szklankę ponczu, aby się rozgrzać».

— Dlaczego o mnie w liście wspominasz? Jeżeli kłamiesz, to kłam sam a mnie do tego nie mieszaj — przerwała mu Głafira Siemionowna.

»Słuchaj dalej — zaczął czytać w dalszym ciągu Mikołaj Iwanowicz — aby się rozgrzać. Śnieg grubości, o ile mogą wnosić z olbrzymiej jego warstwy, zapewne najmniej pięć arszynów i nigdy prawie nie topnieje. Wysoczyzna taka, że patrząc z góry wcale nie na dole nie widać. Okropna igraszka

przyrody. Bardzo żalujemy, że nie jesteście razem z nami. Do prędkiego zobaczenia się.

List włożono do koperty, zaklejono i posłano na pocztę przez miejscowego służącego.

— Będą się straszliwie złościć, że nie są na *Montblancie*, a my — dodał Mikołaj Iwanowicz — uśmiejemy się do woli.

Podano wódkę i zakąskę, sardynki, śledzia, kielbasę, jakąś suszoną rybę i pasztet straszburgski. Wódka była rosyjska w małej, pękatej butelce, z rosyjską marką Smirnowa w Moskwie.

— Ależ to zupełnie po rosyjsku. Pyszna przekąska! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, rozplywając się z radości. — Nawet i wódka moskiewska. Powinnaś i ty, Głasza, wypić kieliszek.

— Z jakiej racyi? Przecie jej nigdy nie piję. — Odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Żeby uczcić wódkę rosyjską za granicą. Jakaż zatem będziesz patriotka, jeżeli...

— Nie, nie. Pij sam jeden — pszerwała żona.

— Ma się rozumieć, że wypiję. Nasza rodzima, rosyjska, prawosławna — mówił Mikołaj Iwanowicz, uśmiechając się do butelki, a nawet poglądził ją ręką, nalał w kieliszek i wypił z nadzwyczajnem zadowoleniem.

XXXIX.

Obiad, podany przez właściciela małżonkom, wedle gustu Rosyan, jak się wyraził, składał się z zupy rakowej z grzankami, ryby *turbo*, miniaturowego befsztyku, kapusty, pieczonej pulardy, lodów i fruktów, z dodatkiem kawałka sera. Szwajcar nie omylił się, widocznie miał on już do czynienia z rosyjskimi podróżnymi. Wybredna Głafira Siemionowna jadła wszystko z apetytem, oprócz ryby *turbo*, mówiąc: »Bóg wie jaka to ryba».

Mikołaj Iwanowicz wypiłszy cztery kieliszki rosyjskiej wódki, nabrał wyborowego humoru i Głafira Siemionowna już

się nie dąsała wcale; oboje byli weseli, gdy nagle, pod koniec obiadu, zjawił się w sali komi-wojażer. Tym razem był szczególnie wykwintnie ubrany, na rękach miał świeżutkie rękawiczki i różę w butonierce żakieta. Na jego widok Mikołaj Iwanowicz zadrżał, jakby go kto wodą zimną oblał. Nawet przerwał opowiadanie, i zachmurzywszy się rzekł:

— Znowu czort lezie aż tutaj. Zmiluj się, Głasza, nie mów do niego ani słowa.

Komi-wojażer zobaczywszy małżonków, uklonił się bardzo grzecznie i zbliżywszy się do stolika, usiadł z umysłu naprzeciw nich, mówiąc:

— *Bon apétit!*

— Bodajbyś się kością rybią udławił, ty lakierowany obludniku — odpowiedział po rosyjsku Mikołaj Iwanowicz i odwrócił się do komi-wojażera tyłem.

— Zmiluj się, dlaczego, dlaczego? — reflektowała męża Głafira Siemionowna.

— Dlatego, że jest natręt, nieczemnik!

— Dlaczego nieczemnik? Przecież nam nie wyrządził nic złego — mówiła Głafira Siemionowna.

— Jeszczeby tego brakowało. Wtenczas bym mu taką sprawił łaźnię...

Komi-wojażer słuchał nierozumiejąc, widział jednakże, że małżonkowie klóć się, chociaż Głafira Siemionowna usiłowała uśmiechać się.

— Kończ prędzej te lody. Tak powoli smakujesz, jakby naumyślnie. Owoce zabierzemy i zjemy po drodze, przynaglał żonę Mikołaj Iwanowicz i zawołał na lokaja:

— Rachunek. *Kombię peje!*

Komi-wojażer widząc, że małżonkowie zamierzają opuścić restaurację, uśmiechnął się wdzięcznie i wyjmując z butonierki różę, podał ją Głafirze Siemionownej. Ta oburzyła się i spojrziała na męża, jakby pytając, czy ma ją wziąć lub nie.

— Nie waż się brać — krzyknął groźnie Mikołaj Iwanowicz, mierząc komi-wojażera wściekłym wzrokiem.

— *Non, non. Il ne fo pa. Ze ne we pa. Mersi* — odpowiedziała mocno zmięszana i odsunęła różę ręką.

Komi-wojażer, zaczął ją prosić, aby różę przyjęła. Nagle Mikołaj Iwanowicz, wyciągnął rękę, pochwycił różę i rzucił ją na podłogę.

— *Monsieur!* — zawołał Francuz podniesionym głosem i zerwał się z krzesła.

— Nie potrzeba żadnych prezentów! Wstawaj Głafira Siemionowna. Idziemy — mówił Mikołaj Iwanowicz — rozliczymy się przy tamtym stoliku.

Głafira Siemionowna nadzwyczaj przerażona, wyglądała jakby na pół żywa, na pół martwa.

— Ach Boże, skandal, znowu skandal! — szeptała, idąc za mężem.

Do Mikołaja Iwanowicza skoczył komi-wojażer i zaczął coś mówić po fancusku, gwałtownie wymachując rękami.

— Precz! Czego żadasz odemnie! Ja z tobą niechcę mieć nic do czynienia — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, przybierając również groźną postawę.

Francuz cofnął się, i zaczął rozmawiać z jakimś podziłym gościem, siedzącym przy oddzielnym stoliku, który widocznie oczekiwał na obiad i przypatrywał się tej scenie zdziwionym wzrokiem.

Mikołaj Iwanowicz nieustannie wymyślając, przeglądał rachunek przyniesiony przez lokaja. Nakoniec rzucił na stół dwie sztuki złota i naglił lokaja do wydania reszty. Otrzymawszy ją, odsunął lokajowi dwa franki na herbatę. Nagle spostrzegł, że Głafira Siemionowna wyszła z sali. Pospieszył tedy za nią. Głafira Siemionowna szła prędko ulicą, kierując się ku domowi i płakała.

— Nie masz czego ryczeć! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Jak tylko przyjdziemy do domu, trzeba się gotować do drogi — dodał w najwyższym uniesieniu. — Uciekajmy z tej Genewy. Dość tych przyjemności. W końcu doprowadzisz do tego, że Francuz zechce cię uściskać.

— Alboż ja jestem temu winna — odpowiedziała Głafira Siemionowna, ocierając oczy.

— Ty! Ty! Widziałem doskonale jak uśmiechałaś się do niego w wagonie. Tym sposobem nabrał śmiałości, bezwstydnik. Zaledwie jakiś wywłoka-Francuz zaczął się do niej umizgać, a ta już tak do niego wdzięczyła się, jakby pragnęła bliższy związać stosunek — krzyczał, chodząc po numerze, Mikołaj Iwanowicz.

— Turek! Zazdrosny Turek! Baszybożuk!') — odpowiadała Głafira Siemionowna na zarzuty męża.

Mikołaj Iwanowicz naglił do wyjazdu i tego samego dnia, już o godzinie piątej udali się na dworzec kolei i kupiwszy bilety Towarzystwa bezpośredniej komunikacji aż do samej granicy, zajęli miejsca w wagonie. Głafira Siemionowna zadana na męża, siedziała odwrócona do niego tyłem; kiedy zaś do niej przemówił, krzyknęła: »Idź do djabła!«

Do odjazdu pociągu brakowało jeszcze pięć minut.

Mikołaj Iwanowicz otworzył okno i zaczął przypatrywać się jak na platformie roila się publiczność, jak tragarze w bluzach toczyli wózki z bagażami podróżnych, nieśli płaszcze, pledy i sakwojaże, pośród tej gromady zauważył także i komi-wojażera. Komi-wojażer biegł od wagonu do wagonu, zaglądnąwszy do środka przez okno.

Mikołaja Iwanowicza jakby coś nieprzyjemnie tknęło.

— Ach ty djable! Czy znowu ten balwan z nami razem pojedzie — krzyknął na cały głos, zwróciwszy się do żony: — Ciesz się! Twój wielbiciel, znowu pojedzie z nami. Biega jak waryat i nas odszukuje.

Komi-wojażer rzeczywiście ich szukał. A spostrzegłszy w otwartym oknie Mikołaja Iwanowicza, natychmiast przyskoczył do wagonu i wymachując rękami, mówił coś po francusku. Mówił z wielkim rozdrażnieniem, trzymał w ręku kartę

') Baszybożukami nazywają w Rosyi ochotników do wojska z głębokich gubernii — chłopów.

wizytową, a Mikołaj Iwanowicz z jego tonu zrozumiał, że nie były to wyrazy towarzyskiej uprzejmości.

— Coż ty chłystku, śmiesz mi wymyślać! — krzyknął z kolei Mikołaj Iwanowicz, wysuwając głowę przez okno.

Francuz nie przestawał wykrzykiwać i grozić.

— Ośmielasz się nawet machać rękami, ty psie śmierdzący! Z rękami bądź ostrożny, bo ja mam dla ciebie w gotowości ot to — dodał Mikołaj Iwanowicz, wyciągając rękę zgiętą w kulak.

W tej chwili odezwał się dzwonek, a następnie gwizdawka parowozu i pociąg ruszył. Francuz, zdawało się, na to tylko czekał. Podskoczył do okna wagonu i chwycił Mikołaja Iwanowicza za uszy.

— Aha, tego ci się zachciało — ryknął Mikołaj Iwanowicz, a strąciwszy z głowy kapelusz komi-wojażerowi, pochwylił wzajemnie za włosy.

Francuz zaczął krzyżeć przeraźliwym głosem:

— *Arretex! Arretex!* — żądając zatrzymania pociągu, ale pociąg nie stanął i Francuz musiał przebiec po platformie kilka kroków obok wagonu, zanim udało mu się oswobodzić głowę z rąk Mikołaja Iwanowicza.

Gdy Mikołaj Iwanowicz zwrócił się do żony, już pociąg pędził całą siłą pary.

— A to lotr — krzyknął. — Chciał się bić ze mną. Ale ja nie jestem taki niedołęga. Sprawilem mu należyłą łażnię, do końca życia o tem nie zapomni. Oto moje trofea zwycięstwa! — dodał i pokazał żonie garść włosów, wydartych Francuzowi z głowy, które trzymał w ręku.

XI.

Podróżnych, wyjeżdżających z Genewy, nie było zbyt wielu, ale i ci pomieścili się głównie w trzeciej klasie, druga klasa zatem była prawie pusta, tak, że małżonkowie jechali w zupełnie oddzielnem *coupé*.

W początku Głafira Siemionowna ciągle jeszcze siedziała zadąsana, tyłem do męża i wcale nie odpowiadała na jego pytania, on zaś nieustannie opowiadał, w jaki sposób nawyrywał włosów z głowy komi-wojażera. Zebrawszy je, zaczął zaplatać i plecionkę tę zawiął w kawałek papieru.

Głafira Siemionowna nie mogła dłużej milczeć i uśmiechnęła się, widząc męża z taką przyjemnością chowającego włosy komi-wojażera.

— Trofea zwycięstwa — rzekł Mikołaj Iwanowicz, dostzegłszy uśmiech Głafiry Siemionowny.

— Także szczególnie upodobanie — odezwała się Głafira Siemionowna — chować cudze włosy? Cóż ci z nich przyjdzie?

— Będzie to wspomnienie z Genewy, a zarazem pamiątka odniesionego zwycięstwa nad amatorem wdzięków mojej żony — odparł ze śmiechem Mikołaj Iwanowicz. — Skoro powrócimy do domu, pokażę moim krewnym i znajomym, jak należy postępować z przygodnymi wielbicielami. Żałuję tylko, że dostał się w moje ręce Francuz nie Niemiec. Gdyby to były włosy Niemca, z całą przyjemnością kazałbym z nich zrobić brelok i nosiłbym go przy zegarku.

— Zdaje mi się, że to nie był Francuz, ale po prostu żyd — dodała Głafira Siemionowna.

— I ja tak przypuszczam, że to był francuski żyd. Natrętność jego przechodziła wszelkie granice przyzwoitości.

— Teraz mogę ci wyznać, że był to rzeczywiście natręt, trudny do pozbycia się — rzekła Głafira Siemionowna. — Wyobraź sobie, przysłał mi list z oświadczeniem swej miłości i błagał o wyznaczenie mu schadzki.

— Co? A to lotr! Więc teraz sama przekonaj się, czy moje przeczucia nie były słuszne, czy omyliłem się, uważając tego lotra za nieponia? Gdzież ten list?

— Bardzo naturalnie — odpowiedziała Głafira Siemionowna — podarłam go w kawałki, bo wiedziałam z góry, jakie czekałyby mię awantury, gdyby ten list przypadkowo dostał się do twoich rąk.

— Ja bym z tego balwana narąbał drzewa i luczyna — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, któremu na czoło wystąpiły żyły, jak powrozy.

— Ciebie aresztowanoby i musielibyśmy pozostać w Genewie, Bóg wie dokąd. Unikając tych smutnych następstw podarłam list na drobne kawałki. List był napisany na różowym papierze, jako oznaka uczuć miłosnych jego autora — mówiła Głafira Siemionowna. — Liścik miał formy towarzyskie lepszych sfer, bo nawet pachniał — mówiła z uśmiechem, już zupełnie spokojna Głafira Siemionowna.

— A to lotr! A to lotr! Kiedyż ten list dostał się do twoich rąk? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Doręczyła mi go, jakaś dziewczyna, posługująca w hotelu — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Czy to stało się przed ową sceną ofiarowania ci róży, czy wcześniej.

— Później. List doręczyła mi dziewczyna po powrocie do domu z restauracyi; zapewne list ten oddał dziewczynie pierwej. Ty wyszedłeś z numeru, nie wiem po co, a tymczasem wbiegła dziewczyna i podała mi romansowy bilecik z uśmiechem. Papier, jak ci już powiedziałam, był koloru różowego, atlasowy, koperta z różą i wymalowanym na niej motylkiem.

— Niepotrzebnie mię rozdrażniasz, opowiadając te szczegóły — zawołał Mikołaj Iwanowicz, wybuchając. — Chwalisz i papier i kopertę...

— Nie mam zamiaru drażnić cię, ale opowiadam otwarcie, jak było — rzekła Głafira Siemionowna.

— Czy cię to nie zawstydzą, czy cię to nie obraża, że taki obieżywiatr, postępował z tobą, jak z kobietą pozbawioną wstydu i osobistej godności.

— Nie miałam potrzeby obrażać się zachowaniem błazna — rzekła spokojnie Głafira Siemionowna.

— Natręt, lotr! Podły człowiek! — krzyknął znowu Mikołaj Iwanowicz. — Teraz stanowczo każę jego włosy oprawić w brelok i będę go nosił, jako niezaprzeczony tryumf.

Mikołaj Iwanowicz zawinał starannie w papier włosy, wyrwane z głowy komi-wojażera i schował do koszyka.

— Zawsze jednak — rzekł po chwili, upoważniłaś go do podobnego postąpienia, uśmiechami i ciąglem powtarzaniem: *Mersi! Mersi!* I masz teraz skutki *mersi*. Mężczyzna nigdy nie ośmieli się zbliżyć do kobiety, gdy ona nie da powodu, gdy sama do tego nie zachęci! Ponieważ zaś podczas naszej podróży z Paryża do Genewy nie przedstawiałaś z wielką uprzejmością prowadzić rozmowę z tym balwanem, więc to go uzuchwaliło. Dwa razy podawałaś mu rękę i uściśnęłaś; czort wiedział co to za figura, a ty ścisłałaś mu rękę.

— Przecież wypadło podziękować za jego uprzejmość. Sam widziałeś, jak starał się obudzić w nas zaufanie dla siebie. Zadziwiać się zaś należało, jak tanio sprzedał nam swoje koronkowe towary.

— Milez na miłość boską i przestań chwalić tego nieponia — rzekł wielce rozgniewany Mikołaj Iwanowicz.

Nastąpiła cisza.

Mikołaj Iwanowicz widocznie rozgorączkowany i zły, palił gwałtownie papierosa, buchając wielkimi kłębami dymu.

— Niezbyt wielka przyjemność spotkała cię ze strony tego komi-wojażera — zaczęła na nowo Głafira Siemionowna.

— Nie nadzwyczajnego, chwycił mię jedynie za głowę — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Nie, przeciwnie, chwycił cię za uszy, bo do tego czasu masz jeszcze uszy czerwone.

— Więc to widocznie cieszy cię — rzekł podwyższonym głosem Mikołaj Iwanowicz. — Jemu dostało się dziesięć razy więcej odemnie, a dowodem tego garść włosów, które mu wydarłem z głowy. Ja mam trofeum, a on nic.

— Czy ty wiesz, że on cię wyzywał na pojedynek? — mówiła w dalszym ciągu Głafira Siemionowna.

— Kłamiesz? Kiedy? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Wtenczas, kiedy zbliżył się do okna naszego *coupé*. ponieważ nie rozumiesz po francusku, więc nie wiedziałeś co

on mówi, ale ja wiedziałam. Dlatego on tobie starał się wsunąć w rękę kartę wizytową.

— Bydłę! Ja bym mu pokazał co to jest pojedynek. Ja bym go przeciał na połowę, kulą roztrzaskał jego mózgowicę, rozdarlbym go jak ćwiartkę papieru, gdybym nie siedział w wagonie. Pojedynek z jakimś francuskim żydem. To paradne!

— Właśnie on cię nakłaniał, abyś wysiadł z wagonu, a ponieważ nie chciałeś wysiąść, więc schwycił cię za uszy, mając zamiar zbić cię, czy co? — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Wcale nie ciągnął mię za uszy — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zawstydzony.

— Nie wypieraj się, chwycił cię za uszy, dobrze to widziałam — mówiła Głafira Siemionowna.

— Cóż to, nie czulem, czy co? — odparł Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna spojrzała na męża i uśmiechnęła się, jakby ją ta wymówka niezmiernie cieszyła.

— Czegoż ty się uśmiechasz? — zawołał Mikołaj Iwanowicz, nie posiadając się ze złości.

— Bardzo to dla mnie dziwne, a nawet dość zabawne, że się taki wypadek wydarzył nam w drodze — dodała Głafira Siemionowna. — Zupełnie to samo, co opisują w romansie francuskim. Nawet czytałam niedawno coś podobnego. Tylko przy tym wypadku nie było tych samych akcesoryów, wydzierania sobie włosów z głowy. Wszystko odbyło się w sposobie przyzwoitym, jak bywa między ludźmi inteligentnymi i obeznanymi z towarzyskimi zwyczajami. Jakiś hrabia zakochał się w zamężnej kobiecie... margrabinie!

— Dobrze, dobrze! Improvizuj! To ci się niezmiernie podoba. Wyobrażasz sobie, że ta margrabina to ty, a ten żyd francuski, to hrabia przez ciebie kreowany. Owszem, słucham, słucham. Muszę przecież wysłuchać cię, od początku naszej podróży, słucham cierpliwie twoich moralnych przemówień.

Masz mię za głupca, tem lepiej będzie to na przyszłość wskazówką jak z tobą postępować, ale nie myśl wcale, żebym został twoim pantoflem. Proszę, improwizuj!

— Cała ta scena zupełnie podobna do naszej. Tylko nie odbywała się w wagonie kolei żelaznej, ale na stacyi. Margrabia z margrabiną siedzieli na stacyi, mając zamiar odjechać do Nicei. Nagle wchodzi hrabia i podaje kartę wizytową margrabiemu. Na karcie wypisany był adres: Ulica Lafayette, numer taki a taki.

U dołu zaś karty notatka: »Dla nas dwóch niema miejsca na świecie, bo zawadzamy jeden drugiemu. Zatem albo ty, albo ja... Proszę o przysłanie sekundantów... Jakoż udają się oba do Włoch i tam pod cieniem cytrynowego drzewa...

— Milez! Milez! Wymysł, udanie, nieprawdopodobieństwo — przerwał Mikołaj Iwanowicz.

— Przepraszam, rzetelna prawda. Margrabina kochała się w hrabi. Margrabia był już starzec... — mówiła Głafira Siemionowna, nie zwracając uwagi na męża.

— Mówię ci, przestań!

— Okropność! Że też o niczem mówić z tobą nie można — odpowiedziała, nadąsawszy się, Głafira Siemionowna.

— Nie lubię słuchać tych sprawozdań z głupich romanów. Wszystko to wymysł, głupstwo, brednia nie warta torby sieczki — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Więc o czem mam z tobą mówić? — zapytała z niechęcią Głafira Siemionowna.

— Oto o tem, że w tym przybytku rosyjskich potraw, w tej restauracyi w Genewie, obdarli mię z kretesem za wódkę. Czy wiesz wiele policzyli za kieliszek *oczyszczonej*? Po dwa franki, czyli po dwie grzywien na nasze pieniądze, jeżeli będziemy rachowali podług bieżącego kursu. Wypiłem pięć ma-lutkich, jak naparstek, kieliszków i zapłaciłem dziesięć franków, czyli cztery ruble! Grabieżcy, rozbójniki, rabusie! Za prostą rosyjską wódkę. To okropność!

— Nie mam wcale chęci rozmawiać o wódce — odpowiedziała Głafira Siemionowna — tak jak ty znowu nie lubisz słuchać o przeczytanych przezemnie romansach.

Małżonkowie umilkli.

Mikołaj Iwanowicz przysunął się do kąta, oparł o ścianę wagonu i za chwilę już chrapał.

Pociąg spieszyl w kierunku miasta Berna, pośród malowniczych, górzystych krajobrazów, porosłych tu i owdzie winogronami. Zaczęło powoli zniżać się słońce. Ziemniało.

XLI.

Kolej szwajcarska odznacza się nieprzebraną ilością małych stacyj. Pociąg pędził z nie zrównaną szybkością, ale mimo to, co dziesięć prawie minut zatrzymywał się na przystankach na jedną minutę; szybko wyskakowali podróżni i z równą szybkością wsiadali do wagonów nowi. Drugą klasę jednak nie przepelniali wcale podróżni, wszyscy pasażerowie zadawalniali się trzecią klasą, i z tego też względu małżonkowie ciągle siedzieli sami.

Mikołaj Iwanowicz usnął snem głębokim i chrapał straszliwie. Głafira Siemionowna wcale nie spała. Na każdej stacyi otwierała okno, przyglądając się wysiadającym podróżnym, i przemysłowcom, i handlarzom przesuwającym się po platformie, rozdającym między podróżnych piwo w szklankach, sandwicze, plecione koszyki, drobne szklane wyroby, fotografie krajobrazów szwajcarskich, konfekty, pieczone i t. p. Z początku snująca się publika mówiła po francusku, powoli jednak męszal się do rozmowy i język niemiecki, nakoniec zupełnie opanował język niemiecki, francuskiego już wcale nie było slychać. Zaczęła się niemiecka Szwajcarya. Głafira Siemionowna, zauważywszy tę zmianę przy kupnie zapasów żywności, zaczęła budzić męża.

— Mikołaj Iwanowicz — mówiła — czy dasz temu wiarę, że znowu jesteśmy na niemieckiej ziemi. Wszędzie sly-

chać język niemiecki. Nie spij już! Trzeba koniecznie zapytać się dokąd jedziemy.

Mikołaj Iwanowicz przetarłszy oczy, zaczął się przeciągać, ziewając.

— Obawiam się, żebyśmy znowu nie zabłądzili, i nie dostali się tam, gdzie nam wcale nie potrzeba. Niemiecka ziemia nam wcale nie sprzyja.

— Ja wcale nie spię, zdrzemnąłem się tylko na chwilę — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Chce mi się jeść, to rzecz najgłówniejsza.

— Tutaj łatwo o dostanie jedzenia. Na każdej stacyi możesz się najeść do syta, nie wychodząc wcale z wagonu. Do okna przynoszą i piwo i *butterbrody*. Tylko trzeba koniecznie zapytać się dokąd jedziemy — rzekła Głafira Siemionowna.

— Więc gdzież teraz powinniśmy jechać? Przecież wprost do Rosyi, czy też...

— Nie, nie, zatrzymamy się jeszcze w Wiedniu. Zabawimy tam jeden tylko dzień. Ale właśnie zachodzi pytanie czy jedziemy do Wiednia? Może już trzeba nam było oddawna wysiąść z wagonu, a myśmy na to nie zwrócili uwagi. Wszak pamiętasz, że w niemieckiej ziemi ciągle musieliśmy się przesiadać.

— Koniecznie trzeba zapytać konduktora — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Konduktor dotąd wcale nie pokazał się w wagonie — dodała Głafira Siemionowna — od czasu, jak sprawdził nasze bilety w Genewie, jestem w wątpliwości, czy jedziemy tam, gdzie nam wypada.

— Rozpatrz się dobrze w książeczce biletów i sprawdź czy przejeżdżaliśmy przez te stacye, jakie są wymienione w drogowskazie. Na biletach są wymienione stacye — mówił Mikołaj Iwanowicz, starając się wytłumaczyć żonie jak się ma stosować. Wreszcie zaczął je przegłądać razem z żoną. Oto Berno, oto Zurych. Czy przejeżdżaliśmy przez te miasta? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Któż tam wie?

Na następnej stacyi Głafira Siemionowna wysunawszy się z okna, krzyknęła na przechodzącego konduktora:

— *Her Konduktor! Kommenxy bite. Wien?...* Gdzie jest *Wien*?

Ale wyrazu *Wien* on nie zrozumiał i nie odpowiedział. Nakoniec kelner, roznoszący piwo na tacy, u którego Mikołaj Iwanowicz wypił dwa kufle, zmiłował się nad małżonkami i zapytał po niemiecku.

— *Wie heisst die Station?!¹⁾*

— *Wien, Stadt Wien* — powtórzyła Głafira Siemionowna i pokazała książeczkę a w niej bilet, na którym wydrukowane było: *Wien*.

— *Wien* — przeczytał kelner, uśmiechając się i dodał po niemiecku: »to daleko — to Austria, a państwo jesteście w Szwajcaryi«.

— *Win! Win!* — podchwyciła Głafira Siemionowna. — *Win*, tak się nazywa po niemiecku — rzekła — a ja wymawiałam *Wien* — wyjaśniła mężowi. — On mówi, że to jeszcze daleko. Czy tylko siedzimy w tym wagonie, i w tym pociągu, który tam jedzie? *Wagon ist Wien?* — zapytała po raz drugi.

Ten zaczął mówić coś po niemiecku, ale w tej chwili dała się słyszeć świstawka i pociąg ruszył.

Po upływie dwóch godzin wszedł do *coupé* konduktor, przejrzał podaną mu książeczkę, oderwał kartki od kilku biletów, w tej liczbie i bilet z napisem Zurych, poczem rzekł:

— *Zürich, zwölf Minuten... In Romanshorn müssen sie umsteigen²⁾*.

— Otóż znowu przesiadanie się — zawołali małżonkowie, usłyszawszy wyraz *umsteigen*, i z wielką obawą zaczęli

¹⁾ Jak się ta stacya nazywa.

²⁾ Zurich dwanaście minut... W Romanshorn musicie się państwo przesiąść.

wypytywać się konduktora, gdzie mianowicie nastąpi to przesiadanie się i o której godzinie.

Rozmowa była długa, ale ani konduktor, ani małżonkowie wcale nie rozumieli.

XLII.

Całą noc spędzili małżonkowie pod wpływem obawy i oczekiwania na to przesiadanie się i nie odważyli się usnąć ani na jedną minutę, a sen tymczasem ciągle ich morzył.

W Zurychu, gdzie stali dwanaście minut, Głafira Siemionowna wsunawszy stróżowi kolejowemu i innym po dwa i trzy francuskich piątaków, jak nazywała sztuki dziesięcio-santimowe, cztery razy zapytywała:

— *Wi fil Ur umsteigen!* — a przy tem pokazywała swoją książeczkę z biletami, lecz stróże chociaż przeglądali ją, rozkładali ręce, tłumacząc się, że nie rozumieją.

— Co to znaczy do licha? Nadaremnie tylko wydałam pieniądze. Nikt nie wie, kiedy nastąpi to przekłete przesiadanie — mówiła Głafira Siemionowna do męża. — Przespiemy niezawodnie przesiadanie, przespiemy, jak Bóg w niebie, i przyjedziemy tam, gdzie nie należy.

— Niepotrzebnie obawiasz się, nie przespiemy. Tylko trzeba się powstrzymać od spania — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Nie spać, a sam już drzemać zaczynasz. Wąchaj przynajmniej salmiak. Ja ci zaraz dam buteleczkę z salmiakiem.

Głafira Siemionowna wydobyła z sakwojaża flakon i podała go mężowi. Mikołaj Iwanowicz powąchał i kichnął.

Zjawił się konduktor do oglądania biletów. Na nowo rozpoczęła się rozmowa o przesiadaniu się.

— Czekaj, dam mu dwa franki, a zaraz sprawa się wyjaśni — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Ty zaś, Głazza, powiedz mu po francusku, albo po niemiecku, żeby on nam pokazał, gdzie będzie to przesiadanie.

Mikołaj Iwanowicz ukradkiem przywołał konduktora do siebie i jak ten się nachylił, wsunął mu w rękę dwa franki. Konduktor spojrział na niego ze zdziwieniem. Głafira Siemionowna zaś rzekła:

— *Montre nu u il fo umsteigen?*

— *Ja, ja... Das ist Station Romanshorn. Station Romanshorn...*

— Stacya Romanshorn — powtórzył Mikołaj Iwanowicz.

— Ale my nie wiemy, o której godzinie tam przybędziemy — odpowiedziała Głafira Siemionowna i zwróciła się ponownie do konduktora. *Um wi sil Ur Romanshorn?*

— *Um fünf Uhr Morgen.*

— O piątej godzinie. Tak. *Le matin* — rano.

— *Le matin, le matin.*

— Otóż. *Kommenxy in wagon i zagenxy*, kiedy będziemy w Romanshorn. *Zagenxy hir Romanshornu.*

— *Sie wollen schlafen? O ja... ja... Schlafen sie ruhig. Ich werde zu Ihnen kommen und sagen*¹⁾ — uspokoił ich konduktor, zrozumiałwszy, że małżonkowie chcą się przespać.

— Przyjdzie, przyjdzie i powie nam kiedy trzeba będzie przesiadać się, powiedziała Głafira Siemionowna mężowi.

Jakkolwiek konduktor przyobiecał, że przyjdzie i oznajmi im gdy przyjadą na stacyę Romanshorn, małżonkowie wcale nie spali i czekali. Jak tylko zmorzyła ich drzemka, wachali zaraz salmiak.

Ale znowu wszedł konduktor i z uśmiechem powiedział: Romanshorn. Małżonkowie zaniepokoiłi się i zaczęli co prędzej zbierać swoje rzeczy.

— Bądźcie państwo spokojni — rzekł konduktor. — Jak tylko staniemy w Romanshorn ja natychmiast przyślę państwu tragarza.

Mikołaj Iwanowicz podał rękę konduktorowi i uściśnął, mówiąc: *Mersi! Mersi!*

¹⁾ Państwo chcecie spać. Spijcie spokojnie ja przyjdę i powiem.

Otóż i stacya Romanshorn. Pociąg zatrzymał się. Wszedł tragarz i zabrał rzeczy małżonków.

— *Win... Win... Wir faren Win.* Jedziemy do Wiednia. Trzeba te rzeczy zanieść do pociągu wiedeńskiego — objaśniła tragarza Głafira Siemionowna. *Win Wagon!*

— *Ja. Ja. Bitte schneller, madame*¹⁾ — naglił tragarz, zabierając tłumoki.

XLIII.

Tragarz z sakwożażami i z poduszkami szedł w poprzek relsów mimo wagonów stojących na linii tak zwanej pomocniczej. Postępowali tuż za nim małżonkowie. Przebywszy kilka pomocniczych linii, tragarz poprowadził małżonków ścieżką przez jakiś ogród. Było zupełnie ciemno, tylko w oddaleniu błyskały jakieś światełka.

— Boże! Gdzież on nas prowadzi? — wyrzekła przestraszona Głafira Siemionowna. My musimy przesiąść się do wiedeńskiego pociągu, a on nas wiedzie przez jakiś ogród. Czy nie myśli czasem, że mamy zamiar pozostać w tym przeklętym Romanshornie i czy nie zaprowadzi nas do hotelu? Słuchajcie przyjacielu — zawołała. — *Wohin?* My musimy wsiąść do wagonu. *Wagon in Wien?*

— *Ja, ja* — odpowiedział tragarz po niemiecku, co wcale małżonków nie uspokoiło.

Po upływie minuty ukazał się brzeg i pluskająca woda. Już zaczęło świtać i małżonkowie ujrzeli jezioro. Dalej była przystań. Około przystani stał szumiący i dymiący parochód. Tragarz wprost skierował się do przystani.

— Ależ dla Boga, gdzie on nas zaprowadził — rzekł podwyższonym głosem Mikołaj Iwanowicz. — Głasza! Patrz! On nas prowadzi do parochodu. To widać jest jakieś nieporozumienie.

¹⁾ Tak, tak. Proszę spiesz się pani.

— *Her, herenxy*. Nam nie tutaj! Nam *in Wien* — krzyknęła Głafira Siemionowna.

— *Ja... ja... Sie müssen erst im Dampfschiff fahren*¹⁾ — odpowiedział tragarz.

Małżonkowie nie zrozumieli i w tej niepewności zatrzymali się.

— *Schneller! Schneller!*²⁾ — naglił ich tragarz i przywoływał do statku parowego.

— Każe nam iść za sobą na parochód. To najwidoczniej pomyłka. Poco mamy jechać parochodem, skoro posiadamy bilety Towarzystwa bezpośredniej komunikacji — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, nie ruszając się z miejsca.

Obok małżonków przechodziła licznie publiczność spiesząc na parochód.

— Trzeba się spytać kogoś z podróżnych — rzekła Głafira Siemionowna, i zwróciwszy się do przechodzącego koło niej Niemca w haweloku, z kilkoma pelerynkami, pokazała mu bilety. *Wir fahren in Wien. Sagenxy wo ist Wagon?*

— *Nach Wien? Kommen sie mit!*¹⁾ — rzekł Niemiec, dając do zrozumienia, żeby szli za nim.

— I ten także każe nam iść na parochód. Czyliż do Wiednia koniecznie trzeba jechać parochodem?

— Kaduk ich tam wie. Sam djabeł tego nie zrozumie. Trzeba iść — rzekł, wzdychając Mikołaj Iwanowicz i skierował się do parochodu.

Głafira Siemionowna szła za nim, mrużąc:

— Na parochodzie znowu się zapytamy.

— Bilety! — zawołał po niemiecku szyper w czapce ze złotym galonem, kiedy małżonkowie znaleźli się na statku, i spojrzawszy na doręczoną mu książeczkę, odezwał się:

— Druga klasa. Na prawo!

¹⁾ Tak, tak, państwo muszą naprzód płynąć parochodem.

²⁾ Prędzej, prędzej!

³⁾ Do Wiednia! Chodź pani ze mną!

— Widocznie nie pomyłka; rzeczywiście parochód płynie do Wiednia — rzekła Głafira Siemionowna, zwracając się do męża.

— Nic nie rozumiem, nic nie wiem. Teraz niech sobie co chce będzie, a ja dziesiątemu nawet powiem, żeby nie ważył się jechać za granicę, nie znając języka.

Znaleźli się w drugiej klasie, w pysznej kajucie, oświetlonej lampami elektrycznymi w kształcie gruszek. Tragarz położył przy nich rzeczy i zdjawszy czapkę, prosił o wynagrodzenie. Otrzymałszy drobną monetę, rzekł: *Glückliche Reise* i odszedł.

Parochód ruszył.

Małżonkowie pogodziwszy się ze swoim losem, siedzieli w milczeniu i patrzyli na siebie nic a nic nie rozumiejąc co się z nimi dzieje.

— Masz tobie! — krzyknął nagle Mikołaj Iwanowicz — nasze bagaże pozostały na pociagu kolei żelaznej. Zapomniałem dać kwitu tragarzowi. Jakże będzie teraz, jakże się obejdzimy bez kufrów i tłumoków?

— Tak samo dzieje się jak i za pierwszym razem, ponownie pobalamuciło się nam w głowie. Doskonale! Ależ to okropność! Prawdziwa kara boska. Cóż teraz robić? — rzekła Głafira Siemionowna.

Małżonkowie posmutnieli.

— Gdzież to państwo raczą jechać? — zapytał po rosyjsku jakiś stary pan o twarzy marsowej z wielkimi wąsami, w długim palcie i w szarej czapce, siedzący niedaleko nich i przysłuchujący się rozmowie małżonków.

— Rosyjski człowiek! — z radością zawołał Mikołaj Iwanowicz, odwracając się do mówiącego. — Sam Bóg nam zesłał pana. Moja żona! Wyobraź pan sobie, zdaje mi się, że nie powinniśmy jechać parochodem, ale parowozem. Jedziemy z Genewy do Wiednia, kupiliśmy bilety w Towarzystwie bezpośredniej komunikacji, a wprowadzono nas na statek. Po niemiecku umiemy zaledwie dwa wyrazy, pytamy się każdego,

ale nikt nas nie rozumie, i my również nikogo nie rozumiemy. Dlatego to znaleźliśmy się na statku parowym.

— Niech pan mi pokaże bilety — rzekł stary pan.

Małżonkowie podali książeczkę. Stary pan przejrawszy bilety rzekł:

— Właśnie państwo tak jadą, jak należy. W książeczce znajduje się bilet na przejazd z Romanshorna do Lindau przez jezioro Bodan.

— Chwała Bogu! Chwała Bogu! żeśmy nie zblądzi — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Racz pan nam powiedziec czy długo będziemy jechali przez to jezioro?

— W ciągu dwóch godzin przepłyniemy jezioro i przyjedziemy do Lindau. Tam państwo wsiądziecie do pociągu i pojedziecie wprost do Wiednia.

— Ale co będzie z naszymi rzeczami? Zapomnieliśmy nasze rzeczy zabrać z kolei.

— Jakże wasz bagaż został wyprawiony? Pokaż pan kwit — rzekł stary pan, zainteresowany swemi ziomkami, spojrzawszy zaś na kwit rzekł:

— Bądźcie państwo spokojni, wasze rzeczy jadą razem z wami, już je przeniesiono na parochód.

— A to wielki ciężar spadł nam z piersi. Jak przyjadę do domu, dam na mszę — rzekł Mikołaj Iwanowicz, oddychając swobodnie. Pańskie imię, nazwisko? Pozwól pan, że się przedstawię panu.

Stary pan wymienił swoje imię i nazwisko.

— Michail Matwiejewicz. Wybornie, a ja Nikołaj Iwanycz Iwanow, a to moja małżonka, Głafira Siemionowna. Czy nie zapijemy tak przyjemnego poznania buteleczką wina. Tutaj na parochodzie jest zapewne bufet?

— Bufet jest, ale o godzinie szóstej z rana niepodobna pić wino. Nie pora po temu a za kompanię serdecznie dziękuję — odpowiedział stary pan.

— Dlaczego nie pora? Można pić i jeść, byle się tylko nie odurzyć.

— Nie, nie, racz mię pan od tego uwolnić.

— Wielka szkoda. Gdzie pan jedzie, jeżeli wolno spytać? Czy nie do Wiednia razem z nami?

— Nie, w Lindau muszę pozostać. Tutaj nad jeziorem przepyszne rozścielają się widoki, chciałbym przejechać parę razy jezioro. Ja jestem amator-artysta. Chodźmy na pokład, będziemy rozkoszować się widokami. Już zupełnie widno.

XLIV.

Wschodziło słońce, gdy małżonkowie weszli na pokład. Parochód płynął niedaleko od brzegu i miejscowa okolica była rzeczywiście wspaniała. Na gładkiej, jak szkło, powierzchni niebieskawej wody widać było łódki rybackie, górzysty brzeg z porozrzucanymi tu i owdzie wioszczkami. Rosyjanin, towarzysz doraźny małżonków zaraz przyłożył do oczów lornetkę i zaczął rozkoszować się i zachwycać precudnem rzeczywiście krajobrazem. Małżonkowie zaś z wielką niecierpliwością oczekiwali na zatrzymanie się parowca, aby co prędzej wsiąść do wagonu i pojechać do Wiednia. Pomimo zapewnienia towarzysza, jeszcze wątpili czy rzeczywiście dobrze jadą. niespodziewana podróż parochodem, na którą wcale nie zakupywali biletów, wprowadzała ich w błąd. Wreszcie Mikołaj Iwanowicz wypiszył dwa kieliszki koniaku, nabrał nieco humoru.

— A jak siądziemy na brzegu do pociągu, to już prosto pojedziemy do Wiednia — zapytał Mikołaj Iwanowicz nowego znajomego.

— Prosto bez przesiadania się — odpowiedział nowy towarzysz podróży.

— Czy pan już kiedy jeździł tą drogą?

— Wiele razy. Przed miesiącem przyjechałem z Wiednia do Lozanny a teraz powracam. Po drodze będziecie mieli Monachium. Otóż w Monachium na stacyi kolei nie zapomnijcie napić się po kufelku piwa. Piwo monachijskie słynie na cały świat z dobroci.

— Tak, tak, ja już slyszalem to samo o tem piwie. Tylko czy ono lepsze od berlińskiego — mówił Mikołaj Iwanowicz z uśmiechem radosnym na myśl, że będzie mógł napić się dobrego piwa.

— Nie znam się wcale na piwie — odpowiedział towarzyszy podróży — powiadają jednak, że lepsze.

— Głasza! Słyszysz?

— A niech tam będzie jak najlepsze, dla mnie wszystko jedno — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Mnie o to tylko idzie, aby jak najprędzej dostać się do domu. Nawet, gdyby było można, wcalebym już nie pojechała do Wiednia.

— Zabawimy tam tylko jeden dzień. Przejdziemy się po mieście i napowrót na kolej żelazną. Zawsze to Wiedeń, wielkie miasto i często o nim slychać mówiących w Petersburgu.

— Ach te Niemcy! Znowu będę się mordowała i trudziła nad doborem niemieckich frazesów. Gdyby tam byli Francuzi, pół biedy, rozmówić się można, a z Niemcami rozmawia się tylko na migi.

— We Wiedniu już będą państwa coś nie coś rozumieć po rosyjsku, a przynajmniej się domyślać — mówił towarzyszy Rosyanin. — Wiedeń, miasto sławiańskie. Służba i w ogóle naród prosty po większej części Sławianie.

— Co pan mówi? — zawołali małżonkowie uradowani.

— Tak pani, są tam Czesi, Kroaci, Polacy, Rusini i Serbi. Będą państwa rozumieć. Latwo to nawet spostrzeżenie zbliżając się do Wiednia, na kolei żelaznej. Konduktorzy prawie wszyscy Sławianie i potrosze rozumieją po rosyjsku.

— W takim razie zupełnie inaczej przedstawia mi się podróż do Wiednia — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Otóż i przystań!

Małżonkowie bardzo serdecznie pożegnali się ze swym przygodnym towarzyszem podróży, tragarz zabrał rzeczy i zaprowadził ich naprzód na komorę celną, gdzie urzędnicy cłowi nalepili na sakwożążach kartki, a następnie ten sam tragarz dopomógł im do umieszczenia się w wagonie.

— *Win* — zawsze jeszcze niedowierzając, zapytała Głafira Siemionowna konduktora, wycinającego bilety.

— *Ja, ja, Madame, direkt nach Wien* ¹⁾ — odpowiedział konduktor.

— *Umsteigen*, nie potrzeba?

— *Ohne Umsteigen, Madame.*

Pociąg ruszył.

Małżonkowie czekali na Monachium, aby napić się owego sławnego piwa. Szczególniej troszczył się Mikołaj Iwanowicz, nadzwyczajny amator tego trunku, i za każdym przystankiem wyglądał przez okno, czy nie zobaczy napisu: *München*.

Zjawił się i *München*.

Konduktor zawiadomił głośno, że pociąg zatrzymuje się pięć minut; stał jednakże dziesięć minut.

Małżonkowie zdołali zjeść po parze kiełbasek parowych, które sprzedawano na peronie gorące, prosto z kotła. Piwo jednak nie zyskało ich zadowolenia, nie było bowiem w niem nic szczególnego.

— Piwo jak piwo — rzekła Głafira Siemionowna, którą mąż przymusił do wypicia jednej szklanki. — Podług mnie, berlińskie piwo dwa razy lepsze.

Za Monachium Głafira Siemionowna zaczęła egzaminować konduktorów pod względem umiejętności rosyjskiego języka, zadając im różne pytania, ale nie rozumieli jej wcale. Mikołaj Iwanowicz robił to samo i zadawał pytania posługaczom, roznoszącym na platformie stacyj piwo i zakąski, nareszcie odnalazł to, czego szukał. Tak się mu przynajmniej zdawało.

— Hej piwo! Tutaj! — krzyknął na kelnera.

Kelner zrozumiał go, podbiegł bowiem z kufkami piwa do okna wagonu.

— Głasza! Głasza! Uważasz! Zaczynają mię już rozumieć — z radością wykrzyknął i zapytał kelnera, oddając kufel: Brat Sławianin?

¹⁾ Tak, tak, pani. Wprost do Wiednia.

— *Nein, gnädiger Herr!* — rzekł przecząco kelner.

Mikołaj Iwanowicz przenikliwie spojrział mu w oczy i wnet przekonał się, o bezpożyteczności swego zapytania. Z twarzy, a głównie po garbatym nosie, krętych, czarnych i wijących się włosach, można było poznać, że to czysty żyd, nie mieszańiec.

— Szlachcie jerozolimski, szlachcie jerozolimski! — zawołał — a ja nazwałem go bratem Sławianinem.

Małżonkowie jechali przez Bawaryę, należało jednak przebyć granicę zanim dostali się do państwa austriackiego. Na granicy znajdował się urząd celny i trzeba było przesiedzieć blisko godzinę, bo celnicy przepatrywali wagony. Ponieważ na stacyi był wyśmienity bufet, przeto małżonkowie zjedli obiad w tabldocie.

— Tu bez telegramu dali nam obiad, chociaż także Niemcy — zauważyła Głafira Siemionowna, przypominając wypadek w Königsbergu, gdzie ich nie dopuszczono do tabldotu dlatego, że nie zamówili obiadu za pośrednictwem telegramu.

— Tutaj zupełnie inny porządek — przemówił, ocierając usta, Mikołaj Iwanowicz.

Posługującym przy obiedzie był kelner, Polak, który rozumiał niektóre wyrazy rosyjskie, chociaż po rosyjsku nie mówił. Odbierając należność za obiad w markach niemieckich, wymienił je na guldeny i mieszając polskie wyrazy, wyjaśnił małżonkom, że powinni koniecznie wymienić pieniądze niemieckie na austriackie i przyprowadził nawet żyda wekslarza. Chociaż niezbyt dobrze rozumieli co kelner mówił, domyślili się o co chodzi i zmienili pieniądze. Pierwszy raz otrzymali papierowe austriackie guldeny. Mikołaj Iwanowicz długo im się przypatrywał z niedowierzaniem i rzekł nareszcie do żony:

— Asygnacye tutejsze zupełnie na wzór rosyjskich. Żeby tylko żyd nie oszukał. Czy tak dobrze? Czy to wierny rachunek? — mówił, zwracając się do kelnera.

— *Dobro, dobro, pan* — potwierdził kelner poruszeniem głowy.

Żyd także coś przemówił po niemiecku i kiwał głową.

Od granicy austriackiej rzeczywiście zaczęli pojawiać się konduktorzy kolei żelaznej i kelnerzy rozumiejący niektóre wyrazy rosyjskie, ale ich było mało, natomiast żydów można było spotkać na każdym kroku. Im bliżej było Wiednia, tem żydów było coraz więcej.

Wieczorem małżonkowie dojechali do Wiednia.

XIV.

Gdy małżonkowie przybyli do Wiednia, na peronie panował ruch nadzwyczajny. Z okien wagonu można było widzieć gromady tłoczącej się ze wszystkich stron publiczności, i rzecz godna podziwu, większą część stanowili żydzi. Żydzi z długimi brodami i misternie skręconymi pejsami, w cylindrach i w czapkach, już to stojących, już przyklepanych na głowie, żydzi w balatach i ubrani po europejsku, w płaszczach i hawelokach. Nawet prawie wszystkie wystrojone modnie kobiety, były same żydówki, wyróżniające się garbatymi i wielkimi nosami, tłustymi wargami. Pociąg jeszcze nie stanął, lecz toczył się powoli, szedł obok platformy a już w *coupé* drugiej klasy zjawiał się wysoki, smukły, chudy żydziak, z kliniastą bródką, w jasnym krawacie, w pierścieniach z różnofarbnymi kamieniami na brudnych palcach, zaczął się nisko kłaniać małżonkom, podając im adresy hotelów i przemówił po niemiecku:

— Hotel pierwszego rzędu. W najpiękniejszej dzielnicy miasta. Ceny bardzo niskie. Śniadania, obiady i kolacye po umiarkowanej cenie. Z forysiem mogą się państwo targować, umawiać o wynagrodzenie za jazdę... Bagaże z pakameru wydostaniemy w ciągu paru minut.

Mówił bezustanku, kręcił się to w tę, to w ową stronę i ciągle zdejmował czapkę z uszanowaniem.

— Głaska! Co on mówi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Kto go tam wie — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Zdaje się, że zaprasza nas do hotelu.

Żydziak usłyszawszy rosyjski język i widząc że nie jest zrozumiany, zaczął mówić łamanym francuskim językiem.

— Przeczytaj przynajmniej co tam wydrukowano na tej karcie — rzekł Mikołaj Iwanowicz — może się nam ten adres przyda — mówił Mikołaj Iwanowicz, odbierając kartkę od żydziaka i oddając ją żonie. — Nie mam wielkiej chęci, wchodzenia z żydami w konszachty, dodał.

Żydziak przekonawszy się, że i po francusku mówiąc, nie dojdzie do porozumienia się z małżonkami, zaczął mówić po polsku.

— My jesteśmy Rosyanie, Rosyanie — przerwała mu Głafira Siemionowna, uśmiechając się. — *Wir Russen* i niczego nam nie potrzeba.

— *Ach hochachtungsvolle Madame* — wyrzekł żydziak z westchnieniem. — Jaka szkoda, że nie umiem po rosyjsku. Mówię po niemiecku, po francusku, po polsku, po węgiersku, po czesku, po chorwacku, po serbsku, ale rosyjskiego języka wcale nie znam, na moje nieszczęście. Jeżeli państwo raczą przyjąć adres wskazanego przezemnie hotelu, dostarczę państwu Polaka, mówiącego po rosyjsku — rzekł w dalszym ciągu po niemiecku.

— *Nicht! Nicht!* Nie nie potrzebujemy — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i machnął ręką.

Pociąg zatrzymał się, zjawił się tragarz, w niebieskiej kurtce, któremu małżonkowie oddali swoje poduszki i sakwojaże i z nim razem wyszli z wagonu, ale żydziak nie odchodził. Już kręcił się około tragarza i mówił coś do niego.

— Czy państwu przywołać powóz? — zapytał tragarz.

— *Ja, ja.* Powóz przywołać! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Tragarz przywołał forysia, stojącego w pobliżu wyjazdu z dworca kolei. Żydziak zbliżył się również do dorożkarza, a nawet pomógł małżonkom przy wsiadaniu.

— Ależ nam nic nie potrzeba — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, odpychając żyda.

Za odepchnięcie podziękował grzecznie uchyleniem kapelusza i coś przemówił do forysia po niemiecku.

— *In Hotel, gut Hotel* — odezwala się Głafira Siemionowna, a forys zaciął konie, wypowiedziawszy kilka jakichś wyrazów w niemieckim języku.

— Do jakiej dzielnicy on nas zawiezie? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— A niech wiezie gdzie chce, wszystko jedno, byle hotel był przyzwoity — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A jak do jakiego żydowskiego zajazdu on nas zaprowadzi? Co? — znowu rzucił pytanie, Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna wstrzymała się z odpowiedzią.

Z początku jechali ulicami słabo oświetlonymi, wnet jednak dostali się w ulice literalnie zalane światłem gazu. Forys kilka razy skręcał to na prawo, to na lewo, wreszcie zatrzymał się przed hotelem, oświetlonym dwoma latarniami elektrycznymi.

Z podjazdu wyskoczył szwajcar w czapce, przyozdobionej galonami, chłopiec w czerwonej kepi i w czarnej kurtce i zaczęli dopomagać małżonkom przy wysiadaniu z powozu.

— *Cymmer. Cymmer für ewej...* Z ewej łózkami — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— *Proszu pan... Drei Gulden!* — rzekł szwajcar.

Mikołaj Iwanowicz dobył z kieszeni pieniądze, chcąc się załatwić z forysiem, ale przed nim, jakby wyrósł z pod ziemi, zjawił się znowu poprzedni żydziak, i z bardzo grzecznym ukłonem, rzekł po niemiecku:

— *Ist nicht nöthig zu zahlen... Ist schon bezahlt... Nachher werden sie zahlen. Il ne faut pas peyez... C'est peye dejä²⁾.*

— Już i tu się przybłąkał — zawołał zirytowany Mikołaj Iwanowicz na widok żydziaka. — Co chcesz? — krzyknął. — Głasza, czego on chce?

¹⁾ Nie potrzeba płacić. Już on zapłacony. Później pan zapłaci.

— Mówi, że nie potrzeba płacić forysiowi. Widocznie tutaj jest taki zwyczaj — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Żydziak tymczasem zrobił ruch ręką i foryś odjechał. Mikołaj Iwanowicz nie mógł wyjść z podziwienia.

— Ale czego chce ten żydzisko? — zapytał Mikołaj Iwanowicz. Jeżeli on tutejszy, z tego hotelu, to ja wcale nie chcę brać numeru, bo to najpewniej zajazd żydowski.

— No, no, idź już, potem będziesz się nad tem zastanawiał — nagliła męża Głafira Siemionowna. — Gdzie będziemy szukać innego hotelu.

— Żyd zatem zrobił swoje, poprostu opętał nas jak szatan. Przywiózł gdzie mu się podobało — zawołał Mikołaj Iwanowicz, uderzając się po boku.

Hotel rzeczywiście należał do pierwszorzędných, schody były wspaniałe, pokryte dywanami. Małżonków powitał cały szereg służby, byli tu i kelnerzy we frakach i białych krawatach, i pokojówki w sukniach wedle ostatniej mody, w białych fartuszkach i czepkach. Wszystko to kłaniało się, szastało nogami, nawet małe chłopcy w szarych kurtkach z zielonem obszyciem. Poprowadzono Mikołaja Iwanowicza i Głafirę Siemionowną procesjonalnie do kurytarza.

Małżonkowie wybrali wielki piękny pokój za cztery guldeny i pozostali.

Dwie pokojówki rzuciły się do Głafiry Siemionowny, pomagając jej do zdjęcia waterprufa, dwóch zaś kelnerów zdierało poprostu z Mikołaja Iwanowicza palto. Trzeci kelner stał w postawie pełnej uszanowania, oczekując na rozkazy.

— Ja sędzę, Głasza, że przedewszystkiem należy nam napić się herbaty i kazać przynieść przekąskę — rzekł Mikołaj Iwanowicz, zwracając się do żony, a otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, chciał wydać polecenie kelnerowi, ale ten kłaniając się już cofał się ku drzwiom i mówił:

— *Ich verstehe, mein Herr... Gleich werden sie kriegen*¹⁾.

¹⁾ Rozumiem, panie, i zaraz ją państwo otrzymają.

— Rozumie po rosyjsku, tylko nie mówi zapewne tym językiem — zauważyła Głafira Siemionowna, skoro kelner znikł we drzwiach.

XLVI.

Ponieważ małżonkowie postanowili zabawić tylko jedną dobę w Wiedniu, więc umywszy się, napiwszy herbaty i zjadłszy przekąskę, wybrali się zaraz na zwiedzenie miasta.

Tym razem byli już o tyle ostrożni, że zażądali adresu hotelu, aby znowu, tak jak w Paryżu, nie potrzebowali błąkać się po ulicach, nie wiedząc, gdzie najęli numer. Kiedy żądali od szwajcara karty, wnet przedstawił się im ten sam, co poprzednio, żydziak i ukłoniwszy się, zapytał małżonków, czy nie życzą sobie ekwipaży. Ażeby zaś małżonkowie zrozumieli go, powtarzał po kilkakroć jeden i ten sam frazes, po francusku, po niemiecku i po polsku.

— Oto przyczepił się, ani go odpędzić — odezwała się Głafira Siemionowna. — Nie potrzeba, niczego nie potrzebujemy. *Nichts! Geenxy precz.* My idziemy przejść się, *szpaciren* — dodała, zwracając się do stojącego wciąż natręta.

Małżonkowie poszli pieszo. Wkrótce znaleźli się na wielkiej, bardzo szerokiej ulicy, oświetlonej gazem. Na prawo i na lewo, rzędem, były magazyny z wspaniałemi wystawami towarów i z oznaczeniem cen. Takiego nadzwyczajnego ruchu ekwipaży, jak w Paryżu i Berlinie, nie było widać na ulicy, ale natomiast po chodnikach przelewały się olbrzymie masy żydów, ubranych wykwintnie, wszelkich rodzajów i stopni. Co najbardziej i nieprzyjemnie uderzyło małżonków, to szeregi umalowanych kobiet wiadomego gatunku, strojnych, w wysokich kapeluszach, z szerokimi skrzydłami, zuchowato włożonych na ucho i z olbrzymią gromadą piór białych, strusich, powiewających na kapeluszach. Kobiety paliły papierosy, puszczając kłęby dymu i wyzywającym spojrzeniem mierzyły mijających mężczyzn.

— W Paryżu i w Berlinie takich stad babich na ulicach wcale nie spotykaliśmy — zrobił uwagę Mikołaj Iwanowicz. — Strach, co ich tutaj! A wszystkie w białych piórach. Czy to już taka forma, czy też taki obyczaj?

— A ty rachuj je! Rachuj wiele jest! To dla człowieka zonatego rzecz bardzo właściwa i przywoita — rzekła Głafira Siemionowna i plunęła, mówiąc: — Zgiń, przepadnij! — i obejrzawszy się zobaczyła idącego za nimi żydziaka z hotelu. — Patrz, patrz — mówiła do męża. — Ten znowu jest, on się widać od nas nie odezpi.

Przechodzili koło olbrzymiego, ciemnego kościoła i zatrzymali się, by obejrzeć nadzwyczaj wspaniałe płaskorzeźby, gdy nagle wysunął się żydziak i rzekł, wskazując na kościół:

— *Die berühmte Stephanskirche!*

Głafira Siemionowna uśmiechnęła się i przetłumaczyła mężowi: On mówi, że kościół św. Stefana.

Potem Głafira Siemionowna zaczęła przystawać i wpatrywać się w okna wystaw sklepowych. W oknach także było oświetlenie silne, że raziło wzrok, ale natomiast można było widzieć najdrobniejsze szczegóły wewnątrz magazynów, jak niemniej takie same nosate i gębate figury żydów, chociaż ubranych wedle ostatniej mody.

— Subiecki także żydzi, a nam powiedziano, że Wiedeń, sławiańskie miasto. Piękny sławianizm! — mówiła Głafira Siemionowna.

Żydziak nie opuszczał wcale małżonków i przy każdej sposobności, jak tylko gdzie zatrzymali się, ukazywał się im nieustannie.

Głafira Siemionowna była nadzwyczaj zdumiona niezmierną taniością jedwabnych pończoch i rękawiczek na wystawie w jakimś sklepie.

— Trzeba kupić. To nadzwyczaj tanio. W Petersburgu cztery razy tyle kosztują — rzekła, i jak tylko wyciągnęła rękę, żeby wziąć za klamkę, żydziak już ją uprzedził i otworzył, a przytrzymując drzwi, wpuścił do środka małżonków.

— *Dixes, ich weis nicht tri auf deitez* — pokazała ręką Głafira Siemionowna subiektowi jedwabne pończochy.

— *Strümpfe... Damenstrümpfe* — odpowiedział żydziak subiektowi.

— Ależ to nieznośne! — szepnęła Głafira Siemionowna — tego natręta nie można się pozbyć.

— To niezawodnie komisioner, faktor, jak z tego wszystkiego łatwo wyprowadzić wniosek — rzekł Mikołaj Iwanowicz, nie posiadając się z gniewu.

Pończochy jedwabne i rękawiczki kupiono i zapłacono. Sprzedawał je kędzierzawy żyd z fałszywymi brylantowymi zapinkami w koszuli. Żydziak ciągle z nim rozmawiał i kiedy małżonkowie wychodzili, wsunął mu w rękę jakąś karteczkę.

Małżonkowie szli dalej i żydziak tuż za nimi.

— Ależ ten żydziak już mi obmierzył. Idź precz niedowiarku — zawołał Mikołaj Iwanowicz i machnął parasolem.

Żydziak natychmiast zdjął czapkę i odskoczył, ale kiedy małżonkowie obejrzel się, szedł tuż za nimi.

Kiedy znaleźli się na placu, na którym widać było gmach teatru i zaczęli przyglądać się budowie, żydziak głośno powiedział: »Teatr Opery!«

Naprzeciw teatru było kilka restauracyj i kawiarni. Małżonkowie weszli do jednej z tych kawiarni i zażądali lodów. Żydziak na razie zniknął. Ale jak już kończyli swoje poręce, znowu go zobaczyli. Siedział w pewnym oddaleniu i udawał że czyta gazetę, w rzeczywistości zaś pilnował i skoro zaledwili rachunek, przystąpił do nich, podając dwie czerwonej barwy karteczki.

— Bilety do Teatru Opery — rzekł żydziak po niemiecku i w tej chwili powtórzył po francusku: *Zwei Gulden, nur für zwei Gulden!*

— I gniewać i śmiać się trzeba — powiedziała Głafira Siemionowna. Bilety do teatru po dwa guldenty, oddaje.

— Ależ teraz już późno do teatru — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Zawsze jednak cośkolwiek zobaczymy — rzekła Głafira Siemionowna. Daj! *Gebenzy!*

Żydziak wstrząsł się z radości. Małżonkowie chcieli zapłacić, ale on zaczął machać ręką i rzekł:

— *Nachher, nachher werden sie zahlen!*¹⁾.

— Nie chce brać pieniędzy. Mówi, że później — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— A to dlatego, żeby nas zmusić do przyjmowania jego usług — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— A niech tam. Wszystko jedno. Już się go widać nie pozbedziemy.

Małżonkowie weszli do teatru. W teatrze publiczności tak, że prawie w połowie była żydowska. Nosy garbate i kręte, czarne włosy przeważały. Dawano jakąś nieznaną małżonkom operę, lecz przyszedli już na drugi akt.

— Złożyłbym się, że i tutaj żydzi są artyści-śpiewacy — zrobił uwagę Mikołaj Iwanowicz.

— Najniezawodniej — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Służba, która brała nasze ubranie do schowania, zdaje mi się także żydowska prawdziwa.

Skoro małżonkowie wyszli z teatru, żydziak komisjoner przedstawił się im na podjeździe. Zdejmując czapkę, rzekł po niemiecku:

— Czy każą państwo podać powóz? A może życzą sobie państwo, abym im wskazał wyborną restaurację, dla spożycia kolacy? *Supe* — dodał po francusku. — Mogę państwa zaprowadzić do restauracji, w której kelner mówi po rosyjsku.

Głafira Siemionowna przetłumaczyła to mężowi. Mikołaj Iwanowicz uśmiechnął się i odpowiedział:

— Niech go licho weźmie. Niech prowadzi. Widocznie już taki los, żeby nas całkowicie opanował. Ach żydy! żydy! Prawdziwe pijawki, dopóty nie odstąpią, dopóki z człowieka duszy nie wydobędą!

¹⁾ Potem, potem państwo zapłacą.

Podjechał powóz. Żydziak dopomógł małżonkom wsiąść do powozu i powiedziawszy coś woźnicy, wskoczył na kozioł, a powóz popędził galopem.

XLVII.

Żydziak zawiózł małżonków do wspaniałej restauracji. Gdy przejeżdżali ulicami, żydziak ciągle obracał się do nich i opowiadał jak się nazywają ulice, niemniej też i gmachy. Mówił nieustannie czterema językami, ale małżonkowie rozumieli go tylko w bardzo małej części.

Restauracja, do której ich zawiózł, składała się z olbrzymiej sali, oświetlonej elektrycznością i zastawiona była mnóstwem stolików z marmurowymi blatami. Publiczność nadzwyczaj liczna. Usługa w połowie żeńska, w połowie męska, składała się z młodych, bardzo przystojnych kobiet w czarnych sukniach i białych fartuszkach i nadzwyczaj przyjacielsko i poufale traktowała mężczyzn. Niektóre z tych kobiet, podawszy potrawę, czy też napój gościowi, przysiadły do niego, piły z tego samego kufła piwo i wesoło rozmawiały. Goście nawzajem, wcale się nie krępowali, obejmowali je w pól, szczypali delikatnie po twarzy, klepali po ramieniu, co nie uszło uwagi Głafiry Siemionowny.

— Ach bezczelne istoty! Patrz, na co one sobie pozwalają. Oto tam ta blondynka z białymi kwiatami przy gorsie, włożyła sobie czapkę na głowę — rzekła Głafira Siemionowna, pokazując mężowi wesołą, śmiejącą się kelnerkę. — Patrz! patrz, faworyty gościowi gładzi ręką. Że też mężczyźni pozwalają na taką poufalskość.

— Najniezawodniej kawalerowie; a kawalerzy to bardzo lubią — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, patrząc z pod oka na ładne kobiety.

— Co ty mówisz? Mnie się zdaje, że tu większa połowa żonatych!

Małżonkom jednakże posługiwał kelner we fraku, którego im przedstawił żydzyk-komisjoner, jakoby tenże władał językiem rosyjskim.

— Oto, gołabeczkę — odezwał się Mikołaj Iwanowicz — czyby nie można co zjeść *a la ruis*, coś apetycznego. Rozumiesz, coś do gustu?

— Tak, gospodynie — odpowiedział kelner, podając mu jadłospis i pokazało się, że oprócz tych dwóch wyrazów, kelner nie umie wcale po rosyjsku.

Mikołaj Iwanowicz odepchał od siebie kartę.

— Co ty mi tam kartę dajesz. Karta napisana po niemiecku, trzeba umieć ją przeczytać, ale ja jednak nie rozumiem, więc daj nam cztery poreye czegoś smacznego, dwie dla mnie i dwie dla pani. Pierwej ryby a potem mięso. Czy rozumiałeś?

— Mięsa! *Da gospodyne*.

— *Fisz i Fleisch*, ale nie *kalt* — dodała Głafira Siemionowna.

Kelner pobiegł dla spełnienia poleceń.

Podano tedy jesiotra, smażonego w mleku i jajach z ziemniakami, dalej sznyצל wiedeński z cielęciny z garniturem. Poreye były olbrzymie, zrobione bardzo smacznie, i małżonkowie byli z dań niezmiernie zadowoleni.

— To rozumiem! — rzekł Mikołaj Iwanowicz — potrawy wyśmienicie przyrządzone i poreye jak należy, odpowiednio do apetytu człowieka, nie jak dla wróbli — przytem wychylał kufel po kufłu wiedeńskie piwo. — Czy nie chcesz lodów? — zapytał żony?

— Owszem, zjadłabym ze smakiem — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Doskonale! Jedz, jedz. Może się nareszcie odkarmisz po wstrętnych miniaturowych potrawach w Paryżu. Zażądaj gruszek z winogronami. Jeżeli tu nie zjesz, to w domu możesz skousumować.

Tymczasem Głafira Siemionowna zjadła i lody, i gruszki, i winogrona, jedną tylko gruszkę odłożyła, ażeby ją zabrać ze sobą do numeru.

— Najważniejsze w tem wszystkim to, że się widzi co się je; jesiotr znakomity przysmak — rzekła Głafira Siemionowna — nie podali żadnych paskudztw, ale czystego jesiotra z kartofflami.

— Więcej jesteś zadowolona?

— Najzupełniej, jakkolwiek to żydowskie miasto. Piwo również doskonale.

— Chwała Bogu. Zwiedziliśmy Wiedeń, możemy wszystkim opowiedzieć, że byliśmy w Wiedniu, więc jutro, jeżeli zechcesz tylko, możemy wrócić do naszej rosyjskiej ziemi.

— Jutro! Jutro! Już zatęskniłam za domem.

— I mnie także coś ciągnie. Jak tylko przyjedziemy do domu zaraz pójde do łaźni. Nadzwyczaj dawno tam nie byłem. Zapłaciwszy za kolację i doręczywszy kelnerowi szczodry napiwek, małżonkowie opuścili restaurację. Żydzyk czekał w bramie niedaleko powozu.

— Znowu ten cudak! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, ale tym razem już bez niechęci, a nawet poklepał komisyonera po ramieniu.

Żydzyk uśmiechnął się z radości, i zaczął pomagać małżonkom do wsiadania.

— *Nach Hause!* — zapytał, wskakując na koziel.

— Tak, do domu, do hotelu — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Do domu żydzyk wiózł ich inną drogą i ciągle objaśniał o nazwach ulic i gmachów.

Otóż nareszcie i hotel.

— *Kombiè?* — zapytał Mikołaj Iwanowicz, wysiadając, i chciał zapłacić, ale komisyoner nie dopuścił.

— *Nachher! Nachher! Après* — rzekł, towarzysząc małżonkom aż na schody do numeru, który otworzył, uklonił się i życzył im dobrej nocy.

XLVIII.

Nazajutrz, kiedy małżonkowie pili kawę i herbatę, chociaż bez samowara, ale z dostateczną ilością kipiátku, w kociolku blaszanym, do numeru wszedł komisjoner. Ukłonił się i zapytał po niemiecku:

— Czy pan i pani nie mają dla niego jakich poleceń? Teatralne bilety... modne towary... cygara...

I wnet z kieszeni wydobyl afisze, adresa magazynów i zreczenie rozłożył je na stoliku, nieustannie mówiąc po niemiecku, po francusku i po polsku.

— Nie bracie, nie potrzeba. Wszystko już niepotrzebne. Dziś odjeżdżamy do Petersburga. Podaj rachunek i skończym.

— *Nu parton soar a Petersburg* — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

Żydziak wytrzeszczył oczy.

— Jakto dziś? W takim mieście jak Wiedeń państwo nie chcecie zabawić choćby trzy dni! Najwyraźniejszą wyrządzać sobie krzywdę. Możecie państwo kupić mnóstwo towarów za bezcen. Mógłbym państwu zarekomendować takie węgierskie wino, za jakie w Rosyi, należy zapłacić trzy razy tyle. Czy nie raczą państwo spróbować, dwa guldeny za butelkę.

Komisjoner wydobyl z kieszeni miniaturową buteleczkę szybko ją odkorkował, nalal do szklanki i podał Mikołajowi Iwanowiczowi, mówiąc:

— Niech pan raczy spróbować!

— Nie mi nie potrzeba. Basta. *Abend faren* — odparł Mikołaj Iwanowicz, nie przyjmując szklanki.

Komisjoner zaczął go przekonywać po niemiecku, że wieczorem jechać niepodobna, ponieważ wieczorem odchodzi pociąg ciężarowy i w nim do granicy jechać nie można bez przesiadania się. *Madame il faut rester jusq'á demain matin* — dodał komisjoner.

— Nie, nie. Nawet nie prosz daremnie. Dziś jedziemy. Przyczepił się do nas, jak smoła — rzekła Głafira Siemionowna.

Jednakże zdolal naklonić Mikołaja Iwanowicza do spróbowania węgierskiego wina. Mikołaj Iwanowicz skosztowawszy, rzekł:

— Wino rzeczywiście doskonałe. Moznaby niem w domu śmiało poczęstować gości. Możeby wziąć parę butelek, pytał żonę, i kiedy ta nie zaprzeczyła, kazał komisjonerowi przynieść dwie butelki.

Po winie nastąpiło zaproszenie do cygar. Żydziak podał cygaro, żądał, aby Mikołaj Iwanowicz spróbował i dotąd nie odstąpił, aż zamówiono sto sztuk. Po cygarach komisjoner wydobyl z kieszeni próbki materyi na meble.

— Dość! Dość! Marsz! — krzyknął rozdrażniony Mikołaj Iwanowicz, ukazując drzwi.

Komisjoner wyszedł.

Znowu ktoś do drzwi zapukał. Ukazał się poważny, tłusty żyd, z twarzy wyglądający na franta, z brylantowym pierścieniem na palcu i zaczął się grzecznie kłaniać. W rękach trzymał mały skórzany kufeczek.

— Z magazynu Mozesza Mendelsohna, gotowa damska toaleta, *Damenconfection* — przedstawił się żyd, mówiąc po niemiecku i zaczął otwierać kufeczek.

— Glasza, co on żąda? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, wytrzeszczając oczy.

— Przynosi do nabycia jakieś damskie towary — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Precz! Won!

Żyd nie ustępował.

— Raczie państwo obejrzeć. W Rosyi wszystko to daleko droższe — mówił, i w oka mgnieniu z kufereczka wydobyl damską pelerynę, zdobną perclkami dętymi i paciorkami, i rozwinął. — Tylko trzydzieści guldenów, trzydzieści guldenów, *madame*.

Głafira Siemionowna nie wytrzymała.

— Ach jakież to śliczne — rzekła. — W rzeczy samej jest to niesłychanie tanio i zaczęła przegłądać i przymierzać.

Skończyło się na tem, że kupiono dwie peleryny. Żyd wychodząc zostawił kilka adresów, illustrowany katalog towarów i prosił o odwiedzenie magazynu.

— Sławiańskie miasto Wiedeń! Niema co mówić! Żydzi je całkiem opanowali — rzekł Mikołaj Iwanowicz, po wyjściu żyda.

Wszedł kelner żeby zabrać przyrzady do kawy i poprosił małżonków o paszporty.

— Na co paszporty, kiedy my dziś wieczorem odjeżdżamy — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Daj nam rachunek, *Rechnung!* Dziś *fahren* w Petersburg.

Kelner jednak koniecznie domagał się paszportu choćby na pięć minut.

— Dajże mu paszport. Prosi tylko na pięć minut. Wiedocześnie jest potrzebny. Zapewne taki tu porządek.

Mikołaj Iwanowicz dał paszport, mówiąc do żony:

— Wyobraź sobie, jakie to dziwne, poją i karmią tutaj obficie i do syta, na sposób rosyjski i również na ten sposób właśnie żądają także paszportów, jak w Rosyi. Nigdzie od nas nie żądano paszportu, dopiero tutaj w Wiedniu.

Pociąg do granicy, jak się pokazało, nie odchodził wcale wieczorem, ale o godzinie trzeciej w dzień. O tem zawiadomił małżonków kelner, przyniósłszy rachunek i paszport, małżonkowie zatem zaczęli się zaraz wybierać.

Komisjoner także przyczepił się, pomagał zwiazywać rzeczy i nareszcie podał swój rachunek za powozy, za bilety teatralne, za kupione u niego cygara i wino. Na dole pod ogólną kwotą była wielka kreska, tylko ze znakiem zapytania przy wyrazie:

— *Comission?*

Ukazał on ręką ten znak zapytania i rzekł po niemiecku: »Co miłościwy pan i miłościwa pani (*gnädiger Herr und gnädige Frau*) raczą ofiarować, przyjmę z wdzięcznością i podziękowaniem. Mam nadzieję, że państwo nie skrzywdzą biednego komisyonera.

Frazes ten powtórzył dwukrotnie po niemiecku i łamałym francuskim językiem, kłaniając się nieustannie.

Przetłumaczyła to mężowi Głafira Siemionowna.

Żydziak ciągle kłaniał się, dopomagając Mikołajowi Iwanowiczowi do włożenia paltota.

Mikołaj Iwanowicz za jego usługi dał mu dwa guldeny. Żydziak uklonił się nisko, pojechał razem z małżonkami na dworzec, unieścił ich w wagonie i przy pożegnaniu wręczył kilka adresów, prosząc o rekomendację osobom przyjeżdżającym z Petersburga do Wiednia.

Po upływie minuty pociąg ruszył.

XLIX.

Przez całą drogę z Wiednia aż do rosyjskiej granicy małżonkowie przejechali swobodnie, nie uległszy żadnemu wypadkowi. Na wszystkich stacyach, na których pociąg zatrzymywał się, zawsze było pełno żydów, żydzi ci coraz większym ulegali przekształceniom, suknie ich były coraz dłuższe i brudniejsze, coraz więcej znikaly tużurki i kapelusze, a ukazywały się zabłocone halaty i jarmulki, znikaly wszelkie ślady bielizny, a mianowicie koszul, ale małżonkowie pomimo to wszystko odczuwali już woń słowiańszczyzny.

W miarę zwiększania się liczby coraz brudniejszych żydów na stacyach dawał się już słyszeć od chwili do chwili i język słowiański, mieszający się z gwarą żydowską. Słychać było mowę czeską, chorwacką, polską, niezbyt zrozumiałą dla Rosyanina, ale zawsze miłą dla ucha. Nawet w pociągu, którym jechali małżonkowie, znalazło się to, co urządzone jest we wszystkich rosyjskich pociągach i co winny naśladować wszystkie inne państwa, tak zwana po rosyjsku *ubornaja*, to jest garderoba.

Noc przebyli małżonkowie spokojnie w wagonie; spali dobrze i przebudziwszy się rano, przekonali się z radością, że do granicy rosyjskiej pozostała tylko jedna godzina jazdy.

Poranek był pochmurny, powietrze dosyć chłodne, mgliste; jak zwykle w miesiącu październiku, przejmujące smutkiem i melancholią, ale twarze małżonków, promieniały radością i szczęściem.

Radowali się, że już coraz bardziej zbliżają się do rosyjskiej granicy.

Mikołaj Iwanowicz, wypiwszy naczeczko, zamiast herbaty, szklankę czy dwie wina, zanucil sobie pod nosem:

Skończyła się, skończyła daleka droga
Widzę już kraj rodzimy!

— A ty cieszysz się, Głasza, że wkrótce staniemy na naszej rosyjskiej ziemi — zapytał żonę.

— Niezmiernie się cieszę. Nie uwierzysz jak jestem szczęśliwa, bo trudno mi to wypowiedzieć — odpowiedziała, uśmiechając się. — Sprzykrzyło mi się wszystko, obrzydło. Wszystkie te porządki zagraniczne, przeciwnie są mojej naturze, straszliwie nieprzyjemne.

— A pamiętasz, jakie się prosiła, żeby jechać za granicę? — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — Nie dawałaś mi spokoju. Jedźmy! Jedźmy! Wszystko to piękne, dobre, a podobno w domu najlepiej.

— Więc cóż? Pojechaliśmy, napatrzyliśmy się różnym różnościom i jest o czem opowiadać.

Kiedy przejdiesz kraje świata i powrócisz do rodziny,
Słodkim i przyjaznym jest dym ojezyny.

— Tak, tak. Znam te wiersze. To: *Goria od una!* Biada rozumowi! Jak tylko przyjedziemy do domu, a raczej, jak staniemy tylko na rosyjskiej granicy, natychmiast na stacyi wypiję wielki kielich rosyjskiej wódki — zawołał uszczęśliwiony Mikołaj Iwanowicz.

— Masz tobie. Nie znasz nic, nie nie widzisz, o niczem nie myślisz... tylko o wódce! — odpowiedziała z wyrzutem Głafira Siemionowna.

— *Duszeńko!* Tylko przypomnij sobie jak ja dawno już jej nie piłem. W Genewie udało mi się wprawdzie cokolwiek skosztować, ale wieleż za nią zapłaciłem, obdarli mnie do skóry — mówił Mikołaj Iwanowicz.

— Ja zaś, jak przyjedziemy na stację, każę sobie podać herbaty — rzekła Głafira Siemionowna, dodając: — Czy wiesz za czem najbardziej tęskniłam za granicą? Ty tęskniłeś za wódką, a ja za obwarzankami. Ach z jaką rozkoszą zjem obwarzanek! Zawsze wspominałam je, nawet wówczas, kiedy zasiadaliśmy do herbaty, a w Genewie nawet mi się śniły.

Drobny deszczyk zaczął kropić.

Pląkały okna wagonów, cały krajobraz zaćmił się, przysłonił mgłą. Poprzednie widoki dobrze uprawnych pól i gruntów powoli znikaly, natomiast zaczęła się glina i piasek, pustki coraz bardziej były widzialne. Podróżni z wagonów nikli, i pozostało zaledwie półtorej setki, kiedy pociąg zbliżał się do ostatniej austriackiej stacyi. O godzinie ósmej konduktor odebrał ostatnie bilety z książeczki Towarzystwa bezpośredniej komunikacyi.

— Czy prędko przyjedziemy? — zapytał go Mikołaj Iwanowicz po rosyjsku.

Konduktor zrozumiał pytanie, ale odpowiedział po niemiecku:

— *Nach zwölf Minuten!*

— Za dwanaście minut. Chwała Bogu! A za to, że zrozumiałeć po rosyjsku, masz na herbatę! — i Mikołaj Iwanowicz oddał mu resztę zdawkowej, zagranicznej monety.

Nareszcie pociąg zaczął zwalniać bieg. Jechali powoli między całemi rzędami wagonów, stojących na pomocniczych liniach. Przesuwali się tu i owdzie robotnicy. Pomimo deszczu Mikołaj Iwanowicz opuścił okno i wysunąwszy głowę, z wielką niecierpliwością wpatrywał się w kierunku rosyjskiej granicy. Nagle jakiś robotnik zaczął głośno wymyślać po rosyjsku, mięszając do tego bardzo skandaliczne wyrazy. Mikołaj Iwanowicz zadrzał z radości.

— Głasza! Głasza! Już rosyjsey robotnicy. Rosyjsey chłopi, wymyślają sobie po rosyjsku! — krzyknął i dodał uroczystym głosem:

— Tutaj rosyjski duch, tutaj pachnie Rosyą!

Jeszcze minuta.

Słychać było skrzypienie i huk hamulców, pociąg zatrzymał się.

— Nareszcie przyjechaliśmy już do rosyjskiej granicy! Chwała Bogu — zawołała z radością Głafira Siemionowna, i przeżegnała się.

Przeżegnał się również i Mikołaj Iwanowicz.

Rosyjski język był przeważnie słyszany. Widać było dwa słupy, jeden z herbem austriackim, drugi z rosyjskim. Wszedł do wagonu tragarz, zabierając rzeczy małżonków. Wyszli oni z wagonu na platformę. Otóż i sala poczekalna. Przy drzwiach stał rosyjski żandarm i odbierał paszporta.

— Rosyjski człowiek! Prawdziwy Rosyjanin! Gołąbeczku mój! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i z wielkiej radości uścił żandarma.

— K O N I E C . —



14574

10/1/82

360

